


G R A H A M  
MASTERTON



Ludzie  
cienia



G R A H A M  
MASTERTON

Ludzie  
cienia

Przełożył Piotr Kuś



Dom Wydawniczy **REBIS**



*Dla Karoliny Mogielskiej, mojego słowika*

- Gdzie się ukrywałeś przed przyjściem na świat?
- W cieniu.
- Gdzie się ukryjesz po śmierci?
- W cieniu.
- Gdzie mieszka twój pan i władca?
- W cieniu.

Rozbiwszy drzwi dwuręcznym młotem, Ron natychmiast poczuł smród spalonego mięsa.

– Rety – jęknął, przestępując próg. W gabinecie unosił się rzadki, siwy dym, który zakłębił się, kiedy swoim wejściem poruszył powietrze. – Ktoś tutaj urządził sobie grilla.

Pomieszczenie było od dawna opuszczone i zdewastowane. Z sufitu zwisały płyty gipsowe, tam, gdzie woda w rurze musiała zamarznąć i ją rozsadzić. Na swoich miejscach wciąż stały biurka i krzesła, nieruszone od dnia, w którym fabryka dywanów Royale została zamknięta. Na jednym z blatów stał okolicznościowy kubek diamentowego jubileuszu królowej Elżbiety II, który przypadła w 2012 roku, obok leżały zapomniane okulary, a z wieszaka zwisała smętnie parka w kolorze khaki.

Swąd przypalonego mięsa był przenikliwy i świeży, tak jakby wciąż leżało na gorącym grillu.

– To najprawdopodobniej sprawka bezdomnych, nie, brachu? – odezwał się DuWayne, który wszedł do środka za Ronem, wymachując długim łomem, używanym do podważania desek podłogowych. Kilkrotnie pociągnął nosem.

– Hmm, z powodu tego zapachu zaraz będę głodny. Jeszcze nie jadłem śniadania.

– Może będziesz miał szczęście i okaże się, że coś dla ciebie zostawili?

Ron podszedł do otwartych drzwi w przeciwległej ścianie. Za nimi znajdował się długi korytarz z klatką schodową na końcu. Schody prowadziły na główne piętro fabryki, gdzie Ron wraz z pięćosobową ekipą zamierzał rozpocząć prace rozbiórkowe.

Razem z DuWayne'em dotarli do schodów. Na ścianach korytarza wciąż wisiały oprawione w ramki fotografie, wspomnienie najlepszych dni fabryki Royale. Klatkę schodową słabo oświetlały promienie słońca wpadające od budynku przez brudne świetliki. Ron przechylił się przez poręcz i zawołał:

– Jest tam kto? Jeśli tak, to lepiej stąd spierdajcie, i to szybko, bo zamierzamy cały ten budynek rozpieprzyć w drobny mak!

– Właśnie! – wykrzyknął DuWayne i dodał, rapując: – Jeżeli nie chcecie, żebyśmy was rozplaszczyli niczym na dywanach wzorki, to bierzcie dupę w troki!

Ron nie zareagował. Przyzwyczał się już, że DuWayne przy każdej okazji rapuje. W taki sposób zamawiał nawet cheeseburgery w McDonalddie. Przez chwilę obaj nasłuchiwali, spodziewając się jakiejś reakcji z dołu, jednak do ich uszu docierał tylko słaby odgłos, jakby coś skwierczało.

– Dewey, co to za dźwięk twoim zdaniem? Miejmy nadzieję, że ta buda się nie pali.

– Przecież pożar oszczędziłby nam ciężkiej roboty, nie uważasz?

– Ale ja nie czuję ognia. Najlepiej zrobimy, jak zejdziemy na dół i się rozejrzemy. Wolałbym nie mieć problemów z dzikimi lokatorami. Chyba byłeś na urlopie, kiedy rozwalaliśmy budynek firmy ubezpieczeniowej na Ludgate, a gnieździło się tam paru bezdomnych i za nic w świecie nie chcieli się wynieść. Któryś nawet rozwalił szczękę biednemu, poczciwemu Biffowi.

Z głośnym stukotem ciężkich butów roboczych zeszli po schodach. Dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do hali fabrycznej były uchylone zaledwie na kilka centymetrów, ale to wystarczyło, żeby dym wydostawał się na piętro biurowe. Zawiasy już dawno zardzewiały, a na podłodze, tuż za drzwiami, leżała warstwa piasku, ale kiedy DuWayne napał na nie ramieniem, zdołał otworzyć je szerzej.

Fabryka była w zasadzie pusta, ponieważ po ogłoszeniu bankructwa przez Royale wszystkie wielkie maszyny tkackie sprzedano. Jednak pod ścianą po prawej wciąż stały metalowe regały, na których układano gotowe dywany. Na części z nich leżały sterty brudnych koców i poduszek.

– Mówiłem ci – odezwał się Ron. – Cholerni dzicy lokatorzy. Cholernie nienawidzę cholernych dzikich lokatorów. Uważają, że Bóg dał im prawo do włamywania się, gdzie tylko im się cholernie podoba.

– To chyba stąd napierdala ten smród, brachu – powiedział DuWayne.

Wskazał róg hali, gdzie znajdowała się ceglana wnęka, w której zapewne kiedyś mieścił się komin albo palenisko. Fabrykę zbudowano w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku i na początku wytwarzano w niej dorożki, a robotnicy potrzebowali ognia, żeby nadawać pożądane kształty żelaznym elementom. Palenisko od dawna pozostało tylko wspomnieniem i obecnie we wnęce tkwiły trzy duże wózki z supermarketu, wypełnione do połowy żarzącym się węglem drzewnym. Większość dymu ulatniała się przewodem kominowym.

– Masz rację, zrobili sobie barbecue – powiedział znów DuWayne. – Prawdopodobnie dali drapaką, kiedy uszyszeli, jak krzyczysz na schodach. Zobaczmy, czy zostawili coś ciekawego do żarcia.

Ruszyli przez halę. Ron cicho pogwizdywał przez zęby. Oprócz koców zobaczyli na regałach sterty śmieci, które świadczyły o pobycie lokatorów. Pod oknami po lewej stronie zalegały pogniecione torby na zakupy, butelki i pootwierane kartony oraz dziesiątki pustych puszek po zupach i sardynkach, a także fragmenty starych zasłon, które sprawiały wrażenie poplamionych krwią albo jakąś inną ciemnobrązową cieczą.

– Ci bezdomni to cholerne zwierzaki, mówię ci. Właściwie są gorsi od zwierząt. Nawet mój Tygrys przynajmniej się stara zakopać swoje gówna w kuwecie.

Kiedy Ron i DuWayne podeszli do wężki, zobaczyli, że wózki wyłożone są papą. Tutejsi mieszkańcy prawdopodobnie ściągnęli ją z dachu fabryki i wykorzystali do palenia węgla drzewnego. Ron przypuszczał, że ostatnio rozpalono tutaj przynajmniej przed dwiema godzinami, ponieważ część brykietów zamieniła się już w szary popiół, część lśniła pomarańczowym blaskiem, a we wnętrzu było tak gorąco, że wydawało się, iż w powietrzu wokół tańczą duchy.

Ron podszedł do najbliższego wózka i pochylił się nad nim, osłaniając twarz dłonią. Zobaczył dwie kości żebrowe, trochę już zwęglone, i coś, co wyglądało jak trzy świńskie racice, ułożone jedna przy drugiej. Skóra na nich skwierczała. Zobaczył też inne kawałki mięsa, bezładnie poukładane na węglu – karkówkę, łopatki i podudzia – które wyglądały na gwałtownie oderwane od ciała; na pewno nie była to fachowa robota rzeźnika.

DuWayne zerknął mu przez ramię.

– Nie ma burgerów. Szkoda. Co to za barbecue bez burgerów?

– Nie ma też bułeczek, stary, ani sera. Bardzo mi przykro.

Zrobił dwa kroki, żeby sprawdzić, co się piecze w następnym wózku. Nagle znieruchomiał, po czym powoli odjął rękę od twarzy. W pierwszej chwili nie pojął, na co patrzy. DuWayne wpadł na niego i niemal go przewrócił.

Po chwili milczenia odezwał się głosem pełnym niedowierzania:

– Jezu Chryste, Dewey. Do diabła, cholerny Jezu Chryste!

– Co jest, brachu?

Drugi wózek był pełen ludzkich głów. Twarze były zwęglone i przywodziły na myśl szkaradną parodię *The Black and White Minstrel Show* z lat pięćdziesiątych. Niektóre gałki oczne były wypalone i w czaszkach ziały czarne dziury. Inne spoglądały na Rona i DuWayne'a białymi, ugotowanymi tęczówkami. Usta wszystkich były szeroko otwarte, jakby w niemym krzyku, wywinięte wargi ukazywały zęby. Po długości nadpalonych włosów Ron ocenił, że przynajmniej trzy głowy należały do kobiet.

– To są ludzie – powiedział, a własny głos usłyszał tak, jakby ktoś mówił mu do ucha. – Całe to cholerne barbecue... To ludzkie mięso.

– Co? – rzucił DuWayne, ale zaraz zobaczył głowy. Odwrócił się i zwymiotował, chociaż w pierwszej chwili przycisnął dłoń do ust.

Ron wyciągnął z kieszeni telefon, sprawdził zasięg i drżącym palcem wystukał numer alarmowy.

– Słucham. Z którą służbą chce się pan połączyć?

– Z policją, kochana. Na karetkę jest już cholernie za późno.

– Kończysz, Pardoe? – zapytał sierżant Bristow.

– Nie, szefie – odparł Jerry, spoglądając na niego znad klawiatury komputera. – Wciąż spisuję zeznania tej zgrai z Extinction Rebellion. Jutro sprawa w sądzie.

– Na razie możesz to zostawić. To zwykłe GB. Mamy zgłoszenie o próbie kradzieży w WH Smith, w Tandem Centre, i to z użyciem niebezpiecznego narzędzia.

– WH Smith? Żartujesz? A niby czego szukali tam złodzieje? Zależało im na „Daily Mail” i dwóch rolkach taśmy klejącej?

– Nie znam szczegółów. Zdaje się, że jakieś dwa świry zaczęły zrzucać towar z półek, a kiedy sprzedawczyni próbowały ich powstrzymać, zostały zaatakowane nożami. Dwie mają lekkie obrażenia, ale trzecia jest w ciężkim stanie.

– Cholera jasna. A co ze świrami? Uciekli?

– Jeden zwiął, ale w centrum handlowym z zupełnie innego powodu przebywało akurat dwóch policjantów i dorwali tego drugiego. Mają z nim KPP, bo facet zachowuje się jak opętany. Musieli czekać na wsparcie. Ekipa techniczna już jedzie na miejsce przestępstwa.

Jerry zapisał na dysku zeznania, które do tej pory mozolnie kopiował z odręcznych notatek, i wyłączył komputer. Zajmowanie się sprawą Extinction Rebellion i tak uważał za marnowanie czasu lub – jak to określił sierżant Bristow – za GB. Wśród funkcjonariuszy londyńskiej policji ten nieformalny skrót oznaczał „gówniane bzdety”. Z kolei KPP oznaczało „kurewsko poważny problem” z podejrzanym, który jest dobrze zbudowany, szarpie się i którego obezwładnienie wymaga sporego wysiłku.

– Zabierz ze sobą Malletta. Jest w kantynie. Skończył już dniówkę, ale od rana nie wpadła mu żadna robota, niech więc jakoś zarobi na swoje utrzymanie.

– WH Smith – powtórzył Jerry. Włożył nową brązową skórzaną kurtkę i zapiął zamek błyskawiczny. Był z niej zadowolony. Sądził, że wygląda w niej jak Robert Redford, zanim ten się pomarszczył na twarzy. – Trzeba być debilem, żeby urządzać napady na WH Smith. Czego ci idioci tam szukali?

– Może najnowszych książek o Harrym Potterze?

Jerry zszedł na parter do kantyny, gdzie posterunkowy Bobby Mallett próbował zagadywać posterunkową Fionę Pitt. Niemal każdy funkcjonariusz z komisariatu w Tooting starał się nawiązać nić porozumienia z posterunkową Fioną Pitt, ponieważ była szczupłą blondynką o chabrowych oczach i miała zmysłowe, zawsze lekko wydęte usta. Wyglądała jak influencerka z Twittera. Niestety, była zaręczona z pewnym bokserem wagi średniej, niejakim Billym „Młotem Bojowym” Wilsonem.

Jerry usiadł przy stoliku obok posterunkowej i mrugnął do niej. Zareagowała ironicznym uśmiechem.

Tymczasem Mallett się odezwał:

– Wyjaśniałem właśnie naszej Fionie, że boksowanie raczej nie jest zajęciem na całe życie. Większość bokserów po trzydziestce to wraki, a ci, którzy w tym wieku potrafią jeszcze logicznie myśleć, są szczęściarzami. Poza tym czy naprawdę chce budzić się co rano i patrzeć na przymulonego faceta z nosem jak bakłażan?

– A co ci do tego? – rzuciła posterunkowa Pitt. – Poza tym nos Billy’ego jest piękny. A ten bakłażan... co to takiego?

– Poczekaj tylko, aż twój chłopak trafi w ringu na osiłka młodszego o dziesięć lat. Właśnie to się przydarzyło mojemu wujkowi Harry’emu. Był tylko amatorem, stanął jednak do walki o jeden raz za dużo. Dzisiaj wygląda, jakby ktoś wielokrotnie zdzielił go po głębie tacą do podawania herbaty.

– Hej, Jeżozwierz, tymczasem mamy bijatykę w dzungli <sup>1</sup>. – Jerry zwrócił się do Malletta. – Napad z użyciem noży na punkt handlowy w Tandem Centre.

Wszyscy nazywali detektywa posterunkowego Malletta „Jeżozwierzem”, ponieważ był niski i przysadzisty, miał czarne włosy ścięte na jeża, wylupiaste, brązowe oczy i nos jak kartofel. Miał też zwyczaj kręcenia się po całym komisariacie z energią godną leśnego stwora przemykającego w pośpiechu od drzewa do drzewa.

Mallett popatrzył na zegarek.

– Nie ma mowy, Jerry. Chroni mnie kod jedenaście. Skończyłem pracę o trzeciej.

– Nic z tego. Jeden z podejrzanych pozostaje na wolności i Bristow chce, żebyśmy obaj *prontissimo* zajęli się tą sprawą.

– Ile nam to zajmie? Umówiłem się z mamą, że zabiorę ją dzisiaj na kolację do Toby Carvery.

– Romantyczna randka godna naszych czasów. Przykro mi, Jeżozwierz.

Niezadowolony Mallett wydał policzki.

– Dobrze, dobrze. Dzięki za miłe tête-à-tête, Fiono. Chętnie będę jutro kontynuował.

Wstał i posłał posterunkowej Pitt całusa, przytknąwszy palce do ust, ona jednak przewróciła oczami ze znudzeniem, z czego Jerry wywnioskował, że wolałaby w samotności obserwować, jak schnie lakier na jej paznokciach, niż



ciągnąć rozpoczętą dzisiaj rozmowę. Prawdopodobnie nie miała też pojęcia, co znaczy „tête-à-tête”.

– No więc co to za KPP? – zapytał Mallett, zmagając się z zamkiem błyskawicznym nylonowej wiatrówki, kiedy wyszli na parking policyjny.

– Jakież dwa świry chciały okraść WH Smith i zaatakowały nożami trzy sprzedawczynie, które starały się ich powstrzymać. Podobno jedna odniosła poważne rany. Kiedy złodzieje uciekali, nasi ludzie dopadli jednego z nich i obezwładnili siłą.

– Ten cholerny zamek jest popsuty. Wyłamała się połowa zębów, jak mojej babci.

Wsiedli do nieoznakowanego radiowozu marki Ford Focus i skręcili z parkingu w lewo, w Longley Road. Jerry włączył syrenę i rząd niebieskich świateł błyskających na chłodnicy samochodu.

– WH Smith? – zapytał Mallett ze zdziwieniem po długim milczeniu, kiedy to ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w przednią szybę.

– Tylko nie pytaj mnie, stary, dlaczego akurat tam. Zapewne dopiero bandzior oświeci nas w tej kwestii.

Po niecałych dziesięciu minutach dojechali do Tandem Centre i zaparkowali przed WH Smith. Na miejscu stał już ambulans, nie było natomiast policyjnej furgonetki z technikami. Jerry wiedział, że Extinction Rebellion organizuje dzisiaj kolejną demonstrację w centrum Londynu i mnóstwo funkcjonariuszy będzie zaangażowanych w uwalnianie ekowojowników przykutych łańcuchami do barierek albo przyklejonych superklejem do asfaltu.

Razem z Mallettem podszedł do karetki. Tylne drzwi pojazdu były otwarte i dostrzegli, jak dwoje ratowników medycznych bandażuje ramię rudowłosej, młodej kobiety, która wpatrywała się w nich, jakby nie wiedziała, kim są i dlaczego właściwie się nią zajmują.

Ujrzawszy policjantów, ratowniczką podeszła, żeby z nimi porozmawiać.

– Biedna dziewczyna ma chyba z dziesięć ran szarpanych na rękach i przedramionach – powiedziała. Jej akcent wskazywał, że pochodzi z Belfastu. Mówiła bardzo cicho, żeby rudowłosa jej nie usłyszała. – Nie są zbyt głębokie, ale jest ich dużo i zostały zadane bez ładu i składu. Ktokolwiek ją tak potraktował, musiał być niepoczytalny albo pod wpływem jakichś środków wzmagających agresję.

– A pozostałe sprzedawczynie? – zapytał Jerry. – Wie pani, jak się czują?

– Jedna ma podobne rany jak ta dziewczyna i otrzymała też cięcie nożem przez gardło. Na szczęście menedżer udzielił jej pierwszej pomocy i zatrzymał krwawienie, prawdopodobnie więc z tego wyjdzie. Trzeciej zadano kilka ciosów w klatkę piersiową i żołądek. Kiedy przyjechaliśmy, dawała bardzo słabe oznaki życia. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje, ale obawiam się, że ją stracimy.

Rudowłosa nagle zaczęła płakać. Ratownik przykucnął przy niej, uściśnął jej dłoń i powiedział:

– Już dobrze, kochanie. Nie denerwuj się. Jest po wszystkim.

– Ale dlaczego ona chciała mi zrobić krzywdę? – łkała kobieta. – Dlaczego tak się wściekła? Przecież tylko ją poprosiłam, żeby nie niszczyła ekspozycji.

Jerry zmarszczył czoło, popatrzył na ratowniczkę i zapytał:

– „Ona?” Dobrze słyszałem? „Dlaczego ona chciała mi zrobić krzywdę?” Czyżby zraniła ją kobieta?

– Biedactwo musi być w szoku. Proszę wejść do środka, wtedy wiele pan zrozumie.

Jerry i Jeżozwierz weszli do sklepu. Menedżer stał przy regale zaraz za drzwiami i rozmawiał z umundurowanym policjantem. Był łysy, nosił okulary i miał małe wąsy; ojciec Jerry’ego nazywał takie wąsiki „zagłodzonymi brwiami”. Wciąż był pod wpływem adrenaliny, a chociaż podwinął prawy rękaw koszuli, Jerry dostrzegł, że materiał jest czerwony od krwi.

Czworo kolejnych sprzedawców zbiło się w grupkę: trzy dziewczyny i przyszczytany nastolatek. Wszyscy mieli rozbiegane oczy, co Jerry widywał niemal u każdego świadka strzelaniny, ataku nożownika czy śmiertelnego wypadku samochodowego. Miną tygodnie albo i miesiące, nim krwawe detale przestaną przesładować tych ludzi.

– Collins – przedstawił się menedżer, kiedy Jerry i Mallett pokazali mu legitymacje. – Peter Collins. W rzeczy samej ochrzczony zostałem jako Colin Peter Collins. Taki żarcik rodziców.

Tak, szanowny panie, cholernie śmieszny żart, pomyślał Jerry, ale nie powiedział tego głośno.

Z umundurowanym policjantem się znali. Był to posterunkowy Brookes, o rozmiar wyższy i o rozmiar potężniej zbudowany niż większość istot ludzkich. Miał twarz w kolorze niedopieczonego ciasta, przez co wyglądał, jakby całe życie pracował w piwnicy bez okien.

– Pewnie będą panowie potrzebowali zeznań moich i personelu – powiedział menedżer. – Możemy pójść do mojego biura, jeżeli to wam odpowiada. Tam jest spokojniej.

– Najpierw musimy przesłuchać podejrzanego – odparł Jerry. – Może wiadomo panu, czego tak naprawdę tutaj szukał?

– Hmm... właściwie tak. Ale szczerze mówiąc, jestem zdezorientowany. Złodzieje chcieli ukraść kredki, flamastry i zestawy farb olejnych z działu artystycznego. Zgarniali te rzeczy z półek do czarnego worka na śmieci. Jestem zdziwiony, bo to już druga próba kradzieży artykułów z tego działu w ciągu trzech tygodni. Za pierwszym razem sprawcy uciekli.

– Kredki, flamastry i farby olejne? To wszystko? Nie chcieli się dorwać do kasy ani zabrać czegoś bardziej wartościowego?

– Te farby kosztują 19,95 funta, i to w promocji, a tak naprawdę nie mamy tutaj nic cenniejszego. No, jest jeszcze droga książka o edytorach tekstu, kosztuje 95 funtów, ale kto chciałby ją ukraść? Ja nie rozumiem z niej ani słowa.

– Jasne. Porozmawiajmy z tym miłośnikiem farb olejnych. Gdzie on jest?

– W magazynie – odparł Brookes. – Aresztowaliśmy go za ciężkie uszkodzenie ciała i odczytaliśmy mu jego prawa. Pilnuje go Matt Williams.

Menedżer zaprowadził Jerry'ego i Jeżozwierza na zaplecze, a posterunkowy Brookes im towarzyszył. Półki w magazynie pełne były książek, usztywnionych kopert, dziurkaczy, butelek z klejem i pachnących papeterii, jednak oprócz ich zapachu w pomieszczeniu unosiła się jeszcze inna woń – obrzydliwy, kwaśny odór brudnego ciała. Na składanym metalowym krześle, przykuty do niego kajdankami, siedział mężczyzna z potarganymi brązowymi włosami.

Jerry natychmiast zdał sobie sprawę, dlaczego sprzedawczyni odniosła wrażenie, że została zaatakowana przez kobietę. Mężczyzna ubrany był w brudną kremową suknię o krótkich koronkowych rękawach. Był tak tęgi, że suknia rozdarła się pod pachami. Sięgała mu zaledwie do kolan, ukazując owłosione golenie. Nie miał butów. Jego stopy były brudne, a paznokcie w fatalnym stanie.

– No i kogo my tutaj mamy? – rzucił Jerry.

Kilka lat wcześniej dodałby jeszcze jakiś sarkastyczny komentarz typu: „Małą pannę Muffet” albo coś w tym rodzaju. Jednak obecnie policjantów obowiązywały ścisłe przepisy w kwestii zwracania się do transwestytów, osób transpłciowych i wszystkich innych obywateli uważających się za kogoś innego, niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. Poza tym niedawno jego sąsiadką została transpłciowa kobieta o imieniu Diana i Jerry naprawdę ją polubił.

Mężczyzna patrzył na niego, lecz milczał. Miał kolczyki w łukach brwiowych i niemal bezbarwne oczy, a ich kąciaki i rzęsy były sklejone, jakby dopiero się obudził. Czoło i policzki były brudne. Śmierdział tak okropnie, że Jerry natychmiast zrozumiał, dlaczego posterunkowy Williams stoi tak daleko od niego, jak tylko się dało w tym małym pomieszczeniu, i przez cały czas zakrywa dłonią nos oraz usta.

Smród taki, że robale się podusiły, pomyślał Jerry. Zapewne w taki sam sposób, lecz głośno, zareagowałby na obdartusa ojciec Jerry'ego.

– Zrób nam przysługę i szeroko otwórz drzwi – Jerry zwrócił się do Williamsa. Wyciągnął telefon, popatrzył na mężczyznę w sukni i zapytał: – Jak się nazywasz, słońce?

Tamten wymamrotał coś pod nosem.

– Zapytam jeszcze raz: jak-się-nazywasz? Chyba mówisz po angielsku, co? A może nie? *Votre nom, monsieur? Su nombre, hombre?* Jak się nazywasz?

Mężczyzna znowu wydał nieartykułowane dźwięki, ale nadal milczał. Nawet nie pokręcił głową na znak, że odmawia odpowiedzi.

Wtrącił się Jeżozwierz:

– Stary, popełniłeś przestępstwo i jeśli w tej sytuacji odmówisz nam podania danych personalnych, będzie to podać pod kolejny paragraf.

– No właśnie – potwierdził Jerry. – Po co ci to? Już i tak mamy na ciebie dość cholernych paragrafów. Zostałeś złapany na gorącym uczynku.

– Do nas też się nie odezwał – powiedział Brookes. – Ani słowem. Może jest Tomciem Paluchem?

– To twoja ostatnia szansa – odezwał się Jerry. – Kim jesteś i dlaczego chciałeś ukraść kredki i flamastry?

Mężczyzna wciąż wpatrywał się w Jerry'ego. Znowu coś wymamrotał. Odgłosy, które wydawał, przywodziły na myśl warczenie psa.

– Dość tego – zdecydował Jerry. – Równie dobrze moglibyśmy zmuszać pieprzonego buldoga, żeby do nas przemówił.

W tym momencie ze sklepu dotarły odgłosy jakiegoś zamętu, szelest kamizelek antynożowych oraz skrzypienie butów na posadzce. Zjawiło się czterech funkcjonariuszy, którzy mieli zabrać do aresztu mężczyznę w sukni.

– A to co za jeden? – zapytał jeden z nich, kiedy zeszli do magazynu. – Dziadek Lady Gagi?

Mężczyzna nie stawiał oporu, kiedy policjanci podnosili go z krzesła. Wręcz przeciwnie, był zwiotczały i chwiały się. Dwaj funkcjonariusze musieli złapać go mocno pod ramiona, a koloni dwaj za nogi i w ten sposób wynieśli go ze sklepu. Wyglądali jak myśliwi taszczący martwego lwa. Kiedy wpychali go do czekającej furgonetki, suknia się uniosła, a Jerry i Jeżozwierz dostrzegli, że mężczyzna nie ma majtek.

– Cholera jasna – mruknął Mallett. – Ależ wielki fiut.

– A drugi podejrzany? – zapytał Jerry. – Ten, który uciekł. Jak był ubrany?

– Wszystko nagrały kamery przemysłowe w sklepie, więc może pan sam zobaczyć – odpowiedział posterunkowy Brookes. Drzwi policyjnej furgonetki się zatrasnęły i policjanci przez chwilę patrzyli za odjeżdżającym samochodem. – Jeśli chodzi o mnie, to nie mam pewności, czy to kobieta czy mężczyzna. Ten ktoś był okryty ciemnoszarym kocem. Zarzucił go na głowę jak kaptur i na obrazie widać tylko jego nogi. Kiedy się zjawiliśmy, wyslizgnął się drugimi drzwiami, jak gówno z łopaty, prawda, Matt?

Posterunkowy Williams energicznie pokiwał głową.

– Wystrzelił jak pieprzona rakietka.

– Wysłałeś w eter opis poszukiwanego?

– Tak, oczywiście. Ale wystarczy, że facet pobędzie się koca, i za żadne skarby go nie rozpoznamy.

– To zależy. Jeżeli jest ubrany tak jak jego kumpel, to mamy go jak na talerzu, szybko ktoś go zauważy.

– Powiem wam, z kim musimy się najpierw skontaktować – powiedział Jeżozwierz. – Z Oddziałem Zdrowia Psychicznego w szpitalu Świętego Jerzego. Trzeba sprawdzić, czy nie uciekła stamtąd para świrów.

– Jeżozwierz – skarcił go Jerry.

– Och, tak, przepraszam. Chodziło mi o dwóch pacjentów chorych psychicznie.

Jerry popatrzył na czarny worek na śmieci, który leżał na podłodze sklepu, wśród porzucanych kredek, kolorowych flamastrów i pudełek z farbami olejnymi.

– Bardzo bym chciał się dowiedzieć, dlaczego oni, świry czy nie świry, chcieli ukraść ten cholerny chłam.

1. Z ang. *Rumble in the jungle* – odniesienie do walki bokserskiej o tytuł zawodowego mistrza świata wagi ciężkiej, stoczonej w Kinszasie przez Muhammada Alego i George'a Foremana w 1971 roku (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

– Trzymaj media z daleka od tego – powiedział inspektor Saunders. – Nawet szept na ten temat nie może przeniknąć za nasze mury. Nawet pisk. Gęby w kubeł, dopóki się nie dowiemy, z czym mamy, do diabła, do czynienia.

– Z kanibalami, szefie, jeśli chce pan znać moje zdanie – rzucił sierżant Barry Welch.

– Planowałam urządzić grilla w ten weekend – dodała posterunkowa Joan Harris. – Kupiłam już żeberka. Ale teraz... Fuj! Nawet ich nie tknę.

– A może nabyłaś też ludzkie głowy, co? – zapytał sierżant Welch. Inspektor posłał mu tak zjadliwe spojrzenie, że zaraz dodał: – Przepraszam, przesadziłem. Nie umiem żartować. Przepraszam.

Saunders miał wśród policjantów przezwisko „Smiley”, ponieważ nie miał za grosz poczucia humoru. Był wysoki, miał siwe, zaczesane do tyłu włosy, ostry nos i bezustannie niezadowoloną minę, jakby każde przestępstwo, z którym się zetknął, miało na celu tylko go zdenerwować.

Stał z posterunkowymi Jeffriesem i Loizou obok wnęki w fabryce Royal, razem z dwoma detektywami z Zespołu ds. Najpoważniejszych Przystępstw oraz trzema umundurowanymi funkcjonariuszami z komisariatu w Walworth i czterema strażakami.

W powietrzu nadal unosił się dym i wciąż czuć było silny odór spalonego mięsa. Strażacy zdążyli szczerlnie owinać trzy wózki zakupowe żółtymi plandekami z kevlaru. Zazwyczaj w takich sytuacjach używali gaśnicy proszkowej, ale inspektor Saunders powiedział im, że tym razem muszą z niej zrezygnować, ponieważ fosforany prawdopodobnie zniszczyłyby dowody rzeczowe. W tej sytuacji razem z zespołem mógł tylko czekać, aż wypali się węgiel drzewny, a na miejsce dotrą z Lambeth Road eksperci z dziedziny medycyny sądowej.

Popatrzył na zegarek.

– Gdzie Malik? Coś nie śpieszy się facetowi. Gorman, zejdź na dół i dowiedz się, co teraz robi. Posłałem go, żeby tylko sprawdził piwnice, nie wspominałem, że ma tam sobie urządzić wakacje.

– Jasne, szefie.

Posterunkowy Gorman ruszył w stronę otwartych drzwi, które prowadziły do piwnicy. Posterunkowi Malik i Bone mieli sprawdzić, czy nikt się tam nie ukrywa, a także poszukać ewentualnych tropów mogących się przyczynić do identyfikacji osobników, którzy rozczłonkowali i zaczęli piec w wózkach zakupowych ludzkie ciała.

– Babar! – krzyknął ze szczytu schodów. – Znalazłeś coś? – Nie usłyszał odpowiedzi, krzyknął więc jeszcze raz: – Babar!

Wciąż nikt mu nie odpowiadał, a ponieważ na dole panowała absolutna ciemność, zawrócił i poprosił jednego ze strażaków o pożyczenie latarki.

– Może trafili tam na jakieś dodatkowe pomieszczenia? – odezwał się do Saundersa. – Zejdę i sprawdzę, czy wszystko z nimi w porządku.

– Tylko Malik mógłby zabłądzić w byle piwnicy. To do niego podobne – odparł Saunders. – Kiedyś w Wimbledonie zabłąkał się w mamrze. Spóźnił się dwadzieścia minut na odprawę.

Posterunkowy Gorman włączył latarkę i po skrzypiących drewnianych schodach zaczął schodzić do piwnicy. Mocno trzymał się poręczy, obawiając się potknąć. Piwnica miała niskie sklepienie i zajmowała całą przestrzeń pod halą fabryczną. Kiedy w Royale produkowano dywany, wykorzystywano ją do magazynowania skrawków, resztek oraz zapasowych części do maszyn. Pod ścianami wciąż zalegały żalosne rulony dywanów, upstrzonych ciemnymi plamami wilgoci. Znajdowały się tu także dwa wirniki ze szpikulcami do rozdzielania wełnianych włókien oraz zardzewiała metalowa rama. Ze ścian luźno zwisały pajęczyny o skomplikowanych wzorach. Z całą pewnością przez ostatnie lata łapały jedynie kurz.

– Babar! Gdzie jesteś, stary? – krzyknął Gorman, świecąc latarką w lewo i w prawo. – Babar!

Zatrzymał się na chwilę i nasłuchiwał, do jego uszu dotarło jednak wyłącznie kapanie wody. Pomyślał, że w piwnicy muszą być jakieś inne pomieszczenia, które badają teraz Malik i Bone, ale w świetle latarki nie widział żadnych odgałęzień i wejść. Gdzie więc, do diabła, podzieli się Babar i Bone?

Ruszył do przodu. Czuł się niepewnie i odnosił wrażenie, jakby w ciemności ktoś go obserwował. W pewnej chwili usłyszał zgrzyt, jakby ktoś przewrócił i przesunął cegłę. Zatrzymał się i omiół światłem latarki przestrzeń dookoła. Po lewej stronie niespodziewanie dostrzegł dwie nogi wystające zza długiego rulonu bordowego dywanu i natychmiast rozpoznał brązowe buty posterunkowego Malika.

– Babar? – zawołał i podbiegł pod ścianę. Kiedy zatrzymał się i zobaczył Malika leżącego na betonie, wydobył z siebie tylko dwa słowa: – Kurwa mać.

Głowę posterunkowego ktoś dosłownie roztrzaskał – uderzenie było tak potężne, że czaszka pękła na kilka części, jak porcelanowa waza, a mózg wypłynął na posadzkę i utworzył lśniące beżowe kałuże, które zdążyły się już rozpląnąć na co najmniej piętnaście centymetrów w każdą stronę. Twarz Malika zmieniła się w krwawą, płaską maskę, w której odznaczały się białe, pokruszone zęby. Po ciosie niemal wystrzeliły z ust.

Jego oliwkowozielona kurtka z woskowanej bawełny była rozpięta, a płócienna koszula pod nią rozerwana. Ktoś otworzył mu brzuch jednym pociągnięciem noża, od mostka w dół, i wyszarpał wszystkie wnętrzności, tak że utworzyły na betonie bezładną stertę – leżały w niej serce, płuca, wątroba w kolorze śliwki oraz ośliżłe zwoje jelit.

Gorman na miękkich nogach cofnął się o dwa kroki. Był tak wstrząśnięty, że prawie stracił równowagę. Widział już wiele zwłok, jednak nawet na miejscach śmiertelnych wypadków drogowych nie zdarzyło mu się oglądać aż tak straszliwie okaleczonego ciała. Z Malika wypłynęły mózg i wnętrzności, a wcześniej został okrutnie pobity, jakby dręczyciel działał z ogromną, nieludzką wręcz wściekłością.

– Bone? – chciał zawołać głośno, ale z jego ust dobył się jedynie charkot. – Bone, jesteś tam? Bone? Na miłość boską, odpowiedz mi!

Przez chwilę nasłuchiwał. W ustach rosła mu twarda, kwaśna kula i Gorman musiał bardzo się starać, żeby nie zwymiotować śniadania. Nikt mu nie odpowiedział, słyszał tylko wyraźne, miarowe kapanie wody.

– Bone – wyszeptał.

Na sztywnych nogach ruszył w kierunku schodów, omiatając światłem latarki piwnicę, przerażony, że zaraz coś lub ktoś wyskoczy z ciemności i go zaatakuje. Puścił się biegiem i w pewnej chwili upadł, boleśnie uderzając kolaniem o betonową posadzkę.

Na górze zobaczył, że inspektor Saunders wciąż czeka ze zniecierpliwieniem, aż wózki zakupowe się schłodzą. Przybyli wreszcie technicy, czterej mężczyźni i dwie kobiety. Właśnie otwierali aluminiowe walizki ze sprzętem.

– No i? – rzucił Saunders, kiedy Gorman stanął dwa kroki przed nim. – Malik coś znalazł czy nie?

Posterunkowy zamierzał mu powiedzieć, że Malik został zamordowany, ale nie zdążył, gdyż zemdlał. Zachwiał się, kolana się pod nim ugięły i padł na beton. Jego głowa z łoskotem uderzyła w posadzkę. Latarka wypadła mu z ręki i potoczyła się aż do butów inspektora.

– Co, do cholery? – zdziwił się Saunders. – Jeffries, Loizou, zejdźcie i sprawdźcie, co się tam dzieje. Weźcie ze sobą kilku mundurowych. To wszystko z każdą minutą robi się bardziej niedorzeczne. Gorman? Co ci jest? Gorman!

Nie minęły trzy minuty, a posterunkowy Jeffries wyszedł z piwnicy. Miał bladą, przerażoną twarz. Wyglądał jak uwieczniony na starej czarno-białej fotografii.

– Malik na amen nie żyje, sir. Został... Chryste, jego zwłoki są w takim stanie, jakby zaatakowało go jakieś dzikie zwierzę. Jest dosłownie rozerwany na strzępy. Z głowy praktycznie nic nie zostało. Wnętrzności walają się po betonie. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego.

– Boże wszechmogący... A co z funkcjonariuszem, który mu towarzyszył?

Jeffries pokręcił głową.

– Bone? Na razie nie ma po nim śladu. Tam walają się wszelkiego rodzaju starocie, dywany i tak dalej, szukamy go w tych śmieciach. Próbowaliśmy go wywołać przez krótkofalówkę, ale nie reaguje.

Gorman powoli odzyskiwał przytomność. Zdołał usiąść i zajęła się nim strażaczka. Środkiem antyseptycznym przemyła mu ranę na czole.

– Dobrze się czujesz, Gorman? – zapytał Saunders.

– Tak, szefie. Przepraszam. Cholernie się przeraziłem, kiedy zobaczyłem Malika w takim stanie. Pracowałem z nim od lat. Właściwie od początku, od dnia promocji w Hendon.

– Jasne. Chyba sam będę musiał go obejrzeć. Na początek znieście do tej piwnicy jakieś mocne reflektory. Państwa techników też zapraszam. Zdaje się, że będziecie dziś mieli robotę na dwóch frontach.

– Zejdę z panem.

– Nie, Gorman, zostaniesz tutaj. Nie chcę, żebyś znowu zasłabł. Musielibyśmy cię tachać na górę, a nie jesteś wagi piórkowej.

Dwaj technicy poszli do furgonetek po reflektory, a Jeffries ponownie zszedł do piwnicy. Saunders podążył za nim. Na dole natknęli się na jednego z umundurowanych policjantów stojącego nad szczątkami posterunkowego Malika. Loizou i drugi policjant stali przy odległej ścianie. Światła ich latarek co chwilę się krzyżowały, jakby pojedynkowali się na miecze świetlne.

Saunders podszedł do ciała i patrzył na nie w milczeniu niemal przez pół minuty. Loizou stanął obok niego.

– Szefie? W tamtej ścianie – wskazała ręką – ktoś wybił dziurę. Jest na tyle duża, że mógłby się przez nią bez problemu przedostać człowiek, i chyba prowadzi do jakiegoś tunelu. Ten, kto załatwił Malika, z pewnością uciekł tamtędy, no i prawdopodobnie zabrał ze sobą posterunkowego Bone'a. Bo nigdzie go nie ma.

– Chciałbym się dowiedzieć – Saunders nie był zdolny oderwać wzroku od zwłok – jakim trzeba być wściekłym psychopatą, żeby zabić w ten sposób. Miejmy nadzieję, że morderca najpierw zmiażdżył mu głowę i chłopak przynajmniej nie cierpiał. – Umilkł na chwilę, po czym dodał: – W porządku. Obejrzyjmy tę dziurę. Mówisz, że prowadzi do tunelu?

– Wiele na to wskazuje. I ten tunel musi być całkiem szeroki.

Podeszli do Jeffriesa. Otwór około półtora metra wysokości i metr szerokości. Powstał przez wybicie w murze mniej więcej siedemdziesięciu cegieł, które leżały teraz na betonie. Część z nich ukryto pod rulonami mokrych dywanów opartych o ścianę. Saunders przykleknął, żeby zajrzeć do tunelu, ale było tam zupełnie ciemno, a kiedy Jeffries podał mu latarkę, zobaczył jedynie cegły. Poczł jednak także słaby powiew powietrza, co mogło świadczyć, że drugi koniec tunelu wychodzi na zewnątrz.

Wciąż wpatrywał się w dziurę, gdy piwnicę zalała fala drżącego światła. Dwaj technicy schodzili po schodach, dźwigając przenośne reflektory. Jeden z nich podszedł do funkcjonariusza przy Maliku, a drugi zbliżył się do inspektora Saundersa.

– Jezu – jęknął, wskazując głową ciało. Miał ponurą minę. – Makabra.

Technik zdążył już mocno wyłysieć, chociaż wyglądał, jakby dopiero co ukończył szkołę.

– Mało powiedziane – odparł Saunders. – A teraz, skoro dysponujemy przyzwoitym oświetleniem, zajrzyjmy do tego otworu i przekonajmy się, dokąd nas zaprowadzi.

Jeffries i Loizou weszli do dziury jako pierwsi, za nimi ruszył technik z reflektorem, a na końcu Saunders.

Jeffries miał rację: tunel rzeczywiście był przestronny, półokrągły, o średnicy około trzech metrów. Miał zaokrąglone, ceglane ściany, a mężczyznom pod butami zgrzytał tłuściu wyspany na glinę. Technik skierował przed siebie światło lampy, ale niczego nie dało się dostrzec, ponieważ w dalszej części tunelu panowała nieprzenikniona ciemność.

– Mamy do czynienia z konstrukcją z epoki wiktoriańskiej – powiedział technik. – W tamtych czasach nie używano jeszcze betonu i nawet tunele metra wzmocniano ceglami.

– Uważa pan, że znajdujemy się w tunelu metra? – zapytał detektyw Saunders.

– Na moje oko niemal na pewno. W tej chwili jesteśmy co najmniej dziesięć metrów pod powierzchnią, powiedziałbym więc, że tunel wybudowano około 1890 roku, czyli w czasie, kiedy zaczynano wprowadzać pociągi z napędem elektrycznym zamiast parowym. Nie ma tu torów, najwyraźniej więc nigdy go nie wykorzystywano, ale prawdę mówiąc, nie słyszałem o metrze w tym miejscu. Poza tym tunel biegnie ze wschodu na zachód, a najbliższej położona Linia Północna prowadzi z północy na południe. Może tunel miał w zamysłach stanowić jej przedłużenie, jednak z jakiegoś powodu z niego zrezygnowano.

– I w końcu ktoś go znalazł. Bardziej niż prawdopodobne, że bezdomni amatorzy grilla, który znaleźliśmy na górze. Musimy się dowiedzieć, jak daleko i dokąd prowadzi tunel, no i poszukać naszego posterunkowego... jak się nazywa?

– Bone, sir – odparł Jeffries.

– Bone – powtórzył Saunders ponuro i z niechęcią, jakby w tym słowie kryła się jakaś mroczna przepowiednia.

Posterunkowy Loizou, który wysunął się kilka kroków do przodu, nagle się zatrzymał i zawołał:

– Szefie! Niech pan podejdzie i na to popatrzy!

Dołączyli do niego wszyscy. Kiedy technik poświecił im reflektorem, oczom policjantów ukazał się okrąg wytyczony przez wypalone znicze. Pośrodku leżała sterta ludzkich kości – ramion, piszczeli i trójkątnych łopatek, a także pięć gnijących trucheł gołębi. Ich mostki i żebra sterczały spośród piór pokrytych szarym kurzem.

– Cholera jasna. Ktoś tu chyba przeprowadzał jakieś obrzędy – zauważył Jeffries.

Technik uniósł reflektor wyżej, oświetlając najbliższą ścianę.

– No i proszę. Zapewne ma pan rację.

Na ceglach ktoś namalował przesadnie wydłużoną ludzką postać o rogatej głowie kozła. Oczy lśniły na pomarańczowo, sylwetka była żółta, a z kolei dłonie szkarłatne, jakby nosiła czerwone rękawiczki albo zanurzyła ręce aż po nadgarstki we krwi. Inspektorowi Saundersowi postać przywiodła na myśl szatana z przedstawień sabatów i zlotów czarownic na rozmaitych rycinach sporządzanych przez stulecia. Wizerunek na ścianie namalowano jednak niezdarne, przez co sprawiał wrażenie, jakby wyszedł spod ręki dziecka.

– Wiecie, co my tutaj mamy? – ciągnął, a towarzyszący mu policjanci usłyszeli, że drży mu głos. – Mamy do czynienia z kultem. Z tego typu bredniami zetknąłem się dotąd tylko raz, przy sprawie zgrai czcicieli diabła w Clapham. Ale oni nie byli nawet w drobnej części tak okrutni jak łajdacy, którzy grasują w tym tunelu. Tam to byli starzy wariaci w koszulach nocnych, a jeżeli składali jakieś krwawe ofiary, to najwyżej ze zbłąkanych kotów. Niemniej jest dla mnie oczywiste, że chodzi tutaj o jakiś odrażający kult.

– Może spróbujemy jeszcze raz zmusić go do mówienia – zaproponował Jeżozwierz. Po raz ostatni zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek na trotuar.

– Jeżeli nie powie ani słowa, zapewne przyjdzie nam zatelefonować do doktora Basmatiego – odparł Jerry. – Moim zdaniem facet, który paradytuje w sukni i próbuje ukraść kredki, nie może być zdrowy na umyśle. Może więc doktor szczęśliwie pomoże mi pozbyć się tej sprawy? – Wyciągnął przed siebie rękę z papierosem i popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby nagle zmaterializował się przed jego oczami. – To przez Lindę – dodał. – Przez nią znowu zacząłem palić. Jej ojciec zachorował na zapalenie płuc i Linda cholernie się o niego martwi, a ja razem z nią.

– Ale chyba nie narzekasz, co? Dla takiej dziewczyny warto ryzykować raka płuc, prawda?

– Wiesz, co ci powiem? Wolę taki los razem z nią niż zdradzieckie dźgnięcie w oko rozpalonym żelaznym prętem, mimo że w istocie to żadna różnica. Dalej, wróćmy do środka i spróbujemy wydobyć z naszego przyjaciela coś więcej niż głupkowate pochrząkiwania.

Jerry rzucił niedopałek do rynsztoka i podążył za Jeżozwierzem do budynku komisariatu. Minęli recepcję i ruszyli korytarzem do części z celami dla zatrzymanych. Z jednej dobiegał pijacki głos śpiewający „kto cię zabierze do domu dziś wieczorem, kto będzie tym szczęśliwcem?”, a w kolejnej jakaś kobieta szczebiotała niezrozumiałe słowa, jakby natchnioną modlitwą, i energicznie przy tym klaskała.

– Jak na poniedziałek dołek tętni życiem, co? – zauważył Jeżozwierz. – Zwińmy jeszcze jakąś parkę i będziemy tu mieli kwartet rewelersów.

Szefa aresztu zastali na rozmowie z sierżantem Bristowem pod celą, w której przebywał mężczyzna w sukni.

– Spróbujemy jeszcze raz skłonić go do mówienia – powiedział Jerry. – Jeśli nie da rady się wysłowić albo nie będzie miał na to ochoty, prawdopodobnie oddamy go w ręce psychiatry. Zresztą psychiatra może się okazać potrzebny, nawet jeśli facet zacznie mówić. Wszystko zależy od niego.

– Zanim zaczniesz go przesłuchiwać, wsadź go pod prysznic i zorganizuj mu stosowne ubranie – zaproponował sierżant Bristow. – Czuję go nawet przez drzwi. A jeśli zażąda prawnika, to nie wyobrażam sobie papugi, który by się zgodził, żebyśmy przesłuchiwali zatrzymanego w takim stanie. W gruncie rzeczy żaden papuga nie wejdzie nawet do jednego pomieszczenia z takim śmierzdzącym typem.

Jerry odsłonił okienko na wysokości twarzy i zajrzał do środka. Bristow miał rację. Smród zjełczałego potu i moczu był tak silny, że chwilową ulgę przyniósł mu posmak tytoniu w ustach. Mężczyzna leżał na pryczy, plecami do drzwi. Suknia podwinęła mu się aż do pasa, obnażając duże, owłosione, białe pośladki.

– Jak się zachowuje? – Jerry zapytał szefa aresztu.

Ten wzruszył ramionami.

– Nie wydobył z siebie żadnego artykułowanego dźwięku. Czterech ludzi go tutaj wniosło, rzuciło na pryczę i od tego czasu praktycznie się nie ruszył. Pytałem, czy chce się czegoś napić albo coś zjeść, albo zadzwonić, ale nawet nie kazał mi się odpowiedzieć, jak to się zdarza większości szumowin, które tutaj lądują.

– Dobrze, wejdźmy do niego. Może namówimy go przynajmniej, żeby się umył?

Szef aresztu otworzył drzwi i Jerry wraz z Jeżozwierzem weszli do środka. Ten pierwszy pochylił się nad aresztantem i zapytał:

– Hej? Śpisz?

Mężczyzna nawet nie drgnął, Jerry położył mu więc rękę na ramieniu i lekko nim potrząsnął.

– Stary, jeśli śpisz, to może jednak się obudź i skup na tym, co się z tobą dzieje. Zostałeś aresztowany za ciężkie uszkodzenie ciała, a może się okazać, że nawet za morderstwo. Leżąc tak jak kłoda, tylko się pogrążysz.

Mężczyzna uniósł głowę, po czym obrócił się na plecy i popatrzył na posterunkowego z nieskrywaną nienawiścią. Najwyraźniej nie dbał o to, że od pępka w dół jest goły. Jego penis wyglądał jak guzowaty ziemniak.

– Powtórzę, jakie przysługują ci prawa, słoneczko – kontynuował Jerry oficjalnym, oschłym tonem. – Masz prawo zachować milczenie. Jeśli jednak zataisz coś, na co później chciałbyś powołać się w sądzie, sąd może nie wziąć tego pod uwagę. Wszystko, co powiesz, może zostać wykorzystane przeciwko tobie. Także warczenie i pochrząkiwanie.

Mężczyzna nadal w milczeniu gapił się na Jerry'ego. Śmierdział tak obrzydliwie, że Jerry z całego serca pragnął, żeby facet kazał mu spierdalać; wtedy mógłby natychmiast wyjść z celi. Starał się robić krótkie, płytkie wdechy, jednak smród sączył się przez zatoki, a miał nawet wrażenie, że również przez włókna ubrania.

– Rozumiem: nie chcesz mówić. Twój wybór – powiedział w końcu. – Musisz jednak wykonać kilka czynności, czy ci się to podoba czy nie. Masz zdjąć tę cuchnącą suknię, a następnie wziąć długi, gorący prysznic. Przed sądem Korony nie możesz się pojawić woniejący szambem i ubrany jak Dorotka w drodze do Szmaragdowego Miasta. – Odwrócił się i krzyknął do szefa aresztu, który został na zewnątrz: – Sierżancie Miller, na pewno ma pan jakieś spodnie od dresu i starą koszulkę, odpowiednie dla tego faceta, co?

Kiedy tylko Jerry spuścił z niego wzrok, mężczyzna zerwał się z pryczy i pchnął go na ścianę. Posterunkowy osunął się na posadzkę, a aresztant dwukrotnie kopnął go bosą stopą, najpierw w ramię, a potem w zębra. Jeżozwierz

próbował przytrzymać go za ramię, jednak ten wykonał półobrót i uderzył go tak mocno, że również padł na podłogę, pomiędzy toaletą a ścianą.

– Keith! – krzyknął Jerry.

Szef arestuzi zobaczył przez szybę, co się dzieje, i natychmiast otworzył drzwi. Wpadł do celi i z całej siły kilkakrotnie trzasnął aresztanta pałką. Mężczyzna natychmiast się cofnął i usiadł na pryczy. Uniósł ręce, chroniąc głowę przed ciosami.

Jerry podał rękę Jeżozwierzowi, żeby pomóc mu się wydostać spod toalety, i dwaj detektywi pokuśtykali do drzwi. Po nich wycofał się sierżant Miller. Groźnie wymachiwał pałką, na wypadek gdyby mężczyzna w sukni chciał się rzucić do kolejnego ataku.

– Cholera jasna – jęknął Jeżozwierz. Oparł się o ścianę w korytarzu i opuścił zadarte rękawy wiatrówki. – To jakiś pierdolony King Kong?

Jerry masował sobie ramię, w które kopnął go mężczyzna.

– Trzeba lotra uwolnić od smrodu. I ubrać w coś porządnego, nawet gdyby to miała być kolejna pieprzona suknia. Nie może wyglądać tak jak teraz, choćbyśmy mieli pokazywać go sądowi tylko przez kamerkę internetową. Z pewnością trafilibyśmy na okładkę „The Sun”. Już widzę te nagłówki: „Gliniarze z Tooting aresztowali goryla przebranego za kobietę”.

– Tymczasem sprowadzę posiłki – postanowił sierżant Bristow. – Nic się nie bój, wymyjemy go, nawet gdybyśmy najpierw mieli użyć paralizatora. Pamiętasz tych nielegalnych emigrantów sprzed paru lat?

– Ach, mówisz o tym proteście śmierdźli? Nie przypominaj mi. Wysmarowali się własnym gównem tak, że wyglądali jak trzy niedźwiadki. Brakowało im tylko Złotowłosej.

– Ale ich domyśliśmy, prawda?

– Tak, tyle że oni byli wygłodzeni i potykali się o własne nogi. A ten bydlak – Jerry wskazał na drzwi celi – to zupełnie inna bajka. Zachowuje się, jakby przeniósł się z epoki kamienia łupanego.

Jerry i Jeżozwierz poszli do kantyny na herbatę i kanapki z serem. Jerry sięgnął po swoją, wciąż jednak czuł smród aresztowanego, albo tak mu się wydawało, i szybko odłożył kanapkę z powrotem na talerz.

– Nie jesz? – zapytał Jeżozwierz.

– Nie. Zapomniałem, że religia zabrania mi jeść ser.

– Mogę ją zjeść, jeżeli nie masz ochoty.

Jerry w milczeniu obserwował, jak Jeżozwierz z apetytem pochłania kanapki.

– Nie masz wrażenia, że ten dzikus skrywa jakąś dziwną tajemnicę? – zapytał na pewnej chwili.

– Co masz na myśli? – mruknął Jeżozwierz z pełnymi ustami.

– Na przykład to, że musi gdzieś sypiać. A bez wątpienia jest bezdomny.

– Sądząc po smrodzie, nocuje w jakimś kiblu.

– Tak, ale przecież jest całkiem dobrze odżywiony, prawda? A nie mieliśmy żadnych informacji, że ktoś podobny do tego faceta kradnie jedzenie w sklepach, bywa w banku żywności czy też ustawia się w kolejce po darmową zupę. Trudno byłoby kogoś takiego nie zauważyć, prawda?

– Nie sądzę, żeby on sam coś nam wyjaśnił. Osobiście uważam, że facet jest straszliwie popierdolony.

– Jeżozwierz!

– Przepraszam: cierpi na zaburzenia psychiczne. A może pochodzi z innego kraju i nie rozumie ani słowa z tego, co do niego, kurwa, mówimy? Brookes też mógł mieć rację i on po prostu w ogóle nie potrafi mówić. Właściwie nic o nim nie wiemy. Przy odrobinie szczęścia złapiemy jego współnika, tego faceta w kocu, i może on coś nam powie.

Do stolika podszedł policjant.

– Sierżant Bristow powiedział, że potrzebujecie kilku silnych ludzi do koleś, którego trzymacie na dołku. Jesteśmy gotowi i czekamy.

– To nie żaden koleś, tylko pieprzony dzikus. Ilu was jest?

– Ze mną pięciu.

– Powinno wystarczyć. Musimy go unieruchomić, wrzucić pod prysznic, a potem ubrać na tyle przyzwoicie, żeby mógł wziąć udział w oficjalnym przesłuchaniu i ewentualnie w badaniu lekarskim. Mamy pewne wątpliwości, czy jest zdrowy na umyśle. Jeżeli nie, trzeba będzie umieścić go w szpitalu psychiatrycznym.

Jerry i Jeżozwierz szybko dopili herbatę i zeszli za policjantem do piwnicy, gdzie mieściły się cele dla zatrzymanych. Cztery kolejni funkcjonariusze z podwiniętymi rękawami mundurów oraz szef arestuzi już czekali.

– Nie wystraszcicie się smrodu – powiedział sierżant Miller, otwierając celę.

Mężczyzna leżał na pryczy zwrócony plecami do drzwi, tak jak poprzednio. Cztery policjanci podeszli do niego, a jeden z nich potrząsnął jego ramieniem.

– Wstawaj, stary. Czas na mycie i szczotkowanie.

Mężczyzna się nie poruszył, więc policjant potrząsnął nim ponownie. Wtedy się zerwał, złapał lewe ramię policjanta i wbił w nie zęby. Jerry był pewien, że słyszy chrzęst.

Zaatakowany wydał straszliwy skowyt i wyrwał rękę, a krew trysnęła na ścianę. Trzej pozostali policjanci natychmiast dopadli więźnia, unieruchomili mu ręce, a jeden chwycił dłonią jego zmierzwione, tłuste włosy. Rzucili go na



posadzkę, twarzą w dół, i któryś z nich docisnął mu kolanem kark. Dwaj kolejni wykręcili mu ręce na plecach i po walce trwającej dobre pół minuty zdołali założyć mu kajdanki.

Mężczyzna wierzał, rzucał się i turlał z boku na bok.

– Myślicie, że zażył wcześniej środków psychoaktywne? – zapytał sierżant Bristow. – Fencyklidynę, jakieś sole do kąpieli czy coś?

– Zachowuje się jak pieprzony wariat i jest nadpobudliwy – stwierdził Jerry. – Ale gdyby nafaszerował się fencyklidyną, od dawna byłby spokojny. Poza tym chyba nie ma podwyższonej temperatury, prawda?

– Cierpi na zaburzenia psychiczne – sprostował Jeżozwierz.

– Co?

– To nie jest „pieprzony wariat”, Jer, tylko nieszczęśliwa osoba z zaburzeniami psychicznymi.

– Och, pierdol się.

Czterej policjanci zdołali podnieść mężczyznę z posadzki. Znowu się rzucał, aż wreszcie przykucnął, przez co musieli użyć wszystkich sił, żeby utrzymać go w pionie. Po chwili zaczął tupać i próbował uderzać policjantów głową. Z wielkim trudem zdołali w końcu wywlec go z celi na korytarz.

Zaciągnęli go do łazienki. Jeden z policjantów wyciągnął z kieszeni nóż do wykładzin i rozciął mu brudną suknię, od kołnierza po sam skraj, a następnie oderwał rękawy. Kiedy zerwano ją z niego, mężczyzna zareagował jeszcze większą agresją – wył, warczał i rzucał się na ściany, mimo że policjanci desperacko starali się go uspokoić.

Spróbowali zaciągnąć go do kabiny prysznicowej ze stali nierdzewnej, on jednak padł na kolana i zgiął się wpół. Mężczyli się z nim, ale nawet kiedy podnieśli go z posadzki, nie byli w stanie wcisnąć go do kabiny. Był dla nich za ciężki i za silny. W końcu zrezygnowali i zostawili go na podłodze przed kabiną, gdzie zaległ bez ruchu.

– Do diabła, co teraz? – zapytał sierżant Miller.

– Zdaje się, że na parkingu mamy gumowe węże? – odezwał się Jerry.

– Rzeczywiście. Do mycia samochodów.

– Są zamontowane w ustronnym miejscu, o ile mi wiadomo. Zaciągnijmy go tam i potraktujmy wodą z węża.

Sierżant Bristow niechętnie pokręcił głową i powiedział:

– Jeżeli dowie się o tym inspektor Lambert, to nie był mój pomysł. W gruncie rzeczy mnie tutaj nie było, jasne?

Czterej policjanci znowu postawili aresztanta na nogi. Powoli odwrócił głowę, jak Megan w *Egzorcyciście*, i popatrzył na Jerry'ego z nienawiścią, obnażając brązowe, połamane zęby, jakby obiecywał mu, że pewnego dnia zemści się na nim za aresztowanie i poniżenie. Kiedy policjanci wlekli go w stronę tylnego wyjścia z komisariatu, jego opór jednak zmalał i chwilami mężczyzna nawet podskakiwał. Bez wątplenia nie miał pojęcia, jaki los go czeka w najbliższych minutach. A może nawet sądził, że odzyska wolność?

Jakaś policjantka otworzyła boczne drzwi na korytarz, akurat kiedy cała grupa je mijała. Popatrzyła na aresztanta z niedowierzaniem, a potem natychmiast zatrasnęła je z powrotem.

Jerry zgarnął z półki w kabynie prysznicowej butelkę z żelą do kąpieli i wyszedł na parking. Niebo było szare, a powietrze wilgotne; zanosilo się na deszcz. Policjanci postawili mężczyznę pod ścianą tuż przy kranie ze szlauchem i zaczęli się wycofywać. Aresztant sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Miał spory brzuch, ale był też muskularny, o grubych udach i wyraźnie widocznych bicepsach. Jerry zauważył na jego owłosionym ciele kilka ukośnych blizn, jakby jakiś czas temu zaatakowano go maczetą.

Jeden z policjantów rozwinął wąż i Jerry zawałał:

– Panowie, ognia!

Funkcjonariusz odkręcił kran i na aresztanta poleciał strumień wody z węża pod dużym ciśnieniem. Jerry'ego zaskoczyło, że ten w żaden sposób na to nie zareagował: stał nieruchomo, z zamkniętymi oczami i lekko uniesioną głową. Posterunkowy ostrożnie zbliżył się do niego i dał sygnał funkcjonariuszowi trzymającemu wąż, aby skierował na chwilę strumień wody w bok, ponieważ chciał spryskać ramiona i krocze aresztanta żelą do kąpieli.

Mężczyzna otworzył oczy, popatrzył przed siebie i chociaż na jego twarzy wciąż malowała się nienawiść, pojawiło się na niej także jakby zaskoczenie – coś jak zdziwienie dwulatka, który nie pojmuje, co się dzieje. Jerry nie przypominał sobie, żeby kiedyś któryś z zatrzymanych spoglądał na niego w taki sposób.

Cofnął się i policjant kontynuował polewanie. Skończył, kierując silny strumień na stopy mężczyzny. Tymczasem zaczął padać deszcz, na razie niezbyt intensywny.

– W porządku, wystarczy! – zawałał sierżant Bristow, patrząc w niebo. – Zabierzcie go do środka i ubierzcie.

Policjanci chwycili podejrzanego pod ramiona, gdy zza budynku wyszła kobieta w granatowym kostiumie i przepasce na głowie w takim samym kolorze. Zmierzała do samochodu, ale kiedy zobaczyła Jerry'ego, natychmiast się zatrzymała.

– Na miłość boską, Jerry, co się tu wyprawia?

– Wszelki duch! A ty skąd się tutaj wzięłaś? Myślałam, że pracujesz w Redbridge.

– Pracowałam. Pracuję. Właśnie oderwano mnie od śledztwa w sprawie haraczy wyłudanych od pakistańskich sklepikarzy. Zostałam skierowana do ciebie.

Detektyw sierżant Dżamila Patel uniosła ręce i osłoniła oczy w taki sposób, w jaki zasłania się je koniom wyścigowym, bo nie chciała oglądać białych pośladków mężczyzny wpychanego właśnie do budynku.

– Przepraszam za ten striptiz – powiedział Jerry. – Nasz zatrzymany strasznie śmierdział, a nie zdołaliśmy go namówić, żeby dobrowolnie wziął prysznic. Chodźmy do środka, zanim zmokniemy tak jak on. W jakiej sprawie do

mnie przyjechałaś?

– W Lambeth doszło do pewnego poważnego zdarzenia i z jakiegoś powodu inspektor Birkenhead chce, żebyśmy razem się nim zajęli.

– Poważne zdarzenie? Jakie? Raczej o niczym takim dzisiaj nie słyszałem.

– To dlatego, że zostało objęte ścisłym embargiem informacyjnym. Dotyczy to nie tylko dziennikarzy, ale wszystkich jednostek policji, które nie są z nim związane. Zrozumiesz, kiedy przedstawię ci szczegóły.

Jerry otworzył przed Dżamilą drzwi i oboje weszli do budynku. Nie widział jej od niemal roku – od ostatniej sprawy, przy której współpracowali – często jednak o niej myślał. Ponieważ miała w hierarchii policyjnej wyższy stopień, a także ze względu na ich relacje służbowe, nie mógł jej powiedzieć, jak bardzo mu się podoba. Podziwiał nie tylko jej błyskotliwość i inteligencję, ale też hipnotyzujące, duże, czekoladowe oczy – fascynowały go tak, że wpatrując się w nie, często nie słuchał, co Dżamila do niego mówi – oraz kształtne usta, które zdawały się bezustannie czekać na jego pocałunek. Oczywiście pewnie tylko mu się tak wydawało... a jeśli było inaczej, pani sierżant nigdy tego nie okazała.

Ucieszył się, że ją widzi, ale zarazem ogarnęło go podświadome, gorączkowe, niespokojne wyczekiwanie. Partnerował bowiem Dżamili tylko wtedy, gdy policja musiała się zmagać z realnym, ogromnym niebezpieczeństwem, którego inni funkcjonariusze – poza nimi – nie byli w stanie pojąć.

Kiedy Jimmy i Cathy wyszli z ławki i ruszyli nawą do głównych drzwi, podążył za nimi wielebny Canon Helmsley, który szybko ich dogonił.

– Przepraszam... przepraszam państwa... Widziałem, jak wchodziliście, ale musiałem odebrać telefon od biskupa Abango. Nie chciałbym narzekać, gdyż to niegodne chrześcijanina, ale biskup ma tendencje do głądzenia. Jak się czujecie? Mam nadzieję, że zobaczymy się w przyszłą niedzielę na kiermaszu parafialnym?

– Powoli dochodzimy do siebie – odparł Jimmy. – Chociaż trudno nam uwierzyć, że od śmierci Sama minął już rok. Zaszliśmy do kościoła, żeby odmówić modlitwę za jego duszę.

Wielebny Helmsley położył dłonie na ramionach Jimmy'ego i Cathy. Był postawnym mężczyzną po pięćdziesiątce, o rumianej twarzy, a oni ukończyli ledwie dwadzieścia cztery i dwadzieścia trzy lata. Oboje byli szczupłej budowy, wyglądali przy nim raczej na jego dzieci, a nie na dorosłych parafian.

– Zapewniam was, że mały Sam spoczywa w ramionach Jezusa. Oczywiście nie może już korzystać z życia na tym świecie, jednak gwarantuję, że jest szczęśliwy w niebiosach. Minie wiele lat, zanim znowu go ujrzycie, i rozumiem, że przeżywacie ból po jego odejściu, ale na pewno znowu się spotkacie, wierzcie mi. Sam was rozpozna i cała wasza rodzina radośnie się zjednoczy.

W oczach Cathy rozbliżyły łzy, a Jimmy wyciągnął z kieszeni wymiętą chusteczkę i podał żonie.

– Dziękujemy za te słowa, wielebny. Staramy się o kolejne dziecko, nie chcemy jednak, aby Sam pomyślał, że o nim nie pamiętamy.

– Och, doskonale was rozumie – zapewnił wielebny Helmsley. – Widzi wasz szczery żal. Wie, jak mocno go kochacie, jak za nim tęsknicie, i wie, że na zawsze pozostanie w waszej pamięci.

Jimmy i Cathy wyszli z kościoła i skierowali się na Kennington Cross. Padał rześisty deszcz i mokry trotuar lśnił odbiciami lamp ulicznych. Jimmy rozłożył parasol, po czym skręcili w Stables Way, na tyły kościoła. Kiedyś znajdowały się tam stajnie, obecnie jednak obszerna działka mieściła parking przy parafii Świętego Anzelma.

– Na co masz ochotę? Pojedziemy do Amici na pizzę? – zapytał Jimmy, kiedy podeszli do srebrnego seata.

Na parkingu stał tylko ich wóz i dziesięcioletni ford mondeo należący do wielebnego Helmsleya.

– Nie wiem. W ogóle nie jestem głodna. Wsiądźmy najpierw do samochodu.

Jimmy otworzył przed Cathy drzwi od strony pasażera. Pochyliła się, żeby wsiąść, a w tej samej chwili ktoś szarpnął Jimmy'ego od tyłu, obrócił go i rzucił na mokry asfalt. Spróbował wstać, ktoś inny jednak chwycił go za kołnierz kurtki z kapturem i zaczął odciągać od samochodu.

– Puść mnie! – krzyknął. – Do diabła, co ty wyprawiasz! Cathy!

Z trudem uniósł głowę i zobaczył, że jego żona także została powalona na ziemię i że pochylają się nad nią trzy postacie. Nie miał pojęcia, kim są napastnicy, dostrzegł jednak, że wszyscy są ubrani w grube wełniane płaszcze i mają naciągnięte kaptury.

– Cathy! – wrzasnął z całych sił. – Puśćcie ją, cholerni łajdacy! Zostawcie ją w spokoju!

W tym momencie został uderzony ciężką pałką w tył głowy i stracił przytomność.

Kiedy Jimmy otworzył oczy, widział podwójnie i jakby przez gęstą mgłę, zaczął jednak intensywnie mrugać i stopniowo odzyskał ostrość widzenia. Zorientował się, że leży w dużym, ciemnym pomieszczeniu, rozjaśnionym jedynie przez wpadające z zewnątrz światło lamp ulicznych. Podłoga wyłożona była dywanem, ale nie dostrzegł żadnych mebli, a w żyrandolu nie było ani jednej żarówki. Strużki wody ściekające po szybach okiennych wskazywały, że wciąż pada deszcz.

Z trudem usiadł i oparł się plecami o ścianę. W głowie miarowo mu pulsowało, słyszał nieustający potężny szum, a kiedy podniósł rękę i ostrożnie dotknął czaszki, wyczuł pod włosami wielkiego guza. Lekki dotyk sprawił mu tak ogromny ból, że syknął, wciągając powietrze przez zęby.

Nagle wróciły do niego w chaotycznej gmatwaninie wspomnienia ostatnich wydarzeń: jak ciągnięto go po ziemi, jak zorientował się, że zaatakowano Cathy. Zgadywał, że ktoś uderzył go w głowę, choć tego momentu w ogóle nie pamiętał.

– Cathy? – zawołał. – Cathy, jesteś tutaj?

Sięgnął do kieszeni kurtki po telefon komórkowy, ale go nie znalazł. Nie miał także portfela. Wstał, podpierając się ręką o ścianę. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Zauważył, że dywan jest brązowy, w wijące się wzorki, coś jak ślimacze muszle, a na ścianach na pewno wisały kiedyś obrazy, ponieważ pozostały po nich wyraźne prostokąty na tynku. Pomieszczenie posiadało dwoje drzwi: jedno znajdowały się blisko niego po prawej stronie, a drugie po lewej, tuż przy oknie.

– Cathy?

Otworzył drzwi po prawej i zobaczył za nimiabinę prysznicową, toaletę i umywalkę. Lustro nad nią pękło na trzy poszarpane trójkąty, nierówne było więc także odbicie jego twarzy. Była wymizerowana, miał zmierzwiöne

włosy – w tej chwili wyglądał bardziej na nieszczęśliwego ducha niż na człowieka.

Kiedy wrócił do pomieszczenia, bardzo powoli otworzyły się drzwi przy oknie. Przez długi czas nikt się w nich jednak nie pojawił.

– Kto tam? – zawołał Jimmy i przeszedł przez pokój. – Kim jesteście, do cholery, i co zrobiliście z moją żoną?

Trochę mocniej pchnięto drzwi i do środka wszedł mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat, w luźnych dżinsach i wyświechtanym zielonym swetrze. Wyglądał, jakby w przeszłości uprawiał boks, miał siwe włosy i złamany nos w kształcie litery „S”. Zaraz za nim pojawili się dwaj młodszy mężczyźni. Pierwszy miał oczy osadzone bardzo blisko siebie i skołtunione włosy do kolan, drugi miał na szyi wytatuowane węże i pochylonego Mohikanina. Ubrani byli w brudne spodnie od dresów – jeden w beżowe, a drugi w purpurowe, z szerokimi lampasami na nogawkach.

Podeszli do Jimmy’ego i stanęli przed nim półkolem. Pięćdziesięciolatek głośno chrząknął, ale żaden z przybyłych się nie odezwał.

– Gdzie moja żona? – powtórzył Jimmy. – Co jej zrobiliście? Jeżeli jakąś krzywdę... jeżeli choć ją tknęliście...

Pięćdziesięciolatek znowu odchrząknął, a młodszy chwycił Jimmy’ego pod ramiona.

– Puśćcie mnie! – wykrzyknął. – Precz z brudnymi łapskami!

Próbował się wyrwać, jednak mężczyźni byli zdecydowanie silniejsi od niego. Pięćdziesięciolatek skinął na nich i pociągnął go do drzwi.

– Czego ode mnie chcecie? Kim jesteście? Ukradliście mi już telefon i cholerny portfel! I co zrobiliście z moją żoną? Gdzie ona jest?

Mężczyźni wciąż milczeli. Wywlekli go z pomieszczenia na korytarz. Jimmy zorientował się, że na drzwiach, które mijają, znajdują się tabliczki z numerami – 323, 324, 325 – a przed kolejnymi zauważył wózek używany przez pokojówki w hotelach. Wyładowany był środkami do czyszczenia i zakurzonymi ręcznikami.

– Będziecie mieli poważne kłopoty – Jimmy ostrzegł prześladowców, ale głos mu drżał. – Jak tylko stąd wyjdziemy, wezwę policję. Nie wiem, czego od nas chcecie, ale przysięgam na Boga, że za to zapłacicie!

Zaciągnęli go na koniec korytarza i pięćdziesięciolatek otworzył ostatnie drzwi. Jimmy znowu próbował się wyswobodzić, ale mężczyzna odwrócił się i uniósł rękę, jakby chciał go uderzyć otwartą dłonią w twarz. Popatrzył na niego z taką wściekłością, że Jimmy odchylił głowę do tyłu i przestał się szarpać.

Został wrzucony do pokoju ponad dwa razy większego od tego, w którym niedawno się ocknął. Znajdowało się tutaj przynajmniej dwadzieścia osób, mężczyzn i kobiet, siedzących w półkolu na brązowym dywanie. Smród ciał ludzkich sprawiał, że z trudem dawało się tu oddychać, i Jimmy od razu poznał przyczynę tego stanu rzeczy. Wszyscy byli po prostu strasznie brudni, mieli wymazane twarze, potargane i posklejane włosy, a ubrani byli w znoszone grube płaszcze i swetry oraz poszarpane dżinsy. Niektórzy okrywali ramiona kocami. Większość miała na nogach zniszczone buty sportowe bez sznurowadeł, ale kilkoro świeciło brudnymi bosymi stopami.

Za ich plecami na ścianie gęsto porozwieszano kolorowe obrazy. Jimmy dostrzegł na nich dziwne zwierzęta podobne do wilków, o szpeciniastym futrze, a także ogromne pająki i ptaki drapieżne, z ich dziobów zwisły ociekające krwią szczury. W centrum tego chaosu dominował rysunek przedstawiający nagiego mężczyznę z głową kozła. Rozpościerał się od podłogi aż po sufit. Mężczyzna miał szeroko rozłożone ręce i sterzącego penisa, otoczonego u podstawy nie przez włosy łonowe, lecz przez koronę z cierni.

Gdy Jimmy znalazł się w pokoju, zebrani tam zaczęli uderzać pięściami w podłogę i wydobywać z gardeł dziwny, dziki skowyt przypominający wycie wystraszonych psów.

– Gdzie moja żona! – krzyknął Jimmy piskliwym głosem. – Co zrobiliście z moją żoną?

Nikt mu nie odpowiedział, nie był jednak pewien, czy ktokolwiek go zrozumiał. Ludzie w pokoju sprawiali wrażenie, jakby nie potrafili mówić. W pewnej chwili jeden z młodych mężczyzn, którzy go tutaj wtrącili, pchnął Jimmy’ego na środek i dopiero wtedy popatrzył na ścianę po lewej stronie.

Zobaczył przybitą do niej nagą Cathy, z szeroko rozłożonymi ramionami, jakby miała naśladować mężczyznę z głową kozła. Miała opuszczoną głowę, a oczy zamknięte, i Jimmy nie miał pewności, czy kobieta oddycha. Wbite w ścianę gwoździe przebijały jej dłonie, łokcie i kolana, ale Jimmy’emu serce niemal stanęło, kiedy zobaczył, że pozbawiono ją stóp. Brutalnie oderżnięto je tuż nad kostkami, ekspozując łśniące, białe kości piszczelowe i strzałkowe, oblepione postrzępionymi paskami skóry.

Zdawało się, że nogi już nie krwawią, ale w celu zebrania krwi, która z pewnością kapała wcześniej, pod jedną z nich ktoś postawił szklanekę, a pod drugą popielnicę.

– To moja żona! Moja Cathy! Co wy z nią zrobiliście, łajdacy?! Zabiję was za to! Pozabijam was!

Jimmy chciał skoczyć ku niej, jednak mężczyźni mocniej chwycili go za ramiona i powstrzymali. Zaczął walczyć z siłą, o jaką nigdy by się nie podejrzewał, napędzany bólem, wściekłością i przerażeniem. Dwaj prześladowcy pchnęli go na kolana i wykręcili mu ręce za plecami pod takim kątem, że usłyszał trzask ścięgien i kości. Z trudem oddychał i spazmatycznie łkał, ale mimo bólu uniósł głowę i wpatrywał się w Cathy przybitą do ściany niczym średniowieczna męczennica.

Zgromadzeni w pokoju powstali. Przestali wyć, choć kilka kobiet nadal dobywało z głębi gardeł skowyt, który przywołał na myśl nawoływanie o pomoc, a z kolei dwaj lub trzej mężczyźni głośno warczeli. Otoczyli Jimmy’ego, a ci najbliżej niego pochylili się i zaczęli go obwąchiwać, chrząkając z zadowoleniem, jakby zapach im się spodobał.

– Proszę – wyszeptał Jimmy. – Proszę, pozwólcie nam odejść. Pozwólcie mi zabrać Cathy do szpitala. Błagam was. Nie jestem bogaty, ale zapłacę wam, ile zechcecie. Pożyczę skądś pieniądze. Proszę. Tylko pozwólcie mi

zawieźć żonę na oddział ratunkowy.

Nawet jeśli ludzie go rozumieli, nie okazywali tego. Pięćdziesięciolatek znowu chrząknął w charakterystyczny sposób, machnął ręką i dwaj młodszy ponownie postawili Jimmy'ego na nogi. Jeden z nich mocno go trzymał, a drugi, ciągnąc za rękawy, zdjął z niego kurtkę. Jimmy był zbyt wycieńczony i obolały, żeby się opierać.

Młody rzucił kurtkę między ludzi. Złapał ją mężczyzna ubrany tylko w cienki, żółty, rozpinany sweter i brudne majtki. Natychmiast włożył kurtkę i zasunął zamek błyskawiczny, potrząsając zmierzwionymi dreadami i mrucząc do siebie z zadowoleniem. A młody człowiek rozebrał z kolei Jimmy'ego ze swetra i koszuli, po czym także te części garderoby rzucił między ludzi.

Młodzińcy pchnęli teraz Jimmy'ego na podłogę i zmusili, żeby położył się na plecach. Szybko zdjęli mu buty, rozpięli pasek i ściągnęli z niego spodnie khaki, a następnie bokserki. Kiedy był już nagi, przenieśli go pod ścianę, obok Cathy. Kiedy przycisnęli go do muru, zerknął w bok i zobaczył, że żona lekko poruszyła głową i otworzyła oczy, chociaż nie popatrzyła w jego stronę.

– Cathy – wycharczał.

Dziewczyna była jednak niemalże w stanie śpiączki, po prostu bezwładnie opuściła głowę.

Dwaj mężczyźni przycisnęli Jimmy'ego płasko do ściany i wtedy podszedł do niego ten po pięćdziesiątce. Trzymał w dłoni ciężki młotek, a z zacisniętych warg sterczały, niczym zęby potwora, stalowe, ponaddziesięciocentymetrowe gwoździe. Uniósł prawą rękę Jimmy'ego, po czym wyciągnął z ust jeden z gwoździ. Jimmy poczuł, jak ostry czubek wciska się w jego dłoń, mężczyzna zaś szybko z całej siły uderzył w gwóźdź młotkiem. Ból, który ogarnął Jimmy'ego, był tak silny, że jego kręgosłup się napiął jak rażony prądem elektrycznym.

Następnie mężczyzna przybił do ściany jego prawy łokieć, lewą dłoń, lewy łokieć oraz kolana. Kiedy gwoździe przenikały rzepki, ból był już tak przeraźliwy, że Jimmy wrzasnął jak opętany i zwymiotował grudkami niestrawionej sałatki. Wciąż jednak pozostawał przytomny.

Młodszy mężczyźni odstąpili od niego na kilka kroków, uśmiechając się z satysfakcją. Zostawili go tak unieruchomionego. Po policzkach ciekły mu łzy, a po klatce piersiowej toczyły się wymiociny. Nie potrafił uwierzyć, że to wszystko naprawdę przydarzyło się jemu i Cathy, nawet teraz nie dowierzał nieopisanemu bólowi, który go dręczył, nie zapowiadając żadnej ulgi.

A może to wszystko nie dzieje się w rzeczywistości, może to tylko koszmar, który za chwilę się skończy? Przecież niedawno wyszli z Cathy z kościoła, gdzie modlili się do Boga, żeby pomógł im przetrwać trudne chwile po stracie Sama. Gdzie był teraz Bóg? Dlaczego jeszcze nie rozbił sufitu w tym pokoju, aby uwolnić ich od gwoździ i utulić w opiekuńczych ramionach?

Do Jimmy'ego podszedł pięćdziesięciolatek i popatrzył na niego, szczerząc zęby. Jimmy próbował coś powiedzieć, ale w gardle utkwily mu resztki jedzenia i nie był w stanie wyartykułować ani słowa. Mężczyzna po chwili wzruszył ramionami i odwrócił się. Przepchnął się przez gromadę ludzi i zniknął Jimmy'emu z pola widzenia.

Po jego odejściu zebrani zaczęli przesuwać się w jego stronę, tupiąc i dziwnie posapując. Nikt go jednak nie dotknął. A Jimmy nie patrzył na nich, lecz na obraz na przeciwległej ścianie, przedstawiający mężczyznę z głową kozła. Przenikliwy ból osiągnął takie natężenie, że już nawet go nie rejestrował, a jego myśli się rwały i traciły logiczny bieg. Ta postać z głową kozła... czy to ona była kluczem do tego, co działo się z nim i Cathy? Czy w tym pokoju odbywał się właśnie jakiś obrzęd satanistyczny? Dlaczego Cathy odcięto nogi?

Zadał sobie pytanie, czy Jezus czuł taki sam ból, kiedy wisi na krzyżu. Bóg nie pospieszył mu wtedy na ratunek. Bóg ignorował jego i Cathy, kiedy tracili syna, także teraz, kiedy cierpieli piekielne męki, się nie pojawiał.

Chociaż jego i Cathy wychowano w głębokiej wierze, chociaż oboje ufali Biblii i regularnie uczestniczyli w nabożeństwach w kościele Świętego Anzelm, Jimmy pomyślał, że Bóg jednak nie istnieje.

Kiedy dotarli na Montford Place, deszcz już nie padał. Inspektor Saunders czekał na nich przed fabryką dywanów Royale z ponurą miną i ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Rozmawiał akurat z posterunkowym Jeffriesem i z jednym z techników, barczystym mężczyzną o grubej szyi i z włosami zaczesanymi w taki sposób, żeby ukryć łysinę.

Jerry nie rozpoznał go od razu. Dopiero kiedy razem z Dżamilą wysiadł z samochodu i podszedł do bramy fabryki, zdał sobie sprawę, że to Tosh Brinkley, z którym współpracował w sprawie okrutnego podwójnego zabójstwa w Colliers Wood, jakieś pięć lat wcześniej. Chodziło o śmierć starszych ludzi, których zwłoki znaleziono w ogrodowym kompoście, przydzielane jedynie w rozpinane swetry. Jerry nie mógł uwierzyć, że przez ten czas Tosh aż tak się postarzał.

– Dobry wieczór, szefie – powiedział do inspektora Saundersa. – Cześć, Tosh. Dawno cię nie widziałem.

– Proszę, proszę, kogo ja widzę? Jerry Pardoe! Też całe wieki cię nie widziałem! Ktoś mi powiedział, że obecnie zajmujesz się najpoważniejszymi sprawami.

– Wcale nie, stary. Ale rzeczywiście ostatnio przydzielano mi same dziwne przypadki. Mnie i sierżant Patel. Pani sierżant, to jest Tosh Brinkley. Przy Lambeth Road ma opinię specjalisty od zbiorowych morderstw. Im więcej trupów, tym weselej, gdyby zapytać Tosa o zdanie.

– Mamy więc do czynienia ze zbiorowym morderstwem? – zapytała Dżamila.

Saunders pokiwał głową.

– Z trzynastoma zwłokami i z czymś, co mi wygląda na jakiś podły obrządek.

– Trzyście morderstw? Żartuje pan?

– Chciałbym. Ale w trakcie przeszukiwania budynku straciliśmy również jednego z naszych detektywów. Kiedy zszedł przeszukać piwnicę, został brutalnie zaatakowany przez nieznanego sprawcę i zamordowany. Ponadto policjant, który mu towarzyszył, zaginął. Ofiarą jest posterunkowy Malik, nie wiem, czy go znaleźcie.

– Babar Malik, tak – odparł Jerry. – Przesłano go do Tooting latem ubiegłego roku i miał tu pracować tylko kilka miesięcy. Cholera jasna. Był jednym z najsympatyczniejszych ludzi na komisariacie. Wpadliście już na trop mordercy?

– Niestety. I nie mamy pojęcia, gdzie może się znajdować porwany. Najlepiej wejdźcie do środka i sami obejrzyjcie miejsce zbrodni. Będę z wami całkowicie szczerzy: po prostu nie mam słów, żeby opisać to, co się tutaj wydarzyło. To coś znacznie gorszego niż zbiorowe morderstwo. To pieprzony koszmar.

Saunders skinął na Jerry'ego i Dżamilę i ruszył po betonowych schodach w kierunku drzwi prowadzących do biura, przeszedł przez pomieszczenia biurowe, a następnie główną klatką schodową skierował się na piętro. Posterunkowy Jeffries i Tosh Brinkley zamykali krótki pochód.

– Te zabudowania już trzy lata temu przeznaczono do rozbiórki – odezwał się Saunders, kiedy wszyscy stanęli na piętrze. – Ale prace wstrzymywano z powodu braku jakiegoś zezwolenia i dopiero dzisiaj rano weszła tutaj ekipa, która miała rozpocząć demolkę.

– Co to za zapachy? – zapytała Dżamila. – Ktoś tutaj gotował?

– Niestety tak. Mam nadzieję, że nie jadłaś lunchu.

Przeszli przez halę fabryczną aż do wnęki. Strażacy zdjęli już plandeki z wózków zakupowych, a te ostygły już na tyle, że przestały dymić.

Jerry popatrzył na koce na regałach.

– Ktoś tutaj mieszkał? Dzicy lokatorzy?

– Jedynie przez ostatnie pięć lub sześć miesięcy. W każdym razie mniej więcej wtedy zauważyli ich pracownicy z biura sąsiedniej Beefeater Distillery. Poinformowali o tym władze dzielnicy, ale bezdomni nie byli uciążliwi, więc machnięto na nich ręką. Szefostwo uważa, że lepiej dla wszystkich, jak mieszkają w opuszczonej fabryce, niż gdyby mieli sypiać na ulicach. Nie ma wtedy problemów z ekspediowaniem ich do schronisk.

Kiedy zbliżyli się do wózków, Dżamila uniosła rękę do twarzy.

– Ten smród...

Czterej technicy w szeleszczących białych kombinezonach i w niebieskich nityłowych rękawicach fotografowali i pobierali próbki, wycofali się jednak, żeby Dżamila i Jerry mogli uważniej się przyjrzeć. W pierwszym wózku żebra i ramiona były już zwęglone, chociaż można było na nich dostrzec kilka szkarłatnych szczelin w miejscu popękanej skóry.

– Co my właściwie oglądamy? – zapytała Dżamila. – Rozumiem, że to mięso i kości, ale chyba nie...

– Zerknij na następny wózek, to się przekonasz – zaproponował Saunders.

Podeszli do drugiego wózka pełnego ludzkich głów.

Niemal wszystkie były wypalone do kości, na czubkach czaszek pozostało jedynie trochę kępek suchych włosów. Każda miała obnażone zęby, jakby się śmiała radośnie i szeroko, jakby oderwanie głów od tułowi i upieczenie ich na

węgłu drzewnym było jakimś wspaniałym dowcipem.

– Trzyńście – powtórzył Saunders.

– Wie pan, do kogo należały głowy? – zapytała Dżamila.

– Na razie nie. Ale medycy pobierają już materiały do badań DNA i próbujemy je dopasować do danych osób, które zaginęły.

– Jeżeli będziemy musieli, zdołamy także zrekonstruować twarze – wtrącił Tosh Brinkley.

Jerry wskazał trzeci wózek.

– A tam co jest?

– Sam zobacz. Ja nazwałbym to resztkami. Wątroby, nerki, flaki i tak dalej. Podroby po prostu.

Jerry podszedł do wózka i popatrzył na stertę wnętrzności i narządów wewnętrznych. Dostrzegł dwa płuca, częściowo spopielone, i skurczony żołądek. Dopadła go ta sama myśl jak zawsze w sytuacjach, kiedy widywał ciała zmiażdżone w wypadku samochodowym albo celowo wypatroszone: ludzie pięknie wyglądają z zewnątrz, ale pod skórą wszyscy jesteście szkaradną płataniną rurek, przewodów i oślizgłych worków wypełnionych cuchnącymi płynami. Nie ma znaczenia, czy Quasimodo, czy Kim Kardashian, wszyscy jesteście pod tym względem tacy sami.

– Co pan o tym sądzi, szefie? Mamy tu do czynienia ze zwyczajną kremacją czy też z cholerną piekielną kuchnią Gordona Ramsaya? To znaczy, czy tych ludzi upieczono, żeby ich zjeść?

– Trudno ocenić to z całą pewnością, ale kiedy zobaczysz, co się znajduje w piwnicy, zgodzisz się ze mną, że mamy do czynienia z jakimś kultem czy też sektą.

– W kącie zalega spora sterta kału – powiedział Tosh Brinkley, nawet nie próbując ukryć zadowolenia. – Zbadamy go w laboratorium. Jeżeli zetknęliśmy się z kanibalizmem, wierzcie mi, potrafimy to wykazać. Co więcej, z kału uzyskamy mnóstwo informacji o stylu życia i stanie zdrowia członków tej sekty. Dowiemy się na przykład, czy zażywali narkotyki. Zawsze twierdzę, że choćbyście nie wiadomo jak długo przesłuchiwali podejrzanego, nigdy nie dowiecie się od niego więcej, niż powie o nim próbka jego gówna.

– Chodźmy więc do tej piwnicy, dobrze? – zaproponowała Dżamila.

Swąd spalonego mięsa unoszący się nad wózkami zaczynał ją mdlić, mimo że zwykle szczyliła się odpornością na wszelkie obrzydlistwa. Brodziła już w kanałach ściekowych wśród ekskrementów i trudno byłoby jej zliczyć podejrzanych, którzy wymiotowali w gwałtownych torsjach na tylnym siedzeniu jej samochodu.

– Sprowadź ich na dół, Jeffries – powiedział Saunders, patrząc ponad ramieniem policjanta. – Właśnie przyszedł Ken Wallace z biura prasowego. Muszę poważnie z nim porozmawiać, jak przekazać dziennikarzom informację o tej masakrze.

Posterunkowy poprowadził Dżamilę i Jerry'ego w stronę schodów do piwnicy, a Tosh Brinkley ruszył za nimi. We wszystkich kątach stały już tam silne reflektory, zalewając piwnicę nienaturalnym blaskiem niczym na planie filmowym. Za długim rulonem bordowego dywanu przy zwłokach Malika pracowało trzech techników w białych kombinezonach. Jeden kłęczał i pobierał odciski stóp z podłogi wokół zwłok, korzystając z zestawu do elektrostatycznych badań oraz z płacht cienkiej, czarnej folii żelowej.

– Ostrzegam – odezwał się Jeffries. – To nie będzie miły widok.

Dżamila i Jerry obeszli dywan. Kiedy zobaczyli straszliwe efekty ataku na posterunkowego Malika, na długą chwilę odebrało im mowę.

– Jestem skłonny twierdzić, że powinniście szukać cholernego dzikiego psychopaty – powiedział jeden z techników. – Jego głos tłumila gruba maska.

– Jak sądzicie, jakim narzędziem go zaatakowano? – zapytał Jerry.

– Definitywnej odpowiedzi udzielimy, kiedy zbadamy nieszczęśnika w prosektorium, jednak moim zdaniem wgniecenia na czaszce wskazują, że sprawca posłużył się młotem do rozbijania betonu. Powierzchnia, którą się uderza, jest w tym przypadku mniej więcej taka jak powierzchnia tłuczka do kotletów, tyle że młot jest znacznie cięższy. Zwykle używa się go do ubijania kamiennych ścieżek, żeby były mniej śliskie.

– Zaatakowano go bardzo gwałtownie – powiedziała Dżamila. – Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam. Chociaż... widziałam raz, w Pakistanie. Pewna dziewczyna chciała uciec z chłopakiem, którego nie akceptował jej ojciec. Uderzył ją cepem i zrobił z jej czaszki krwawą miążęgę.

Jerry pokręcił głową.

– Nie wiem, co zrobił Malik, że ktoś się na niego aż tak wkurzył.

– A ten posterunkowy, który był razem z nim?

– Bone. Zniknął. Uważamy, że został zawleczony do tego starego tunelu. Mój kolega, Simon, sądzi, że tunel został wydrążony na potrzeby metra w czasach królowej Wiktorii, ale nigdy z niego nie korzystano. Simon ma lekkiego bzika na punkcie transportu szynowego.

Jerry popatrzył na wypatroszone zwłoki posterunkowego Malika. Nie był człowiekiem religijnym, na pewno nie katolikiem, ale w tej chwili poczuł ochotę, żeby się przeżegnać, po raz ostatni oddać honory współpracownikowi, którego spotkała tak potworna śmierć. Postanowił zapytać Dżamilę, dokąd trafiają po śmierci muzułmanie, chwila była jednak ku temu nieodpowiednia.

– A gdzie ten tunel?

– Zaraz za ścianą – odparł Jeffries. – Chodźcie, pokażę wam. Odprawiano w nim jakieś obrzędy, ale za żadne skarby świata nie jestem w stanie stwierdzić, o co w nich chodziło. Może mamy do czynienia z czcicielami diabła

albo z kimś takim?

– Chyba zaczynam rozumieć, dlaczego wezwano Dżamilę i mnie.

– Cóż, mówi się, że dobrze sobie radzicie z dziwnymi zagadkami. A w gruncie rzeczy, że jesteście świetni w te klocki. Aż dziw, że kiedy przyjechaliście, nie rozległa się muzyka z *Pogromców duchów*.

Tosh starał się żartować, Jerry jednak czuł, że tak jak wszyscy jest wstrząśnięty stanem zwłok Malika. Razem z Dżamilą ruszyli za nim w stronę dziury w ceglanej ścianie prowadzącej do tunelu. Technicy także tam porozstawiali silne lampy elektroluminescencyjne i wciąż intensywnie fotografowali miejsce obrzędu, korzystając z lamp błyskowych, dlatego można było odnieść wrażenie, że wszystko dookoła rytmicznie podskakuje.

Dżamila i Jerry weszli do tunelu i rozejrzeli się.

– No i co to jest? – zapytał posterunkowy, wskazując głową rysunek mężczyzny z głową kozła. – Wygląda trochę jak szatan, który akurat ma wolny dzień, co?

– *Kha janthonah* – wyszeptła Dżamila, jednocześnie wciągając gwałtownie powietrze.

– Co takiego?

– Wyjaśnię ci później. W każdym razie rzeczywiście wszystko wskazuje, że odprawiano tutaj jakieś obrzędy. Te wszystkie kości! Jak myślisz, ilu ludzi trzeba było zabić, żeby powstała taka sterta? Patrz, tam i tam, i jeszcze tam: siedem ludzkich łopatek, być może mamy więc do czynienia z nawet siedmioma ofiarami.

Jerry popatrzył w ciemność tunelu. Poczł słaby ruch powietrza i odniósł wrażenie, że słyszy dalekie dudnienie, najprawdopodobniej kół pociągu.

– Wiemy, dokąd ten tunel prowadzi?

– Detektyw Griffiths i czterech posterunkowi poszli w głąb. Chcą odszukać Bone'a. Jeszcze nie mam od nich wiadomości, ale krótkofalówki funkcjonują tutaj w bardzo ograniczonym zakresie. Wyruszyli jakieś piętnaście minut temu, zakładam więc, że tunel jest długi.

Jeden z techników opuścił na chwilę aparat fotograficzny i odezwał się:

– To tylko moje przypuszczenie, ale prawdopodobnie miał łączyć dworzec kolejowy Vauxhall ze stacją metra Kennington. Prawdopodobnie w końcu zdecydowano jednak, że zapotrzebowanie na transport ze wschodu na zachód nie będzie duże, i z tunelu nie korzystano.

– Ty pewnie jesteś Simon – powiedział Jerry.

– Tak.

– A zatem uważasz, że tunel prowadzi do stacji Kennington? Jeśli tak, można tędy przejść, wsiąść do pociągu i pojechać dokądkolwiek, prawda?

– Oczywiście. A w nocy, kiedy cała trakcja jest odłączana, żeby robotnicy mogli prowadzić prace naprawcze, a ekipy czyszczące sprzątać, można po prostu przejść kawał drogi trasami, którymi jeździ metro. Nie w weekendy, kiedy kursują nocne składy, ale w tygodniu świat stoi otworem przed śmiałkiem, który się tutaj zapuści.

– Rozumiem. Dziękuję.

Jerry odwrócił się i popatrzył na Dżamilę. Zauważył, że dziewczyna wciąż wpatruje się w satanistyczny rysunek na ścianie. Uniosła dłoń do ust, jakby usilnie próbowała coś sobie przypomnieć.

– Zdaje się, że facet z głową kozła dał ci do myślenia – orzekł. – Nie chciałbym być nachalny, ale powiedz, o co chodzi.

– Już mówiłam, Jerry, dowiesz się później. W gruncie rzeczy to niekoniecznie musi mieć znaczenie. Najpierw musimy sprawdzić parę rzeczy.

Wyciągnęła telefon i sfotografowała rysunek. Po chwili rzuciła:

– Patrz, wracają.

Ruchome światelko, które wyłoniło się zza załomu tunelu, z każdą chwilą było jaśniejsze, rzucając na ścianę zniekształcone, ruchome cienie przywołujące na myśl procesję duchów. Po chwili w polu widzenia pojawił się posterunkowy Williams i czterech funkcjonariusze, którzy mu towarzyszyli. Wyrazy ich twarzy dobitnie świadczyły, że przynioszą raczej ponure wiadomości.

Posterunkowy Griffiths, wysoki i chudy, o dużym nosie i gęstych brwiach, podszedł do Dżamili, Jerry'ego i Jeffriesa z miną dyrektora zakładu pogrzebowego witającego grupę żałobników.

– Nie znaleźliśmy go – oznajmił ponuro z walijskim akcentem. – Trafiliśmy jednak na pewne ślady tego, co się z nim stało. Na jego mundur. Prawdopodobnie ktoś go z niego zdarł. Niestety jest cały zakrwawiony. Zostawiliśmy go na miejscu, żeby technikom nic nie umknęło.

– Jezu – jęknął Jeffries. – A oprócz munduru żadnego śladu po Bonie?

– Absolutnie nic.

– Doszliście do końca tunelu? – zapytała Dżamila.

– Do samego. Dalej skręca na północ, a potem łączy się z północną linią metra, chociaż przejście do niej jest niemal całkowicie zasypane żużlem. Chyba można się tam precyzować, ale nie chcieliśmy ryzykować. Linia jest pod napięciem i co chwilę jeżdżą pociągi.

– Napięcie na torach to sześćset trzydzieści wolt prądu stałego – wtrącił się Simon. – A w stronę Morden jeździ z Kennington dwadzieścia pociągów na godzinę, nawet poza porą szczytu. Wtedy pociągi jeżdżą co dwie minuty.

– Jerry, musimy tam pójść i obejrzeć ten mundur – powiedziała Dżamila.



– Jeżeli pójdziecie tam oboje, ja wrócę i zdam relację Smileyowi – postanowił Jeffries. – Prawdopodobnie pośle kilku mundurowych na stacje Kennington i Oval, żeby sprawdzili, czy nie pojawili się tam nasi potencjalni mordercy. Jeżeli wleki ze sobą biednego Bone’a, wcześniej pozbawiwszy go munduru, ktoś musiał ich zauważyć, prawda?

Kiedy Jeffries odszedł, Williams odezwał się do Dżamili i Jerry’ego:

– Cholera, to wszystko przypomina jakiś krwawy koszmar. Wiecie, nad czym pracowałem dzisiaj rano? Rozpracowywałem gang, który kradnie katalizatory z samochodów na parkingu przy stacji Wimbledon. A teraz jestem w śmierzącym tunelu i oglądam ludzkie kości, truchła gołębi i rysunek diabła na ścianie. I mogę się założyć, że Bone’owi przydarzyło się coś bardzo niemiłego.

– Taka już nasza psia robota, stary – odparł Jerry. – Idziesz z nami, Tosh?

– Zawsze z tobą. – Odwrócił się do kobiety w kombinezonie technika i zapytał: – Margaret, zabierzesz się z naszą grupą, kochanie?

Dżamila i Jerry ruszyli z Williamsem oraz kilkoma policjantami w głąb tunelu. Tosh Brinkley i kobieta z jego ekipy spakowali aluminiowe walizki i do nich dołączyli.

– Jak sądzicie, z czym mamy tutaj do czynienia? – zapytał Williams.

Uniósł wyżej latarkę i oświetlił sobie twarz.

– Trudno powiedzieć – odpowiedział mu Jerry. – Ale wszystko wskazuje, że natrafiliśmy na czcicieli diabła.

– Czcicieli diabła? Według mnie to zgraja popierdolonych psychopatów. Kiedyś zetknąłem się z taką bandą w Walii, służyłem wtedy w Blackwood. Uważali się za druidów. Okropne, co oni wyrabiali. Tańczyli dookoła ognisk, spijali nawzajem swoją krew i tak dalej. Kompletni idioci.

Przeszli niemal kilometr, zanim światła wyłoniły z mroku zakrwawiony mundur leżący na tłuczniu. Co kilka minut słyszeli z daleka odgłos pociągu, a po jego przejeździe przez tunel przebiegał silniejszy podmuch powietrza.

Przystanął nad porożowanymi resztkami munduru posterunkowego Bone’a. Kamizelkę odblaskową znaczący krwawe odciski dłoni, biała koszula była w strzępach, a spodnie niemal rozerwane na pół. Buty stały pod ścianą i wystawały z nich skarpety.

– Jezu – mruknął Jerry. – Można by pomyśleć, że facet stoczył walkę z Niesamowitym Hulkiem. I przegrał.

– Cóż, niezależnie od tego, kto go napadł, pozostawił po sobie mnóstwo śladów – powiedział Tosh. – Pozyskamy odciski palców, krew, nawet zdejmujemy ślady jego butów. Margaret, rozstawisz oświetlenie? Na dobry początek musimy strzelić trochę fotek. Tymczasem Simon i Munish zajmą się śladami butów, zanim je przypadkowo pozacieramy.

Jerry przeszedł trochę dalej tunelem. Zobaczył dwie długie równoległe koleiny, a po obu ich stronach co kawałek w podłożu były duże wgłębienia. Prawdopodobnie ten, kto taszczył Bone’a, wbił obcas w glinę, żeby się nie ślizgać.

Dotarł do sterty pokruszonych cegieł i żużlu, która zamykała tunel, sięgając niemal pod strop. Tak jak poinformował posterunkowy Williams, przez szczelinę na samej górze można by się przecisnąć na drugą stronę, chociaż ktoś targający bezwładne ciało mógłby mieć z tym spore kłopoty. Przez tę lukę dostrzegał światła pędzących pociągów metra i przez nią napływały podmuchy powietrza.

Poświecił latarkę w lewo i w prawo, szukając na stercie śladów butów i krwi. U jej podnóża, tuż przy ścianie, dostrzegł coś, co wyglądało jak ludzka dłoń, jakby ktoś pochował tam człowieka, jednak nie do końca zasypał ciało.

Kiedy podszedł bliżej, zorientował się, że to sama dłoń oderwana od ciała. Z pewnością należała do mężczyzny. Została wyrwana tuż powyżej nadgarstka, a na palcu znajdowała się złota obrączka ślubna. Ktoś kilkakrotnie uderzył w nią ciężkim narzędziem, a potem po prostu ukręcił kość. Ale dłoń była także pogryziona. Na małym palcu widniały ślady po zębach, które odgryzły część mięsa. Układały się w łagodny łuk.

Jerry rozejrzał się, jednak nie zobaczył na ziemi odgryzionych skrawków. Być może ten, kto to zrobił, wcale nie wypluł mięsa, lecz przeżuł i połknął. Niespodziewanie przypomniał mu się mężczyzna w sukni i jego dziki atak na komisariacie. Oczami wyobraźni znów ujrzał scenę, kiedy ten wgryzł się gwałtownie w rękę policjanta, który próbował wyprowadzić go z celi. Poza tym te wszystkie fragmenty ludzkich ciał upieczone w hali fabrycznej w wózkach zakupowych... Czy były przeznaczone do zjedzenia?

Podeszła do niego Dżamila. W ciemnym tunelu światło latarki skrzyło się w jej oczach.

– Co tu znalazłeś?

Jerry poświecił na dłoń.

– Może należeć do posterunkowego Bone’a. Ktokolwiek go uprowadził, najwyraźniej się nie spodziewał, że zaczniemy go szukać tak szybko. Może porywacze zatrzymali się tutaj, żeby coś przekąsić.

Dżamila popatrzyła na dłoń i powoli pokręciła głową.

– W innym czasie i miejscu, Jerry, pomyślałabym, że zebrało ci się na makabryczne żarty. Ale nawet jeśli moje przypuszczenia dotyczące tej sprawy są błędne, to jestem niemal pewna, że akurat w tej kwestii się nie mylisz.

Jimmy zapadł w dziwny, koszmarny sen. Ale nawet w mrokach tego koszmaru, w którym zamazane postaci wbiegały i wybiegały przez jakieś drzwi, a potem wspinały się po schodach, wciąż czuł straszliwy ból w dłoniach, łokciach i kolanach. Miał też wrażenie, że słyszy pracę wiertła dentystycznego, bezustannie pracującego gdzieś w pobliżu.

Mniej więcej po godzinie obudziła go jakaś krzątanina i gorączkowe szepty. Otworzył oczy i zorientował się, że kobiety i mężczyźni zgromadzili się dookoła niego w półkolu i że wszyscy trzymają w rękach zapalone świeczki i latarki. Byli wyraźnie podekscytowani, a ekscytacja zdawała się nasilać odór ich ciała. W powietrzu unosił się smród potu, uryny, zaschniętej krwi i czegoś jeszcze, silny ziołowy aromat, jakby tymianku.

Mężczyzna w kurtce Jimmy'ego zaczął wyc i rytmicznie przestępować z nogi na nogę. Pozostali mężczyźni szybko do niego dołączyli. Po kilku sekundach zaczęły im akompaniować kobiety, dobywając z gardeł piskliwe, trwożliwe zawodzenie. Z każdą chwilą ludzie skowycieli coraz głośniejsze. Jednocześnie tak mocno tupali, że drżała podłoga.

Niemal głuchy z powodu ośpienia i bólu Jimmy odwrócił głowę, żeby popatrzeć na Cathy przybitą do ściany obok niego. Jej głowa wciąż zwisała bezwładnie i kobieta miała zamknięte oczy. Jimmy nie wiedział, czy jeszcze żyje. Właściwie śmierć byłaby dla niej błogosławieństwem. Nawet jeśli Bóg nie istniał – nawet jeśli nie było słonecznych niebios, gdzie mogłaby znowu przytulić Sama, a śmierć była po prostu wiecznym snem – w tej chwili wszystko było dla niej lepsze od niekończącej się agonii. Nieszczęsna została okaleczona, a otaczały ją zawodzące stwory.

Jimmy przeniósł spojrzenie na zgromadzonych, po kolei zaglądał w ich twarze, próbując nawiązać z nimi jakieś porozumienie, starając się wzbudzić chociaż okrucieństwo współczucia, nie doczekał się jednak żadnej reakcji. Patrzyli na niego szklistymi oczami, wyli, tupali, obnażali zęby i lubieżnie wyciągali języki. Odrobinę przypominało to maoryski taniec wojenny *haka*, wykonywany przed każdym meczem przez reprezentację Nowej Zelandii w rugby.

Jednak inaczej niż w przypadku rugbistów tańczących *haka*, zachowanie tych ludzi nie mogło być prowokacją ani wyzwaniem, bo przecież Jimmy i Cathy byli całkowicie bezbronni i nie mogli z nimi walczyć. Widział także, że wyciągając języki, ludzie udają, że gryzą sobie palce. Ogarnęło go nagle straszliwe podejrzenie, które sprawiło, że zdrzął, i chociaż był przybity gwoździem, niemal oderwał prawą rękę od ściany. Czy to możliwe, że oni są głodni?

Wyli i tupali przez kolejne kilka minut. Jimmy zobaczył, że część ludzi się ślini, mężczyźni mieli brody wilgotne od śliny, jednak nie zbliżali się do niego. Wreszcie, niespodziewanie, jeden z nich wydobył z gardła dziwaczny okrzyk, jakby *ooo-aaa-jee*, a pozostali natychmiast przestali tupać i zamilkli. Do pokoju wszedł pięćdziesięcioletek ze złamanym nosem i stanął przy drzwiach z postrzępionym szalem przerzuconym przez ramiona, przypominającym talit nakładany przez żydów podczas modlitwy. W ręce trzymał starą, plastikową torbę na zakupy. Nie odezwał się, ale unióśł wolną rękę, wszyscy zaś na ten gest z szuraniem cofnęli się pod ścianę z namalowaną postacią mężczyzny z głową kozła, aby zrobić mu miejsce. Płomyki świec zakołysały się, jakby coś zbliżało się z korytarza, wywołując lekkie podmuch powietrza.

Pięćdziesięcioletek cofnął się i szerzej otworzył drzwi. Stała w nich kobieta, dorównująca mu wzrostem i bardzo otyła. Na głowie miała szarą, zrobioną na drutach kominiarkę i dwa kapelusze włożone jeden na drugi – fedorę o szerokim rondzie oraz czarny damski kapelusz. Na kilka warstw ubrań narzuciła purpurowy pled z frędzlami związany pod szyją. Spod pledu wystawał brązowy, sięgający kolan płaszcz. Był rozpięty ukazując marynarkę w jodełkę i brudny biały golf pod spodem. Potężny, obwisły brzuch sprawiał wrażenie, jakby pod swetrem kobieta nosiła martwe jagnię. Sztruksowa, musztardowa spódnica była brudna, poplamiona i postrzępiona u dołu, a obcasy zniszczonych butów zdarte.

Miała twarz w kształcie księżycy, gęste rzęsy, zadarty nos, pieprzyk na policzku i wargi koloru truskawek. Nosiła mocny makijaż, miała poczemione brwi i róż na policzkach. Wyglądała jak wielka matroszka.

Powoli przeszła na środek pokoju, a wtedy zebrani wyżej unieśli świece i zaczęli buceć. Zignorowała ich, ruszyła w stronę wizerunku na ścianie, a oni rozstąpili się, żeby ją przepuścić. Wyciągnęła rękę i przycisnęła dłoń do sterzącego penisa oddanego w naturalnych rozmiarach. Zamknęła oczy i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby czerpała z niego siły. Następnie odwróciła się i skinęła na pięćdziesięcioletka. Z głębi gardła dobiegła głośny, świrdujący pisk, bardziej przypominający skomlenie skrzywdzonego pieska niż głos kobiety.

Mężczyzna sięgnął do plastikowej torby i wyciągnął z niej podłużny przedmiot, jakby mały, brązowy but. Zaczął nim machać i minęło kilka sekund, zanim Jimmy zdołał skupić na nim spojrzenie i zorientować się, że to odcięta ludzka stopa. Skóra była popękana i pokryta bąblami, palce lekko podkurczone, jakby je wcześniej smażyono.

Wręczył stopę kobiecie, a ona podeszła do ściany, do której przybito Jimmy'ego i Cathy. Popatrzyła na niego łagodnie, niemal z czułością, i nawet się uśmiechnęła.

– Dlaczego to robicie? – wyszeptał Jimmy.

Kobieta wciąż uśmiechała się w milczeniu.

– Czemu nas nie uwolnicie? Macie pojęcie, jaki ból nam sprawiacie?

Kobieta zakaszlała, usta miała jednak mocno zacisnięte, dlatego zabrzmiało to, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że jego cierpienie zupełnie nie robi na niej wrażenia.

– Proszę... Muszę zabrać żonę do szpitala. Proszę. Błagam panią.

Nawet jeśli go zrozumiała, nie dała tego po sobie poznać. Wciąż z uśmiechem na ustach uniosła wyżej stopę i przytrzymała ją w odległości kilku centymetrów od twarzy Jimmy'ego. Wtedy zobaczył, że paznokcie u stopy są pomalowane na jasnoniebiesko, a lakier popękał i w wielu miejscach odpadł, jakby w trakcie grillowania lub innego rodzaju obróbki termicznej. Była to jedna ze stóp Cathy.

Przesadnym, teatralnym ruchem kobieta powoli zakręciła stopą, po czym podniosła ją do ust i wgryzła się w nią. Gdy tylko wyrwała mięso i zaczęła przeżuwać, ludzie wokół niej ponownie zaskowycieli. Wśród głośnych zawodzeń i okrzyków znów zaczęli tupać, wykrzykując coś, co brzmiało jak: „Hed-dah! Hed-dah!”.

Jimmy nie był w stanie znieść widoku kobiety ogryzającej stopę Cathy i na moment mocno zacisnął powieki. Lecz wkrótce poczuł, że ktoś drażni jego nagi brzuch, a kiedy otworzył oczy, zobaczył, że kobieta przesuwa po nim palcami Cathy, chcąc przyciągnąć jego uwagę.

Zmusił się do patrzenia, jak kobieta odrywa zębami skórę i mięśnie od kości. Przeżuwając, wpatrywała się w Jimmy'ego, nie mrugając. W pewnej chwili wypluła jasnoniebieski paznokieć i w końcu wzniosła ogryzioną stopę niczym trofeum wysoko nad głowę.

– Hed-dah! Hed-dah! – zawadzili pozostali.

Kobieta posłała Jimmy'emu ostatni, enigmatyczny uśmiech, odwróciła się i podeszła do namalowanej postaci. Z pewnym wysiłkiem klękła przed wizerunkiem na jedno kolano i z nabożeństwem położyła pod ścianą stopę Cathy. Ludzie znów zaczęli buzczeć. Pięćdziesięciolatek ujął ją pod łokieć i pomógł jej wstać.

Kobieta zaklaskała i zgromadzeni ostrożnie ustawili zapalone świece wzdłuż ściany, tak że oświetlały ich twarze od dołu, przez co wyglądały jak halloweenowe maski. Znowu zebrali się wokół Jimmy'ego i Cathy, tym razem wszyscy szeroko uśmiechnięci, jakby właśnie otrzymali od kobiety zgodę na zaspokojenie głodu.

Trzej mężczyźni wyciągnęli spod kurtek noże do krojenia mięsa. Jeden z nich podszedł do Jimmy'ego i nacisnął ostrzem noża jego pierś. Był nieogolony, spocone czoło miał przewiązane chustą, brakowało mu dwóch przednich zębów. Jimmy popatrzył mu w oczy, starając się zrozumieć, o czym on w tej chwili myśli, odniósł jednak wrażenie, że patrzy w ślepią zwierzęcia. Bez wątplenia kierowały nim jakieś emocje, ale nie sposób było je rozszyfrować.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Jimmy. – Zabić mnie?

Mężczyzna przysunął twarz tak blisko, że Jimmy poczuł jego cuchnący oddech.

– Chyba nie chcesz mnie zamordować?

Tamten parsknął dziwnym śmiechem, lecz nie odpowiedział. Uniósł nóż trochę wyżej i Jimmy poczuł ból, ostry i zimny jak lód, tuż pod mostkiem, sunący powoli w dół, ku genitaliom. Zamknął oczy z nadzieją, że po prostu śpi i wszystko, co się dzieje, to jedynie koszmarny sen. W pewnej chwili poczuł jednak, że wypadają z niego wnętrzności – podobnego doznania doświadczył kiedyś na rollercoasterze, kiedy kolejka rozpoczęła zjazd z najwyższego punktu.

Otworzył oczy i popatrzył na swoje ciało. Mężczyzna rozpruł mu brzuch, tak że wszystkie jelita wypłynęły z niego i zwisały teraz krwawymi girlandami pomiędzy udami. Ogarnął go taki szok, że patrzył na to raczej z niedowierzaniem i fascynacją niż z przerażeniem, rozumiał jednak – i przyjmował to, co nieuchronne, z obojętnością przypadkowego obserwatora – że wkrótce umrze. Odwrócił głowę w stronę Cathy, chcąc po raz ostatni powiedzieć, że ją kocha.

Ale było już za późno. Nawet jeśli dożyła tej chwili, już nie mogłaby go usłyszeć, ponieważ wygłodniała dzicz natarła na nią z nożami, nie tylko wypruwając z niej wnętrzności, ale też odrywając żebra od kręgosłupa i wykrawając z ud grube płaty mięsa.

Stopniowo tracił poczucie rzeczywistości, lecz nim ogarnął go kompletny mrok, zdołał jeszcze ujrzeć, jak któraś z kobiet chwytła Cathy za włosy i zaczyna odpiłowywać jej głowę.

Umarł, nie zdążywszy zobaczyć, jak kobieta wrzuca głowę do hotelowego wózka na brudną bieliznę, który młody człowiek razem z Mohikaninem wtoczyli do pokoju. Głowa znalazła się na stercie z jej własnych jelit, wątroby i mięsa z bioder. Później spadły na nią także jego wnętrzności, żebra, a w końcu i głowa. Z Cathy i Jimmy'ego pozostały tylko obnażone kręgosłupy, wciąż przybite do ściany, miednicę oraz kości nóg ze strzępami skóry i mięsa. Nie naruszone były tylko ich ramiona, szeroko rozpostarte, jakby oddawali część mężczyźnie o głowie kozła namalowanemu na przeciwległej ścianie.

Jerry odgryzał właśnie kęs kiełbasy i chleba na zakwasie, kiedy Dżamila powiedziała:

– Wciąż nie jestem pewna.

– Słucham? – Zakrył usta dłonią, nie chcąc jej opluć. – Czego nie jesteś pewna?

– Ten rysunek na ścianie tunelu... mężczyzna z głową kozła. Wiesz, że kozły w różnych postaciach występują niemal w każdej religii? W niektórych reprezentują dobro i czystość, a w innych największe zło. W Biblii Jezus oddzielił owce od kozłów, zgadza się? Owce otrzymały błogosławieństwo, a kozły zostały przeklęte. Nawet w czasach współczesnych kozły kojarzymy ze złem, prawda?

– Nic na ten temat nie wiem, pani sierżant. Nie znam osobiście żadnej owcy ani kozła, trudno jest mi więc wyrobić sobie opinię.

Siedzieli pod ceglana ścianą w Mud, australijskiej kawiarni przy Mitcham Road, znajdującej się w odległości dwóch minut spacerem od komisariatu w Tooting. Jerry był okropnie głodny. Kiedy poprzedniego wieczoru wrócił z Kennington do pustego mieszkania, zjadł jedynie zupę błyskawiczną z kluskami, zresztą bez apetytu, ponieważ wciąż miał przed oczami zmasakrowane zwłoki Babara Malika i odciętą, nadgryzioną dłoń posterunkowego Bone'a.

Zamówił w Mud „specjał z leśnymi grzybami”, na który składały się dwie pajdy chleba na zakwasie z dwoma jajkami w koszulkach, grillowana kiełbasa, dżem z czerwonej cebuli oraz sterta grzybów w sosie pesto. Dżamila wzięła jedynie kubek herbaty cytrynowej.

– Ten rysunek mężczyzny z głową kozła wywarł na mnie ogromne wrażenie, ponieważ moja ciocia w Peszawarze miała w holu swojego domu przy Warsak Road niemal identyczny obrazek.

– Żartujesz.

– Nie. Był mały, mroczny, ponury i jakby ciągle brudny, z ledwie widocznymi szczegółami. Ale kiedy byłam młoda i przychodziłam do niej w odwiedzin, zawsze wpatrywałam się w niego z fascynacją, tym bardziej że mężczyzna miał *ghiin*. To znaczy siusiaka.

– Ale dlaczego ciocia trzymała coś takiego na ścianie? Tylko mi nie mów, że była skrytą czcicielką szatana.

– Zawsze bałam się ją o to zapytać, ale kiedy miałam dwanaście czy trzynaście lat i spędzałam u niej weekend, przylapała mnie, jak wpatrywałam się w tę postać. Tego wieczoru wyjaśniła mi, kto to jest i dlaczego się tu znajduje.

Jerry, nabrawszy na widelec kolejną porcję grzybów, zachęcił Dżamilę:

– Mów dalej.

– Powiedziała mi, że jest to wizerunek Balai, jednego z bogów Pragaty. W religii Kalaszy istnieją dwie sfery: Onjeszta, czysta sfera dobra, i Pragata, nieczysta sfera zła. Balaa znaczy tyle co „potwór”, to jeden z najpotężniejszych bogów Pragaty. Czasami nazywa się go „Bogiem Cienia”, ponieważ zamieszkuje ciemność sprzed narodzin człowieka oraz ciemność powstała po jego śmierci. Jest znany ze swojej mocy chronienia złych ludzi przed wymiarem sprawiedliwości. Gdybyś był mordercą albo złodziejem, Balaa zadbałby, aby każdy świadek twojego przestępstwa stracił pamięć albo uległ śmiertelnemu wypadkowi, tak żeby nie mógł świadczyć przeciwko tobie.

– Dobrze, że nie miał nic wspólnego z tłumem w Merton Abbey. Gdyby nie naoczni świadkowie tamtej strzelaniny, nigdy byśmy nie przyskrzynili morderców.

– Ciocia wyznała mi, że mniej więcej dziesięć lat wcześniej jej najstarszy syn, Ghazan, wdał się w szkole w bójkę z innym chłopakiem, który był po prostu łobuzem znęcającym się nad słabszymi dziećmi. Ale Ghazan w trakcie szamotaniny dźgnął go nożem i chłopak umarł. Na boisku przebywało wtedy przynajmniej dwadzieścioro dzieci, z których część nie lubiła Ghazana, były więc gotowe przed sądem zeznać, że zabił kolegę.

– Tylko mi nie mów, że ciocia nawiązała kontakt z Balaa.

Dżamila pokiwała głową.

– Modliła się do niego, błagając, żeby wszystkie dzieci, które widziały, jak Ghazan zabija łobuza, całkowicie o tym zapomnieli. Wiedziała jednak, że za przychyłość Balai będzie musiała zapłacić wysoką cenę.

– Z tego, co czytałam, w Pakistanie morderstwo może zabójcy ująć płazem, jeżeli rodzina ofiary przed sądem mu wybaczy, prawda? Co w realnym życiu oznacza wielką łapówkę. Pięćset funtów. Ile to jest w rupiach? W Pakistanie chyba mają tę walutę?

– Tak. Pięćset funtów? To będzie jakieś sto pięć tysięcy rupii. Ale rodzina chłopaka, którego zabił Ghazan, nie zamierzała mu wybaczyć, a już na pewno nie za pieniądze. Ciocia musiała zapłacić Balai, ale nie gotówką. A że opowiedziała mi o tym wszystkim, ogromnie wstrząsnęło mną to, co zobaczyliśmy w starej fabryce dywanów i w tunelu.

– Mnie także nie uradowały te widoki.

– Zanim Balaa rozważy, czy komuś pomóc, wymaga od tej osoby, aby zjadła ludzkie mięso, na dowód oddania dla niego. Żąda także, aby pozostała mu wierna do końca życia i codziennie modliła się do jego wizerunku. Dlatego ciocia powiesiła w holu ten obraz.

– Chyba nie sądzisz, że jadła ludzkie mięso?

– Powiedziała mi tylko, że córka jej sąsiadki urodziła martwe dziecko.

Jerry miał właśnie wsunąć do ust kolejny kęs grzybów, ale zamarł z widelcem w połowie drogi.

– Żartujesz? Zjadła dziecko sąsiadki?

– Kiedy w rozmowie dotarła do tego momentu, rozpląkała się i nie była w stanie powiedzieć już ani słowa. Ale tak to zrozumiałam. Rzecz polega jednak na tym, że wszyscy członkowie kultu, z którym się wczoraj zetknęliśmy, kimkolwiek by byli, postępują tak samo. Jedzą ludzkie mięso i modlą się do mężczyzny o głowie kozła, wyglądającego jak Balaa.

– Kogo więc twoim zdaniem poszukujemy? Zgrai Pakistańczyków? Przepraszam... ludzi o pakistańskich korzeniach?

– Nie mam pojęcia, Jerry. To podobieństwo pomiędzy rysunkiem na ścianie tunelu a obrazem w holu mojej ciotki może w gruncie rzeczy nic nie znaczyć. Na rysunki demonów z głową kozła można natrafić w wielu kulturach.

– To od czego zaczniemy?

– Musimy popytać wśród ludzi pochodzących z Pakistanu i z Bangladeszu, może ktoś słyszał o tym kulcie. Może coś do kogoś dotarło, ale zostało zlekceważone jako plotka, a dla nas może stanowić trop. Odwiedzę mojego przyjaciela, Chaksana Varmę, w świątyni Muththumari Amman przy Upper Tooting Road, może złożę także wizytę w świątyni Shree Ghanapathy w Wimbledonie.

– Dobrze. Kiedy ty będziesz wizytować świątynie, ja wpadnę do kilku indyjskich restauracji przy Broadwayu i dowiem się, czy wiedzą tam coś o ludziach jedzących coś poza bhuną z jagnięciny.

– W porządku – zgodziła się Dżamila i niespodziewanie się uśmiechnęła. – Później sprawdzę twój oddech. Wiem, że uwielbiasz curry.

Jerry skończył swoje danie i wrócił na komisariat. Przy portierni czekał już na nich Tosh Brinkley z Simonem, specjalistą od pociągów.

– Długo tutaj tkwicie? – zapytała ich Dżamila. – Chyba umówiliśmy się na dziewiątą trzydzieści?

– Nie, przyjechaliśmy przed pięcioma minutami. Ruch jest nieduży, nie wiadomo dlaczego. Jakby zbliżał się koniec świata.

Udali się na górę do gabinetu, który Jerry dzielił z Jeżozwierzem; był pusty, bo Jeżozwierz akurat zeznawał w sądzie. Tosh postawił na biurku Jerry'ego swój laptop i go uruchomił.

– Minie przynajmniej tydzień, zanim zdołamy zbadać wszystkie szczątki ludzkie z fabryki Royale. Pomyślałem jednak, że przyda się wam jakiś wstępny raport, żebyście mogli wyrobić sobie trochę jaśniejszy pogląd, z jakim rodzajem przestępstwa mamy do czynienia. A Simon trochę pomyszkował w tunelu i ma pewne przypuszczenia, dokąd mógł zostać zawleczony posterunkowy Bone.

– Tak, to może nam bardzo pomóc – powiedziała Dżamila. – Inspektor Saunders wysłał ludzi na stację metra Kennington i na Oval. Jeżeli posterunkowego Bone'a wyniesiono z podziemnych tuneli, musiał się znajdować chociaż przez chwilę na jednej z tych stacji, ale nigdzie nie ma po nim śladu, nikt też go nie widział. Kolejna ekipa sprawdzała w nocy tory, kiedy trakcję odłączono. Ściągnęli nawet przewodników z psami. I też bez efektu. Powtórzą nocne poszukiwania, żeby się upewnić, że niczego nie przeoczyli.

Simon niecierpliwie zacierał ręce. Było jasne, że nie może się doczekać, kiedy zostanie wreszcie dopuszczony do głosu.

– Jeszcze nie skończyłem mojej kwerendy, ale wiecie co? Odkryłem, że w 1893 roku drążono jeszcze jeden tunel, po wschodniej stronie Linii Północnej. Najwyraźniej Kennington miała zostać połączona z Peckham, ale prace wstrzymano gdzieś pod Walworth, jeśli dobrze zrozumiałem.

– A dlaczego je wstrzymano? – zapytała Dżamila.

– Prawdopodobnie ktoś doszedł do wniosku, że koszty byłyby zbyt wysokie w stosunku do zapotrzebowania, jakiego spodziewano się na tej trasie. Oprócz tego ruch pociągów w tym tunelu powodowałby zapadanie się gruntu, a w konsekwencji zniszczenia domów, co pociągałoby za sobą konieczność wypłacania ogromnych odszkodowań.

– Ale nasi policjanci nie dotarli do tego tunelu?

– Nie. Przypuszczam, że kiedy zrezygnowano z jego drążenia, odcięto go jakimś murem, ale wejście do niego pewnie istnieje, tak jak do tunelu pod fabryką dywanów.

– Jeżeli nie został całkowicie zasypany, powinniśmy bez trudu go odnaleźć – zauważył Jerry. – Możemy użyć skanerów laserowych, jak wtedy, kiedy schodziliśmy do kanałów ściekowych. A przy odrobinie szczęścia nie doświadczyliśmy takiego smrodu.

– Dobrze, a teraz popatrzcie na to – powiedział Tosh.

Odwrócił ekran laptopa w taki sposób, aby Dżamila i Jerry go widzieli. Najpierw pokazał im fotografie kości znalezionych w tunelu pod rysunkiem mężczyzny o głowie kozła.

– To kości ludzkie, a ich uszkodzenia wskazują, że oddzielano je, korzystając z różnych noży i maczet. Większość kości można powiązać z fragmentami ciał, które grillowano w wózkach zakupowych. Do tej pory ustaliliśmy, że łącznie mamy do czynienia z czterestoma ofiarami, chociaż wciąż nam brakuje jednej głowy.

– Oczywiście to, że ciała potraktowano ogniem, wcale nie musi przesądzać o tym, że sprawcy zamierzali je zjeść.

– Dlaczego więc je kawałkowano? – zapytał Jerry. – Można było po prostu rzucić je na stertę, polać benzyną i spalić na popiół.

– Właśnie. – Tosh pokiwał głową. – Ale według mnie, kiedy porządnie zbadamy te kości, będziemy mogli stwierdzić z niemal absolutną pewnością, że sprawcy jednak wykazywali tendencje kanibalistyczne. Prawie na każdej kości

pozostały skrawki mięsa, w szczególności na przedramionach i dolnej części nóg, a także na miednicach i kręgosłupach. Wyraźnie widoczne są na nich ślady zębów, i to ludzkich, a nie zwierzęcych. Wygląda na to, że sprawcy zarzynali ofiary, a potem ogryzali z kości mięso, którego nie dali rady odciąć ostrymi narzędziami.

Dżamila popatrzyła na Jerry'ego i odezwała się:

– Tak samo jak w przypadku wyznawców Balai. Ale jakim trzeba być potworem, żeby robić coś takiego w imię jakiegokolwiek boga?

– Nie powiem ci. Myślę, że tak daleko nie sięga nawet wyobraźnia sir Alexa Fergusona.

– Sir Alexa Fergusona? To on jest twoim bogiem?

– Fergie? Facet zdobył w życiu więcej pucharów niż jakikolwiek inny piłkarz i trener. Pięciokrotnie zwyciężył w Pucharze Anglii. Trzyście razy wygrał Premier League. Oczywiście, że jest moim bogiem.

Wiatr stopniowo rozpraszał chmury, a kiedy przyjechali do South London Scout Centre, na niebie pokazało się słabe, czerwone słońce.

– Proszę. – Elizabeth otworzyła bagażnik seata, aby Edward i John mogli wyciągnąć swoje śpiwory i plecaki. – Chyba jednak nie będzie padać. Powinniście dobrze się bawić.

Duncan Wallace, przyboczny w drużynie skautów, zbliżał się do nich szybkimi krokami po mokrej trawie. Wymachiwał przy tym rękami, po czym wykrzyczał radosne: „Cześć!”. Był wzrostu Elizabeth, policzki miał czerwone jak jabłka odmiany braeburn, a włosy zaczesane do tyłu i elegancko ułożone na żel marki Brylcreem. Ubrany był w zielononiebieską bluzę mundurową z krótkim rękawem, przyozdobioną najróżniejszymi odznakami, oraz w granatowe spodni i mógłby z powodzeniem rywalizować w konkursie na najbardziej kościste kolana.

– Wspaniale was widzieć, chłopcy – powiedział do braci Willow. – Zabierzcie bagaże do Sunley Building. Tam Peter wyda wam matę wodoodporną i namiot, a następnie pokaże, gdzie możecie go rozbić.

– Dziękuję – odparł Edward nieśmiało.

Miał dziesięć lat, a jego brat John zaledwie osiem. Obaj byli bladzi i przy kości, ale John był trochę pulchniejszy i miał mocniej kręcone włosy. Wyglądali jak cherubinki z obrazu Rafaela – choć nie mieli skrzydeł – i ubrani byli w mundurki skautowskie, a na szyjach mieli przewiązane pasiaste chusty.

– Hej, zawiąż to jak należy. – Duncan Wallace z miłym uśmiechem poprawił chustę Johna. – A teraz odmaszerować.

Przez chwilę obserwował chłopców oddalających się w stronę głównego budynku ośrodka skautowskiego, po czym odezwał się do Elizabeth:

– Jak się sprawują?

– Są dzielni – odpowiedziała.

Była drobną kobietą o ciemnych włosach, całkiem ładną, według angielskich standardów urody. Nie robiła jednak makijażu, miała niewydepilowane brwi, a prosta, czarna sukienka w groszki dodawała jej lat; była trzydziestosiedmiolatka, a wyglądała na znacznie starszą.

– Mam nadzieję, że przez najbliższe kilka dni nie będą myśleć o ponurych sprawach – kontynuował Duncan. – Będą naprawdę bardzo zapracowani... Zbiją z desek półkę na buty, nauczą się rozpalać ognisko i gotować. Wezmą też udział w zajęciach z astronomii, jeżeli tylko niebo nie będzie zachmurzone.

– Edward wydaje się bardziej przygnębiony niż John – powiedziała Elizabeth. – Źle sypia i nakryłam go nawet, jak nacinał sobie rękę scyzorykiem. Będę wdzięczna, jeżeli zwróci pan na niego trochę większą uwagę.

– Oczywiście. To rozumiałe, że chłopiec jest rozstrojony. To wciąż świeża sprawa, prawda?

– Siedem tygodni. A dokładniej siedem tygodni i dwa dni.

Wallace wyciągnął rękę, jakby chciał uspokajająco poklepać Elizabeth po ramieniu, powstrzymał się jednak i zaraz ją opuścił.

– Ma pan mój numer, prawda? – zapytała Elizabeth. – Tak na wszelki wypadek.

– Tak, tak. Oczywiście, że mam. A pani... zaplanowała coś dla siebie na czas, który chłopcy spędzą na obozie? Chyba trochę pani odpocznie?

Elizabeth popatrzyła uważnie na przybocznego.

– Jeżeli chce pan poznać prawdę, to będę mogła teraz w spokoju trochę popłakać. Niczego bardziej nie potrzebuję.

Z pomocą starszego skauta Edward i John rozbili okrągły, niebieski namiot z boku głównego placu. Stanął pod jaworami, które otaczały plac, jako ostatni w rzędzie dwunastu namiotów należących do 34. Drużyny Skautowskiej Camberwell.

– Mam na imię Jaydon – przedstawił się skaut. Był czarnoskóry, wysoki, chudy i bardzo poważny. Na nadgarstku nosił kilka plecionych bransoletek, jakie otrzymuje się zazwyczaj w dowód przyjaźni. – Jeżeli czegoś będziecie potrzebowali albo czegoś nie będziecie wiedzieli, idźcie do budynku Ismay i pytajcie o mnie. Rozpoczynamy o szóstej od krótkiej zbiórki i wspólnego śpiewania przy ognisku. Potem będzie barbecue z pieczonymi kurczakami, burgerami i innymi przysmakami. Chyba nie jesteście wegetarianami, co?

Edward i John pokręcili głowami.

– To wasz pierwszy obóz? Zresztą nieważne, bo szczerze mówiąc, tutaj o nic nie musicie się martwić. Pytam tylko dlatego, że wyglądacie na trochę zdezorientowanych. Mamy tutaj porządne toalety, prysznic i w ogóle. Dopilnuję, żebyście doskonale się bawili.

– Dzięki. I wcale nie jesteśmy zdezorientowani – odpowiedział Edward.

Kiedy Jaydon sobie poszedł, Edward i John rozwinęły śpiwory i wyjęły z plecaków piżamy.

– Myślisz, że tato by nie chciał, żebyśmy jechali na ten obóz? – zapytał John.

– A dlaczego miałby być temu przeciwny?

– Powinniśmy opiekować się mamą, prawda? A nie jeździć nie wiadomo gdzie i dobrze się bawić.  
– A on może się na coś nie zgadzać? Przecież nie żyje.  
– Tak, ale gdyby żył?  
– Gdyby żył, to on opiekowałby się mamą. A poza tym to właśnie mama chciała, żebyśmy wyjechali. Mówiła, że dobrze nam zrobi, jeżeli zajmiemy się czymś normalnym.

John przez długą chwilę milczał, a potem rzucił pytanie, którego nigdy dotąd nie ośmielił się wypowiedzieć na głos, ponieważ bał się, że usłyszy go matka albo że zadawszy je, nie potrafi się powstrzymać od płaczu.

– Jak myślisz, czy to bolało?

– Co? Kiedy rozbił się samochód?

– Kiedy się zapalił, a tato nie mógł z niego wyjść.

– Nie wiem. Myślę, że był już nieprzytomny i niczego nie czuł.

Siedzieli w ciszy z podkurczonymi nogami, kiedy niespodziewanie pod ich namiotem stanął Duncan Wallace.

– Halo, panowie Willow! Gotowi do zabawy? Właśnie rozpoczynamy turniej piłkarski siedmioosobowych drużyn i przydałyby się nam dodatkowe dwie pary nóg. Do dzieła, moi drodzy!

Edward popatrzył na Johna, a John na Edwarda. Obaj mieli łzy w oczach. Starszy brat otarł je rękawem bluzy i na ugiętych nogach wyszedł z namiotu. Odwrócił się i powiedział:

– Chodź, John. Przecież nie możemy smuć się do końca życia.

Chłopiec wstał i obaj pobiegli za Duncanem tam, gdzie wytyczono boisko piłkarskie i gdzie kilkunastu skautów kopało już piłkę. Rozbrzmiewały tam głośne krzyki i gwizdy.

O szóstej wieczorem było już ciemno. Edward i John, ubrani w czarne puchowe kurtki, razem z innymi skautami siedzieli na drewnianych ławkach rozstawionych dookoła ogniska. Wieczór był chłodny, ale ogień – rozpalony za pomocą bukowych gałęzi – palił się mocno dzięki około dziesięciu kłodom dębowym i dawał miłe ciepło, ogrzewając twarze chłopców.

Rozpoczęli powszechnie znanymi przyśpiewkami, które wywoływały salwy śmiechu. Wszyscy dobrze się bawili, śpiewając *Pozdrowienia od kretyna*, *Bieliznę z falbankami* albo *Wielkie, zielone kupy*.

– „Wielkie, wielkie zielone kupy z tustej, brudnej Goferowej...!” – śpiewali ze wszystkich sił. – „Pociachane małpie ochłapy i upaprane ptasie łapy!”

Przy trzeciej powtórcie Edward i John krzyczeli już razem z innymi, nie oszczędzając strun głosowych, tupiąc w ziemię i śmiejąc się radośnie z roziskrzonymi oczami.

– „Orle oczy i wielbłądzie gluty! To wszystko zmieszaliśmy w garnku! Zgubiłem łyżkę, więc dostałem słomkę!” – śpiewali, a potem, podobnie jak inni, wydawali odgłos siorbania.

Skończywszy śpiewy, chłopcy stłoczyli się przy barbecue, gdzie dwaj dorośli skauci serwowali hamburgery, kiełbaski i udka kurczaka.

– Nie pamiętam fajniejszego wieczoru – powiedział John, wgrzając się w przypaloną kiełbaszkę na patyku i przytrzymując między kolanami puszkę gazowanego napoju jabłkowego.

Edward wpatrywał się w ogień i rozmyślał, co by poczuł, gdyby włożył rękę w płomień – czy poczułby taki sam ból jak ojciec zakleszczony w płonącym bmw.

– Tak – odparł obojętnie.

Kiedy już zjedli kiełbaski, hamburgery i kurczaki, każdy skaut otrzymał dzbanek z musem czekoladowym i plastikową łyżkę. Edward powoli mieszał czekoladę, a John błyskawicznie pochłonął swoją porcję. Kiedy skończył, otarł usta wierzchem dłoni i powiedział do starszego brata:

– Teraz zrobię moją magiczną sztuczkę.

– Dobrze – zgodził się Edward. – Postaraj się.

Był zadowolony, że młodszy brat tak szybko poweselał. Żałował, że sam nie ma takiej ochoty na zabawę.

John zsunął się z ławki i rozsunął chustę przewiazaną wokół szyi, po czym zbliżył się do ogniska.

– Uwaga wszyscy, patrzcie na mnie! – zawołał. W jednej ręce trzymał dzbanek po musie czekoladowym, a w drugiej chustę. – Zademonstruję wam niezwykłą magię!

Skauki przestali rozmawiać i urwały się śmiechy. Tylko kilku wydało jakieś ordynarne dźwięki, a ktoś krzyknął:

– Co zamierzasz zrobić? Zniknąć? Wyświadczyłbyś nam przysługę!

John zignorował głupie docinki. Pomachał chustą i zaczął powoli wypowiadać zaklęcie:

– Niechaj wielki cud się ziści, mój ty dzbanku, szybko zniknij! – Teatralnym gestem nakrył chustą dzbanek, po czym uniósł go wysoko nad głowę. Przesuwał chustę nad dzbankiem, aby wszyscy mogli widzieć jego zarys. Kontynuował zaklęcie: – Dzbanku kochany, zniknij jak opętany! – Kiedy przebrzmiały te słowa, szarpnął chustę, a dzbanek zniknął. Potrząsnął kilkakrotnie chustą, żeby wszyscy zobaczyli, że nic się pod nią nie kryje. Zapadła cisza, a po chwili skauci zaczęli głośno gwizdać i klaskać.

– Ale gdzie jest ten dzbanek? – zawołał jeden z nich. – Masz go w spodniach? Wsadziłeś sobie w tyłek?

John mocno pochylił głowę i klepnął się w kark. Rozległ się trzask, jakby pękł mu kręgosłup. Ale chłopiec zaraz się wyprostował, pokręcił głową i powiedział:

– Uff! Już lepiej. – Uniósł lewą rękę i wtedy dzbanek wypadł mu spod pachy, po czym rozbił się o ziemię.

Tym razem skauci zareagowali wiwatami i śmiechem.



Kiedy wrócił na ławkę, Edward poklepał go po plecach i uśmiechnął się.

– Tata cię tego nauczył, prawda? Szkoda, że nie ma go z nami i nie mógł zobaczyć twojego występu.

– Złożę się, że patrzy na nas z góry.

W tym momencie wstał Duncan, kilkakrotnie klasnął i oznajmił, że opowie historię z dreszczykiem.

– Oo... – zareagowali skauci.

– Pewnego dnia brat i siostra poszli do lasu na grzyby – zaczął niskim, modulowanym głosem. – Niestety zgubili się i wkrótce zapadła noc. Próbowali odnaleźć drogę powrotną, gdy usłyszeli jakieś szelesty, warczenie. Byli też pewni, że dostrzegli w ciemności błyszczące zielone oczy.

– Oo! – krzyknęli skauci i wybuchli śmiechem.

– Zaczęło ich ogarniać przerażenie, gdy w pewnej chwili ujrzeli przed sobą światła. W środku lasu natknęli się na chatę. Z komina unosił się dym. Zapukali do drzwi. Otworzył sympatycznie wyglądający mężczyzna. Powiedzieli mu, że zabłądzili, zaprosił ich więc do środka. Powiedział, że razem z żoną opiekują się nimi do rana, a za dnia bez problemu znajdują drogę do domu.

Kobieta posadziła dzieci przed kominkiem i nakarmiła je smaczną zupą jarzynową. Kiedy zmęczenie zaczęło brać nad nimi górę, posłała dla nich dwa łóżka i okryła je grubymi pledami. Wciąż słyszały warczenie z dworu, a do ich sypialni zaglądały przez firanki żółte ślepie. Dzieci wiedziały jednak, że są bezpieczne, wkrótce zamknęły oczy i zasnęły jak ziemniaki.

– Jak ziemniaki? – zawołało kilku skautów.

– Właśnie tak – odparł Duncan. – Widzieliście kiedyś, żeby ziemniaki otwierały oczy?

Skauci zaczęli gwizdać i głośno się śmiać. Tylko Edward pozostawał cichy i poważny. Przez cały czas wpatrywał się w ognisko.

– Następnego ranka kobieta nakarmiła dzieci owsianką, a mężczyzna wskazał im drogę przez las. Po dziesięciu minutach natknęły się na rodziców, którzy ich szukali. Kiedy opowiedziały im o miłej parze, która zaprosiła je do domu i się nimi opiekowała, matka zmarszczyła czoło i poprosiła: „Pokażcie nam, gdzie ta chata się znajduje... musimy im podziękować”.

Dzieci poprowadziły tam rodziców, kiedy jednak dotarli do chaty, natrafili tylko na ruiny budynku, który spalił się przed wielu laty, gęsto porośnięte bluszczem. Z całej chaty pozostał nienaruszony jedynie komin. Matka powiedziała: „Tutaj urodziłam się i wychowałam. Zaledwie dwa miesiące po tym, jak wyjechałam do college’u, w domu wybuchł pożar, który doszczętnie go strawił. Waszego dziadka i babcię znaleziono w łóżkach. Pozostały po nich jedynie popioły i niedopalone kości, lecz wciąż mocno się obejmowali”.

Dzieci były wstrząśnięte. „A więc ta miła para, która przyjęła nas ostatniej nocy... to były duchy?”

Gdy Duncan wypowiedział słowo „duchy”, dwaj starsi skauci wskoczyli z wrzaskiem w krąg wyznaczony na ognisko. Mieli na głowach rozczochrane, szare peruki i twarze pomalowane na trupio biały kolor. Jeden ubrany był w piżamę, a drugi w koszulę nocną – oba stroje były nadpalone i poszarpane. Zaczęli krążyć dookoła ogniska na sztywnych nogach niczym zombie i co jakiś czas pochyłali się do skautów, przeraźliwie wrzeszcząc i rozcapierzając palce. Młodszy skauci także krzyczeli, ale tylko dlatego, że dobrze się bawili.

Kiedy jednak skaut w piżamie stanął przed Edwardem i Johnem, a następnie na nich krzyknął, starszy chłopiec zerwał się z szeroko rozwartymi oczami i zaciśniętymi pięściami. Bez słowa, poruszając się szybko i sztywno, wyszedł z kręgu światła rzucałego przez ogień i skierował się w stronę namiotu, który dzielił z bratem. Prędko zniknął w ciemnościach.

John pobiegł za nim. Po chwili za braćmi ruszył Duncan. Razem z Johnem dogonił Edwarda, kiedy ten schylał się w wejściu do namiotu.

– Edward? – odezwał się starszy skaut.

– Nic mi nie jest – odparł Edward, nie patrząc na niego.

– Jesteś pewien? Coś cię zdenerwowało?

– Ci spaleni ludzie – wtrącił się John.

– Przepraszam, nie rozumiem.

– Tato miał wypadek samochodowy, jego auto zajęło się ogniem, a on nie mógł się wydostać.

– Och, mój Boże, nie wiedziałem o tym. Przepraszam. Gdybym wiedział... nigdy bym nie opowiedział tej historii. Wiedziałem, że wasz tato zginął w wypadku samochodowym, ale nie znałem szczegółów.

– Wszystko w porządku – powiedział Edward, ale dolna warga mu drżała. – Powiedziałem już Johnowi, że nie możemy się smuć do końca życia.

Chociaż obaj byli bardzo zmęczeni, długo nie mogli zasnąć. Słyszeli auta przejeżdżające główną drogą, wiodącą przez Dulwich Common, dudnienie kół pociągu oraz śmiechy i nawoływania innych skautów.

– W sumie było fajnie, jeśli nie liczyć tej ponurej historii, prawda? – odezwał się John. – No i przyboczny nas przeprosił.

– W końcu nie mógł wiedzieć, jak zginął nasz tato – powiedział Edward. – A poza tym nie jesteś już zuchem, tylko skautem i nie musisz nazywać go przybocznym. To po prostu Duncan.

Zapadła długa cisza, którą przerwał John:

– Myślisz, że on nas widzi?

– Kto?

– Tato. Sądzisz, że wie, gdzie teraz jesteśmy?

– On nie żyje, John. Spalił się na śmierć, a to oznacza, że spłonęły także jego oczy. Oczywiście, że nas nie widzi.

– Ale oczy skremowanych ludzi też zostają spalone, a oni chyba mogą nas widzieć.

– Przestań już gadać bzdury i śpij.

– Po prostu chcę wiedzieć, czy tato nas widzi.

– Dobrze. Tak, widzi nas. Jesteś zadowolony?

Znowu zapadła długa cisza. Zaszleścił śpiwór, kiedy John spróbował ułożyć się wygodniej. Chłopiec odezwał się słabym, pełnym żalu głosem:

– Chciałbym, żeby tato żył.

Edward nie odpowiedział. Leżał na plecach, po jego policzkach ciekły łzy.

W końcu, już dobrze po północy, chłopcy zasnęli. Ruch uliczny trochę zelżał, a pozostali skauci się uspokoili. Od czasu do czasu Edward mówił coś przez sen, a John oddychał tak jak zawsze podczas snu, delikatnie gwizdząc przez nozdrza.

Odgłosy stóp biegnących miękko po trawie nie obudziły braci. Nagle rozległ się ostry dźwięk rozdieranego materiału i boczna ściana ich namiotu się otworzyła. Edward chciał się obrócić i usiąść, jednak zbyt wysoko zaciągnął zamek w śpiworze i nie był w stanie szybko go uchwycić. Na dworze wciąż było ciemno, ale nie aż tak, żeby nie mógł dostrzec trzech zakapturzonych mężczyzn gwałtownie ściągających nylon ze szkieletu namiotu.

– Co robicie? – pisał, zanim jednak zdołał nabrać powietrza w płuca, żeby zawołać po pomoc, jeden z mężczyzn zacisnął mu dłoń na ustach i przycisnął go kolanem do ziemi.

Usłyszał, jak pęka mu żebro, i poczuł ostry ból, jakby ktoś go dźgnął ostrym narzędziem.

Na dobre obudził się już i John. Próbował wydostać się ze śpiwora, gdy druga ściana namiotu również pękła. Inny mężczyzna wsunął do środka rękę i zatkał mu usta. Wywłócił go w śpiworze na trawę, po czym uniósł wysoko nad ziemię, jak wielką poczwarkę.

To samo stało się z Edwardem. Kopał i wyrywał się, desperacko starał się uwolnić, ale wciąż był uwięziony w śpiworze, a trzymający go mężczyzna był zbyt silny, żeby mógł coś wskórać.

Mężczyźni się nie odzywali, ale jeden z nich warknął i chrząknął, dobywając z gardła dźwięk, który w uszach Edwarda zabrzmiał jak „yahada!”.

Przerzucili sobie chłopców przez ramiona, przecięli plac apelowy, a później wybiegli przez bramę z ośrodka skautów. Chłopcy tkwili w niewygodnych pozycjach w swoich śpiworach. Byli przerażeni i brakowało im powietrza, dlatego nie krzyczeli. Na Grange Lane, pod jedną z latarni, czekało na nich kolejnych sześciu mężczyzn, a kiedy Edward odwrócił głowę, dostrzegł, że większość z nich jest zakapturzona, dlatego ich twarze są niewidoczne. Wszyscy ubrani byli w grube płaszcze, a na szyjach mieli szale.

Pobiegli z chłopcami wzdłuż Grange Lane, następnie skręcili w boczne uliczki i alejki między ogrodami, aż dotarli do sklepików na tyłach. Skręcili z kolei w wąską ścieżkę pomiędzy dwoma wysokimi murami z cegieł i w końcu znaleźli się pod jakąś drewnianą ruderą o czarnych drzwiach, z których łuszczyła się farba. Jeden z mężczyzn gwałtownie otworzył drzwi i wszyscy wpadli do środka. Unosił się tu silny zapach jakby pyłu węglowego, a także smród brudnych męskich ciał.

Zanim zamknęli drzwi, dwaj z nich zapalili świeczki. Warknęli coś do pozostałych i następnie poprowadzili całą grupę w dół wąskimi, niestabilnymi, drewnianymi schodami. Część stopni przegniła, a niektórych po prostu brakowało. Ci, którzy nieśli Edwarda i Johna, prawymi rękami przytrzymywali się poręczy, żeby nie stracić równowagi.

Chłopcy już od dłuższego czasu nie starali się wyswobodzić; tkwili w swoich śpiworach cisi, bezradni i bezwładni. Na dole, w nieprzeniknionych ciemnościach, nie mógł ich usłyszeć nikt poza tymi, którzy ich tutaj przynieśli. Kim jednak byli i dlaczego to zrobili?

– Mam już dość – powiedział Jerry, zdejmując skórzaną kurtkę i wieszając ją obok płaszcz przeciwdeszczowego Dżamili z futrzanym kołnierzem. – Od jak dawna pracuję w Tooting? Można by pomyśleć, że zdążyłem poznać wszystkie indyjskie restauracje w okolicy. A tymczasem jest ich tutaj cholerne zatrzęsienie! Tysiące! Tak mi się przynajmniej wydaje. I w każdej z nich właściciele częstowali mnie darmowym curry. „Proszę, sir, niech pan spróbuje balti, gratis”. Gdybym w każdym z tych lokali dał się namówić na jedzenie, to przez sześć tygodni nie wstałbym z klozetu, mówię ci.

Dżamila siedziała przed laptopem, a jej paznokcie pomalowane srebrnym lakierem śmigały nad klawiaturą.

– A tymczasem poszczyło ci się w innej dziedzinie? – zapytała, nie odrywając wzroku od ekranu. – Ktoś słyszał o kulcie z Balaą w roli głównej?

– Tylko paru ludzi miało mgliste pojęcie o nim – odpowiedział Jerry. Usiadł naprzeciwko Dżamili i poluznił krawat. – Większość sądziła, że pytam o jakąś przyprawę.

– No tak, wcale się nie dziwię. Bala to przecież przyprawa związana z hinduską boginią Parwati, uosobieniem kobiecości. Jeżeli pomieszasz ją z dwiema innymi przyprawami, ashoka i shatavari, otrzymasz miksturę, którą nazywamy *tripura sundari*, czyli trzykrotne piękno. Podobno dzięki niej kobiety stają się atrakcyjniejsze.

– Szkoda, że tej mikstury nigdy nie stosowała moja była żona.

– Nie ma żadnych nowych informacji od medyków sądowych – kontynuowała Dżamila. – Ostrzegli mnie, że szczątki są tak wypalone, że minie sporo czasu, zanim uzyskają jakąś identyfikację. Zapewne tygodnie, ale nie dają żadnych gwarancji. Łącznie było czternaście ofiar, lecz nie mamy raportów o jednoczesnym zaginięciu tak dużej grupy osób. Prawdopodobnie porywano je więc pojedynczo albo najwyżej parami.

– To nam raczej nie pomoże, prawda? W minionym tygodniu na terenie podlegającym policji londyńskiej poszukiwano pięćdziesięciu czterech tysięcy trzystu dziewięciu osób, które zaginęły w różnym czasie. Trzy tysiące mniej niż w zeszłym roku, mamy więc postęp. Sam znalazłem wtedy dwie osoby, dwoje biednych dzieciaków wykorzystywanych seksualnie przez ojca, ukrywających się w szopie ogrodowej w Furzedown.

– Poprosiłam posterunkowych Jeffriasa i Loizou, żeby bardzo dokładnie przeszukali fabrykę dywanów i przyległy teren, zwracając szczególną uwagę na wszelkie przedmioty, które mogłyby należeć do ofiar: portfele, torebki, ubrania i tym podobne. Cokolwiek, co mogłoby nam pomóc w identyfikacji. Niczego nie znaleźli. Dlatego doszłam do wniosku, że fabryka może nie być jedynym miejscem, w którym gnieźdzą się wyznawcy tego kultu.

– W końcu dokądś zawlekli posterunkowego Bone’a, prawda? Pewnie odkryjemy to miejsce, jeśli znajdziemy ten drugi tunel metra, o którym mówił Anorak.

– On ma na imię Simon.

– Nieważne, facet jest anorakiem. Ale użytecznym, to mu trzeba oddać.

– Rozmawiałam już z inspektorem Saundersem. Zbiera grupę poszukiwawczą, mają do niej dołączyć inżynierowie wyspecjalizowani w drażnieniu tuneli z firmy, która nazywa się Mott MacDonald. Uczestniczyli w budowie linii kolejowej Crossrail. Jeżeli więc ktoś jest w stanie znaleźć ten tunel, to oni są wśród moich faworytów.

– Kiedy chcesz się spotkać z żoną posterunkowego Malika? Może powinniśmy kupić dla niej kwiaty?

Dżamila napisała jeszcze kilka zdań, po czym odezwała się:

– Pojedźmy do niej, kiedy tylko skończę ten raport. Powinniśmy też porozmawiać z rodzicami Bone’a. W gruncie rzeczy od nich należałoby zacząć. Sierżant Bristow dał mi adres.

– Już wiedzą, że ich syn zaginał?

– Tak, ale powinniśmy ich zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby go odnaleźć. Poza tym chciałabym się dowiedzieć czegoś o jego usposobieniu i jak mógłby się zachować w obliczu porwania. Myślę, że to ma znaczenie.

– Ważne jest również, że stracił lewą rękę. No i że ktoś mu ją nadgryzł.

– Jerry, wciąż nie wiemy, czy to jego ręka i czy została ugryziona przed czy po odcięciu. Ale twój przyjaciel Tosh zdjął już z niej odciski palców. W każdej chwili powinien się do mnie odezwać.

– Tosh jest najlepszy w swojej robocie, ale nie najszybszy. Mawiamy o nim Żółwik Tosh. Ale nasz Żółwik zawsze osiąga cel.

Jerry wyprostował się na krześle. Było już późne popołudnie, a on znowu poczuł się głodny. Problem tkwił w tym, że kiedy zastanawiał się, na co właściwie ma ochotę, oczami wyobraźni widział wózki zakupowe wypełnione poczerńniętymi głowami i zwęglonym ludzkim mięsem i nie mógł się pozbyć natrętnych myśli o tym, co Dżamila opowiedziała mu o swojej ciotce i martwym noworodku.

– W porządku – odezwał się, kiedy kobieta zamknęła laptop. – Spotkajmy się z Bone’ami. Gdzie oni mieszkają?

– W Streatham Wells. Przy Sunnyhill Road. Wiesz może, gdzie to jest?

– Wiem, wiem. Chodziłem kiedyś z dziewczyną z Sunnyhill Road, ale to było tak dawno, że już nie pamiętam. Miała na imię Marlene, dasz wiarę? Była pół Hinduską i pół... zapomniałem. Po prostu prześliczna. Naprawdę ach!

Kiedyś stwierdziła, że ją nudzę, i na tym zakończyła się nasza znajomość.

Wkładali płaszcze, kiedy w drzwiach niespodziewanie stanął inspektor Saunders. Jerry powstrzymał się od zawołania „kogo diabli niosą?” – na swoje szczęście, ponieważ Saunders miał jeszcze bardziej ponurą minę niż zazwyczaj.

– Ach, wychodzicie? Wracam z Sądu Rejonowego w Wimbledonie i postanowiłem wpaść do was, żeby zapytać, jak nasze sprawy.

– Obawiam się, że jest za wcześnie na konkretne informacje, sir – odparła Dżamila. – Wciąż czekamy na identyfikację ofiar. Kiedy tylko się dowiemy, kim były i skąd zostały uprowadzone, łatwiej nam będzie ustalić przyczynę porwań.

– Jasne, ale ja mam na karku cholernie biuro prasowe ziejące mi ogniem w kark niczym smok Puff i muszę im jak najszybciej przekazać jakieś konkrety. Dziennikarze zwęszyli, że dzieje się coś poważnego i zarazem osobliwego, i są zdziwieni, że o niczym nie informujemy.

– Szczerze mówiąc, szefie, według mnie jedynie utrudnimy sobie śledztwo, jeżeli poinformujemy media, że próbujemy dotrzeć do źródeł kultu, którego wyznawcy posunęli się do zamordowania czterestu osób po to, żeby je upiec i zjeść.

– Hmm... nie twierdzą, że nie.

– No i niech pan sobie tylko wyobrazi te nagłówki w prasie, a potem tsunami fake newsów, które nas zaleje za sprawą wariatów lub złośliwców, którzy to przeczytają. Dobrze pan wie, że będziemy musieli sprawdzać każdą informację, niezależnie od tego, jak będzie głupia i groteskowa. Stracimy na to mnóstwo czasu, o kosztach nie wspomnę. Spowolnimy w ten sposób śledztwo, właściwie to niemal utknęliśmy w miejscu, a moim zdaniem ta sprawa jest najpoważniejszą od długiego czasu, jeżeli nie w ogóle najpoważniejszą, z jaką kiedykolwiek się zetknęliśmy.

Inspektor Saunders podeszedł do okna i spojrzął na swoje odbicie w szybie.

– Wiecie co? Nienawidzę tej pory roku, tak szybko robi się ciemno. A wy?

Jerry i Dżamila popatrzyli po sobie, jakby oboje chcieli powiedzieć: „Czy on się dobrze czuje?”.

Saunders szybko się jednak odwrócił i zaczął mówić:

– W rzeczy samej, Dżamilo, zgadzam się z tobą w stu procentach. Budżet i tak mamy już mocno napięty. Przypominaś sobie sprzed paru lat tych pięcioro somalijskich imigrantów, których torturowano, a potem powieszono w magazynie w Brixton? Prowadziłem tę sprawę i pamiętam, że jak wyciekła do mediów, zostaliśmy po prostu zasypani fake newsami, rasistowskimi telefonami i tweetami. Zasypani. I tak jak mówisz, wszystkie informacje musieliśmy sprawdzać, co było cholerną stratą czasu. Ludziom się wydaje, że nasza praca wygląda tak jak w serialach telewizyjnych. Nie zdają sobie sprawy, że w rzeczywistości funkcjonujemy zupełnie inaczej. – Urwał na kilka sekund i dodał: – A jednak będę musiał coś rzucić na użytek biura prasowego, bo i tak jakieś strzępy informacji na pewno wyciekną. Macie pomysły?

– Mógłby pan powiedzieć, że grupa bezdomnych, której liczebności nie znamy, koczowała w opuszczonej fabryce dywanów i że zaproszyli ogień – zasugerowała Dżamila. – Niech pan powie, że pożar doprowadził do śmierci kilkorga z nich, a my staramy się ustalić personalia ofiar. I tyle. Nie będzie to kompletna historia, ale nie będzie w niej też przekłamań.

– Tyle że dziennikarze będą się chcieli dowiedzieć, dlaczego tak długo ukrywaliśmy te informacje, prawda?

– Może pan im przekazać, że nie chcemy ujawniać szczegółów, dopóki nie powiadomimy najbliższych krewnych ofiar, po prostu z szacunku dla nich – zaproponował Jerry. – Ale, na miłość boską, szefie, cokolwiek pan powie dziennikarzom, niech pan nie wypowiada słów „barbecue” ani „kanibale”. A przynajmniej nie w tym samym zdaniu.

Po obu stronach wąskiej Sunnyhill Road ciągnęły się małe bliźniaki. Przy krawężnikach parkowały samochody, tak że Jerry znalazł miejsce dopiero w odległości jakichś stu metrów od domu Bone’ów. Kiedy razem z Dżamilą podeszli do furki, zobaczyli, że w salonie palą się światła i ktoś ogląda telewizję.

– Nie masz pojęcia, jak nienawidzę takich wizyt – odezwał się Jerry. – Kiedy wstępowałem do policji, byłem przekonany, że służba jest po prostu wesoła.

– A wiesz, co mi powiedział mój instruktor już na samym początku szkolenia? „Uważaj się za szczęściarę każdego dnia, w którym spotkasz się tylko z jedną tragedią”.

Otworzyli furkę z kutego żelaza, podeszli do drzwi frontowych i zapukali. Po kilku chwilach zapaliło się światło w holu i przez matową szybę w drzwiach dostrzegli zarys kobiecej sylwetki.

– Kto tam?

– Policja – odpowiedziała Dżamila. – Przyszliśmy w sprawie Dereka.

Otworzyła im siwowłosa kobieta w luźnym, czerwonym, rozpinanym swetrze i kwiecistej sukni.

– Mam nadzieję, że nie przynosicie złych wieści.

– Nie, proszę pani. – Dżamila pokazała jej legitymację. – Możemy wejść?

– Oczywiście. I nie zdejmujcie butów.

Weszli do środka. W holu unosił się ciężki zapach smażonej kielbasy, aż Jerry musiał szybko się odwrócić i zaczerpnąć haust świeżego powietrza z dworu. Dżamila popatrzyła na niego i zmarszczyła nos, jakby chciała powiedzieć „wiem, śmierdzi” i zarazem go uspokoić.

Kobieta poprowadziła ich do salonu, gdzie przy gazowym kominku siedział łysiejący mężczyzna w bordowej kamizelce robionej na drutach. Zabandażowaną stopę opierał na winylowym pufie.

– Kto przyszedł? – zapytał głośno.  
– Policjanci, Jack. Wyłącz telewizor, dobrze? Chcą porozmawiać o Dereku.  
– Znaleźliście go? Chyba nie chcecie nam powiedzieć, że nie żyje?  
– Jeszcze go nie odszukaliśmy, ale nie mamy powodów, by przypuszczać, że został śmiertelnie ranny.  
– Powiedziano nam, że został porwany, ale nie wiadomo przez kogo i z jakiego powodu.  
– To prawda. Przed porwaniem brał udział w poważnym śledztwie w Lambeth. Od tego czasu nie mamy z nim kontaktu. Posterunkowy Pardoe i ja przyszlśmy do państwa, aby zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, by go odnaleźć całego i zdrowego.  
– Macie jakieś podejrzenia, gdzie może w tej chwili się znajdować? – zapytała matka zaginionego.  
– Zakładamy, że wciąż jest na obszarze Lambeth albo gdzieś w pobliżu. Dysponujemy pewnymi tropami, jednak jest za wcześnie, żeby cokolwiek przesądzać. Chcemy zapytać państwa o jego odporność psychiczną, jak – waszym zdaniem – może sobie radzić w roli zakładnika?  
– Z pewnością potrafi logicznie myśleć – odpowiedział ojciec. – Nic nie jest w stanie zbić go z tropu, dosłownie nic. Był wśród funkcjonariuszy, którzy w ubiegłym roku negocjowali z tym terrorystą na Moście Westminsterskim. Facet miał maczetę i taki pas, w którym terroryści umieszczają ładunki wybuchowe. Derek w końcu po prostu do niego podszedł i go obezwładnił. Na zimno, bez emocji.  
– Musisz jednak przyznać, Jack, że w ostatnich miesiącach chodził z nosem na kwintę – odezwała się matka. – Ale to nic dziwnego, stracił żonę.  
– Tak, to bardzo smutna historia – przyznał mężczyzna i poprawił się w fotelu. – Rak szyjny.  
– Rak szyjki macicy – poprawiła go i dodała: – Jego żona miała na imię Sheila. Była słodką, kochaną dziewczyną. Pobrali się zaledwie trzy lata temu i planowali dziecko. Śmierć Sheili była dla naszego syna wielkim ciosem, bez dwóch zdań.  
– Jakby ktoś go trzasnął młotkiem w głowę – dorzucił mężczyzna.  
– Czyli sądzą państwo, że w najtrudniejszych chwilach syn zachowa spokój? – zapytała Dżamila. – Spokój zwiększa szanse zakładników na przetrwanie. Daje im czas na zadzierzgnięcie więzi z porywaczami, dzięki czemu ci dostrzegają w nich istoty ludzkie, a nie tylko wrogów.  
– To nam daje pewną nadzieję – powiedziała matka. – Nie rozumiem jednak, dlaczego w ogóle go porwano. Nikt nie wysunął jeszcze żądań finansowych ani żadnych innych, prawda?  
– Nie, do tej pory nic takiego się nie zdarzyło.  
– Jerry wciągnął powietrze cuchnące kiełbasą i pomyślał, że może niczego nie zażądano dlatego, że porywacze uzyskali już to, czego chcieli: ciało do zjedzenia.

Pojechali do Eglinton Court w Walworth. Od następnego celu dzieliło ich niecałe dziesięć kilometrów, niemal dokładnie na północ, ale droga przez przedmieścia była zakorkowana i minęły niemal trzy kwadranse, zanim dotarli na miejsce.

– Nienawidzę dawać ludziom nadzieję, gdy w grę wchodzi porwania i zaginięcia – odezwał się Jerry, kiedy zatrzymali się za autobusem linii 315 do Brixton Hill i czekali, aż wsiądzie spora grupa pasażerów. – Nie przypominam sobie, żebym kiedyś dodał bliskim otuchy i potem poszukiwana osoba się odnalazła. Nigdy.

– Jestem niemal pewna, że Bone nie żyje – odparła Dżamila cicho. – A kwestia, czy został zjedzony, czy nie... cóż, czas pokaże.

– To smutne, że tak szybko stracił żonę. No ale przynajmniej są już razem, jeśli ktoś wierzy w życie pozagrobowe.

– Ja wierzę w Swargę, coś w rodzaju nieba, gdzie zmarli zatrzymują się na pewien czas i cieszą nagrodą za dobre życie przed następnym wcieleniem. I wierzę też w Narakę, czyli piekło. W gruncie rzeczy istnieje dwadzieścia osiem Narak, jak na przykład Samghata, gdzie człowiek jest miażdżony pomiędzy wielkimi skałami, lecz zaraz odzyskuje swą postać, by znowu zostać zmiażdżonym. I tak przez setki lat.

– To mi trochę przypomina moje zabawy z pewną dziewczyną, z którą się spotykałem przez kilka miesięcy. Miała na imię Maureen i pracowała w Tesco. Muszę powiedzieć, że nie była wagi lekkiej.

Dżamila popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

– Wiesz co, Jerry?

– Co takiego?

– Jesteś dla mnie doskonałym partnerem. Sprawiasz, że nie traktuję samej siebie zbyt poważnie.

– W tym zawodzie nie można być poważnym. Żeby nie zwariować.

Przyjechali do Eglinton Court, ślepego zaułka w kształcie litery L, przy którym stały trzy szare, czteropiętrowe bloki mieszkalne. Na murku przed wejściem do klatki schodowej, w której mieściło się lokum posterunkowego Malika, siedziała grupka młodych ludzi. Wszyscy palili trawkę i co chwilę parskali śmiechem. Jeden z młodzieńców powitał przybyłych szyderym salutem.

– Jakoś mnie to nie dziwi – mruknął Jerry.

Mieszkanie Malika znajdowało się na ostatnim piętrze, skorzystali więc z windy upstrzonej kolorowym graffiti. Jeden z napisów głosił: „Był tutaj szatan”.

– A więc jego szatańska wysokość zdążyła przed nami – powiedziała Dżamila, a Jerry doszedł do wniosku, że policjantka próbuje zachowywać się nonszalancko, chcąc chociaż trochę upodobnić się pod tym względem do niego.

Przeszli kilkanaście kroków korytarzem, słabo oświetlonym przez mrugające jarzeniówki, do mieszkania numer 517. Jerry zadzwonił do drzwi. Przez kilka sekund czekali i wreszcie usłyszeli kobiecy głos:

– Tak? Kto tam?

– Pani Malik? Tu sierżant Patel i posterunkowy Pardoe.

Drzwi otworzyła młoda kobieta w czarnej sukni, z czarnym szalem przewiązany na głowie. Była ładna, ale miała podpuchnięte oczy, jakby przed chwilą płakała.

Dżamila pokazała jej legitymację, a kobieta odezwała się po chwili:

– Pamiętam panią.

– Naprawdę?

– Tak. Chandran zabrał mnie w zeszłym roku na konferencję prasową po ataku terrorystycznym w Stockwell... kiedy samochód wjechał w tych wszystkich ludzi. Wejdźcie, proszę. Tylko nie róbcie hałasu. Syn dopiero co zasnął.

Zaprowadziła ich do salonu, w którym stały dwie szkarłatne sofy, zarzucone stertami wyszywanych poduszek, i trzy stoliki z fotografiami rodzinnymi w ramkach oraz posążkami hinduskich bóstw. Jerry wyczuł silną, zmysłową woń paczuli i trochę słabszy zapach kozieradki.

– Przyszliśmy, żeby przekazać pani wyrazy współczucia, pani Malik – powiedziała Dżamila. – Ale chcemy także zapewnić, że robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się dowiedzieć, kto zabił pani męża. Posterunkowy Pardoe i ja wchodzimy w skład specjalnej grupy śledczej powołanej do wyjaśnienia tej sprawy, ponieważ mamy doświadczenie w badaniu podobnych przypadków.

– Proszę, mówcie mi po imieniu. Jestem Nairiti. Napijcie się herbaty albo kawy?

– Nie, dziękujemy. Nie możemy dzisiaj zostać dłużej, ale będziemy cię informować o postępach w śledztwie oraz dopilnujemy, żebyś otrzymała wszelką pomoc, jakiej będziesz potrzebowała. W zakupach, opiece nad dzieckiem, możemy też przysłać kogoś, żeby po prostu z tobą porozmawiał.

– Możecie zrobić dla mnie jedną rzecz. Policjanci, którzy przyszli z informacją, że Chandran został zamordowany, oddali mi jego portfel i obrączkę ślubną, ale nie jego amulet, naszyjnik hamsa. Był dla niego bardzo ważny, proszę więc, sprawdźcie, może został odnaleziony.

– Naszyjnik hamsa? – chciał się upewnić Jerry.

– Taki naszyjnik nosi wielu hindusów, a także wyznawców innych religii – wyjaśniła Dżamila. – To wisiorek w kształcie dłoni, czasami wysadzany jakimś kamieniem półszlachetnym. Palce muszą wskazywać ku górze, żeby strzegły przed złym okiem, *buri nazar*.

– Ten przechodził w rodzinie Chandrana z pokolenia na pokolenie, od pradziada poprzez ojca w końcu trafił do syna. Amulet ma chronić właściciela przed chorobami i nieszczęściami – dodała Nairiti.

Chyba w przypadku biednego Chandrana się nie spała, pomyślał ponuro Jerry, jednak zachował to dla siebie. Malik otrzymał tak potężny cios, że trudno byłoby się spodziewać okrutniejszego losu nawet w Samghacie.

– Masz może zdjęcie tego naszyjnika? – zapytała Dżamila.

Nairiti wyszła z salonu i po chwili wróciła z albumem. Znalazła zdjęcie męża z nagą klatką piersiową, na której wisiorek był doskonale widoczny. Dżamila sfotografowała je telefonem komórkowym. Hamsa miał złoty kolor, a pośrodku turkus.

– Jak przyjął to wszystko wasz syn? – zapytał Jerry. – Czasami dzieci nie reagują zbyt emocjonalnie na śmierć rodzica, ale zazwyczaj wynika to z tego, że nie dociera do nich znaczenie śmierci.

– Masz rację – zgodziła się Nairiti. – Dzisiaj siedział cały dzień z telefonem w ręce, jak zawsze kiedy gra, ale kiedy zaglądałam do jego pokoju, widziałam, że ekran jest pusty, a syn po prostu się w niego wpatruje niewidzącym wzrokiem.

Jerry i Dżamila zostali jeszcze kilkanaście minut, ponieważ Nairiti chciała pokazać im fotografie męża dokumentujące jego promocję w Hendon i uzyskanie przez niego wyróżnienia od Royal Humane Society. Kiedy zamykała album, jej oczy były pełne łez. Przez nie niemal nic nie widziała.

W drodze powrotnej do Tooting Jerry się odezwał:

– Ten naszyjnik... Jeżeli sprawca go ukradł i spróbuje zastawić w lombardzie albo opchnąć, może nas naprowadzić na trop. Wyślemy jego fotografię do Krajowego Stowarzyszenia Lombardów i zwrócimy na niego uwagę lokalnym paserom.

– Przyznasz, że to bardzo interesujące, prawda? – rzuciła Dżamila. – Zabójca zabrał ofierze hamkę, a zostawił portfel.

– Słuszna uwaga. Ale wiesz równie dobrze jak ja, pani sierżant, że motywacje morderców bywają skomplikowane i tajemnicze.

Edward i John zostali przeniesieni przez ciemną piwnicę, w której wały się całe sterty krzeseł, a później na betonową klatkę schodową, gdzie każdy odgłos odbijał się zwielokrotnionym echem.

Zanim mężczyzna niosący Edwarda wszedł na schody, przerzucił go sobie na drugie ramię, a chłopiec niemal zwymiotował w śpiworze. Poczul w ustach niestrawione kawałki kurczaka z barbecue, zdołał jednak połknąć je z powrotem.

Potrząsany niemilosiernie w czasie wędrówki na górę, zdołał się doliczyć, że dotarli na trzecie piętro. W ścianach klatki schodowej znajdowały się wąskie okna; widział przez nie światła lamp ulicznych. Za plecami słyszał mężczyznę, który niósł Johna. Sapał i stękał z wysiłku, Edward jednak go nie widział. Chciał coś krzyknąć do brata, ale jego płuca były tak ściśnięte, że z trudem oddychał. Na dobiec z gardła jakiegoś artykułowanego odgłosu nie miał szans.

Na trzecim piętrze mężczyźni ponieśli chłopców długim, ciemnym korytarzem do dużego pokoju, który oświetlały dziesiątki świec. Położyli ich na podłodze, jednego obok drugiego, w miarę delikatnie, po czym wycofali się ze złożonymi rękami, niczym wierni, którzy właśnie złożyli w kościele ofiarę.

Edward zdołał pociągnąć za suwak z boku śpiwora, rozpiął go i usiadł. John leżał na plecach. Drżał i nie starał się wyswobodzić.

– John? – odezwał się chłopiec, ale brat w odpowiedzi wydał jedynie cichy, nieartykułowany dźwięk.

Edward odwrócił się. W drżącym blasku świec dostrzegł, że otacza ich od dwudziestu do trzydziestu mężczyzn i kobiet siedzących na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. Wpatrywali się w nich lśniącymi oczami. Niektórzy szczyrzyli zęby w uśmiechu, inni kierowali na nich puste spojrzenia, jakby znajdowali się pod wpływem narkotyków. Byli ubrani w łachmany, niektórzy mieli zmierzwione włosy, inni kaptury albo szale na głowach bądź robione na drutach przepaski na czołach. Ich twarze były brudne, cuchnęły starym potem i zjeżdżającym moczem.

Na ścianie za nimi Edward zobaczył narysowaną postać nagiego mężczyzny z głową kozła. Ramiona miał szeroko rozłożone, a wokół niego kłębiły się szczury, pająki i wilki o zjeżonym futrze.

– Kim jesteście? – zapytał. – Dlaczego nas tutaj sprowadziliście? Czego chcecie?

Głos mu drżał, chłopiec prawie płakał, starał się jednak zachowywać tak, jak zapewne zachowywały się jego ojciec w obliczu tego motłochu. Ojciec nie tolerował głupoty ani żadnych bzdur, dlatego wszelacy lokalni urzędnicy, parkingowi, namolni żebracy czy różni prymitywni naciągacze przeżywali trudne chwile, kiedy nieopatrznie się do niego zbliżyli.

Nikt mu nie odpowiedział, chociaż część zgromadzonych zaczęła wydobywać z gardeł dziwne, zduszone parskanie, jak psy z powodu zbyt ciasnej obroży.

– Nie możecie nas tutaj trzymać! Powinniśmy teraz być w obozie skautów! Oni będą się martwić, dlaczego nas nie ma, i zawiadomią policję!

Wciąż nikt nie reagował na jego słowa, ludzie zaczęli jedynie głośniejsz parskać. Edward skoczyłby na równe nogi i spróbowałby rzucić się do drzwi, gdyby nie obawiał się o Johna, wciąż leżącego w śpiworze i drżącego ze strachu. Uklęknął, wyprostował się i uważnie zlustrował pomieszczenie. Właśnie wtedy ujrzał szczątki szkieletów, jakie pozostały po Jimmym i Cathy, przybite do ściany, bez głów, jednak z nienaruszonymi ramionami. W pierwszej chwili nie dotarło do niego, że stanowią pozostałość po dwojgu realnych osobach, jednak pojął prawdę, kiedy zobaczył ciemne plamy krwi na dywanie i stertę ludzkich wnętrzności, które wyslizgnęły się oprawcom i wały po podłodze.

Wstał. Ciężko dyszał, kompletnie nie wiedział, co teraz robić. Z trudem uświadamiał sobie, że nie śpi w swoim namiocie i że to, co widzi, nie jest sennym koszmarem. To, że wszystko dzieje się naprawdę, podpowiadał mu gryzący dym płonących świeczek i smród ciał, który wnikał w jego nozdrza przy każdym oddechu.

Bez żadnego ostrzeżenia zebrani jednocześnie wrzasnęli i stanęli na nogach. Do pokoju wszedł mężczyzna o siwych włosach i złamanym nosie. Towarzyszyli mu dwaj młodszy. Włosy jednego z nich przypominały szczurze futro, a drugi ostrzyżony był na Mohikanina. Starszy popatrzył na chłopców, po czym pokivał głową i uśmiechnął się, a następnie spojrzął na otwarte drzwi i skinął w ich kierunku. Lekko kulejąc, do pomieszczenia weszła kobieta potężnej postury. Dwukrotnie zaklaskała. Na głowie miała dwa kapelusze, w zadziwiający sposób utrzymujące się jeden na drugim, a ubrana była w przynajmniej cztery warstwy płaszczy i pledów oraz zniszczoną spódnicę w kolorze musztardy. Mężczyzna ze złamanym nosem wskazał na Edwarda i Johna, a kobieta się uśmiechnęła.

– Hed-da! – zaczęli skandować zgromadzeni. – Hed-da!

Kobieta i mężczyzna podeszli do braci. Mężczyzna wykonał ręką ruch, jakby kogoś klepał po głowie, wskazując w ten sposób Edwardowi, że ma usiąść.

– Dlaczego nas tutaj sprowadziliście? – zapytał znowu Edward.

Po policzkach ciekły mu łzy i był tak przerażony, że z trudem wypowiadał poszczególne słowa.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko powtórzył swój gest. Edward usiadł na śpiworze, obejmując rękami kolana, jakby było mu zimno. Z tłumu wystąpiły dwie kobiety. Jedna ubrana była w brudną, różową abaję, a druga przyodziana była jedynie w obszerny, zielony sweter robiony na drutach i w czarne majtki do noszenia w trakcie okresu.

Kobiety pociągnęły suwak śpiwora Johna, po czym uniosły chłopca do pozycji siedzącej. Pochrząkiwały przy tym jakby współczująco i głaskały go po zmierzwionej czuprynie.

John zamrugał, spojrział na Edwarda i zauważył, że ten płacze. Starszy chłopiec zdobył się jednak na wyciągnięcie ręki i mocne uściśnięcie dłoni brata.

– Wszystko w porządku, John. Nie wiem, czego oni chcą. Na razie nie zamierzają nam powiedzieć. Ale nie sądź, żeby chcieli nas skrzywdzić.

John rozejrzał się po pomieszczeniu i zobaczył otyłą kobietę z dwoma kapeluszami na głowie.

– Gdzie my jesteśmy? – wyszeptał. – Kim są ci ludzie?

Mężczyzna ze złamanym nosem znowu skinął głową i tym razem do chłopców podeszli dwaj mężczyźni. Jeden był chudy jak szczapa, miał nieprawdopodobnie wielkie uszy i rozwichrzoną, białą brodę. Drugi był niski, krępy i spocony i patrzył w taki sposób, że nie dało się odgadnąć, czy w ogóle coś widzi. Miał czarny zarost i wadę zgryzu. Ten pierwszy trzymał długą probówkę zamkniętą szklanym korkiem, a drugi zaciskał dłoń na żółtym, plastikowym kubku.

Obaj uklękli obok chłopców. Ten z brodą wyjął korek z próbówki i nalał do kubka bursztynowego płynu. Niski wyciągnął rękę z kubkiem w stronę Edwarda, a drugą dwukrotnie przyłożył do ust, wskazując tym gestem, że chłopiec powinien wypić całą zawartość.

– Mam nadzieję, że to nie trucizna – powiedział Edward. – Nie zamierzam wypić trucizny!

Mężczyzna ze złamanym nosem zamknął oczy i pokręcił głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma zamiaru częstować chłopców czymś, co mogłoby im zaszkodzić.

Edward wziął kubek i powąchał jego zawartość. Płyn pachniał lukrecją, ale dawało się wyczuć także słabą woń mentolu. Przypominał lekarstwo na kaszel, które matka podawała mu w Boże Narodzenie, kiedy miał grype.

– Dlaczego mam to wypić? – zapytał, jednak mężczyźni mu nie odpowiedzieli.

Po prostu wpatrywali się w niego wyczekująco. Kobieta w dwóch kapeluszach skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby przygotowywała się na długie godziny oczekiwania, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Reszta zgromadzonych w pokoju zaszurała nogami. Kilka osób dobyło z gardeł jakby warkot, lecz był on pozbawiony agresji.

Edward znowu powąchał płyn, odsunął kubek i powiedział:

– Nie, nie wypiję tego. Nie wiem, co to jest ani dlaczego mi to podajecie.

Niski mężczyzna nie wykonał żadnego ruchu, żeby odebrać naczynie od chłopca. Ten ze złamanym nosem skinął głową, a wtedy młody człowiek z asymetryczną fryzurą na Mohikanina zrobił kilka kroków, po czym ukląkł obok Johna. Z pochwy przy pasku wyciągnął długi nóż do krojenia mięsa, następnie wsunął palce we włosy Johna i gwałtownie szarpnął jego głowę, aby obnażyć mu szyję. Przyłożył mu nóż do gardła i skierował wzrok na Edwarda, unosząc brew.

Nie padło ani słowo, ale właśnie dlatego groźba nabrała przerażającej mocy. Przekaz dla Edwarda był jasny: wypij albo patrz, jak umiera twój brat.

Drżącymi rękami unióś kubek do ust. Chwilę się wahał, ale młody mężczyzna w dresie jeszcze mocniej szarpnął głowę Johna. Chłopiec wydał nieartykułowany dźwięk i wtedy Edward wypił zawartość kubka. Płyn bez problemu spłynął mu do przełyku. Nie był niedobry, jednak miał niemiły, suchy posmak starego kartonu.

Edward oddał kubek niskiemu mężczyźnie, a ten z brodą napełnił go ponownie. Młody człowiek z fryzurą na Mohikanina puścił Johna i wstał, jednocześnie chowając nóż do pochwy. Niski wyciągnął teraz rękę z kubkiem w stronę młodszego chłopca i wykonał identyczny gest jak przed chwilą, nakazując mu wypicie płynu.

John popatrzył z niepokojem na Edwarda, ten jednak powiedział:

– Wypij. Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie trucizna, a poza tym nie smakuje najgorzej.

John przyjął kubek i pił, przez cały czas wpatrując się ponad brzegiem naczynia w brata. Zakrztusił się i zakaszał, zdołał jednak przełknąć płyn i dopiero wtedy oddał kubek.

Mężczyzna ze złamanym nosem powtórzył gest klepania po głowie. Edward domyślił się, że chodzi mu o to, aby położyli się teraz na swoich śpiworach. Mężczyzna zamknął oczy i opuszkami dotknął powiek.

– Chyba chce, żebyśmy zasnęli – powiedział Edward.

– Nie jestem zmęczony. Chcę się stąd wydostać i pójść do domu. Ten napój sprawił, że czuję się dziwnie.

– Musimy być cierpliwi. Jeżeli będziemy robić to, co nam każą, chyba nas nie skrzywdzą.

– Gdy ten facet szarpnął mnie za włosy, to naprawdę bolało. Bałem się, że poderżnie mi gardło.

– Zrobił to tylko po to, żeby nas przestraszyć.

– No to mu się udało. Przestraszył mnie tak, że już bardziej się nie da. Wciąż jestem wystraszony.

Edward bardzo chciał nie zasnąć, chociaż oczy miał zamknięte. Mężczyzna ze złamanym nosem bez przerwy chodził po całym pomieszczeniu, pochrząkując i powarkując na ludzi siedzących na podłodze. Co chwilę podchodził do chłopców i oświetlał świeczką ich twarze, aby sprawdzić, czy już śpią.

– John – wyszeptał Edward, kiedy usłyszał, że mężczyzna znajduje się pod przeciwległą ścianą.

Chłopiec milczał.

– John!

Gdy brat nie odpowiadał, Edward otworzył oczy. Zobaczył, że John leży na plecach z lekko otwartymi ustami. Sprawiał wrażenie, jakby twardo spał. Edward usłyszał, że mężczyzna wraca, więc szybko zamknął oczy i udawał, że



on także głęboko zasnął.

Kiedy po raz kolejny uniósł powieki, był niemal pewien, że minęło ledwie kilka minut, a tymczasem za oknami panowała już jasność. Wszystko wskazywało na to, że zaczął się kolejny szary dzień, bez słońca i wiatru. Edward ostrożnie podniósł głowę i rozejrzał się. Ludzie zniknęli. W pokoju byli tylko on oraz głęboko śpiący chłopiec, leżący tuż obok.

Przyszła mu do głowy myśl, że powinien wiedzieć, kim jest ten chłopiec. Wydawał mu się znajomy, a poza tym miał podobną jak on piżamę w czerwone paski. Leżeli na identycznych kocach w kolorze khaki. Edward nie potrafił jednak ani przypomnieć sobie imienia chłopca, ani nawet nazwać ich wzajemnej relacji.

Usiadł. Widział już ten pokój, był tego pewien, pamiętał zarówno rysunek na ścianie, jak i przybite do niej dwa półszkielety. Ale nie był w stanie przypomnieć sobie, kiedy już tu był i dlaczego zasnął właśnie tutaj.

Wstał i podszedł do okna. Spróbował wyjrzeć na zewnątrz, lecz niespodziewanie uderzył czołem w szkło. Dotknął szyby. Była zimna i odniósł wrażenie, że jest bardzo twarda, choć wcale jej nie widział.

Popatrzył w dół i zdumiał się, że pokój jest tak wysoko nad ziemią. Widział stąd figurki ludzi, chodzących w tę i z powrotem, oraz mnóstwo niewielkich obiektów podobnych do pudełek, przesuwających się w lewo i w prawo. Jeden z tych obiektów był większy od innych i miał czerwony kolor. Edward był pewien, że dostrzega siedzących w nim ludzi.

Kiedy uniósł wzrok, zobaczył przezroczystego chłopca unoszącego się w powietrzu na zewnątrz i patrzącego mu prosto w oczy. Aż odskoczył ze strachu, a chłopiec także odskoczył i zniknął.

Ostrożnie podszedł znowu do okna. Przejrzysty chłopak też się pojawił. Przypatrywali się sobie nawzajem przez dłuższą chwilę. Edward miał ochotę zapytać tamtego, kim jest i jakim sposobem nauczył się latać, nie potrafił jednak znaleźć w głowie ani jednego słowa. Wiedział, że z ludzkich ust padają różne wypowiedzi, ale w tej chwili potrafił dobyć ze swego gardła jedynie stłumiony warkot.

Odwrócił się. Drugi chłopiec już nie spał. Siedział na śpiworze i się rozglądał. Było oczywiste, że jest równie zdezorientowany jak Edward i że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje ani co tutaj robi.

Zobaczył Edwarda i wydał pisk przypominający głos myszy. Edward wrócił do wymiętego koca, a wtedy chłopiec zerwał się na równe nogi i przywarł plecami do ściany, do której przybito dwa półszkielety.

Edward chciał powiedzieć „wszystko w porządku, nie skrzywdzę cię”, nie wiedział jednak, jak wydobyć z siebie dźwięki, które zasugerowałyby chłopcu, żeby się nie bał. Chcąc przekazać ten komunikat, jeszcze raz zacharczał, ale postarał się, aby odgłos zabrzmiał jak najłagodniej, uspokajająco.

Chłopiec nie ruszył się z miejsca, jedynie zerkał na szczytki przybite do ściany obok niego.

Edward znowu warknął. Chciał powiedzieć chłopcu, kim jest, i zapytać go o to samo. Lecz nagle zdał sobie sprawę, że niczego o sobie nie wie, nie zna nawet swojego imienia.

Wciąż stali naprzeciwko siebie, kiedy do pokoju wszedł mężczyzna ze złamanym nosem. Towarzyszyli mu dwaj młodsi, jeden o włosach podobnych do szczurzej sierści i drugi z asymetryczną fryzurą na Mohikanina. Zaraz za nimi pojawiła się potężnej postury kobieta w dwóch kapeluszach na głowie. Tego ranka ubrana była w etolę z wyliniałego lisiego futra i owinięta w pledy, które nosiła poprzedniego dnia.

Starszy mężczyzna podszedł do Edwarda, położył mu dłoń na ramieniu i coś warknął. Ku swojemu zaskoczeniu chłopiec zrozumiał, co tamten zamierza mu przekazać.

– A więc już się obudziłeś. Dobrze spałeś?

Edward odchrząknął i zareagował nieartykułowanym warkotem, który miał wyrazić jego samopoczucie.

– Nie wiem, gdzie jestem. Nie wiem, kim jestem.

– Wszystkiego się dowiesz, bądź cierpliwy. Widzisz? Już potrafisz ze mną rozmawiać.

Edward wskazał na Johna.

– A ten drugi? Kto to jest?

– Tego także nie wiesz? To twój brat.

– Nie rozumiem. Co znaczy „brat”?

– To znaczy, że obaj pochodzicie od tego samego mężczyzny i od tej samej kobiety.

– Wciąż nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Jak powiedziałem, wszystkiego się dowiesz. Teraz musimy wam nadać imiona. Ty jesteś starszy, prawda?

Edward wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, gdzie jest i jakim sposobem potrafi rozmawiać z nieznanym mężczyzną, dobywając z gardła jedynie charkot i warczenie, i jak to jest, że rozumie niemal wszystko, co przekazuje mu mężczyzna.

– Skoro jesteś starszy, otrzymasz imię Erst. A twojego brata nazwiemy Sek. Ja mam na imię Faust, a kobieta, która przemawia w imieniu naszego pana, to Hedda. W miarę upływu czasu poznasz imiona wszystkich ludzi, którzy wchodzą w skład naszego plemienia.

Hedda postąpiła kilka kroków do przodu, nakrywając Edwarda dachem z dwóch rozłożystych kapeluszy. Lisi pysk jej etoli popatrzył na niego jedynym, przenikliwym okiem.

– Witamy w naszym plemieniu dwóch braci, Ersta i Seka. Dzisiaj spożyjecie pierwszy posiłek ku chwale pana. A w nocy wyruszyacie na poszukiwanie kolejnych racji żywności, którą będziemy spożywać na jego cześć.

Na dłoniach miała miękkie, czarne rękawiczki. Wyciągnęła prawą rękę do Edwarda, a lewą do Johna. Po kilku sekundach wahania chłopcy przyjęli jej dłonie, a ona przyciągnęła ich do siebie, uśmiechając się do nich całą księżycową twarzą. Jej rzeczy śmierdziały starą szafą i naftaliną. Chłopcy popatrzyli na nią, a potem po sobie nawzajem. Wciąż nie mieli pojęcia, że są Edwardem i Johnem. Nie wiedzieli, jakim sposobem się tutaj znaleźli ani jak długo potrwa ich koszmar.

Następnego dnia rano, kiedy Jerry przyjechał do biura, Dżamila już tam była. W jednej ręce trzymał kubek kawy ze Starbucksa, a w drugiej bułkę z bekonem.

– Nic się nie zmieniło – powiedział. – Wciąż jesteś rannym ptaszkiem.

– Musiałam się spotkać z Chakshanem Varmą w świątyni Muththumari Amman. Miał zarezerwowany poranny lot do Bangladeszu, nie dał mi więc wyboru.

– No i?

– Oczywiście wiedział o Balai. Nie słyszał jednak o jego wyznawcach w najbliższej okolicy ani gdziekolwiek na Wyspach Brytyjskich, a ma kontakty w całym kraju. Powiedział, że gdyby czciciele Balai odprawiali tu swoje obrzędy, natychmiast by się o tym dowiedział. W końcu Balaa uosabia czyste zło. Przy Balai szatan to psoty dzieciak. Tak przynajmniej powiedział mi Varma.

– Czyli możemy wcale nie mieć do czynienia z kultem Balai? – zapytał Jerry, zdejmując wieczko z kubka.

– Nie wiem. Wciąż myślę o podobieństwie rysunku na ścianie tunelu z wizerunkiem w domu mojej ciotki.

– To może być przypadek. Co prawda nie jestem religioznawcą, ale wiem, że w różnych religiach występuje mnóstwo podobnych demonów. A z jakiegoś powodu żadna z nich nie lubi kozłów. Weźmy takiego Pana, czyli boga strzegącego pasterzy i trzód. Tyle że z nim wszystko jest odwrotnie niż w naszym przypadku... ma ciało człowieka i tylko nogi kozła. Ale dzięki nim może szybko gonić nimfy w lasach.

– Coś takiego! Wygooglowałeś sobie religie i kozły!

– Owszem. Ale nie uzyskałem wielu informacji ponad to, co już wiedziałem. – Wyciągnął notes i zaczął przerzucać kartki. – Był demon o głowie kozła zwany Bafometem, któremu rzekomo cześć oddawali templariusze w świątyniach nazywanych bafomeriami.

– Tak, słyszałam o Bafomecie. Był w połowie bogiem i w połowie wcieleniem zła. Pewnie jak większość z nas.

– A pentagram podobno związany jest z kształtem głowy kozła: dwa ostre rogi, dwoje sterzących uszu i spiczasty podbródek. Pierwsze słyszę. No i z jakiegoś powodu stary, dobry szatan na sabatach czarownic ukazywał się z łbem kozła. Nie znalazłem jednak ani słowa na temat wyznawców kozła będących zarazem kanibalami.

– Może chodzić o zupełnie nowy kult, jeszcze szerzej nieznan. Tak jak nikt nie słyszał o rodzinie Mansona, dopóki nie zaczęli zabijać ludzi. Dzisiaj wydzielone grupy nadal będą szukać posterunkowego Bone'a i spróbują zlokalizować opuszczony tunel metra. A może natrafią na coś więcej?

– A co z osobami zaginionymi? Wiemy coś nowego?

– Właściwie nie, do wczorajszego wieczoru sprawdziłam prawie wszystkie zgłoszenia o zaginięciach na terenie Lambeth. Zanim skończyłam, otrzymałam od medyków sądowych bardzo interesujący materiał, choć nie chcę wyciągać pochopnych wniosków. Większość zaginionych to ludzie młodzi, nastolatki rozczarowane swoim życiem albo uzależnione od narkotyków. Tymczasem medycy poinformowali mnie, że niemal bez wyjątku ofiary w wózkach na zakupy to ludzie starsi, nawet wiekowi.

– Naprawdę? Trochę to dziwne. Przecież gdybym miał ochotę zjeść człowieka, na pewno wybrałbym sobie młodego i pulchnego. Nie chciałbym przeżuwać mięsa jakiegoś starucha, który prawdopodobnie przez całe życie palił papierosy i pił alkohol, a organizm miał przesycony warfaryną.

– Sprawa jest pełna zagadek, Jerry, i właśnie dlatego to my nad nią pracujemy.

– Chyba nie sądzisz, że w grę wchodzi siły nadprzyrodzone, co? Pamiętasz tego wirusa w ubraniach albo dzieci w ściekach? Na pewno i teraz mamy do czynienia ze zgrają pospolitych łotrów.

– Wiem to samo co ty. Musimy jednak myśleć nieszablono. Przede wszystkim moim zdaniem powinniśmy wrócić do fabryki dywanów i jeszcze raz dokładnie sprawdzić miejsce zbrodni. Wciąż działają tam technicy i może nawet odkryli coś, co mogłoby nam pomóc, lecz nie zdają sobie z tego sprawy. Poza tym może powinniśmy ich zdołować do bardziej wyczerpanej pracy. Widziałeś, jakie góry śmieci czekają na przejrzenie?

– Jasne, ale pozwól, że najpierw zjem śniadanie.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Może jednak poczekaasz, aż wrócimy?

– Mówisz jak ktoś, kto nigdy nie próbował zimnej bułki z bekonem.

– Jerry, znałam w życiu wiele świń, ale żadnej nie próbowałam zjeść, ani na ciepło, ani na zimno.

Przed fabryką dywanów Royal parkowały trzy furgonetki policyjnych techników, a kiedy Dżamila i Jerry zeszli po schodach, znaleźli siedmioro specjalistów przy pracy. W białych, szeleszczących kombinezonach ochronnych poruszali się po hali fabrycznej jak duchy.

Wózki zakupowe z węglem drzewnym i ludzkimi szczątkami zabrano na Lambeth Road do badań laboratoryjnych. Z fabryki zniknęły także koce, poduszki i pościel. W tej chwili czterej technicy uważnie oglądali każdy centymetr kwadratowy ścian i podłóg. Posługując się lampami ultravioletowymi, poszukiwali śladów krwi, odcisków pal-

ców i innych tropów, których nie można dostrzec w normalnym świetle. Pozostała trójka przetrząsała sterty śmieci, które pod oknami pozostawili dzicy lokatorzy.

Trzej posterunkowi trzymali się od tego wszystkiego tak daleko, jak tylko mogli, a nawet otworzyli okno, żeby oddychać w miarę świeżym powietrzem.

Dżamila i Jerry podeszli do techników przy śmieciach i przez chwilę obserwowali, jak oddzielają foliówki wypełnione gnijącymi warzywami i ekskrementami od wilgotnych warstw tektury falistej, butelek do połowy wypełnionych skisłym mlekiem oraz pustych puszek po sardynkach.

– Chyba jedli tutaj nie tylko ludzi – powiedział Jerry. – Nie ma to jak urozmaicona dieta.

Dżamila wbiła spojrzenie w stertę i odezwała się do jednego z techników:

– Ta puszka po fasoli oznaczona jest marką Tesco? Podobnie jak karton po pizzy.

– Tak – odparł technik. Chociaż maska tłumiła i zmniejszała głos, Jerry rozpoznał po nim kobietę. – Większość opakowań, jakie tutaj znaleźliśmy, pochodzi z Tesco. Cóż, Kennington Tesco jest zaraz po drugiej stronie ulicy. Gdyby ktoś stąd chciał ukraść sobie coś na lunch, nie miałby daleko.

– Na pewno mają tam kamery, pójdziemy sprawdzić nagrania. Natrafiliście na jakieś rzeczy, które pomogłyby nam wyjaśnić motywacje tych ludzi? Jak pani sądzi, ilu ich tutaj mieszkało?

– Trudno stwierdzić, ale sądząc po liczbie koców na półkach i opakowań po jedzeniu, szacowałabym, że przebywała tutaj co najmniej dziesiątka. No i mamy jeszcze to... zabierzemy to do laboratorium na testy DNA. – Kobieta pochyliła się i podniosła z podłogi dużą, niebieską torbę na dowody rzeczowe. Wyciągnęła z niej wilgotny, biały ręcznik upstrzony plamami. – Znaleźliśmy jedenaście takich ręczników. Część jest związana rogami, mogły więc służyć kobietom w czasie menstruacji. Części na pewno używano jako papieru toaletowego... ich stan wskazuje, że ręczniki wykorzystywano wielokrotnie.

Jerry wymamrotał na tyle cicho, że usłyszała go tylko Dżamila:

– Zostań na miejscu, bułko z bekonem.

– Na każdym z nich wyhaftowana jest ta sama nazwa – kontynuowała kobieta. Odwróciła ręcznik, tak aby Dżamila i Jerry mogli zobaczyć. – Solace.

– Może chodzi o Solace Hotel Group? – rzuciła Dżamila. – Prawdopodobnie ręczniki pochodzą z jednego z ich hoteli. Może je ukradziono.

– Mamy więc coś na początek – powiedział Jerry. – Poproszę Jeżozwierza, żeby od razu sprawdził wszystkie hotele tej sieci. Dowie się, czy w którymś zauważono brak dużej liczby ręczników. Wiem, że przeciętny gość hotelowy ma inklinacje, żeby sobie zabrać jeden lub dwa na pamiątkę, ale gdyby ktoś podpieprzył aż jedenaście, musiałyby je wynieść w dużej walizce, prawda?

– Coś jeszcze? – zapytała Dżamila, oglądając śmieci.

– Dostarczymy wam dosłownie setki odcisków palców i mnóstwo próbek DNA.

– Nie wątpię. Ale najpierw musimy kogoś aresztować. Dopiero wtedy będziemy mogli porównać odciski i próbki z waszymi znaleziskami.

– Jeżeli natkniemy się na kolejne dowody w rodzaju ręczników...

– Dziękuję. Co poza tym?

– Niech pani pyta Simona. Oni chyba już ogarnęli wszystko w piwnicy. O, widzę go, rozmawia z Marcją.

– To on? – zdziwił się Jerry. – W tych kombinazonach wszyscy jesteście podobni. Inwazja bałwanów.

Dżamila i Jerry podeszli do Simona, który powitał ich wesołym pozdrowieniem.

– Ach, sierżant Patel. Dzień dobry. Cieszę się, miałem zamiar jeszcze dzisiaj się z tobą skontaktować. Jeden z członków naszej grupy entuzjastów kolei powiedział mi, że prawie na pewno posiada w zbiorach mapę tuneli metra drążonych w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku. Są podobno na niej także te, które później pozostawiono swojemu losowi, ponieważ uznano, że będą niedochodowe. Jak tylko dostanę tę mapę, zrobię skan i prześlę ci mailem.

– Będę bardzo wdzięczna – odparła Dżamila. – Skończyłeś już badanie piwnicy i tunelu?

Simon uniósł kciuk w niebieskiej rękawiczce.

– Sfotografowaliśmy cały tunel, aż do blokującej go sterty, a ponadto przeczesaaliśmy go promieniami ultrafioletowymi i światłem podczerwonym. Zarejestrowaliśmy wszystkie odciski butów i ślady ciągnięcia po ziemi przedmiotów niewiadomego pochodzenia. Opisaaliśmy także wszystkie kości, będziemy więc mogli dokładnie zrekonstruować ich rozmieszczenie. To znaczy przekonamy się, czy rzucano je bez ładu i składu, czy też w konkretny sposób układano i czy może to mieć jakieś znaczenie religijne.

– Doskonale. – Dżamila pokiwała głową. – My tymczasem chcemy jeszcze raz rzucić okiem na rysunek na ścianie.

– Oczywiście, bardzo proszę. Zdemontowaliśmy już oświetlenie w tunelu, ale dam wam silne latarki.

Simon wręczył im duże lampy elektroluminescencyjne z żółtego plastiku i otworzył przed nimi drzwi prowadzące do piwnicy. Główne pomieszczenie wciąż było jaskrawo oświetlone, chociaż zwłoki posterunkowego Malika już usunięto i medycy sądowi zakończyli pracę. Ruszyli wzdłuż długich rulonów wilgotnych dywanów, kierując się w stronę dziury w ścianie. Po chwili oświetlili lampami wejście do opuszczonego tunelu metra. Usłyszeli słaby stukot kół pociągu Północnej Linii.

– Ty pierwszy – powiedziała Dżamila.

Jerry przeszedł na drugą stronę, odwrócił się i podał jej rękę.

Przystanęli w ciemności i oświetlili postać mężczyzny z głową kozła. Zdawał się wpatrywać w nich ponuro, jakby był zły, że zakłócili mu spokój.

– Wiesz co? Chwilami odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z obcymi – odezwała się Dżamila. – Z przybyszami z innej planety albo w ogóle z innego czasu.

– Nie mów tak, na samą myśl o przybyściach z kosmosu dostaję gęsiej skórki.

– Wydaje mi się dziwne, że mamy tutaj do czynienia z kultem, który właściwie jest w pełni rozwiniętą religią... z bogiem albo z demonem i z obrzędem, w którym wielką rolę odgrywa kanibalizm. A nigdy wcześniej o nim nie slyszeliśmy. Wyznawcy tego bożka mogli więc do nas przybyć w latających talerzach albo w wehikułach czasu.

Jerry oświetlił fragment tunelu, po czym ponownie skierował lampę na rysunek.

– Nadal uważasz, że jest podobny do Balai?

– Na obrazie u mojej cioci i na innych wizerunkach, które oglądałam, w przeciwieństwie do tej postaci, Balaa ma czerwone oczy, a nie żółte. Trzyma także w ręce *panjmukh*, czyli włócznię o pięciu grotach. Ale poza tym ten demon jest niemal identyczny.

– Mam tylko nadzieję, że ten cały Balaa nie prowadzi nas w złym kierunku. Przecież możemy mieć do czynienia ze starym, dobrym diabłem chrześcijan, prawda? A ci kanibale to po prostu zgraja porządnymi angielskimi satanistami, którzy nie mają nic wspólnego z pakistańską religią.

– Niewykłuczone. Ale dopóki nie znajdziemy przynajmniej jednego z nich, nie możemy odrzucać żadnej teorii.

Mieli właśnie wrócić do piwnicy, kiedy znowu usłyszeli przejeżdżający w oddali pociąg. Ale gdy tylko ten dźwięk przebrzmiał, dotarli do nich także inne odgłosy, jakby co najmniej dwie lub trzy osoby biegły boso w ich kierunku.

– Co jest, do diabła? – rzucił Jerry. – Wydawało mi się, że technicy już skończyli pracę w tunelu.

Zaświecił lampą w głąb. Od razu dostrzegli trzy postacie w kapturach wyłaniające się zza rogu. Ubrane były w grube płaszczki, twarze miały przywiązane chustami. Jedna unosiła wysoko duży młotek, a pozostałe dwie wymachiwały krótkimi rurkami, prawdopodobnie ukradzionymi z rusztowania.

– Hej! Stać! – krzyknął do nich Jerry.

Zakapturzeni mężczyźni nie zareagowali. Nadal biegli w ich kierunku. Nie zwalniając, ten z młotkiem uderzył Jerry'ego w ramię. Policjant zachwiał się, ale nie upadł. Drugi zamachnął się rurką na Dżamilę, lecz zdołała uskoczyć i cios jej nie sięgnął. Niemal w tym samym momencie wykonała półobrot i mocno kopnęła napastnika w kroczce.

– Pomocy! – krzyknął Jerry. – Niech nam ktoś pomoże!

Napastnik uderzył go jeszcze raz młotkiem, ale tym razem Jerry zdołał złapać za trzonek i szarpnął tak gwałtownie, że tamten go wypuścił. Wtedy Jerry wymierzył mu cios w zasłoniętą twarz. Był pewien, że usłyszał trzask nosa.

Kiedy cofnął się o krok, drugi mężczyzna z rurką uderzył go tak mocno w kregosłup, że Jerry padł na kolana. Tymczasem Dżamila poradziła sobie z tym, który się na nią rzucił. Zgiął się wpół, przyklęknął i przez chwilę ciężko oddychał. Policjantka nie odpuściła i jeszcze kilkakrotnie kopnęła go w kroczce, aż skulił się na ziemi, a ona wyrwała mu pręt. Gdy drugi mężczyzna unosił rurkę, żeby uderzyć Jerry'ego w głowę, walnęła napastnika w bok głowy. Zachwiał się i padł na ścianę.

Wszyscy trzej mężczyźni przez chwilę warczeli, charczeli i znowu spróbowali zaatakować, ale zanim się zbliżyli do policjantów, przez dziurę w ścianie padły na nich promienie oślepiającego światła. Przez ułamek sekundy agresorzy stali nieruchomo, jakby ich zamurowało. Oczy całej trójki świeciły niczym diamenty. Wyglądali jak postacie na fotografii z fleszem.

– Nie ruszać się! Ani kroku! – rozległ się męski głos.

Trzej policjanci wyznaczeni do pilnowania fabryki wbiegli do tunelu.

– Powiedziałem: nie ruszać się – powtórzył któryś z nich, jednak napastnicy w tym samym momencie rzucili się do ucieczki.

Dwaj funkcjonariusze ruszyli za nimi i po chwili cała grupa zniknęła za załomem muru. Nawet gdy nie było ich już widać, Jerry słyszał nawoływania policjantów i widział poświatę ich mocnych latarek.

Powoli wstał, krzywiąc się z bólu. Dżamila podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku, Jerry? Mam nadzieję, że niczego ci nie złamali.

Pokręcił głową.

– Chyba nie. Będę miał tylko siniaki. Ale cholernie boli. Jeśli przez najbliższe kilka dni trzeba będzie wozić mnie na wózek inwalidzkim, chyba mi nie odmówisz tej przysługi?

– Chociaż raz bądź poważny. Oberwałeś porządnie w plecy.

– Naprawdę?

– Co to były za typy? – zapytał policjant. – Wcześniej ich nie widzieliśmy w pobliżu, a posterunek objeśliśmy o siódmej.

– To dlatego, że nie przyszli tutaj z fabryki – odpowiedział Jerry. – Wybiegli z głębi tunelu. Moim zdaniem tą samą drogą zabrali stąd Bone'a.

– Chodźmy, musisz stąd wyjść, Jerry – postanowiła Dżamila. – Pojedziesz na badania do szpitala Świętego Jerzego. Musimy się upewnić, że nie połamali ci kości ani nie uszkodzili żadnych narządów wewnętrznych.

– Dobrze. A mogłabyś to podnieść? – Jerry wskazał młotek, który wyrwał z ręki napastnikowi. – To idealny dowód przestępstwa.

Dżamila podniosła młotek i uważnie się mu przyjrzała. Miał z jednej strony kwadratową powierzchnię do wbijania gwoździ, a z drugiej ostrą krawędź. Podobnym narzędziem ktoś rozbił czaszkę posterunkowemu Malikowi.

– Cholera jasna. – Policjant westchnął. – Miała pani szczęście, że łotr nie uderzył tym pani w głowę.

Jerry z trudem postąpił krok do przodu i znowu zrobił krzywą minę.

– To nie ma nic wspólnego ze szczęściem, mój drogi. Pani sierżant posiada czarny pas w krav madze i dlatego poradziła sobie w tej sytuacji.

Edward i John starali się czuwać, lecz obaj ponownie zapadli w sen – starszy chłopiec usnął pierwszy, a młodszy kilka minut po nim. Wkrótce do pokoju wszedł Faust. Przyglądał się im przez kilka chwil z niemal ojcowską miną, ale zaraz z innego pokoju zawołała go Hedda drżącym, piskliwym głosem i zostawił chłopców.

Edward śnił, że idzie z ojcem przez pole na zboczu wysokiego pagórka. Wiał silny wiatr, nad ich głowami kłębiły się wielkie białe cumulusy, a osty wśród traw kłaniały się im energicznie, co przywodziło na myśl tłumy potakujących ludzi. Przez ten szum Edward nie słyszał jednak, co mówi do niego ojciec.

Granice pola wyznaczała wąska droga z żywopłotem z ciemnych cisów po obu stronach. Za żywopłotem strzelały w górę pomarańczowe płomienie. Kiedy Edward z ojcem podeszli tam, zobaczyli, że płonie samochód.

– Tato! Tato! Auto się pali!

Ojciec popatrzył na syna z góry. Na tle nieba Edward widział jedynie zarys jego twarzy, nie mógł więc dojrzeć, czy ma poważną minę, czy się uśmiecha.

– Wiem, Teddy. To mój samochód. A ja jestem w środku.

– Co? Jak to możliwe? Przecież jesteś tutaj!

– Tak, Teddy. Ale to jest terazniejszość, a tamto to przeszłość. Nie żyję, Teddy. Spłonąłem. Lecz to wcale nie oznacza, że nie możemy chodzić razem na spacer, tak jak kiedyś.

Edward wydał okrzyk zdumienia i obudził się. Zamrugał i popatrzył na Johna, który leżał obok niego, a następnie uniósł się na łokciu i rozejrzał po pokoju. Mężczyzna z głową kozła nadal się w niego wpatrywał, a szkielety wciąż były przybite do ściany naprzeciwko.

Patrząc na wizerunek pana, Edward lekko pochylił głowę i cicho warknął, oddając mu w ten sposób szacunek. Chociaż nie znał jego imienia, instykt podpowiadał mu, że jest on królem wszystkiego. Panem tego i tamtego świata. Edward w jakiś sposób wiedział, kim jest ten mężczyzna i skąd przybył. Powstał z ciemności rozciągającej się pod stopami ludzi. Z mrocznego chaosu.

Z całkowitą obojętnością popatrzył na szczątki, nie był ich widokiem wstrząśnięty ani nie czuł wstrętu. W końcu były to tylko kości, tak samo zwyczajne jak te, które pozostają po zjedzeniu kurczaka. Ramiona i dłonie były niektnięte, a palce zakrzywione, oboje byli rozpostarci na ścianie, oddając hołd panu, dokładnie w taki sposób, jak powinni.

Wciąż nie był pewien, kim jest chłopiec leżący obok niego. Faust zapewnił go, że to jego „brat”, a chociaż nie potrafił pojąć znaczenia tego słowa, z pewnym zdziwieniem poczuł, że powinien się nim opiekować. Wiedział, że ma on na imię Sek, ale to było wszystko. Wiedział też, że jego samego zwą Erst, ale poza tym także o sobie nie wiedział więcej. Nie miał pojęcia, jak się tutaj znaleźli razem z Sekiem, kim jest Faust, nie rozumiał też, dlaczego Hedda wydawała się tak rozpromieniona, kiedy na nich patrzyła. Mimowolnie zadrżał, kiedy o niej pomyślał. Przemawiała do chłopców serdecznie jak matka, ale była zbyt ogromna, jej opiekuńczość zdawała mu się dziwnie groźna, a jej zapach go wręcz zatykał.

Stanął i jeszcze raz pokłonił się wizerunkowi, po czym podszedł do okna. Z fascynacją obserwował, jak krople deszczu rozpryskują się na szkło. Nie mógł uwierzyć, że woda po prostu utrzymuje się w powietrzu, chociaż przekonał się już, że powietrze w oknie jest twarde jak skała.

Na ulicy w dole ludzie śpieszyli w różnych kierunkach, trzymając nad głowami kolorowe grzyby, natomiast znacznie szybciej sunęły po ziemi małe pudełka. Poza tym ludźmi wypełniały się, jedno po drugim, znacznie większe czerwone pudła. Widok ten intrygował Edwarda, a zarazem wprawiał w osłupienie. Co oni wszyscy robili i dokąd zmierzali? Nikt z nikim nie walczył, ludzie nie mieli żadnej broni, najwyżej te kolorowe grzyby. Nikt nie miał żadnego zwierzęcia; Edward dostrzegł jedynie kilka psów. Nie widział krów, kóz ani owiec.

Stał przy oknie dłuższy czas, stopniowo jednak jego koncentracja na tym, co widział, słabła; zaczął rozmyślać o bursztynowym płynie, który Faust kazał wypić jemu i Sekowi. Nie pamiętał momentu, w którym wykonali polecenie Fausta, ale teraz obliznął usta i poczuł utrzymujący się na wargach smak. Nie był spragniony. Przypomniał sobie, że płyn wywołał swędzenie w nadgarstkach i ramionach, jakby pod rękawy dostały mu się całe zastępy czerwonych mrówek. Może gdyby wypił więcej, skóra nie byłaby tak podrażniona?

Poza tym zrobiło mu się zimno i wstrząsnęły nim lekkie dreszcze. Może gdyby znalazł Fausta, zdołałby go namówić, żeby podał mu jeszcze jeden kubek płynu? Odwrócił się i zobaczył, że za jego plecami stoi Sek. Wyglądał żałośnie w piżamie w czerwone paski. On także drżał, nawet gwałtowniej, a jego twarz była blada.

– Muszę wypić więcej tego płynu – odezwał się wysokim, ochryplym pomrukiem.

Erst podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu. Gest ten wydał mu się bardzo naturalny, jakby znał chłopca od zawsze.

– Ja też tego potrzebuję – odparł. – Chodźmy poszukać Fausta.

Skierowali się do drzwi, ale zanim do nich dotarli, z drugiej strony otworzył je Faust. Wszedł do pokoju w towarzystwie dwóch młodszych mężczyzn.

– Ach! Jak dobrze! Cieszę się, że wstaliście. Na to liczyłem. Nadszedł czas posiłku!

– Masz może jeszcze trochę tego napoju? – zapytał Erst.

Faust posłał mu dziwne, chytre spojrzenie.

– Chodzi ci o ten, który uważałeś za truciznę?

– Ale to nie jest trucizna, prawda?

– Chcesz wypić więcej?

– Obaj nie czujemy się dobrze... jest nam zimno, swędzi nas skóra i mamy dreszcze.

Faust popatrzył na swoich kompanów. Wykrzywili się w uśmiechu, jakby doskonale wiedzieli, dlaczego chłopcy czują się tak źle.

– Zejdźmy więc – powiedział Faust. – Będziecie mogli napełnić brzuchy jedzeniem i popić napojem, który tak wam zasmakował. Przy okazji, on ma swoją nazwę. Nazywamy go niebiańską rosą. Zapewne dlatego, że kiedyś spadł prosto z nieba.

Erst nie nadążał za słowami Fausta. Część jego pomruków była zbyt skomplikowana. Zrozumiał jednak, że razem z Sekiem mogą pójść coś zjeść i, co ważniejsze, wkrótce będzie mógł znowu napić się bursztynowego płynu. Zaszczekał zębami i odruchowo podrapał wierzchy dłoni.

– Musimy też znaleźć wam coś ciepłego do ubrania – dodał Faust i wyprowadził chłopców na korytarz. – Są miejsca, gdzie ludzie zostawiają dziecięce ubrania pod drzwiami. Poślę Copfa i Fleckera, żeby coś dla was upolowali. Wkrótce będzie zimno, a nie możemy palić ognia w każdym pokoju, żeby nie zobaczyli go obcy.

Z tego, jak Faust poklepał młodszych mężczyzn po ramionach, Erst wywnioskował, że Copf to ten z fryzurą na Mohikanina, a Flecker ma włosy podobne do szczurzej sierści. Ten drugi uśmiechnął się do niego – brakowało mu dwóch przednich zębów – i wysunął czubek języka, jakby chciał powiedzieć „mniam, mniam!”.

Wyszli na klatkę schodową, którą Ersta i Seka tutaj przyniesiono. Budynek rozbrzmiewał odgłosami uderzeń, pomruków i charkotu, a także dziwnych nieartykułowanych wrzasków, jakby mieściła się tutaj cała menażeria zaniepokojonych zwierząt. Kiedy zeszli na parter, Faust poprowadził ich przez obszerny hol. Szli po wyblakłym, niebieskim dywanie i przez podwójne wahadłowe drzwi wkroczyli do kolejnego pomieszczenia.

Zostali wprowadzeni do dużej kuchni, pełnej dymu i rozbrzmiewającej wybuchami niemal histerycznego śmiechu. Wzdłuż ścian ciągnęły się blaty z nierdzewnej stali, nad którymi wisały dziesiątki rondli. Drzwi sześciu pieców były szeroko otwarte, płonęły w nich ciasno upchnięte brykiety węgla drzewnego, dlatego było tu niemiłosiernie gorąco. Na środku stał długi, stalowy stół, a wokół niego zgromadzili się ludzie, których chłopcy spotkali już w pokoju na górze. Wszyscy wykrzykiwali, warczeli, śmiali się i rozrywali rękami półcie pieczonego mięsa zalegającego na stole. W piecach piekli także kapustę, brukiew i ziemniaki, tak długo, aż zrobiły się czarne.

U szczytu stołu siedziała Hedda, tradycyjnie w dwóch kapeluszach o szerokich rondach. W obu rękach trzymała po kości z ludzkiej nogi i zniszczonymi zębami obgryzała z nich ostatnie skrawki mięsa.

– Moje nowe dzieci! – zaskrzeczała, uderzając kością w stół. – Przyrowadź je tutaj, Fauście. Niech usiądą obok mnie, to je nakarmię!

Mężczyzna przepchnął Ersta i Seka przez tłum, a tymczasem Copf i Flecker wyciągnęli nie wiadomo skąd składane krzesła i rozłożyli je dla chłopców. Usiedli niepewnie po obu stronach Heddy, a ona poklepała każdego po głowie.

– Moje nowe dzieci! Spędzimy razem ekscytujące chwile! Ale będzie pościg! Nigdy dotąd nie ścigaliście ofiar, prawda, kochani?

Erst nie wiedział, o czym ona mówi, ale i tak pokręcił głową. Sek wpatrywał się w posadzkę. Dłonie zaciskał na kolanach, drżał.

Faust pochylił się nad uchem Heddy i złożył dłonie przy ustach, tak żeby usłyszała go mimo hałasu.

– Potrzebują niebiańskiej rosy. Pamiętaj, że to był ich pierwszy raz, a są bardzo młodzi.

Hedda chwyciła policzek Seka palcami w czarnej rękawiczce.

– Oczywiście! Nic dziwnego, że są tacy bladzi! Moje biedactwa. Sclavin! Sclavin! Przynieś dwa kubki niebiańskiej rosy dla moich dzieci. I pośpiesz się!

Tuż za jej plecami stała dziewczynka w wieku piętnastu albo szesnastu lat. Miała kręcone, jasne włosy związane w długie kiki szmatkami zamiast wstążek, różową kurtkę z kapturem spoczywającym swobodnie na plecach, upstrzoną plamami i po prostu brudną, oraz szare, wełniane rajstopy z wielkimi dziurami na kolanach.

– Tak, Heddo – odpowiedziała cichym, zduszonym warknięciem. – Już idę!

Przebijając się przez tłum, wyszła z kuchni. Hedda wyciągnęła ze sterty na stole kawał czerwonego mięsa, przypieczonego tylko z jednej strony, w kształcie dużej, podłużnej papryki. Najpierw przytrzymała mięso przed Sekiem, ale on wciąż miał opuszczoną głowę i nawet nie spojrzał na nie, podsunęła je więc Erstowi, niemal dotykając nim czubka jego nosa.

– Wiesz, co to jest, mały Erście?

Znowu pokręcił głową. Tak mocno swędziała go skóra, że już nie był w stanie siedzieć spokojnie. Miał ochotę rozerwać pizamę i drapać się po całym ciele.

– To serce kobiety – wyjaśniła Hedda, wpatrując się w niego bladymi, nieruchomymi oczami. Źrenice miała niemal żółte, przypominały pomarszczony ser. – Ono trzymało ją przy życiu. Dzięki niemu kochała swojego mężczyznę. Dzięki niemu była odważna, ale także słaba.



Erst zauważył, że Hedda ma duży pieprzyk nad górną wargą, i już nie potrafił oderwać od niego wzroku. Nie mógł zrozumieć, co kobieta chce mu przekazać, lecz w gruncie rzeczy wcale jej nie słuchał. Całą uwagę skupiał na pieprzyku.

Sclavin wróciła, niosąc szklaną butelkę i plastikowe kubki. Na policzku miała czerwony ślad, jakby ktoś ją uderzył.

– Dla niego najpierw – zarządziła Hedda i dziewczynka nalała Sekowi pełen kubek bursztynowego płynu.

Pił z taką zachłannością, że kobieta musiała przytrzymać naczynie, w przeciwnym wypadku rozlałby połowę zawartości. Kiedy skończył, wyprostował się na krześle, popatrzył na Ersta i oblizła usta.

Sclavin napełniła drugi kubek dla starszego chłopca. Uniósł go drżącymi rękami i wypił wszystko. Kiedy skończył, ogarnęła go fala ogromnej ulgi, a dokuczliwe swędzenie ograniczyło się do lekkiego mrowienia. Stopniowo zupełnie ustąpiło.

– No i proszę. – Hedda znowu poklepała go po głowie. – Czujesz się lepiej? Już nie swędzi?

Pokiwał głową. To dziwne, ale teraz, kiedy swędzenie ustąpiło, lepiej rozumiał Hedde. A także słowa, które wykrzykiwali ludzie przy stole, rozrywając żeberka, łopatki i niedopieczony warzywa. Mężczyźni przechwalali się, co zrobią z kobietami, kiedy w nocy wrócą z polowania.

– Weźmiesz do gęby całego – charczał jeden z nich. – Do samych jajec.

Hedda, wciąż trzymając serce, skinęła na Ersta. Było to serce Cathy.

– Masz – powiedziała. – Gryź. Jest trochę twarde, ale na pewno będzie ci smakowało.

Uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

Mina Heddy nagle się zmieniła, podobnie jak ton głosu.

– Powiedziałam gryź! Nigdy mi się nie sprzeciwiaj. Nigdy! To pierwsza rzecz, jakiej się musisz nauczyć. Jestem matką, która przemawia w imieniu pana. – Zamilkła, zaciskając palce na sercu w taki sposób, że sprawiało wrażenie żywego. Sok przeciekał jej między palcami i krople kapąły na stół. – Jeśli będziesz mi się sprzeciwiał, mały nędzaru, i nie ugryziesz tego, nie zawaham się wydrzeć ci serca i nakarmić nim twojego brata. Jestem pewna, że on nie stawi oporu.

Uniosła narząd do ust Ersta, wciąż zaciskając na nim dłoń. Jej ręka znieruchomiała, a gdy zgromadzeni w kuchni zobaczyli, co się dzieje, nagle ucichli.

Erst popatrzył na Seka, a ten pokiwał głową. Chłopiec wgrzył się w mięsień sercowy, po czym przekręcił głowę, żeby oderwać kęs, i zaczął przeżuwać. Przez dłuższą chwilę miażdżył mięso zębami, jednak nie czuł żadnego smaku. Hedda uważnie go obserwowała, wydając krótkie, zachęcające pomruki, a on miał wrażenie, że gryzie kawałek szklanego tornistra.

W końcu zdołał przełknąć, chociaż prawie się udławił. Hedda nalała pół kubka niebiańskiej rosy i podała mu.

– Masz – powiedziała, a Erst wypił z wdzięcznością. – Jesteś dzielnym chłopcem. A od teraz moim synem. I tylko moim.

Młoda kobieta o kędzierzawych włosach, siedząca obok Heddy, oderwała kawałki mięsa ze sterty na stole, po czym podała Erstowi i Sekowi. Dodała przypalone liście kapusty. Przełknąwszy kęs gumowatego serca, Erst nie miał ochoty na więcej, ale kiedy ugryził mięso z piersi o chrupiącej skórce, pokryte warstwą zakrzepłego tłuszczu, doszedł do wniosku, że jest miękkie i ma doskonały smak. Przypominało wędzoną szynkę, tyle że aromat był intensywniejszy. Na jednym z kawałków, które podała mu kobieta, znajdował się sutek i sterczały z niego włoski, ale kiedy jej wyrwał, sutek smakował jeszcze lepiej, niżym wisienka maraskino na torcie.

Sek prawie się nie odzywał, tak był zaabsorbowany pochłanianiem podłużnego kawałka mięsa, smażonego tak długo, że pokryło się bąblami, które pękały, gdy tylko dotykał ich zębami.

Kiedy chłopcy się najedli, Faust, Copf i Flecker zaprowadzili ich na pierwsze piętro. Weszli do ogromnego, mrocznego pomieszczenia. Pod jedną ze ścian w wysokiej stercie piętrzyły się krzesła, wzdłuż kolejnej ustawiono scenę. Na dywanie pośrodku siedziały ze skrzyżowanymi nogami dwie kobiety i oglądały właśnie uszyte ubrania. Kilku mężczyzn paliło ogień w metalowych wiadrach. Inni nieśpiesznie malowali na odsłoniętej ścianie wizerunki psów, kotów i ptaków, a także dziwne pomarańczowe stwory, trochę przypominające demony, z nietoperzymi skrzydłami i wybałuszonymi oczami.

– Wszyscy muszą pracować – powiedział Faust. – Dzisiaj ruszamy na polowanie, wszyscy muszą więc być gotowi.

– My też musimy pracować? – zapytał Erst.

Mężczyzna poprowadził ich do grupy kobiet siedzących w szerokim kręgu. Miały owinięte wokół łokci sznury, które następnie wiązały razem i splatały.

– Dzisiaj możecie pomóc tym kobietom. Jutro mężczyźni wyprowadzą was na zewnątrz i pokażą wam, jak zdobywać wszystko, czego potrzebujemy, poza ofiarami.

Dwie kobiety przesunęły się, dzięki czemu Erst i Sek mogli usiąść w ich kręgu. Faust poklepał chłopców po ramionach i wymruczał:

– Do zobaczenia. O sódmej porze ciemności wyruszmy na polowanie.

Kobiety uśmiechnęły się do Ersta i Seka, poza jedną starszą, która sprawiała wrażenie, jakby radość nie miała do niej przystępu. Było ich siedem, w różnym wieku. Wśród nich dwie śliczne, czarnoskóre dziewczyny w lśniących

kurtkach z kapturami, wyglądające na bliźniaczki, piersiasta, młoda kobieta, która prawdopodobnie umalowała oczy czarnym mazakiem, oraz drobna kobietka w średnim wieku, w wypłowiałej, brązowej sukni, przypominająca Erstowi pewną panią, którą znał już wcześniej.

– To bardzo prosta praca – odezwała się pulchna kobieta w znoszonym, białym golfie.

Dała chłopcom po naręczu wytłuszczonych sznurków, o długości mniej więcej metra. Wzięła też trochę dla siebie, związała je na jednym końcu i zaczęła pleść z nich grubą linę. Pośrodku umieściła duży węzeł. Kiedy skończyła, podniosła swoje dzieło, aby Erst i Sek mogli zobaczyć efekt jej pracy.

– Co to jest? – zapytał młodszy, marszcząc czoło.

Kobieta pochyliła się, owinęła liną jego szyję i zacisnęła ją jak garotę. Pociągnęła mocno za oba końce i chłopiec zaczął się dusić.

– Widzisz? To się przyda na polowaniu.

Dżamila i Jerry musieli czekać ponad godzinę na oddziale ratunkowym szpitala Świętego Jerzego, zanim Jerry zdołał wreszcie wejść do gabinetu lekarskiego. Nalegał, żeby Dżamila zostawiła go samego, bo doskonale wiedział, że dziewczyna ma ochotę pojechać do swojego mieszkania w Redbridge i się przebrać, ona jednak uparła się, że z nim zostanie.

– Jerry, muszę mieć absolutną pewność, że nadajesz się do dalszej służby.

– Naprawdę, pani sierżant? A ja myślałem, że bardziej ci zależy na tej filiżance kawy, którą możesz teraz wypić, i godzinie spokoju na przeczytanie świeżego egzemplarza „Hello!”.

W końcu przyjęła go przepracowana lekarka o rzadkich, rudych włosach. Poprosiła, żeby zdjął koszulę, ponieważ musiała sprawdzić stan jego kręgosłupa. Dotykała go, uciskała, masowała, a każdy jej dotyk sprawiał mu taki ból, że Jerry mimowolnie wstrzymywał oddech.

W końcu kobieta powiedziała:

– Ma pan bolesne stłuczenie, jednak nic nie pękło ani się nie przemieściło. Na razie zapiszę ibuprofen, lecz jeśli w ciągu najbliższego tygodnia ból będzie się nasilał, powinien pan pójść do lekarza rodzinnego. Złapał pan tę osobę?

– Kiedy dopadnę tego łotra, strzaskam mu kolana, może mi pani wierzyć.

– Kiedy zdoła go pan aresztować, niech pan zwalczy pokusę, aby zrobić mu krzywdę. Widzi pan, jaki tu mamy ruch. Nie potrzebujemy dodatkowego pacjenta, niezależnie od tego, co panu zrobił.

Jerry zawiózł Dżamilę na Tooting Broadway, żeby złapała metro do Redbridge, a sam wrócił na komisariat. Jeżozwierz znalazł w gabinecie. Akurat rozmawiał z kimś przez telefon, krążąc od ściany do ściany.

– Dobrze, dziękuję, tak – powiedział i rozłączył się. Po chwili rzucił: – Jerry! Słyszałem, co się przytrafiło tobie i sierżant Patel. Jesteś cały?

– Trochę posiniaczony i obolały, ale będę żył. Co masz na tapecie?

Jeżozwierz machnął telefonem.

– Rozmawiałem z recepcją ostatniego hotelu sieci Solace. W Londynie i okolicach jest ich dziewięć. Według menedżerów goście kradną wszystko, co nie jest przytwierdzone na stałe: ręczniki, szlafroki, nawet poduszki. Zdarzają się i tacy, co wynoszą telewizory. Szczerze mówiąc, stary, nie wiem, dlaczego nie nazywają klientów „łodziejaskami” zamiast „gośćmi”. Żaden hotel nie stracił jednak jedenastu ręczników w tym samym dniu.

– Och, jasne. Może zabierano tylko po kilka? A może wyciągnięto je z hotelowego prania?

– Pomyślałem o tym i skontaktowałem się z pralnią SunFresh w Wallington. To oni piorą pościele i ręczniki z Solace. Dowiedziałem się, że ich system jest całkowicie bezpieczny i zasadniczo nic u nich nie ginie. Może się zdarzyć, że znikną jakieś powłoczki, ale nie aż tyle ręczników naraz.

Jerry usiadł przy swoim biurku, skrzywił się z bólu i po chwili włączył komputer. Zaczął przeglądać biuletyny policyjne z informacjami o niedawno zaginionych osobach, mając nadzieję natrafić na raport o jednoczesnym zniknięciu czternastu dorosłych kobiet i mężczyzn.

Przed dwoma dniami osiemdziesięciosiedmioletni mężczyzna, cierpiący na demencję, wyszedł z domu w Streatham, żeby kupić jedzenie dla kota, i od tej pory nikt go nie widział, był jednak na liście jedyną osobą w podeszłym wieku. Poza tym minionego popołudnia młode małżeństwo wyszło z kościoła Świętego Anzelma w Kennington i później nikt już ich nie spotkał. Zostawili na kościelnym parkingu samochód z drzwiami pootwieranymi na oścież. Zaginęli także dwaj chłopcy z obozu skautów, bracia w wieku ośmiu i dziesięciu lat. Zniknęli w nocy z namiotów w South London Scout Centre. Zabrali ze sobą śpiwory, a namioty pozostawili w strzepach.

Zaginięcia młodego małżeństwa i dwóch skautów potraktowano jako prawdopodobne porwania, chociaż w żadnym z tych przypadków nie pojawiły się żądania okupu.

– A co słyhać w grupie, która szuka posterunkowego Bone’a? – Jerry zapytał Jeżozwierza. – Mamy od nich jakieś nowe informacje? Ten technik, który jest miłośnikiem transportu szynowego, jak mu tam, Simon. Twierdził, że zna kogoś, kto dysponuje mapami tuneli metra wydrążonych w czasach wiktoriańskich, nigdy nieoddanych do użytku.

– Mapy mogą się nam przydać. Ale do tej pory nie natrafiono na żaden ślad Bone’a.

– Biedak. Zaledwie przed kilkoma miesiącami pochował żonę.

Jerry wstał, by zejść na parter do kantyny, kiedy zaterkotał jego komputer. Za pośrednictwem Skype’a łączył się z nim Tosh Brinkley z laboratorium kryminalistycznego policji londyńskiej w Lambeth Road. Tosh siedział na swoim stanowisku, obok niego palił się palnik Bunsena, a na blacie leżała niedojedzona bułka z kiełbasą.

– Jerry? Cieszę się, że cię złapałem. Mam kilka nowych informacji.

– To dobrze. A masz może jakieś typy na wyścigi konne w Cheltenham? Za każdym razem, kiedy stawiam, mój faworyt już po pierwszych dwustu metrach odstaje od reszty stawki.

– Spróbuj obstawić Minstrela. Zidentyfikowałem odciętą rękę. Jak również osobę, która ją ugryzła.

– Żartujesz!

– Nie, stary. Takie cuda uzyskuje się dzięki badaniom DNA. Ręka niewątpliwie należy do posterunkowego Nathana Bone’a. Została odrąbana maczetą lub czymś podobnym. Weryfikacja była możliwa dzięki włosom, które pobraliśmy z jego czapki. A osoba, która go ugryzła, zostawiła wyraźne ślady zębów i, co ważniejsze, kropelki śliny.

– Wiesz co, Tosh? Chwilami sam nie wiem, czy zazdrościć ci twojej roboty, czy nie. Ciebie przynajmniej nikt nie próbuje wałnąć w łeb prętem z rusztowania, jak mnie kilka godzin temu.

– Tak, słyszałem od Jeżozwierz, że znowu brałeś udział w bijatyce. Mam nadzieję, że nic poważnego ci się nie stało. Dobry Boże... Pozwól jednak, że powiem ci o tej ślinie. Pasuje do notorycznego przestępcy o nazwisku Connor Greene. Mnóstwo razy zatrzymywaliśmy go za drobne kradzieże w sklepach, włamania i kradzieże pojazdów, głównie motorowerów. Facet jest bezdomny, sypia w różnych miejscach pomiędzy Lambeth a Kennington, a w lutym spędził także kilka nocy w schronisku Thames Reach.

Tosh przybliżył do kamery fotografię mężczyzny przed trzydziestką, o ogolonej głowie, lekko wypukłych, niebieskich oczach i zapadniętych policzkach.

– Odsiedział też kilka krótkich wyroków w Wandsworth. Z jego akt dowiedziałem się, że ma niski iloraz inteligencji. W więzieniu zachowywał się stosunkowo dobrze i za każdym razem zwalniano go przedterminowo.

– Skoro facet zachowuje się stosunkowo dobrze, to jak to się stało, że porwał posterunkowego, odciął mu rękę, a potem ją pogryzł? A może to on zabił Malika? Ktokolwiek to zrobił, jest totalnym wariatem.

– Łagodnie rzecz ujmując. Ja bym powiedział, że to robota skończonego psychola. Ten młotek do betonu przyniesiono do laboratorium dopiero pół godziny temu. Mamy uzyskać z niego odciski palców i ślady DNA. Dopiero za godzinę lub dwie powiemy ci, czy to Greene zabił Malika.

– Doskonale. Jeśli tak, będziemy musieli już tylko znaleźć gnoja.

– Mam jeszcze jedną nową informację – kontynuował Tosh. – Dzisiaj rano przekazała ją doktor Sylvia Wardle. Jest bez wątpienia jednym z naszych najlepszych chemików. Analizowała próbki farby z rysunku na ścianie tunelu.

– Chodzi ci o wizerunek tego diabła czy co to w ogóle jest?

– Właśnie. Faceta z głową kozła. Według Sylvii farbę wyprodukowała niemiecka firma Spektrum, ciesząca się sławą producenta jednych z najlepszych farb olejnych na rynku. Ale istotne jest to, że obecnie w Wielkiej Brytanii sprzedawana jest wyłącznie w punktach WH Smith. Sieć kupiła mnóstwo zestawów prezentowych z tą farbą po preferencyjnej cenie, już z myślą o tegorocznych świętach Bożego Narodzenia.

Jerry zmarszczył czoło.

– Farba olejna Spektrum? To przecież jeden z łupów, który chciał wynieść ten wielki, śmierdzący przebieraniec z WH Smith w Tandem Centre.

– Właśnie – przyznał Tosh. – Zdjęliśmy odciski palców z kilku pudełek i porównaliśmy je z odciskami na jego nożu. Dlatego pomyślałem, że powinienem ci o tym powiedzieć.

– Menedżer mówił mi, że takie same zestawy prezentowe skradziono już jakieś trzy tygodnie temu. Zastanawiam się, czy istnieje związek pomiędzy tymi zdarzeniami. Widzisz... może ten wielki, śmierdzący przebieraniec jest członkiem jakiejś sekty zabijającej ludzi, a potem piekącej ciała? Ci trzej, którzy zaatakowali sierżant Patel i mnie... wyglądali, jakby celem ich życia było zarastanie brudem.

– Może powinieneś z tym śmierdzielem porozmawiać?

– Próbowałem, ale do tej pory nie puścił pary z gęby. Dzisiaj mają go wziąć w obroty psychiatrzy i zdecydować, czy facet może odpowiadać przed sądem. Jeśli uznają, że nic z tego, pewnie wyślą go do Broadmoor.

– Nigdy nic nie wiadomo. Czasami psychole nagle nabierają ochoty na przechwalanie się swoimi wyczynami. Powiedz mu, że jest największym malarzem od czasów Leonarda da Vinci. Może to go skłoni do wyznań?

Kiedy Jerry zszedł do aresztu, natrafił na sierżanta Bristowa rozmawiającego z doktor Helen Masefield, psychologą więzienną. Na miejscu byli już także sierżant Miller oraz krzepki funkcjonariusz. Bez wątpienia zostali wezwani w celu zapewnienia wszystkim większego bezpieczeństwa podczas kontaktu z więźniem.

Jerry już kilkakrotnie w przeszłości pracował z doktor Masefield w sytuacjach, kiedy było oczywiste, że przestępca cierpią na zaburzenia psychiczne. Przed rokiem pomogła mu wydobyć zeznanie od Pakistańczyka, który wyrzucił żonę i troje dzieci z balkonu na piątym piętrze, ponieważ wierzył, że rodzinę opętał duch jego zmarłego wujka.

Doktor Masefield była drobna, miała niewiele ponad sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu, bujne, kasztanowe włosy i szeroko rozstawione oczy. Zazwyczaj nosiła eleganckie, szare marynarki. Zawsze przywodziła Jerry’emu na myśl Jackie Kennedy, mimo że mówiła z wyraźnym północnym akcentem.

– Ach, Jerry! Jak postępują badania w Lambeth w związku z naszą sprawą? – zapytał sierżant Bristow. – Znasz doktor Masefield, prawda?

Na co dzień Bristow używał nieformalnych określeń na poważne śledztwa, takich jak „katalityczny złodziejski przekręt” albo „napad z użyciem kawałka metalu”. W tym wypadku śledztwo dotyczyło według niego „uczty kaniabali”, jednak Scotland Yard nałożył embargo na wszelkie szczegóły. Dmuchali na zimne, bo nawet jedno nieopatrzne słowo mogłoby wywołać dziennikarskie spekulacje, że ktoś morduje ludzi, żeby później ich zjadać.

– Jesteśmy na samym początku, sierżancie – odparł Jerry. – Na początku.

– Posterunkowy Pardoe... miło pana widzieć – odezwała się doktor Masefield. – Sierżant Bristow poinformował mnie, że to pan aresztował tego dziwnego przestępcę.

– Aresztowałem go i wypchnięm, specjalnie dla pani. Proszę mi wierzyć, był najbardziej śmierdzącym osobnikiem, jakiego miałem wątpliwą przyjemność wpakować za kratki.

– Według sierżanta nie powiedział ani słowa.

– Nie. Nic z niego nie wyciągnęłam. Jednak technicy właśnie mnie uświadomili, że zapewne istnieje związek pomiędzy nim a śledztwem, które prowadzi razem z sierżantem Patel. Właśnie dlatego jestem tutaj po raz kolejny. Spróbuję jeszcze raz nakłonić go, żeby coś powiedział. Wydaje się, że próbował ukraść identyczną farbę, jakiej używała zgraja, którą próbujemy dopaść.

– Słucham? Mówi pan o jakiejś farbie? A co, do diabła, ta zgraja robiła z farbą?

– Malowała na ścianie podziemnego tunelu postać diabła naturalnych rozmiarów. Zakładamy, że chodzi tutaj o swoisty kult religijny.

– Dzisiaj rano dostałem polecenie, żeby przesłuchać tego King Konga w celu określenia, czy można go postawić przed sądem – powiedział sierżant Bristow.

– No i?

– Wciąż nie chce albo nie może mówić. Za to już od śniadania zachowuje się agresywnie i z każdą chwilą jest gorzej. Wyrzygał owsiankę, poci się jak świnia i trzęsie jak opętany. Między innymi dlatego zaprosiliśmy doktor Masefield.

– Przed chwilą byłem w jego celi – wtrąciła się pani doktor. – Odwrócił na chwilę głowę i na mnie popatrzył, jest więc świadomy. Ale wciąż ma drgawki i dokucza mu ból. Moim zdaniem cierpi na ostry zespół odstawienia opioidów.

– Uważa pani, że brakuje mu narkotyków? Może więc tą drogą pójdziemy, skoro chcemy, żeby nam coś powiedział? Przypuśćmy, że pomachamy mu przed nosem strzykawką z heroiną? Czy wtedy się przed nami otworzy?

– Posterunkowy Pardoe, to byłoby absolutnie nieetyczne. Nie mogę na to przystać.

– Nie musiałyby pani o tym wiedzieć. Moje pytanie było wyłącznie teoretyczne. Keith? Mammy chyba jakieś narkotyki w dowodach rzeczowych, co?

– Sugerowałam już sierżantowi Bristowowi, że powinniśmy wezwać lekarza, który podałyby mu dawkę metadonu. Przynajmniej na pewien czas złagodzilibyśmy symptomy odstawienia.

– Cóż, to pani jest ekspertem w tej dziedzinie. Ale skoro facet jest w stresie, to może uda nam się skłonić go do mówienia, nawet jeśli go nie zmiękczymy dawką twardego narkotyku? Co pani o tym sądzi? Chciałbym go przynajmniej zapytać o ten prymitywny rysunek farbą olejną. Chodzi o to, że jeśli zdołam potwierdzić jego związek z kultem, którym się zajmujemy, zyskam poważny punkt zaczepienia.

– Sądzę, że może pan spróbować. Mimo wszystko potrzebny jest jednak lekarz, a później koniecznie należy odebrać zatrzymanego na szpitalny oddział zamknięty na detoks.

– Przedstawię sprawę doktorowi Lemmonowi – powiedział sierżant Bristow. – Tymczasem możesz go pokusić crackiem, Jerry, ale wątpię, czy coś z niego wydostaniesz. Tylko uważaj, żeby ci nie sprzedał kuksańca jak ostatnim razem, chociaż moim zdaniem gagatek jest obecnie zbyt słaby na taki numer.

Sierżant Miller zajrzał przez judasza do celi, aby się upewnić, że mężczyzna leży na prycy, następnie przekręcił klucz i pchnął drzwi. Krzepki posterunkowy pierwszy wszedł do środka, a Jerry za nim. Doktor Masefield trzymała się w niewielkiej odległości za mężczyznami.

Zatrzymany leżał nieruchomo, odwrócony do nich plecami. Na jego szarych spodniach od dresów widniała ciemna plama w miejscu, które zmoczył, a w celi unosił się kwaśny odór wymiotów.

Jerry stanął nad pryczą i powiedział:

– Halo! Możemy porozmawiać? W szczególności o rysunkach farbą olejną. Słyszysz mnie? O rysunkach! Chciałbym na przykład wiedzieć, czy to ty namalowałeś w tunelu tego dziada z głową kozła?

Mężczyzna warknął, ale się nie poruszył. Drżał i chociaż ręce miał skute kajdankami, starał się ukryć w nich twarz.

– Chciałeś ukraść farby z WH Smith? – nie odpuszczał Jerry. – Żeby namalować więcej diabłów? A właściwie kogo przedstawia ten rysunek?

Mężczyzna znowu warknął i zadrżał w niekontrolowanych konwulsjach. Towarzyszący im policjant pochylił się nad nim, położył mu rękę na ramieniu, żeby go odwrócić, ale nagle się wyprostował.

– O co chodzi? – zapytał Jerry.

– To krew.

– Krew? Popatrzmy. Co on sobie zrobił?

Policjant mocno chwycił zatrzymanego za ramię i obrócił go na plecy. Mężczyzna wciąż drżał, nie stawiał oporu. Kiedy Jerry zobaczył jego twarz, jęknął z niedowierzaniem:

– Cholera jasna.

Doktor Masefield wyszeptała:

– O mój Boże!

Mężczyzna wydlubał sobie gałki oczne, które zwisały teraz na policzkach, przekrwione i bez wyrazu, jak u lalki. Jedno oko wpatrywało się w Jerry'ego, a drugie w ścianę.

Twarz i szyja więźnia były zakrwawione. Wyglądało na to, że nie tylko wydlubał sobie oczy, ale także odgryzł spore kęsy mięsa z własnych rąk – w podobny sposób, jak potraktowano rękę posterunkowego Bone'a. Na jego pier-

siach ani na pryczy nie było śladu po odgryzionych kawałkach; Jerry mógł tylko zgadywać, że aresztant je połknął.

– Keith! – krzyknął do dyżurnego sierżanta. – Ściągnij tu ratowników! I to *pronto!* I przynieś kluczyki do tych cholernych kajdanek! I zestaw do pierwszej pomocy!

Spróbował złapać mężczyznę za ramiona, chcąc umożliwić sierżantowi Millerowi rozpięcie kajdanek, aby owinąć zranione ręce bandażami. Aresztant jednak się wyrwał i z taką siłą pociągnął prawą gałkę oczną, że pękł nerw, na którym wisiała. Bez wahania włożył sobie oko do ust i zaczął żuć. Po brodzie pociekł mu przejrzysty płyn, mieszając się z krwią spływającą po policzku.

Jerry i policjant znów spróbowali złapać go za rękę, jednak mężczyzna był zbyt szybki. Oderwał od nerwu lewą gałkę i również włożył do ust. Następnie odwrócił się twarzą do policjantów. Dwa oczodoły były puste. Zwisaly z nich nerwy, podobne do żyłek wędkarskich, a on sam trząsł się jeszcze gwałtowniej. Żuł własne oczy w taki sposób, jakby właśnie odniósł wielki triumf. Patrzcie, oślepiłem się, a wy nie potrafiliście mnie powstrzymać!

Doktor Masfield odezwała się nieswoim głosem:

– W mojej praktyce zawodowej... widziałam, jak ludzie się okaleczają, dźgają, ale jeszcze nigdy... bardzo przepraszam...

Przyłożyła dłoń do ust i wybiegła z celi. W progu zderzyła się z sierżantem Millerem, który niósł zestaw do pierwszej pomocy.

– Przepraszam – powiedział do niej i w tej chwili zobaczył mężczyznę na pryczy. Zdołał jedynie wykrztusić: – Najśłodszy Jezusie, Jerry! Do kurwy nędzy, najśłodszy Jezusie!

Erst i Sek leżeli spokojnie na swoich śpiworach, kiedy do pomieszczenia wszedł Flecker i zawołał:

– Hej, wy! Chodźcie ze mną! Już czas, żebyście się rozruszali.

Erst usiadł.

– Dokąd mamy iść?

– Na łowy. Musimy upolować ofiary. Same na pewno do nas nie przyjdą, musimy opuścić naszą norę i ich poszukać.

Erst popatrzył w okno.

– Przecież już jest ciemno.

– Tym lepiej. Chyba nie chcesz, żeby nas zobaczyli, co?

Sek także usiadł.

– Kiepsko się czuję. Kręci mi się w głowie. Naprawdę muszę iść?

– Poczujesz się gorzej, jeżeli nie pójdziesz – odparł Flecker. Skinął głową w stronę wizerunku mężczyzny z głową kozła. – Kto nie poluje, ten nie je, a jeśli nie je, również nasz pan jest głodny. Uwierz mi, nie chciałbyś go zdenerwować. Mógłby zażądać, żebyś i ty został ofiarą. Chciałbyś, żebyśmy obcięli ci głowę i usmażyli? Chciałbyś, żeby brat zjadł twój mózg?

Erst wstał i odezwał się:

– Chodź, Sek. Powinniśmy pójść.

Wciąż nie miał pojęcia, dlaczego czuje się odpowiedzialny za Seka, wiedział jednak, że nie chce, aby stała mu się jakaś krzywda. I chociaż nie miał większych oporów przed jedzeniem mięsa innych ludzi, to nie chciał znaleźć się w sytuacji, w której musiałby zjeść Seka.

Zeszli po schodach za Fleckerem. Wieczór był chłodny, ale jedna z kobiet dała chłopcom ciepłe ubrania, które mieli włożyć na piżamy. Erst niemal utonął w brązowej puchowej kurtce, za dużej o dwa rozmiary, przez co rękawy wydawały się puste, a Sek włożył zielony, gruby sweter wędkarski, którego golf sięgał mu aż do nosa. Obaj wciąż wciągnęli workowate, znoszone dżinsy o postrzępionych nogawkach i brudne, używane buty sportowe.

Flecker sprowadził ich prosto do piwnicy. Faust, Copf i pozostali mężczyźni już się tam zgromadzili. Wszyscy powarkiwali i szurali nogami. Kilku potrząsało młotkami i kijami do krykieta albo krótkimi prętami, jednak większość wymachiwała tylko wykonanymi ręcznie garotami, które wcześniej Erst i Sek pomagali upleść kobietom.

Piwnica była rzęsiście oświetlona prymitywnymi pochodniami zrobionymi z ciasno splecionych powłoczek nasączonych olejem jadalnym. Na ścianach tańczyły cienie, tak jakby zgromadzonych tutaj zabawiały duchy ich poprzednich wcieleń albo duchy, jakimi sami mieli się stać w przyszłości.

Flecker popchnął chłopców w sam środek tłumu, prosto do Fausta, a ten położył dłonie na ich ramionach i mocno zacisnął palce. Z afektem potrząsnął chłopcami, jakby byli jego ulubionymi zwierzątkami.

– Dzisiaj wieczorem dołączają do nas nowi synowie! – obiecał, a mężczyźni ryknęli z aprobatą.

Erst rozumiał teraz niemal każde słowo Fausta, chociaż niektóre jego emocjonalne warknięcia wciąż brzmiały w jego uszach niczym obcy język, w szczególności kiedy rosła ekscytacja mężczyzny.

– Pokażemy obcym, kto się będzie rozmnażał! Pokażemy im, kto zapanuje nad światem!

Erst nie miał pojęcia, kim są „obcy”, a tymczasem mężczyźni znowu ryknęli, tym razem z agresją. Wreszcie z Faustem na czele oraz z niosącymi pochodnie Fleckerem i Copfem po bokach ruszyli przez piwnicę ku ścianie, w której wybita była wielka dziura. Faust odwrócił się, aby podać rękę Erstowi, a inny mężczyzna podniósł Seka i dzięki temu pokonali stertę gruzu zalegającego pod dziurą.

Po przebyciu mniej więcej kilometra skręcili w lewo, w wąski korytarz o ścianach z cegieł, musieli więc iść jeden za drugim, a Erst zakrył nos i usta rękawem, żeby nie wdychać dymu z pochodni. Wreszcie wszyscy się zatrzymali i Faust przesunął pięć zbitych sztachet, które składały się na prowizoryczne drzwi. Do korytarza wdarło się zza nich słabe światło, a mężczyźni rzucili pochodnie na ziemię i szybko zgasili nogami.

Korytarz łączył się na końcu z głównym tunelem metra. Faust zajrzał do tunelu, trzymając rękę w górze na znak, że mają być cicho, aby mógł słyszeć pociągi.

Po kilku chwilach się odezwał:

– Wszyscy za mną. – Zanim wszedł do tunelu, odwrócił się, popatrzył na Ersta i Seka, po czym dodał: – O tej porze to nie jest bardzo niebezpieczne. W nocy jeździ niewiele pociągów. Cokolwiek jednak będzie się działo, nie dotykajcie torów, w szczególności środkowego i zewnętrznego. Jeśli to zrobicie, zginiecie. Już to przerabialiśmy.

Ruszył przed siebie, a jego buty zachrzęściły na kruszywie. Jedną dłoń przyciskał do ściany po lewej stronie, dla zachowania równowagi i żeby trzymać się w odpowiedniej odległości od torów. Chłopcy szli zaraz za nim. Erst zobaczył, że światło dociera z peronu stacji znajdującej się w odległości mniej więcej pięćdziesięciu metrów. Wkrótce Faust wszedł na peron i chłopcy też się na niego wspięli. Na pociąg czekało tylko kilka osób: trzech młodzi mężczyźni, którzy co chwilę parskali śmiechem i zataczali się, jakby za dużo wypili, oraz dwie kobiety z chustami na głowach,

wglądające na sprzątaczkę wracającą z pracy. Rozejrzawszy się, Erst zobaczył okrągłe tablice na ścianach z nazwą stacji; wiedział, że powinny podpowiedzieć mu, gdzie się znajduje, ale nie potrafił ich odczytać. Podobnie było z plakatami. Pojmował obrazki, lecz nie rozumiał słów.

Pasażerowie na peronie początkowo nie zwrócili uwagi na Fausta i jego towarzyszy, kiedy jednak coraz więcej mężczyzn zaczęło wskakiwać na peron i wszyscy szybkimi krokami zmierzali w ich kierunku, młodzieńcy przestali się śmiać, a kobiety cofnęły się o kilka kroków.

Faust ryknął:

– Kobieta w czerwonym po lewej stronie! Facet w brązowej skórzanej kurtce!

Erst zrozumiał jego wołanie, natomiast w uszach pięciorga pasażerów głos Fausta musiał zabrzmieć jak warczenie wściekłego psa. Jego ludzie ruszyli biegiem i zanim tamci zorientowali się, o co chodzi, jeden z nich zarzucił garotę na szyję wskazanej kobiety, a dwaj inni złapali za ramiona młodego człowieka w brązowej skórzanej kurtce. Trzeci stanął za jego plecami i oplótł mu szyję garotą.

Pozostali młodzieńcy krzyknęli i próbowali odciągnąć ludzi Fausta od swojego przyjaciela, ale szybko zostali brutalnie obezwładnieni i rzucony pod ścianę peronu. Druga kobieta zaczęła wrzeszczeć piskliwym głosem, lecz kolejny człowiek Fausta dwukrotnie uderzył ją otwartą dłonią w twarz, a potem zmusił, żeby położyła się na drewnianej ławce, twarzą w dół.

Faust wskazał tablicę z rozkładem jazdy.

– Spadamy! – warknął. – I to szybko! Za cztery palce przyjedzie następny pociąg i nas zmiążdży!

Uniósł dłoń ze schowanym kciukiem, żeby pokazać towarzyszom, ile zostało im czasu.

Kobieta i młody człowiek, mocno podduszeni, zostali wywleczeni z peronu. Erst i Sek zostali bez opieki, gdyż Flecker i Copf dołączyli do ludzi zajmujących się ofiarami i trzymających na dystans pozostałych pasażerów. Chłopcy mogli jedynie podążać za plecami całej gromady, zdezorientowani i pełni obawy, że za chwilę zostaną zapomniani i porzuceni na pastwę losu.

Przebyli już ponad połowę peronu, kiedy Erst usłyszał, jak ktoś za nim woła:

– Hej, ty! Stój!

Odwrócił się i zobaczył biegnącego w jego kierunku policjanta w żółtej kurtce odbłaskowej. Z trudem utrzymywał na naciągniętej smyczy owczarka alzackiego. Z korytarza wybiegło na peron pięciu kolejnych funkcjonariuszy.

Faust dostrzegł, co się dzieje, i krzyknął:

– Erst! Sek! Szybciej!

Policjant z psem pochylił się, odpiął smycz od obroży i pies natychmiast ruszył za uciekinierami. Szybko złapał zębami rękaw Seka i gwałtownie szarpnął. Chłopiec zachwiał się i przewrócił.

Erst obiema rękami chwycił obrożę i zaczął z całej siły odciągać owczarka od Seka. Pies puścił rękaw i wykręcił głowę, żeby go ugryźć. Erst spróbował odepchnąć zwierzę, jednak owczarek był zbyt silny. Skoczył na niego i przewrócił na beton. Głowa chłopca uderzyła w płytę i na ułamek sekundy stracił przytomność.

Po chwili dotarło do niego, że jeden z policjantów podnosi go na nogi i mocno trzyma za kaptur puchowej kurtki. Przed oczami widział jaskrawe gwiazdki, lecz pomiędzy nimi dostrzegwał, że Seka ratują z opresji dwaj ludzie Fausta. Zrzucili go z peronu prosto w ramiona kolejnego, który stał już w tunelu, i po chwili wszyscy zniknęli w ciemnościach.

Przewodnik psa i pozostali policjanci biegli peronem w tamtą stronę, ale zanim zeskoczyli, funkcjonariusz, który trzymał Ersta, krzyknął:

– Matty! Zostaw ich! Jest ich za dużo, a trakcja jest pod prądem! Wiemy, w którą stronę uciekają, to wystarczy! –

Urwał, żeby złapać oddech i po chwili odezwał się już spokojniej: – Khan, przekaż wiadomość do Oval. Powiedz naszym ludziom, że w ich stronę zmierza banda około dwudziestu dzikusów, więc będą pilnie potrzebowali wsparcia. My zostaniemy tutaj, bo tym łajdakom może jeszcze wpaść do łba, żeby zawrócić! – Odczekał kilka sekund, dopóki się nie upewnił, że jeden z jego ludzi wysłał wiadomość do grupy na stacji Oval. Dopiero wtedy popatrzył na Ersta. – Jestem sierżant Bryan. A ty jak się nazywasz, synku?

Erst go rozumiał, ale kiedy próbował mu odpowiedzieć, okazało się, że jest w stanie tylko warczeć.

– Zapytałem cię o nazwisko – powtórzył policjant. – Kim ty jesteś, jakimś psem?

Erst zamknął oczy, zastanawiając się, czy będzie w stanie wypowiedzieć „Edward”. Wziął głęboki wdech, zacisnął mięśnie gardła, ale zdołał wydobyć z siebie tylko krótkie „Ech”.

– Ech? Co to za imię?

– Dahwoo. Dahwoo! Ech-dahwoo!

– Wiesz co? Zabierzemy cię na dołek i tam spróbujemy z tobą porozmawiać, synku. Bóg jeden wie, co robicie w towarzystwie tej zgrai. – Sierżant odwrócił się do funkcjonariusza stojącego za jego plecami. – Matty... zadzwoń do sierżanta Patel, dobrze? I opisz jej sytuację. Na pewno nas za to pokocha. Smiley mówił, że jeżeli natkniemy się na coś, co mogłoby się wiązać z tą sektą, której ona szuka, mamy ją natychmiast o tym informować, o każdej porze dnia i nocy. A jeśli ta zgraja nie jest jakąś pieprzoną sektą, to naprawdę nie wiem, czym może być. Powiedz jej też, że chłopaka zabierzemy do Tooting i tam możemy się z nią spotkać.

Jego ludzie rozmawiali z kobietą, której koleżankę podduszono garotą i wywleczono z peronu, oraz z dwoma młodymi mężczyznami.



– Kim byli ci ludzie? – pytała kobieta z polskim akcentem, ocierając łzy. – Co oni jej zrobią? Mam nadzieję, że nic złego. Ma na imię Ola, pochodzi z Poznania. Tam mieszka cała jej rodzina. Co ja mam im powiedzieć?

– Nie wiem, kochana – odparł jeden z policjantów. – W gruncie rzeczy jesteśmy tak samo zdezorientowani jak pani. Ci ludzie pojawili się znikąd. Nie wiemy, kim są ani o co im chodzi. Ale proszę się nie martwić. Zrobimy wszystko, żeby odnaleźć pani koleżankę i zwrócić jej wolność. Obiecuję.

Była pierwsza trzydzieści w nocy, kiedy sierżant Bryan i jego ludzie przywieźli Ersta na komisariat w Tooting. Mocno się trząsł i zaczynał odczuwać swędzenie na ramionach i plecach. Gotów byłby oddać wszystko za kubek tej niebiańskiej rosy, którą częstował go Faust.

Zaprowadzono go do recepcji aresztu, gdzie dwaj policjanci ściągnęli z niego puchową kurtkę. Unieśli brwi ze zdziwieniem, kiedy odkryli, że chłopiec ma pod nią i pod dżinsami jedynie piżamę. Przeszukali jego kieszenie, ale nie znaleźli w nich nic poza paczką drażetek Smarties, które dała mu jedna z kobiet.

– Chłopiec nie jest uzbrojony ani niebezpieczny – podsumował jeden z funkcjonariuszy.

Po chwili Erst stanął przed obliczem kolejnego policjanta, który zapytał go o imię i nazwisko, adres zamieszkania i w jaki sposób można skontaktować się z jego rodzicami.

– Ech-dah-woo – zdołał odpowiedzieć.

– Edward? Tak brzmi twoje imię?

Pokiwał głową, drapiąc się po ramionach. Po chwili dodał:

– Bóz autów.

– Bóz autów?

Edward uniósł ręce i nakreślił w powietrzu trójkąt mający symbolizować namiot.

– Bóz autów.

– Ach! Obóz skautów! – zrozumiał sierżant dyżurny. – To musi być jeden z tych chłopaków, którzy zniknęli ze Scout Centre w Dulwich! Stamtąd się wziąłś? Z obozu skautów w Dulwich? Poczekaj chwilę, zaraz dowiemy się o tobie czegoś więcej.

Przez kilkanaście sekund stukał dwoma palcami w klawiaturę komputera. Kiedy skończył, odezwał się:

– No i proszę... Edward i John Willow. Zgłoszono wasze zaginięcie, zniknęliście z South London Scout Centre. To ty, synu? Edward Willow? A gdzie twój brat John?

Edward pokręcił głową. Chciał powiedzieć, że Faust i jego ludzie zabrali Johna z powrotem do tunelu, trząsł się jednak tak gwałtownie, że nie był w stanie się komunikować z policjantami, ani słowami, ani warczeniem. Nagle pociemniało mu w oczach, ugięły się pod nim kolana i tylko dzięki refleksowi policjantów stojących po jego bokach, którzy chwycili go za łokcie, nie upadł na podłogę.

– Połóżcie go na prycze, a ja wezwę ambulans – powiedział sierżant. – Wygląda na to, że chłopak się czegoś naćpał. Cholera jasna, dokąd zmierza ten świat, skoro ćpają już nawet skauci. „Bądź gotów”, tak chyba brzmi ich maksyma, prawda? Bądź gotów, cholera, zaśpiewać kilka pieśni przy ognisku, wypalić zioło i snuć się potem po okolicy jak zombie.

Jeden z policjantów przeniósł Edwarda do pustej celi i położył na pryczy. Nogi i ramiona chłopca były wiotkie jak kończyny dopiero co urodzonej gazeli. Strażnik obserwował, jak policjant ściąga mu z nóg buty i nakrywa go cienkim, brązowym kocem.

– Uważaj na niego, jasne? – poprosił policjant. – Chyba się naćpał, a nie chcemy, żeby poszedł w ślady tego tłustego dziada i wydułbał sobie gały.

Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy Dżamila i Jerry przyjechali na komisariat. Tam dowiedzieli się, że zaledwie przed dwudziestoma minutami ambulans zabrak Edwarda do szpitala Świętego Jerzego.

Sierżant Bryan czekał na nich w kantine nad wczesnym śniadaniem, które składało się z kubka kawy i fasoli z tostem. Był potężnej postury, ostrzyżony na jeża, a oczy miał jak główki gwoździ.

– Jeszcze raz pobieżnie sprawdziliśmy stację Kennington – powiedział. – W sumie niczego szczególnego się nie spodziewaliśmy, dlatego wprost nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom, kiedy na północnym peronie natknęliśmy się na całą zgraję tych łotrów. Spóźniliśmy się jednak, tak że zdążyli porwać kobietę i chłopaka.

– Jeśli nie liczyć chłopca, którego zatrzymaliście, wszyscy uciekli tunelem?

– Postępowaliśmy zgodnie ze stanowczym poleceniem, żeby nie wkraczać do tuneli, kiedy trakcja jest pod napięciem. Skontaktowaliśmy się jednak z oddziałem na stacji Oval. To nasi ludzie stamtąd załatwili odłączenie prądu i natychmiast ruszyli do akcji. Chcieli dopaść przestępców, zanim uciekną z systemu tuneli. Moja grupa pozostała na Kennington, na wypadek gdyby tamci zawrócili.

– Ale oddział z Oval ich nie znalazł?

Sierżant Bryan wzruszył ramionami.

– Nawet śladu po nich. Ale w pościgu nie wzięliśmy pod uwagę pełnej pętli Kennington. To podwójna linia okrężna, która łączy tory południowy i północny, aby pociągi metra jadące z centrum Londynu mogły zawracać w razie potrzeby na Charing Cross. Przypuszczam, że ta zgraja, zamiast podążać tunelem na Oval, pognęła pętlą w kierunku przeciwnym do ruchu pociągów i wyszła z metra z drugiej strony stacji. To wysoce ryzykowna droga ucieczki, szczególnie gdyby natknęli się na pociąg jadący z naprzeciwka, ale wszystko wskazuje na to, że dopisało im szczęście.

– Najwyraźniej mają dobre rozeznanie co do kolei podziemnej – powiedziała Dżamila. – Ilu ich było pańskim zdaniem?

– Powiedziałbym, że od piętnastu do dwudziestu. I dwóch chłopców. Nagrał ich monitoring. Wszyscy wyglądają jak ostatni łachmaniarze.

– Za chwilę podejrzemy do monitorów, żeby się im przyjrzeć – postanowił Jerry. – Wie pan, kogo porwali?

Sierżant Bryan wyciągnął z kieszeni smartfon i przez chwilę szukał notatek.

– Chłopaka o nazwisku Derek Feather. Ma dwadzieścia dwa lata, pracuje w Atlas Travel Agents w Lambeth. A uprowadzona kobieta to Aleksandra Rucińska, lat trzydzieści trzy, zatrudniona w Streatham Office Cleaners. Jest Polką, w Anglii przebywa dopiero od siedmiu miesięcy.

– Poinformowano ich rodziny?

– Rodzina Dereka Feathera już wie o porwaniu. Chłopak mieszka z ciotką i wujkiem w Southwark. Mamy numer telefonu kontaktowego Aleksandry Rucińskiej w Poznaniu i już dzwoniłszy, ale nikt nie odebrał. Zawiadomimy polską ambasadę, kiedy tylko ją otworzą.

– Co z chłopcem?

– W dobrym stanie, chociaż kontakt z nim był znacznie utrudniony. Zidentyfikowaliśmy go jako jednego z dwóch braci, którzy zniknęli z obozu w South London Scout Centre poprzedniej nocy. Ci chłopcy to Edward i John Willow. Poinformowano ich matkę i, o ile mi wiadomo, pojechała już do szpitala Świętego Jerzego.

– Też się tam wybierzemy – stwierdziła Dżamila. – Co mu się stało? Dlaczego utrudniony kontakt? Co mówią medycy?

– Doszli do tego samego wniosku co my. Przedawkował narkotyki. Ma zwężone źrenice, płytki oddech, spowolniony puls oraz wiotkie nogi i ręce.

– Przedawkował? Ile on ma lat?

Sierżant jeszcze raz popatrzył na ekran smartfona.

– Dziesięć. Coraz młodsze dzieciaki sięgają po narkotyki, prawda? Zanim się zorientujemy, będą mieszać fentany z Farley's rusks.

Edward leżał na piętze na oddziale intensywnej opieki medycznej w szpitalu Świętego Jerzego. Matce pozwolono siedzieć przy jego łóżku. Twarz miał białą, a wokół oczu ciemne obwódki, ale nie spał. Kiedy Dżamila i Jerry weszli do sali, odwrócił głowę i spojrzął na nich. Elizabeth także popatrzyła w ich stronę.

– Pani Willow? – odezwała się policjantka. – A ty pewnie jesteś Edward? Jestem sierżant Dżamila Patel, a to posterunkowy Jerry Pardoe. Jak się czujesz, Edwardzie?

Chłopiec dziwnie parsknął przez nos i warknął, otwierając i zamykając usta, jakby chciał coś powiedzieć, jednak nie zdołał wydobyć z siebie żadnego słowa.

– Nie może mówić – powiedziała Elizabeth. – Kiedy złapała go policja, przewrócił się i mocno uderzył głową w beton. Nie jestem pewna, ale to może być przyczyną utraty mowy, prawda? Zrobiono mu rezonans głowy, ale nie

stwierdzono żadnych uszkodzeń mózgu.

Edward znowu warknął i zabrzmiało to jak „och... och”.

– On chyba chce coś powiedzieć o swoim młodszym bracie – wyjaśniła Elizabeth. – Może macie jakieś wiadomości o Johnnie?

– Nie, przykro mi – odparł Jerry. – Posłaliśmy w teren trzy oddziały poszukiwawcze z psami, zakładam więc, że są duże szanse na jego odnalezienie.

– Och... – powtórzył Edward, tym razem głośniejszym i natarczywiej. Po chwili dodał: – Jess... jess... jess...

Matka ścisnęła jego rękę i poprosiła:

– Próbuj, kochanie, próbuj. Co nam chcesz powiedzieć?

– Ess... jess... Sek! – zdołał wykrztusić Edward.

Dzamilą i Jerry popatrzeli po sobie.

– Sek? Co to znaczy?

– Och... – warknął Edward i zamachał rękami. – Och, Sek!

Widać było, że jest coraz bardziej sfrustrowany niemożnością porozumienia. W jego oczach pojawiły się łzy i zaczął pochlipywać.

– Jestem pewna, że syn koniecznie chce coś powiedzieć o Johnnie, ale nie potrafię nic zrozumieć – odezwała się Elizabeth, wyciągając chusteczkę, żeby wytrzeć łzy z twarzy Edwarda.

Do łóżka podszedł lekarz w długim, białym fartuchu w towarzystwie pielęgniarki i trojga studentów. Doktor, wysoki i elegancki, był Hindusem, miał okulary bez oprawek i brodę przyszyroną w łopatkę.

– To doktor Seshadri – przedstawiła go pielęgniarka. – Doktorze, to sierżant Patel i posterunkowy Pardoe.

– Dzień dobry – powiedział lekarz, lekko przeciągając samogłoski. – Poinformowano mnie o okolicznościach, w jakich został odnaleziony ten nieszczęsny młody człowiek.

– Podobno zrobiono już mu rezonans – rzekł Jerry.

– Tak, na szczęście wszystko wskazuje, że mózg nie doznał żadnego urazu. Przejrzałem też wyniki badania krwi. Muszę powiedzieć, że są w najwyższym stopniu interesujące. Przejdźmy się może, żeby chłopiec nie słyszał naszej rozmowy. Nie wiemy, czy nas rozumie. Na pewno my wciąż nie rozumiemy jego, mamy jednak nadzieję, że jego niezdolność wysławiania się jest tylko czasowa.

Pielęgniarka została z Edwardem, a Elizabeth dołączyła do Dzamilą i Jerry'ego pod oknem, z którego rozpościerał się widok na parking. Padał deszcz, a ludzie śpieszyli w różne strony, jak na obrazie Lowry'ego.

Doktor uniósł na wysokość oczu sztywną podkładkę z przypiętym wydrukiem.

– Pani syn ma grupę krwi 0, czyli występującą najczęściej. Wszystkie parametry wskazują, że chłopiec jest zdrowy. Czerwone i białe ciała, a także płytki krwi są jak najbardziej w normie. Natrafiliśmy jednak na ślady silnego opiatu, podanego mu, jak oceniamy, mniej więcej przed dwunastoma godzinami.

– Wie pan, co to za narkotyk? – zapytała Dzamilą. – Może oksykodon albo coś podobnego?

– Jeszcze nie dysponujemy ostatecznymi wynikami, ale wiemy już, że ten narkotyk zawiera alkaloid morfiny, podobny do heroiny. Łączy się ze specyficznymi receptorami opiatów w mózgu i wpływa na jego funkcjonowanie. W przeciwieństwie do heroiny wyraźnie spowalnia jego działanie. Inaczej mówiąc, upośledza procesy zachodzące w głowie człowieka, zamiast nadawać im przyśpieszenia.

– Czy to dlatego Edward ma takie trudności z wysławianiem się? – zapytała Elizabeth.

– Tak, z całą pewnością, pani Willow. Opiat ten zawiera przynajmniej dwie substancje, z którymi nigdy wcześniej się tutaj nie zetknęliśmy i które wciąż poddajemy analizie.

– Ale on z tego wyjdzie?

– Jak już powiedziałem, trzymamy kciuki za to, żeby jego obecny stan okazał się tymczasowy. Zazwyczaj potrzeba mniej więcej trzech do pięciu dni, żeby organizm całkowicie się uwolnił od heroiny, chociaż jej ślady we włosach i paznokciach można znaleźć jeszcze przez wiele lat. W przypadku Edwarda nie potrafimy przewidzieć, jak długo będą utrzymywać się u niego efekty działania tego opiatu.

– Czy chłopiec teraz cierpi? – zapytała Dzamilą.

– Nie. Trząś się i drapał, kiedy go tutaj przywieziono, co jest typowe dla osób uzależnionych, kiedy gwałtownie odstawią narkotyki. Podajemy mu odmierzone dawki buprenorfiny, żeby ograniczyć symptomy odstawienia.

– Czy ktoś wreszcie wymyśli kiedyś narkotyk o nazwie, którą będę w stanie wypowiedzieć? – Jerry westchnął.

– Przepraszam – powiedział doktor Seshadri. – Prawdopodobnie zna pan buprenorfinę jako Suboxone.

Dzamilą wyciągnęła wizytówkę.

– Proszę, doktorze, to nasz numer kontaktowy. Kiedy tylko się pan dowie, co zawiera ten narkotyk, a w szczególności skąd może pochodzić, prosimy o informację. To bardzo ważne.

Wrócili do łóżka Edwarda. Chłopiec pił właśnie przez słomkę sok pomarańczowy i wydawał się trochę mniej spięty. Na lekko pochylonym łóżku obok starszy mężczyzna z zapadniętymi policzkami pojękiwał, jakby cierpiał nieznośny ból. Dwie kobiety głaskały go po rękach i cicho popłakiwały, jednak ta iście biblijna scena zdawała się Edwarda wcale nie poruszać. Jerry przypuszczał, że chłopiec zachowuje stoicki spokój dzięki Suboxone'owi.

– Czasami mam wrażenie, że Bóg się uparł, żeby karać mnie i chłopców – powiedziała Elizabeth. – Nie pytajcie, co takiego zrobiłam, że się na mnie zdenerwował, ale to najgorszy rok w naszym życiu.

– Naprawdę? – zapytała Dzamilą. – A co takiego się wydarzyło? Poza tym? – Wskazała podbródkiem łóżko.

– Zaledwie siedem tygodni temu straciłam w wypadku samochodowym męża, a chłopcy ojca.

– Przykro mi. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Elizabeth popatrzyła na Edwarda i spróbowała się uśmiechnąć, aby zapewnić go, że wkrótce wszystko będzie dobrze.

– Odnajdźcie mojego Johna, tylko o to was proszę – zwróciła się do policjantów.

Jej oczy były zaczerwienione, choć nie płakała. Jerry przypuszczał, że kobiecie po prostu brakuje już łez.

Kiedy w strugach deszczu jechali z powrotem na komisariat w Tooting, Jerry się odezwał:

– Nie wiem, czy to po prostu przypadek.

– Co takiego?

– Widzisz, posterunkowy Bone niedawno stracił żonę. A teraz ci chłopcy... ich ojciec zginął niecałe dwa miesiące temu.

– Co sugerujesz? Wszyscy tracimy tych, których kochamy. To przecież nic nadzwyczajnego. W maju odeszła moja babcia.

– Nie wiem. Po prostu głośno myślę. To wszystko.

– Zostaw sobie takie rozważania na później. Na dzisiaj mam dosyć ponurych refleksji.

Hedda czekała na nich, siedząc po turecku na podłodze pod wizerunkiem mężczyzny z głową kozła. Była owinięta zmechaconym, szarym szalem, a na głowie miała dwa kapelusze o szerokich rondach, przez co jej twarz znajdowała się w cieniu. Mężczyźni weszli do pokoju i otoczyli ją, wypchnąwszy przed siebie Dereka Feathera i Aleksandrę Rucińską w celu zademonstrowania ofiar polowania.

– Dwoje? To wszystko? – zapytała Hedda groźnym tonem. – Jak myślicie, na jak długo nam to wystarczy?

Faust wystąpił przed szereg.

– Polowanie przebiegało bez problemów. Ale nagle bez ostrzeżenia pojawili się obcy, mieli ze sobą psa. Musieliśmy uciekać, zanim zdołaliśmy poszukać kolejnych ofiar. Proszę, nie złość się. Kiedy znowu zapadną ciemności, wrócimy na łowy.

– Hej, możecie nam powiedzieć, co się tutaj dzieje? – zapytał Derek Feather drżącym głosem. – Kim jesteście i czego chcecie?

– Musicie nas wypuścić! – dodała Aleksandra Rucińska piskliwie. – Nie możecie nas tutaj przetrzymywać!

Hedda ich zignorowała. Popatrzyła po twarzach zgromadzonych mężczyzn.

– Rozczarowujecie mnie – warknęła. – Naprawdę mnie rozczarowujecie. Przestrzaszyliście się psa i kilku obcych?

– Nie baliśmy się, Heddo, ale wiesz przecież, co może się stać, jeżeli nas tutaj znajdą. Wtedy już nie będziemy mieli do czynienia z kilkoma obcymi, przybędzie ich cała chmara i powyłapują nas tak, jak złapali Kittela, kiedy poszedł po farby. Musimy dziękować panu, że Kittel zachował milczenie.

Kiedy Faust mówił, Hedda wpatrywała się po kolei w twarze otaczających ją mężczyzn. Jej oczy lśniły z cienia rzucanego przez runda kapeluszy. Wyglądały jak ślepie wilka ukrytego w jaskini.

– Widzę tu Seka – powiedziała wreszcie. – A gdzie Erst?

Faust wziął głęboki oddech.

– Właśnie o tym chcę ci powiedzieć. Niestety schwytali go obcy.

Zapadła długa cisza. Mężczyźni niepewnie przestępowali z nogi na nogę. Kilku nerwowo zakaszłało.

Hedda powoli, z wysiłkiem wstała z podłogi. Postrzępiony szal sięgał jej niemal do stóp.

– Co?! – wrzasnęła, kiedy się wyprostowała. – Co? Pozwoliście obcym zabrać jednego z moich synów? Czy sądzicie, że nasze plemię rozkwitnie, jeżeli nie zapewnimy sobie młodej krwi? Dlaczego nie oddaliście obcym któregoś spośród siebie zamiast chłopca? Copf, ty miałaś opiekować się Erstem, prawda? I ty, Flecker! Uciekliście jak przerażone szczury i pozwiliście obcym obrabować nas z naszej przyszłości!

Copf i Flecker wyciągnęli przed siebie ręce. Ten drugi padł na kolana.

– Wszystko działa się tak szybko, Heddo... Obcy wbiegli na peron, a pies ruszył na Ersta jak błyskawica. Nie mogliśmy nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Hedda podeszła do nich na sztywnych nogach. Copf także uklęknął i obaj wpatrywali się w nią z rękami złożonymi jak do modlitwy.

– Coś możecie jednak zrobić – powiedziała. Mówiła teraz chrapliwym, groźnym szeptem. – Możecie zapłacić za stratę Ersta. Możecie zapłacić za błąd całej tej dzisiejszej wyprawy, za przyprowadzenie tylko dwóch ofiar.

– Błagam, Heddo... w imię Ba-Abla.

– Śmiesz wymawiać jego imię? Ty, marna kreatura, która tak go zawiodła? Ośmielasz się wypowiadać jego imię?

– Proszę... Znajdziemy ci innego syna. Wyruszymy w nocy prosto do obozu i przyprowadzimy ci następnego.

Hedda chodziła przed klęczącymi w tę i z powrotem, w rozdrażnieniu mnąc szal.

– Nie, nic z tego. Zapłacicie tutaj i teraz. Faust, przybij ich do ściany. Nie będzie z nich wielkiej uczty, ale to lepsze niż nic.

Flecker dobył z gardła przeraźliwy jęk, niczym pies potrącony przez samochód, a Copf padł płasko na podłogę i błagając o litość, zacisnął dłoń na rąbku musztardowej spódnicy Heddy. Kobieta z wściekłością zaczęła go kopać lewą i prawą nogą, a następnie podeptała mu dłonie. Deptała je dopóty, dopóki nie rozległ się trzask kości.

– Jesteście szaleni! – wrzasnął Derek. Ogarnął go paniczny strach. – Macie nas wypuścić! Jesteście nienormalni!

– Puśćcie nas! Puśćcie! – krzyknęła Aleksandra.

Dla ofiar wymiana zdań pomiędzy Heddą a Copfem brzmiała jak powarkiwanie rozszluszczonych zwierząt.

Hedda wciąż ignorowała ofiary. Jeszcze raz kopnęła Copfa, splunęła na niego, a potem, kuśtykając, wyszła z pokoju. Runda kapeluszy kołysały się jak skrzydła kruk.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Faust popatrzył na swoich ludzi i powiedział:

– Słyszeliście, co rozkazała Hedda. Do roboty.

Flecker zerwał się z podłogi i próbował rzucić się do drzwi, ale trzech mężczyzn chwycili go za nogawki dresów, powalili na podłogę i uklękli na nim. Dwaj inni złapali Copfa i zmusili go, żeby położył się na brzuchu obok niego. Pięciu kolejnych pociągnęło Dereka i Aleksandrę do ściany z narysowaną postacią mężczyzny z głową kozła i zmusiło ich, żeby uklękli przed nim.

– Powiedzcie panu, jak bardzo jesteście zadowoleni, że możecie poświęcić mu wszystko, co macie – polecił Faust głosem bełkotliwym i warczącym, zdołał jednak wyartykułować słowa, które zrozumieli. – Powiedzcie mu, że całe wasze życie wiodło do momentu, w którym poświęcacie się na rzecz jego chwały. Już w dniach waszych narodzin zostaliście wybrani, żeby być jego ofiarami.

Aleksandra zaczęła lkać. Jej ramiona się trzęsły, a Derek jedynie powtarzał bez końca:

– Nie, nie, nie, ja w to nie wierzę.

Kilku otaczających ich mężczyzn zaczęło ściągać z nich ubrania. Oboje walczyli, żeby się wyswobodzić, gryźli i wierzgali, ale nie mieli żadnych szans. Pod przeciwległą ścianą jeszcze więcej mężczyzn przystąpiło do rozbierania Fleckera i Copfa. Obaj leżeli na podłodze bezwładnie, jakby już byli martwi. Zdawali sobie sprawę, że wszelki opór na nic się nie zda. Ryzykowaliby jedynie połamanie rąk i nóg, choć wiedzieli, że w ciągu kilku minut doświadczą jeszcze straszniejszego bólu.

Kiedy cztery ofiary rozebrano, do pokoju weszły trzy kobiety. Jedna pchała wózek zakupowy o skrzypiących kołach. Za nimi podążał przysadzisty mężczyzna w ciepłej kurtce roboczej, niosąc młotek z pazurem do wyciągania gwoździ. Podeszli do ściany, do której wciąż przybici byli Jimmy i Cathy. Posługując się młotkiem, mężczyzna wyciągnął gwoździe z ich dłoni i łokci. Następnie oddał ich ramiona kobietom, które wrzuciły je do wózka. Z kolei wykręcił ze ściany obręcz biodrowe, traktując je po prostu jak kierownicę w samochodzie, i także przekazał do wózka.

Jedna z kobiet wytarła tynk starą, szarą ścierką do naczyń, po czym odwróciła się do zgromadzonych w pokoju i powiedziała:

– Proszę! Wszystko przygotowane. Możecie złożyć ofiarę panu.

Derek Feather i Aleksandra Rucińska zostali podniesieni z podłogi – każde przez dwóch osobników – i przyciśnięci plecami do ściany. Chłopak był chudy, miał białą skórę i skąpe owłosienie na wątlej klatce piersiowej. Aleksandra miała obfite, obwisłe piersi, duży brzuch i uda z cellulitem. Wciąż lkała i kręciła mocno głową, jakby chciała się obudzić z koszmarnego snu i przekonać, że to, czego doświadcza, nie dzieje się naprawdę.

– Nie możecie tego zrobić! – wrzasnął Derek. – Nie wolno wam!

Faust nawet się nie odwrócił, żeby na nich popatrzeć. Całą uwagę skupiał na Fleckerze i Copfie ciągniętych do sąsiedniej ściany. Nogi mieli zgięte w kolanach, szurali stopami po podłodze. Po chwili ich także przyciśnięto plecami do tynku, a wtedy Faust zatoczył palcem kółko w powietrzu i warknął coś, co w uszach Dereka zabrzmiało jak „coł-oł”.

Ośmiu mężczyzn odwróciło Fleckera i Copfa głowami w dół, po czym rozłożyło im nogi. Faust warknął jeszcze raz i mężczyzna w kurtce roboczej podał mu młotek i gwoździe. Bez wahania podszedł do Copfa, przyłożył gwoźdź do jego lewego kolana i trzema mocnymi uderzeniami wbił pomiędzy kość piszczelową a skokową. Copf wrzasnął z bólu, ale niemal udusił się własną śliną.

Faust przybił do ściany jego prawe kolano, a wtedy czterej mężczyźni, którzy go przytrzymywali, cofnęli się. Był już unieruchomiony.

– Jesteście szaleni! Wszystkich was popierdoliło! – krzyknął Derek.

Faust podszedł do Fleckera. Stanąwszy przed nim, popatrzył z obrzydzeniem na podłogę, ponieważ mężczyzna zwymiotował ze strachu. Miał zapchane nozdrza, sklezione powieki, blade nitki wymiocin zaplątały mu się w długie, zmierzwione włosy.

Faust przechylił głowę i spojrzał na niego karcąco.

– Uch, Flecker – warknął. – Nie poprawiasz nam apetytu.

Nie czekał na odpowiedź. Podniósł ręce i szybko wbił gwoźdź w jego lewe kolano, przybijając je do ściany. Następnie, chcąc dać wyraz obrzydzeniu, wykręcił mu prawą stopę i kolejny gwoźdź wbił w piętę. Wymagało to aż pięciu uderzeń młotkiem, tak silnych, że pękł tynk na ścianie. Flecker się zakrztusił i znowu zwymiotował. Faust zbył to lekceważącym machnięciem ręki.

– Myślałem, że jesteś chojrakiem, a nie dzieckiem.

Podszedł do Aleksandry, rytmicznie uderzając młotkiem w gwoździe, które położył sobie na dłoni.

– Ależ ty jesteś wielka. – Wyszczерzył zęby. – Pan będzie z ciebie ogromnie zadowolony. Nie ma co płakać, wiesz? Założę się, że od lat starałaś się schudnąć. Teraz schudniesz naprawdę. Stracisz masę... co do grama.

Aleksandra przestała lkać i teraz głęboko oddychała, jakby znalazła się w tym pokoju po długim biegu.

– Jesteś demonem! – wykrztusiła po polsku. – Kiedy umrzesz, pójdziesz do piekła. Będziesz płonął po wsze czasy!

– Szkoda, że nie rozumiem, co bredzisz – mruknął Faust.

Przestał uderzać młotkiem. Wszystkie gwoździe z wyjątkiem jednego wsunął do kieszeni kurtki.

– Mówię, że jesteś demonem! Że pójdziesz do piekła i będziesz płonął bez końca!

– Masz rację. Prawdopodobnie pójde do piekła. Ale pan zajmie się mną w piekle i da mi wszystko, co zechcę. Pieśniadze, muzykę. Pozwoli mi nosić wyszukane garnitury. Da mi każdą kobietę, jakiej zapragnę. I każde dziecko, jakie będę chciał zjeść.

Mężczyzna, który przyciskał do ściany prawą rękę Aleksandry, odwrócił głowę. Faust wcisnął czubek gwoździa w jej dłoń i trzykrotnie z całej siły uderzył młotkiem. Aleksandra zamknęła oczy i przygryzła dolną wargę, lecz nie wydała żadnego dźwięku.

Faust przybił do ściany jej łokcie i kolana, po czym podszedł do Dereka.

– Ty skurwysynu – wyszeptał chłopak. – Ty skończony skurwysynu.

– Cóż, przyjacielu, jesteś bardzo domyślny – powiedział Faust. – Masz rację, nigdy nie poznałem ojca.

Przybił do ściany dłoń, łokcie i kolana Dereka. Każde uderzenie młotka wydobywało z młodzieńca skowyt bólu.

Gdy wszystkie cztery ofiary były już przybite, Faust uniósł nad głowę dłoń. Do mężczyzn w pokoju dołączyły kobiety. Kilka trzymało w rękach noże kuchenne i grzbietnice. Ich miny zdradzały, że nie mogą się już doczekać nadchodzącej rzezi.

– Podczas ostatniej ciemności musieliśmy przerwać polowanie – zwrócił się do nich Faust. – Zapewne powinniśmy wykazać więcej odwagi, chociaż osobiście jestem przekonany, że narazilibyśmy nasze plemię na wielkie niebezpieczeństwo, gdyby ktoś spośród nas... albo gdybyśmy wszyscy zostali schwytani przez obcych. Mamy dwie ofiary oraz Copfa i Fleckera, przez których tchórzostwo odebrano nam Ersta. Dzisiaj możemy ofiarować panu tylko te cztery ciała, pragniemy mu jednak szczerze obiecać, że kiedy zapadnie ciemność, znów wyruszymy na polowanie i przyniesiemy mu ich więcej.

Ludzie wydali wyzywające okrzyki, po czym zaczęli wymachiwać nożami i piłami. Przeszepowali z nogi na nogę w skomplikowanym rytmie przypominającym stukot kół rozpędzającego się pociągu.

Faust przeszedł pomiędzy nimi, żeby stanąć przed wizerunkiem mężczyzny z głową kozła.

– Och, panie – powiedział, modulując warkot. – Prosimy, przyjmij te ofiary: ciała, życie i dusze. Nasze pożywienie jest twoim pokarmem, ponieważ należymy do ciebie i tylko do ciebie. Będziemy należeć do ciebie, dopóki czas nie zawróci i nie rozpoczniemy podróży powrotnej do dnia twojego triumfu.

Zebrani jeszcze raz eksplodowali wrzaskami. Ich tupanie przypominało odgłosy uderzeń w wielki bęben.

Faust wskazał na przybite do ściany cztery nagie ofiary i powiedział:

– Jazda. Niech rozpocznie się uczta.

Listonoszka Chrissie pchała wózek z przesyłkami po Meeting House Lane w Peckham, gdy zobaczyła gęste kłęby szarego dymu unoszące się nad ulicą mniej więcej pięćset metrów przed nią. Idąc w kierunku źródła dymu, zobaczyła kilku ludzi w kurtkach z kapturami przebiegających przez jezdnię. Po chwili zniknęli w bocznej alei wzdłuż bloku mieszkalnego.

Zaczęła szybciej pchać wózek, a tymczasem na ulicy pojawiło się jeszcze więcej postaci, przynajmniej piętnaście. Wszyscy albo byli ubrani w grube płaszcze, albo owinięci kocami. Część dźwigała wypchane plecaki, inni nieśli ciężkie torby na zakupy. Pewna młoda kobieta niosła nawet pod jedną pachą czerwonego cocker spaniela, a pod drugą małego, rudego kundla. Oni także zniknęli w tej samej alei.

Kiedy Chrissie dotarła do rogu ulicy, zobaczyła, że dym wydobywa się z parterowych okien Charles Babbage Primary School. Dwupiętrowy budynek zbudowano w czasach królowej Wiktorii, szkołę zaś zamknięto przed dwoma laty i teraz gmach czekał na wyburzenie, a działka, na której stał, na dewelopera. Chrissie wiedziała, że opuszczony budynek zajęli bezdomni; kilkakrotnie widziała, jak wchodzą i wychodzą przez boczną bramę, która powinna być zamknięta na kłódkę.

Wyciągnęła z kieszeni telefon i wystukała numer alarmowy. Kiedy zawiadamiała operatorkę, że pali się szkoła Charlesa Babbage'a, z pobliskiego domu wyszedł mężczyzna, a następnie na ulicy zaczęli się pojawiać mieszkańcy innych budynków.

– Dzwoniłem już po straż pożarną – powiedział mężczyzna do Chrissie. Miał rzadkie wąsy i ubrany był w luźny, zielony, rozpinany sweter. – Obawiam się, że ktoś mógł być w środku.

– Raczej nie chcesz tam iść, brachu, żeby się przekonać, co? – rzucił wysoki, czarnoskóry młodzieniec. – Chyba że masz ochotę się upiec. Tam już jest żar jak jasna cholera.

– Zajrzę chociaż przez okna, może coś zauważę.

Mężczyzna wszedł w szeroko otwartą bramę, a Chrissie i czarnoskóry podążyli za nim. Dym wydobywał się przez pęknięty świetlik, a kiedy zajrzeli przez okna, zobaczyli tylko ciemność rozświetlaną jedynie przez pojedyncze pomarańczowe jęzory ognia.

– Nikogo nie widzę – powiedział mężczyzna, zbliżywszy twarz do okna i osłoniwszy ją dłońmi. – A właściwie to nie widzę zupełnie niczego.

– Myślę, że wszyscy już się stąd wydostali – odezwała się Chrissie. – Widziałam przynajmniej dwadzieścia osób uciekających przez Willowdene. Mieli ze sobą torby i pakunki.

Mężczyzna dotknął dłonią szyby i wrzasnął:

– O kurwa! Cholera jasna! To jest cholernie gorące! – Gwałtownie potrząsnął ręką i dmuchnął na palce. – Jeżeli ktokolwiek jest w środku, raczej nie ma szansy na przeżycie!

Gdy tylko wypowiedział te słowa, zobaczyli coś, co wyglądało jak słup ognia – wynurzył się z gęstego dymu i zaczął zbliżać do okna. Był coraz bliżej, poruszał się powoli, jakby z wahaniem, i dopiero kiedy znalazł się niecały metr od szyby, zdali sobie sprawę, na co tak naprawdę patrzą. Była to płonąca kobieta. Długie włosy unosiły się jej nad głową w podmuchach ognia, skóra na twarzy popękała i z całą pewnością nieszczęsna nic już nie widziała. Jeżeli wcześniej miała na sobie ubranie, dawno się spaliło.

– Najświętszy Jezusie – jęknął czarnoskóry.

Płonąca kobieta uderzyła w szybę i się przewróciła. Ludzie na zewnątrz stracili ją z pola widzenia, jednak od czasu do czasu nad parapet wznosiły się płomienie trawiące jej ciało. Chrissie, czarnoskóry i mężczyzna z rzadkimi wąsami spojrzeli po sobie z przerażeniem, świadomi, że nie mogą zrobić absolutnie nic, żeby ją ocalić.

W tym momencie usłyszeli zawodzenie syren. Dwa wozy straży pożarnej mknęły Meeting House Lane.

– Cholera – powiedział mężczyzna. – Już do końca życia będzie mi się to śniło.

Jerry znalazł miejsce do zaparkowania pięćdziesiąt metrów za Naylor Road i razem z Dżamilą cofnęli się w stronę szkoły. Wozy strażackie wciąż były na miejscu, na ich dachach pobłyskiwały niebieskie koguty. Do spalonego budynku dojechały także ambulans i trzy wozy policyjne z komisariatu w Peckham. Chociaż ogień już ugaszono, w powietrzu wciąż unosił się kwaśny zapach dymu.

Przebili się przez tłumek gapiów, którzy stali za taśmą policyjną. Natychmiast dostrzegli ich posterunkowy Berners i uniósł taśmę, żeby mogli swobodnie pod nią przejść.

– Inspektor Walters jest w środku – poinformował ich. – Nie sądziłem, że zajmujecie się także podpaleniami. Myślałem, że interesują was wyłącznie rozmaite dziwactwa. – Pomachał palcem wskazującym, jakby chciał ich nastraszyć, i rzucił: – Łoo!

– Daj spokój, mądralo – odparł Jerry i poszedł za Dżamilą do bocznej bramy.

Wszystkie szyby na parterze były wybite, a boisko tonęło w wodzie. Leżało w niej mnóstwo węży strażackich przypominających splątane żmije. Strażacy co chwilę wchodzili i wychodzili przez drzwi frontowe. W jednym z nich



rozpoznali komendanta Johnsona ze straży pożarnej w Peckham. Na głowie miał biały oficerski hełm i z poważną miną rozmawiał przez telefon komórkowy. Bardzo przypominał Jerry'emu nieżyjącego już od dawna Karla Maldena, gdyż zwykł udawać akcent z Essex.

– Ach, sierżant... – zaczął, kiedy się rozłączył.

Bez wątpienia pamiętał twarze Jerry'ego i Dżamili, zapomniał jednak, jak policjanci się nazywają.

– Patel – odpowiedziała Dżamila. – A to mój partner posterunkowy Pardoe. Powiedziano nam, że jest przynajmniej jedna ofiara.

– Niestety tak. Na pewno zginęła kobieta, a płę znamy tylko dlatego, że we wczesnym stadium pożaru widzieli ją świadkowie.

– Ciało jest zatem mocno spalone?

– Raczej skremowane. Poza popiołem i fragmentami kości nic z niej nie zostało.

– Z Lambeth przyjadą antropolodzy sądowi – powiedziała Dżamila. – Zakładam, że przynajmniej ortodonci dadzą radę ją zidentyfikować.

– Wiadomo już, dlaczego wybuchł pożar? – Jerry wskazał głową szkołę.

– Wiemy, że budynek od kilku miesięcy zajmowali dzicy lokatorzy. Wygląda na to, że ogień wybuchł w dawnej auli. Znaleźliśmy tam metalowy kosz ogrodowy, taki do palenia liści, suchych gałęzi i innych śmieci. W środku było sporo węgla drzewnego.

Dżamila i Jerry wymienili znaczące spojrzenia. Oboje pomyśleli o wózkach zakupowych z fabryki dywanów.

– Kiedy na to patrzę, odnoszę wrażenie, że rozpętało się tu prawdziwe cholerne piekło – powiedział Jerry. – Czy węgiel drzewny może spowodować tak ogromny pożar? Rozpalenie grilla, żeby zrobić parę hot dogów, zabiera mi co najmniej pół godziny. Jak mocno musiałbym się starać, żeby spalić szkołę?

– Ktokolwiek wywołał ten pożar, bez wątpienia musiał się zmierzyć z takim samym problemem – odparł komendant Johnson. – Na podłodze przy koszu znaleźliśmy stopiony kanister, wyciągamy więc logiczny wniosek, że węgiel polano benzyną. Może sprawcy byli pijani, może naćpani, a może po prostu rzucili beztrosko kanister i wywołali niezamierzony efekt? Ale w takim wypadku kanister zadziałałaby jak bomba zapalająca. Wkrótce przyjedzie tu śledczy z zakresu pożarnictwa i powie nam więcej na ten temat.

Kiedy skończył mówić, przed szkołą zatrzymała się czerwona furgonetka z żółtymi pasami. Na karoserii widniały duże litery LFB, co oznaczało London Fire Brigade, a mniejszymi literami opisano bezpośredniego właściciela pojazdu, Ogniowy Wydział Śledczy.

– O wilku mowa – dodał komendant.

– Czy budynek jest już zabezpieczony? Możemy tam wejść i się rozejrzeć? – zapytała Dżamila.

– Tak. Są tam już inspektor Walters z kilkoma ludźmi.

Policjanci przeszli nad wężami strażackimi i przez otwór w ścianie, który pozostał po głównych drzwiach, weszli do środka. Mury były czarne od dymu, a na podłodze wałało się mnóstwo śmieci. Takich samych śmieci, na jakie natrafili wcześniej w fabryce dywanów – puszki po sardynkach, butelki po mleku i brudne, podarte rękawiki.

Za niewielkim holem kolejne drzwi prowadziły do auli, gdzie wybuchł pożar. Przy oknie wykuszowym stali dwaj umundurowani policjanci pilnujący czarnych szczątków kobiety, która się spaliła. Komendant Johnson miał rację: praktycznie pozostały tylko popiół i szkielec. Dało się wyodrębnić jedynie czaszkę, łopatki i kręgosłup. Kości jednej ręki były wciąż uniesione, jakby w ostatniej chwili chciała sięgnąć parapetu.

Inspektor Walters i dwaj detektywi z Peckham stali przy resztkach żelaznego kosza i rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Ach. – Walters westchnął, kiedy Dżamila i Jerry weszli do auli. – Oto dynamiczny duet, który wtyka nosy tam, gdzie boją się zaglądać anioły.

Dowodził funkcjonariuszami Zespołu ds. Najpoważniejszych Przystępstw w Peckham. Nosił obszerny, szary płaszcz, który nie był w stanie ukryć, że jest chudy i wiecznie przygarbiony. Rzadkie, czarne włosy zaczesywał do tyłu, odsłaniając szerokie czoło, miał też wielki, orli nos.

– Dobrze wyglądasz, Dżamilo – zauważył, chociaż wcale na nią nie patrzył. Bezustannie omiatał wzrokiem pomieszczenie, jakby się obawiał, że przeoczy coś bardzo ważnego. – Jak się żyje w słonecznym Redbridge?

Dżamila nie wiedziała, jak przyjąć jego uwagi. Jeżeli słowo „słoneczny” miało się odnosić do grupy etnicznej, czyli ludzi wyglądających na zawsze opalonych, powinna odebrać jego z pozoru niewinne pytanie jako przejaw rasizmu.

Ale zanim cokolwiek odpowiedziała, zwrócił się do Jerry'ego:

– Widziałem raport o przejęciu koki w Streatham w zeszłym miesiącu. Dobra robota. Naprawdę dobra. W gruncie rzeczy doskonała.

– To nie tylko moje dzieło, szefie. Pracowaliśmy nad tym w pięciu. Największe uznanie należy się sierżantowi Bristowowi. Dotarł do faceta, który znał gościa, który wiedział, kiedy nastąpi transport.

– Nie powinienes być taki skromny, Jerry. Jeżeli się nie zmienisz, nigdy nie awansujesz. Jak się pewnie domyślasz, to ja doszedłem do wniosku, że dobrze będzie cię tu ściągnąć, żebyś sobie obejrzał miejsce strawione przez ogień. Coś mi mówię, że ta sprawa ma bezpośredni związek ze śledztwem, które prowadzisz w Lambeth. Nadałeś mu już jakąś nazwę?

– Jeszcze nie, chociaż, prawdę mówiąc, chodzi mi po głowie kryptonim „Operacja Straszny Kozioł”. Ale nie sądzę, żeby inspektor Saunders na to przystał.

– Myślę, że również rzecznik prasowy będzie przeciwny. Chociaż przyznam, że nie jest to określenie całkowicie nieadekwatne. Poczekaj, aż zobaczysz to...

Skinął, żeby poszli za nim. Razem ruszyli do krótkiego korytarza, gdzie Walters otworzył drzwi ze zmatowiałą mosiężną tabliczką POKÓJ SŁUŻBOWY. W środku prawie nie było mebli poza trzema starymi fotelami z fabryki Parkera Knolla, ustawionymi w rogu jeden na drugim. Na parkiecie zaś zalegało mnóstwo kości ludzkich ułożonych w skomplikowany wzór. Były to kości ramion, nóg, obojczyki, żebra i fragmenty kręgosłupów. Wzdłuż listwy przypodłogowej ktoś ułożył osiem czaszek, a na ścianie nad nimi narysowano wychudzoną postać nagiego mężczyzny ze sterzącym penisem i głową kozła. Jego ramiona były rozłożone jak u ukrzyżowanego Chrystusa, ale blask żółtych oczu na pewno nie był boski.

Jerry z Dżamilą ostrożnie okrążyli kości. Policjant pociągnął nosem. Oprócz woni stęchlizny unoszącej się w pomieszczeniu, gdzie okien nie otwierano zapewne od czasu zamknięcia szkoły, wyczuł zapach farby olejnej i czegoś, co przywodziło na myśl papierosy mentolowe, które palił, kiedy jeszcze nie pozbył się nałogu, a miał akurat grypę.

Dżamila wskazała na kości.

– Patrz, Jerry. Są ułożone niemal tak samo jak te w tunelu metra pod fabryką dywanów. To musi być jakiś symbol. Może coś na podobieństwo pentagramu? Albo koła dharmy?

– W każdym razie mamy do czynienia z tą samą zgrają, bez cienia wątpliwości – odparł Jerry. – A na ścianie mamy tego samego faceta z głową kozła, ktokolwiek to jest.

– A nie uważasz, że to szatan? – zapytał inspektor Walters.

– Może być i szatan – przyznała Dżamila. – W różnych kulturach szatan przyjmuje rozmaite postaci. Ale jeśli wziąć pod uwagę zachowanie wyznawców tego kultu, członków sekty czy cokolwiek to jest, mam poważne wątpliwości.

– Mogę ci powiedzieć, że odbyłem poufne spotkanie, na którym uzyskałem podstawowe informacje na temat kaniibalizmu – powiedział inspektor. – Zastanawiam się, czy tutaj nie trwały właśnie przygotowania do uczty z ludzkiego mięsa, gdy rozlała się benzyna i wszystko wymknęło się spod kontroli. Znasz jakiegoś religioznawcę, który mógłby wyjaśnić, kim jest ten osobnik z głową kozła?

– Jestem pewna, że wielu ekspertów chętnie się wypowie na temat jego tożsamości. Ale my potrzebujemy twardych dowodów, a nie przesądów i zabobonów. Potrzebujemy faktów, nie wiary. Kiedy dorastałam, wiedziałam tyle okrucieństwa i niesprawiedliwości popełnianych pod płaszczykiem przekonania religijnego, że nie uwierzę nikomu, kto utrzymuje, że występuje w imieniu boga. Nie ma dla mnie znaczenia, czy będzie to pastor, ksiądz, mufti, rabin, hazzan czy ajatollah. Nikomu takiemu nie zaufam.

Jej słowa zszokowały Waltersa. W pierwszej chwili nie wiedział, jak zareagować, ale kiedy wrócili do auli, zapytał Dżamilę:

– A co ty właściwie robisz w Boże Narodzenie? Chyba nic nadzwyczajnego?

Jerry i Dżamila poczekali na ekipę techników. Z pewnej odległości obserwowali później, jak jeden z medyków sądowych prowadził wstępne oględziny szczątków spalonej kobiety. Wykonawszy dziesiątki fotografii, owinął czaszkę watą i folią bąbelkową. Następnie, z pomocą asystenta, ostrożnie przeniósł kości i prochy na winylową podkładkę, którą złożył w kartonowej trumnie.

Z kolei dokładnie obejrzał podłogę pod oknem w poszukiwaniu dodatkowych szczątków, w szczególności zębów, które mogły wypaść z czaszki. Nawet najdrobniejsze fragmenty spalonego ciała umieścił w plastikowych torebkach, które dokładnie opisał. Badaniom miały zostać poddane dopiero w laboratorium.

W innej części auli Tosh Brinkley nadzorował pracę zespołu zbierającego wszelkie próbki z miejsca, w którym rozpalono ogień. Technicy zabezpieczyli również kanister. Szukali odcisków palców i śladów DNA – głównie na klamkach i płaskich powierzchniach – a także śladów butów na parkiecie. Pobrali do badań nawet wodę z toalet.

– Znowu się spotykamy, Tosh – powiedział Jerry. – Jestem przeschęśliwy.

– Sprawdziłście już to mniejsze pomieszczenie? – zapytała Dżamila. – Pokój służbowy. Jakież wnioski?

Tosh pokręcił głową.

– Niewiarygodne. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z tymi samymi osobnikami, którzy upiekli ludzi w fabryce dywanów. Może podejdziecie tam ze mną jeszcze raz? Coś sobie policzyłem.

Wrócili do pokoju, w którym na ścianie widniał rysunek mężczyzny o głowie kozła i żółtych oczach, a na podłodze zalegały starannie ułożone ludzkie kości.

– Wiecie, ilu ludzi musieli zabić, żeby pozyskać tyle kości? – zapytał Tosh. – Owszem, mamy tutaj osiem czaszek, ale przynajmniej trzy tuziny kości piszczelowych. Ofiar musiało być więc co najmniej osiemnaście. Doszło tu do masakry, tylko w tym jednym pomieszczeniu. A na niektórych kościach wciąż znajduje się mięso i wyraźne ślady, najprawdopodobniej po zębach.

Dżamila i Jerry przez długi czas w milczeniu wpatrywali się w kości. Wreszcie policjant się odezwał:

– Teraz już wiemy, co się dzieje z nieszczęśnikami, którzy znikają i nie dają znaku życia. Tylko w Londynie zagięło w ubiegłym roku pięćdziesiąt pięć tysięcy osób. Pięćdziesiąt pięć tysięcy! Założę się, że spora część skończyła

właśnie tutaj albo w tamtej fabryce dywanów. Po prostu zostali zjedzeni.

Przed szkołą natrafili na dwóch detektywów z Peckham przesłuchujących listonoszkę oraz dwóch mężczyzn, którzy widzieli płonąca kobietę. Chrissie była blada, wciąż drżała i kurczowo krzyżowała ramiona na piersiach. Mężczyźni także sprawiali wrażenie mocno zdenerwowanych.

W grupie stał jeszcze jeden mężczyzna, niski i gruby, w tweedowym kapeluszu z pawim piórkiem i w kurtce z owczej skóry.

– To radny George Broome z Rady Dzielnicowej Southwark – przedstawił go jeden z detektywów. – Powiedział nam, że do Rady już od jakiegoś czasu docierały wiadomości, że w szkole pomieszkują bezdomni. A ta młoda dama widziała około dwudziestu, jak uciekali tuż po wybuchu pożaru.

– Pobiegli tam, za blokami mieszkalnymi – dodał drugi detektyw. – Dookoła jest mnóstwo kamer monitoringu, wkrótce uzyskamy więc dokładniejsze informacje.

– Wyglądali jak bezdomni – wtrąciła się Chrissie. – Wszyscy byli w łachmanach i z torbami na zakupy. Taszczyli nawet psy.

– Dlaczego Rada pozwalała im tu przebywać? – zapytała Dżamila.

Radny wyciągnął przed siebie tłuste ręce, jakby zwracał się do sądu.

– Po prostu nie dysponujemy wystarczającą liczbą obiektów, które moglibyśmy przeznaczyć na schroniska dla bezdomnych. Właśnie dlatego. Rada ma ograniczone fundusze, a na realizację niektórych zadań musimy nawet zaciągać kredyty, dlatego dopóki nie wpływały skargi, nie uznawaliśmy za konieczne się im naprzykrzać.

– Podobnie postępowała Rada w Lambeth i w efekcie ludzie mieszkali w opuszczonej fabryce – zauważył Jerry. – Nie mamy forsy, więc przymykamy oko na rzeczywistość. Zresztą bezdomni tylko psują atmosferę, co? A jak dostaną jakieś pieniądze, zaraz wydają je na alkohol albo narkotyki, prawda?

Broome popatrzył na niego i zmarszczył czoło; nie potrafił odgadnąć, czy Jerry mówi poważnie, czy żartuje. Dżamila miała ochotę powiedzieć mu, że w szkole spłonęła kobieta, a nieznaną liczbą nieszczęśliwów została tutaj zamordowana i prawdopodobnie zjedzona. Wtedy by zrozumiał, czy Jerry jest poważny.

Nie skomentowała jednak tych słów i zwróciła się do partnera:

– Myślę, że na razie nie uzyskamy tu więcej informacji. Panowie, skontaktujcie się z nami, kiedy zdobędziecie nagrania z okolicznego monitoringu. Musimy schwytać tych ludzi, zanim się zagnieżdżą w kolejnym opuszczonym budynku.

Jerry przejechał przez Tulse Hill, kierując się do Tooting. W samochodzie prawie z Dżamilą nie rozmawiali. Oboje wiedzieli, że kluczem do powodzenia ich śledztwa jest zrozumienie istoty kultu, z którym mają do czynienia, uzyskanie informacji, jak bardzo jest on rozpowszechniony i kto za nim stoi. A do tej pory stali w miejscu. Pięć działających niezależnie grup poszukiwawczych nadal nie znalazło żadnych śladów w tunelach metra, a dysponowali psami tropiącymi i wsparciem zespołu inżynierów koordynowanego przez Motta MacDonalda. Na razie zatrzymano tylko jednego wyznawcę kultu, który się oślepił, okaleczył i odmówił składania zeznań, kiedy jeszcze był w stanie mówić. Uratowano jedną domniemaną ofiarę, Edwarda, ale on także nie powiedział żadnego składnego zdania.

Kiedy skręcili na parking policyjny, Jerry w końcu się odezwał:

– Mam myśl. Może Edward nie potrafi mówić, ale moglibyśmy dać mu kartkę, ołówek i poprosić, żeby narysował, co się z nim działo, prawda? Pewnie żaden z niego Picasso, ale to bez znaczenia... może mimo wszystko uzyskamy od niego jakieś wizualne wskazówki? Może potrafi narysować, gdzie ci ludzie przebywają i kim są? Moim zdaniem warto spróbować.

– Dobry pomysł – uznała Dżamila. – Myślałam też o naszyjniku hamsa, który należał do posterunkowego Malika.

– Zdaje się, że na razie nie ma informacji z lombardów. Moim zdaniem naszyjnik się zerwał, kiedy Malik został zaatakowany, i gdzieś się zapodział.

– Nie byłabym tego taka pewna. Technicy naprawę starannie przeszukali całą piwnicę.

– Owszem. Chyba jednak przyznasz, że poruszali się tam jak na wysypisku śmieci? Te rulony dywanów, maszyny i inne elementy wyposażenia fabryki. W tym bałaganie można by szukać zaginionej staruszki i nie znaleźć jej przez dwa tygodnie.

Otworzył boczne drzwi do budynku, po czym weszli po schodach do swojego biura. Siedział tam Jeżozwierz z nosem niemal wbitym w ekran laptopa; chyba miał trudności z czytaniem bez okularów. Uniósł w pozdrowieniu prawą rękę.

– A może zabójcy Malika spodobał się ten naszyjnik i go sobie zabrał? – zasugerował Jerry.

– Tak, oczywiście, to możliwe. Ale dlaczego nie zabrał niczego więcej i dlaczego użył wobec ofiary tak ogromnej siły. Zabójca dosłownie zmiażdżył Malika, a potem rozerwał mu brzuch. Czy to widok hamsy go sprowokował? W końcu nosi się ją po to, żeby chronić właściciela przed złym okiem.

– Niewiele wiem o złym oku, ale powiem ci, że moja mama patrzyła złym okiem na ojca, kiedy nie opuścił deski sedesowej.

– Niemal w każdej religii wierzy się w złe oko – powiedziała Dżamila. – W Pakistanie, gdy ktoś powie ci coś miłego, na przykład że masz piękną córkę, odpowiadasz *Masha' Allah*, co oznacza „taka jest wola boga”. To na wypadek, gdyby komplementujący patrzył na nią złym okiem, z zazdrością, ale także dla ochrony przed wszelkimi innymi zagrożeniami. Złe oko określamy słowem *nazar*.

- Rozumiem – odparł Jerry. Zdjął kurtkę i usiadł. – Ale w jaki sposób ma to nam pomóc?
- Czytałam, że wyznawcy pewnych kultów za pomocą złego oka zadają rany wrogom, ściągają na nich trwałe nie-szczęścia albo hipnotyzują ofiary w czasie gwałtów i rabunków. Czasami nawet zabijają. A więc taki właśnie może być potencjalny motyw. Mogło być tak, że zabójca zerwał hamsę Malikowi w złości, a może ze strachu, podobnie jak muzułmanie zrywali krzyżowcom krucyfiksy.
- Dobrze, ale wciąż nie mogę się połapać, dokąd zmierzasz.
- Jerry, jeżeli zidentyfikujemy kult, którego wyznawcy nie tylko czczą diabła z głową kozła i praktykują kanibalizm, ale wierzą także w siłę złego oka, wówczas prawdopodobnie dowiemy się wreszcie, z kim mamy do czynienia i gdzie prowadzić poszukiwania.
- Jeżozwierz oderwał wzrok od ekranu laptopa. Słuchając Dżamili, zmarszczył czoło.
- Nie jestem pewien – powiedział Jerry. – To wszystko brzmi zbyt...
- Ezoterycznie? – zapytała prowokacyjnym tonem. – A może zbyt spekulacyjnie?
- Nie zamierzałem używać akurat takich słów, ale owszem, skoro tak uważasz... Chciałem po prostu powiedzieć, że to zwyczajne wróżenie z fusów.

Sek spędził cały poranek w małym, bocznym pokoju, skulony w śpiworze. Kilkakrotnie budziły go jakieś odgłosy i krzyki z korytarza, ale nie śnił żadnych koszmarów. Wcześniej obserwował przybijanie Dereka, Aleksandry, Copfa i Fleckera do ściany, patrzył, jak odcinają im głowy, a potem zdzierają mięso, pozostawiając nietknięte jedynie rozłożone ramiona. Okrutne sceny odbierał jednak raczej z fascynacją niż z przerażeniem.

Do tej pory nie wiedział, że po rozcięciu brzucha wypływa z niego cała sterta śliskich wnętrzności. Wygląda to tak, jakby nagle otwarto gniazdo z wielkimi robakami. Sek nie mógł uwierzyć, że w jego ciele też znajdują się takie poskręcane wnętrzności oraz wątroba, nerki i płuca przypominające miechy dud.

Kiedy tak przyglądał się rzezi, młoda kobieta wycofała się z tłumu i usiadła obok niego. Miała bladą, owalną twarz i cienkie, postrzępione brwi, a długie, brązowe włosy zwisały w brudnych, niechlujnie splecionych warkoczach. Ubrana była w purpurową, watowaną suknię, która wyglądała, jakby pośpiesznie ją uszyto z pikowanej narzuty na łóżko.

– Sek? – wycharczała z głębi gardła. – Nazywam się Laurel Oko.

Popatrzył na nią i dostrzegł, że lewe oko ma bladozielone, a prawego jej brakuje i w oczodole tkwi zwykłe szkło butelkowe.

– Ponieważ zabrano nam Ersta, Hedda poprosiła, żebym się tobą starannie zaopiekowała – wyjaśniła. – Chodź teraz ze mną. Zaprowadzę cię do Apo i będziesz mógł wypić kolejny kubek niebiańskiej rosy.

– A kiedy wróci Erst? – zapytał.

Laurel Oko pokręciła głową tak energicznie, że jej warkocze zakręciły się jak karuzela.

– Nie wiemy. Może nigdy. Piękni prawdopodobnie go zabijają i zjedzą.

– Tęsknię za nim. Chcę, żeby wrócił.

– Cóż, nigdy nic nie wiadomo. Może będzie miał szczęście i ucieknie?

Sek wstał, a Laurel Oko chwyciła go za rękę, przepchnęła przez tłum i wyprowadziła na korytarz. Po schodach wspięli się na piętro, a potem kolejnym korytarzem ruszyli do drzwi na samym końcu. Laurel Oko zapukała i zawołała, że to ona i że przyprowadziła ze sobą Seka.

Otworzyła im młoda kobieta o krótko ściętych, jasnych włosach, w sukni sięgającej podłogi. Była tak wychudzona, że niemal przezrzysta, jak duch. Za drzwiami przy toalecie siedział brodaty mężczyzna, który podał chłopcom pierwszą porcję niebiańskiej rosy. Na blacie przed nim stało ponad sto niewielkich, szklanych butelek. Żadna nie była wiele większa od próbówki, wszystkie miały szklane zatyczki i wypełnione były bursztynowym płynem.

– Przykro mi z powodu twojego brata, Sek – odezwał się mężczyzna. Jego głos był bardzo głęboki, a warkot ostrzejszy niż u innych. – Wypij kubek niebiańskiej rosy. Dzięki niemu trochę się uspokoisz. Przez pierwsze dni będziesz potrzebował przynajmniej trzech albo czterech kubków... później tylko jednego przez cały dzień, ale może też wydarzyć się coś złego i wtedy poczujesz, że musisz wypić więcej.

– A co to za napój? – zapytał Sek, kiedy mężczyzna otworzył jedną z buteleczek i nalał płyn do żółtego, plastikowego kubka.

– Cha! Cha! Sam chciałbym to wiedzieć. Próbuje to rozpracować, mozesz mi wierzyć. Gdyby mi się to udało, zostałbym panem całego świata.

Sek wypił niebiańską rosę, kilkakrotnie zakaszał, po czym oddał mężczyźnie plastikowy kubek. Następnie Laurel Oko zaprowadziła go po schodach do małego pokoju, żeby się przespał.

Kiedy w końcu się obudził, za oknami było jasno, ale chłopiec pozostał w śpiworze i wpatrywał się w ścianę. Odnosił wrażenie, że w głowie chlupocze mu mętna woda, jak w stawie, a jego myśli pływają w niej niczym skorupy rozbitych naczyń stołowych, które ktoś tam systematycznie wrzuca. Był świadom, że powinien wiedzieć, kim jest, gdzie się znajduje i dlaczego leży tu teraz samotnie. Fragmenty naczyń opadały jednak nieuchronnie na dno stawu, absolutnie do siebie nie pasując i nie układając się w żaden sensowny wzór.

Był głodny, a pęcherz miał tak przepełniony, że aż go bolał, ale nie zdecydował się wyjść ze śpiwora, ponieważ nie miał pojęcia, co zrobić, kiedy stanie na podłodze.

Usłyszał, że gdzieś daleko zegar wybija godzinę, nie potrafił jednak policzyć uderzeń. Tymczasem do pokoju weszła Laurel Oko, wciąż w tej samej purpurowej, watowanej sukni. Pochyliła się nad Sekiem i się uśmiechnęła.

– Sek? Nie śpisz już? Chodź na dół coś zjeść.

Rozpięła zamek błyskawiczny śpiwora i odchyliła jego wierzch, żeby chłopiec mógł się wydostać.

– Jak ci się spało? Miałeś jakieś sny?

Sek wstał i przycisnął dłonie do podbrzusza.

– Muszę się wysikać.

– To sikaj. Najlepiej w rogu pod ścianą.

Poszedł we wskazane miejsce, uniósł sweter, rozpiął dzinsy i zaczął sikać strumieniem, który zdawał się nie mieć końca, prosto na ścianę. Kobieta czekała ze zniecierpliwieniem, aż skończy.

– W imię pana, ile ty wczoraj wypiliśmy? Całą rzekę? Zostało w niej dość wody, żeby można żeglować?

Chłopak wreszcie skończył i wyszedł za przewodniczką z pokoju.

– Rzeka? Co to takiego?

– Woda, która się rusza. Którejś nocy, kiedy wybierzemy się polować na ofiary, sam ją zobaczysz.

W kuchni tłoczyło się przynajmniej trzydzieścioro mężczyzn i kobiet. Otwarte były tylko trzy z sześciu pieców, w pomieszczeniu panował jednak nieznośny zaduch, jak w kotłowni statku, a w powietrzu unosił się gęsty dym i swąd przypalonego mięsa. U szczytu stołu siedziała Hedda, obok niej Faust. Obgryzała półokrągłe żebro i głośno mówiła z pełnymi ustami. Faust w obu rękach trzymał płat ludzkiej wątroby i co chwilę energicznie się w niego wgryzał. Przeżuwał w milczeniu i co jakiś czas pluł kawałkami ścięgien.

Tak jak wtedy, kiedy Sek i Erst byli tutaj po raz pierwszy, pośrodku stołu piętrzyły się kawałki pieczonego mięsa i warzyw, dzisiaj jednak czerwonych połci było znacznie mniej; zastąpiły je gąbczaste białe flaki i mózgi pokrojone na ćwiartki. Podano także kilka gołębi i dwie sroki. Ledwie je podpieczono na płycie do podgrzewania potraw, razem z łebkami i piórami na skrzydłach.

Laurel Oko podprowadziła Seka do stołu, a Chinka z poważną miną, która do tej pory zasiadała po prawej ręce Heddy, przesunęła się, żeby chłopiec i jego opiekunka mogli zająć jej miejsce.

– Moje dziecko... Moje jedyne ocalałe dziecko! – zamruczała Hedda. Objęła Seka ramionami i mocno przycisnęła do swojego cuchnącego szala. Chłopiec wystraszył się, że pękną mu żebra. – Strasznie mi przykro, że utraciliśmy twojego brata, Ersta. Ale wkrótce... wkrótce znajdziemy więcej dzieci, nasze plemię stanie się liczniejsze i sprawimy, że wszyscy będziecie sprawni i zdrowi i poradzicie sobie z każdym agresywnym obcym. Masz, weź żeberko! To mięso tych dwóch ofiar, które złapaliśmy, kiedy odebrano nam biednego Ersta! Zjedz je z zemsty! Jedz, żebyś był silny!

Sek wziął do ręki żebro i zaczął obgryzać. Poczul bryłkę tłuszczu i na ułamek sekundy powróciło do niego wspomnienie, że przecież tłuszczu nienawidzi. Ogarnęły go młodości. Ale kiedy zaczął przeżuwać, dotarło do niego, że jednak lubi tłuszcz, mimo że ma konsystencję gumy i oblepia zęby. Jedyne problem tkwił w tym, że chcąc rozdrobnić kęs mięsa z tłuszczem, musiał gryźć tak długo, aż rozboleły go szczęki, a w końcu po prostu połknął cały kawałek.

– Każdy kęs przybliży cię do chwili, w której staniesz się mężczyzną, młody Seku. – Hedda puściła do niego oko.

Na jej policzkach błyszczał łój, a do kącika ust przyklepił się skrawek mózgu. Otarła wargi wierzchem lewej dłoni i wtedy chłopiec zauważył, że kobieta ma tylko dwa palce i kciuk oraz że jej paznokcie są purpurowe, jakby ktoś je obtłukł.

– Co się stało z twoimi palcami? – zapytał.

Wsunęła dłoń do kieszeni, żeby ją ukryć.

– Mój pies się do nich dobrał – odpowiedziała. – To był pitbulterier. Strzegł mnie w czasach, kiedy chodziłam po ulicach. Nazywaliśmy go Młot. Oczywiście nie wiesz, co to takiego „młot”, prawda? Pewnej nocy mój przyjaciel się upił i kopnął Młota, ponieważ tarasował mu przejście. Pies rzucił się na niego, niemal zerwał mu spodnie. Krzyczałam na niego, żeby przestał, i uderzyłam go w głowę, a wtedy mnie także zaatakował i odgryzł mi palce. Biedny, stary Młot.

– Co się z nim stało? – zapytał Sek, paznokciem usuwając spomiędzy zębów tłuszcz.

– Z Młotem? Przejechała go ciężarówka. Cóż, co to jest „ciężarówka”, też się dowiesz, kiedy wyjdiesz na ulice. Dostłownie go zmiażdżyła. Z psa został naleśnik. Zasłużył sobie na to, ale wciąż za nim tęsknię. Och, patrz, posłuchaj, przyszła do nas muzyka.

Z drugiej strony na stół wskoczyła ładna, młoda, bosa dziewczyna nieokreślonej rasy. Na głowie miała kulę gęstych, kręconych włosów, a ubrana była w za duży sweter marki Fair Isle. Zebrani wydali okrzyki zadowolenia i zaczęli tak mocno uderzać dłońmi w blat, że podskakiwały na nim mięso, kości i warzywa.

Uniosła do ust cienki, biały flet, który wyglądał jak zrobiony z kości ludzkiej. Dziewczyna zaczęła grać piskliwą, smutną melodię i wkrótce wszyscy zgromadzeni w kuchni dołączyli do niej. Nucili to samo, objawszy się ramionami, i kołysali się do rytmu. Sek zauważył, że Hedda milczy i siedzi zupełnie nieruchomo, a jej spojrzenie przenosi się z jednej twarzy na drugą, jakby chciała się upewnić, że melodia wszystkich autentycznie zachwyca i nikt nie udaje.

Laurel Oko, która siedziała obok Seka, też nucila i się kołysała, a po chwili złapała chłopca za rękę i pociągnęła, żeby poddał się wspólnemu ruchowi. Spodobało mu się, a po kilkakrotnym powtórzeniu melodii przez dziewczynę z fletem potrafił już nucić razem ze wszystkimi. Z jakiegoś powodu kołysanie i wpadająca w ucho melodia sprawiły, że odniósł wrażenie, jakby znajdował się zupełnie gdzie indziej, przy ognisku – nie przy ognisku skautów, ale przy innym ogniu, znacznie gwałtowniejszym, w którym pali się wysoka, trzaskająca piramida drzew i gałęzi. Poczul, że przebywa na dworze, w pochmurną noc, otoczony górami. Wrażenie było tak silne, że kiedy dziewczyna przestała grać, minęła dłuższa chwila, zanim zdał sobie sprawę, że tak naprawdę siedzi w gorącej, zatłoczonej kuchni, pomiędzy Laurel Oko a Heddą, przy stole zaruconym pieczonymi szczątkami ludzkimi i warzywami.

Popatrzył na Laurel i powiedział:

– Czuję się... czuję, jakbym był dwiema osobami naraz. Niby jestem sobą, ale jednocześnie mam wrażenie, jakby tkwił we mnie ktoś jeszcze. Nie wiem, którą z tych dwóch osób jestem w tej chwili.

– To efekt działania niebiańskiej rosy – odparła kobieta i odrzuciła warkocze na plecy. – Nic się nie martw, za kilka dni będziesz już tylko jedną osobą.

– Ale którą?

Hedda, która przysłuchiwała się ich rozmowie, znowu objęła go ramieniem i przytuliła do siebie.

– Będziesz moim i tylko moim dzieckiem. To wszystko, co musisz wiedzieć.

Dziewczyna zagrała na flecie kolejną melodię, szybszą i radośniejszą od poprzedniej, i wszyscy znów zaczęli uderzać rękami w stół. Sek klaskał, bardziej poruszony niż poprzednio. Kiedy dziewczyna skończyła i zeszła ze stołu, powiedział do Heddy:

– Potrafię robić magiczne sztuki.

– Magiczne? – Hedda się uśmiechnęła. – Powiedziałeś „magiczne”? Nie wierzę ci.

– Potrafię. Przysięgam.

– A zatem pokaż nam, dziecko, co potrafisz.

Sek wyciągnął rękę do Chinki, która popijała z białego, polistyrenowego kubka, odebrał go jej i wytrząsnął ostatnie krople wody.

– Mogę pożyczyć twój szal? – zapytał Laurel Oko.

Kobieta wzruszyła ramionami, ściągnęła jedwabny, brązowy szal i podała chłopcu. On wstał, poszedł w kąt kuchni, ściągnął brudne buty, podstawił krzesło do stołu i po nim wspiął się na blat, na którym przed chwilą stała dziewczyna grająca na flecie.

Hedda uniosła ręce i krzyknęła:

– Sek pochwalił mi się, że pokaże nam magię! Zobaczmy, ile warte są jego słowa!

Rozległy się głośne śmiechy i ludzie znów zaczęli uderzać dłońmi w stół. Sek wysoko unosił kubek i zaprezentował go zebrany.

– Widzicie ten kubek? Sprawię, że zniknie! – oznajmił. Wiedział, że powinien wypowiedzieć jeszcze jakieś ważne magiczne słowa, ale ich nie pamiętał, zaczął więc improwizować: – Kubku, kubku, nic się nie bój! Zaraz znikniesz, ja to sprawię! – Nakrył go szalem, po czym krzyknął: – Idź stąd, kubku! Idź! I nie wracaj przed nocą! – Teatralnym gestem strzepnął szalem. Jedwab cicho zaszeleścił, a kubek zniknął.

Sek uśmiechnął się i uklonił. Miał nadzieję, że zgromadzeni zareagują śmiechem i oklaskami, zupełnie zaś nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Wszyscy wbijali w niego wzrok w absolutnym milczeniu. Kilkoro szeroko otworzyło usta. Jednemu z mężczyzn kawałki mięsa wypadły na stół pomiędzy zębów.

Potem, jeden po drugim, wszyscy zaczęli odsuwać krzesła i klękać na posadzce, nakrywając głowy dłońmi. Jedyń osobą, która nie wstała, była Hedda, ale nawet ona złożyła dłonie jak do modlitwy.

Po chwili ciszy skinęła na Seka. Niezgrabnie zeskoczył ze stołu i podszedł do niej. Kiedy mijał klęczących, wszyscy wydobywali z gardła dziwny dźwięk, który brzmiał jak „mam”.

Usiadł obok Heddy. Laurel Oko nadal klęczała z dłońią na głowie, szepcząc „mam”.

– Nie wiedziałam, że potrafisz czynić cuda – powiedziała Hedda.

Sek zamrugał i niepewnie poprawił się na krześle. Nie wiedział, o co jej chodzi, a poza tym musiał wyciągnąć kubek spod pachy, wcisnąć pod plecy, zgnieść go o oparcie, a potem unieść sweter i wepchnąć rozplaszczony kubek za pasek dżinsów. Nie był pewien dlaczego, ale podejrzewał, że gdyby Hedda zdała sobie sprawę, iż zniknięcie kubka to po prostu trik, uznałaby, że zdrwił z niej na oczach jej ludzi, i go ukarała.

– Od tej chwili zawsze będziesz chodził ze mną i niczego ci nie zabraknie – dodała przywódczyni. – I musimy nadać ci nowe imię. Odtąd, jako cudotwórca, będziesz się nazywał Sowber Sek. – Rozejrzała się po kuchni. Wszyscy wciąż klęczyli z rękami na głowach. – Jeśli chcesz, możesz im nakazać, żeby wstali.

Sek podniósł się z krzesła. Jego ekscytacja rosła. Czy oni naprawdę uwierzyli, że jest czarodziejem?

– Możecie już wstać – powiedział do nich. – Dokończcie posiłek.

– Sowber Sek! – powtórzyła Hedda, kiedy wszyscy, głośno szurając krzesłami, usiedli na miejsca.

– Sowber Sek! – odpowiedzieli chórem, uderzając pięściami w stół. – Mam!

Jerry odłożył telefon i powiedział:

– Chyba coś mamy.

Dżamila podniosła wzrok znad laptopa.

– Co takiego?

– Wiadomość od Jimmy’ego z komisariatu w Wandsworth. Jego grupa poszukiwawcza dzisiaj wczesnym rankiem wróciła na stację Kennington. Trakcja wciąż była odłączona. Znaleźli małe, zaryglowane drzwi, których nie zauważyli wcześniej, a za nimi przejście prowadzące do kolejnego opuszczonego tunelu metra. Problem w tym, że kawałek dalej rozpoczyna się cały labirynt. Jimmy powiedział, że potrzebują czasu, żeby przeczesać wszystkie korytarze, nawet jeśli będą im pomagali inżynierowie.

– A co z tym Simonem? Czy nasz przyjaciel, pasjonat kolei podziemnej, dotarł do mapy starych tuneli?

– Mówisz o Anoraku? Jeszcze się nie odzywał. Zadzwońię do niego i sprawdzę. Ale według Jimmy’ego trudność leży nie tylko w zlokalizowaniu tuneli. Część się zawaliła, ponieważ ścian nie wzmocniono cegłami, więc poruszanie się w nich jest co najmniej niebezpieczne, a inne są po prostu zalane.

– Wyznawcy kultu jednak jakoś tamtędy chodzą.

– To według Jimmy’ego kolejny problem. Powiedział, że włączyli do poszukiwań psy z Nine Elms, dwa owczarki alzackie i labradora. Ale żaden z nich nie zwietrzył tropu. A raczej każdy coś wywąchał, ale nie chciał pójść za tropem. Wyglądało to tak, jakby psy się bały.

– Psy tropiące? Bały się? Nigdy dotąd o czymś takim nie słyszałam.

– Ja również. Ale Jimmy powiedział też, że kiedy uratowali Edwarda, jeden z psów ruszył do ataku tak gwałtownie, jak jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło. Jego przewodnik wyjaśniał później, że psy robią się tak agresywne tylko wtedy, kiedy się boją. – Jerry sięgnął po kubek z kawą, upił łyk i skrzywił się, ponieważ dawno już zdążyła wystygnąć. – Sam nie wiem, co o tym sądzić – kontynuował. – Ta cała sprawa jest po prostu dziwaczna. Jakim sposobem pod naszym nosem wyrasta jakiś nowy kult, a my o tym nic nie wiemy? Tym bardziej że to taki kult, którego wyznawcy zjadają, kurwa, ludzi.

Dżamila wyprostowała się na krześle.

– Wiesz, o czym pomyślałam? Że na to pytanie mógłby nam odpowiedzieć ten radny, z którym niedawno rozmawialiśmy. Wszyscy wyznawcy tego kultu, na których się dotąd natknęliśmy, są bezdomni. Oprócz kilku organizacji charytatywnych, jak Armia Zbawienia albo Centrepoint, wszyscy dość powszechnie ignorujemy takich ludzi. A może oni po prostu znaleźli sposób, żeby się zebrać i nam za to odplacić?

– Och, daj spokój! Porywając innych i ich pożerając?

– Może ich bóg właśnie tego od nich żąda? Może jest jak bogini Kali? Walcząc z demonem Raktabiją, zraniła go. Każda kropla jego krwi zamieniała się z powrotem w niego, gdy spadła na ziemię, a Kali za każdym razem go pożerała. Jak najlepiej pokonać wrogów, duchowo i fizycznie, ich ciała i dusze? Zjeść ich.

– Nie wiem – odpowiedział Jerry. – To wszystko już dawno przekroczyło granice zdrowego rozsądku. Posłuchaj, napijesz się jeszcze herbaty? A może zjesz trochę ciasteczek? Tych czekoladowych?

– Nie kuś mnie. Staram się zrzucić wagę.

– Co takiego? Nie musisz nic zrzucać, pani sierżant. Wyglądasz doskonale.

Nim Dżamila zareagowała na komplement, usłyszeli pukanie, a zaraz potem drzwi się otworzyły i stanął w nich Tosh Brinkley. Pod pachą ścisnął aktówkę i sprawiał wrażenie, jakby brakowało mu tchu.

– Cholera jasna! Kiedy naprawicie tę windę?

– Prawdopodobnie nigdy – odparł przytomnie Jerry. – Wkrótce budynek komisariatu zostanie sprzedany i wszyscy przeniesiemy się do Wimbledonu. Policja londyńska też musi oszczędzać. A co u ciebie? Masz jakieś nowe informacje?

– Mam, a skoro już musiałem wspiąć się aż na Kreml, pomyślałem, że wpadnę do was i przekażę wam szczegóły osobiście. – Wysunął krzesło spod stołu i usiadł. Z teczki wyciągnął wydruk raportu. – Ten młotek do betonu, owszem, ma na trzonku odciski palców i ślady DNA Connora Greene’a. Na obuchu znaleźliśmy także DNA Malika, więc według mnie dysponujemy rozstrzygającym dowodem, że to właśnie Connor Greene go zabił.

– Niech się modli, żebym go nie dopadł, zanim stanie przed sądem – powiedział Jerry. – Zaaplikowałbym mu takie leczenie ortodontyczne, że popamiętałby do końca życia.

Tosh wyciągnął drugi raport.

– Mamy też niemal pełne analizy próbek kału, które pobraliśmy w fabryce dywanów. Wszystkie zawierają ślady opiatów, z jakimi nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Wszystko wskazuje na to, że są ogromnie uzależniające, podobnie jak heroina albo czysta kokaina, ale są w nich także rozmaite niezwykle komponenty, które wciąż badamy. Jeden wydaje się w szczególności wpływać na ośrodek Broki. To obszar mózgu odpowiedzialny za mowę.



– Może właśnie dlatego ten dureń, który zjadł własne gałki oczne, nie potrafił mówić? – odezwał się Jerry. – Ten mały Edward też ma problemy z mówieniem. Lekarz w szpitalu Świętego Jerzego powiedział nam, że w krwi chłopca wyodrębniono nieznaną opiat, proponuję więc, żebyś koniecznie porównał z nim swoje ustalenia.

– To doktor Seshadri – dodała Dżamila, po czym zapisała na kartce jego nazwisko i numer telefonu.

– Mam coś jeszcze, co może okazać się albo ważne, albo zupełnie bez znaczenia – kontynuował Tosh.

Wyjął telefon i zaczął przeglądać w nim zdjęcia. Znalazł to, którego szukał, i pokazał Jerry’emu i Dżamili, ale oni dostrzegli jedynie niestaranny zapis na jakimś ciemnobrązowym materiale: A-7632.

– Musieliśmy użyć środków chemicznych, żeby to odczytać, ponieważ skóra była straszliwie wypalona.

– To napis na ludzkiej skórze?

– Tak. Znaleźliśmy go na ramieniu jednej z ofiar w wózkach zakupowych. Już wcześniej wam mówiłem, że wszystkie ofiary w fabryce dywanów były prawdopodobnie w podeszłym wieku. Ten napis został wytatuowany i bardzo przypomina tatuaże wykonywane żydowskim więźniarkom w Auschwitz.

– Chyba żartujesz – zdziwił się Jerry.

– Ani trochę. Prawdopodobnie chodzi właśnie o tatuaż z Auschwitz, ponieważ głównie tam tatuowano więźniów.

– A więc będziemy w stanie zidentyfikować tę osobę – powiedziała Dżamila. – Kilka archiwów internetowych zawiera spisy ocalałych z Holocaustu. Na przykład Jewish Heritage. Jeżeli dowiemy się, kim była ta konkretna ofiara, prawdopodobnie dotrzemy także do personaliów pozostałych.

– Co za ironia, prawda? – zapytał Tosh. – A raczej tragedia. Wicie, co znaczy słowo „holokaust”, prawda? Ta biedna kobieta uniknęła jednego pogromu, żeby po siedemdziesięciu latach stracić życie w innym.

– Zaraz wejdę na stronę Jewish Heritage – oznajmiła Dżamila. – Jerry, a ty skontaktuj się z naszymi przyjaciółmi z Peckham i sprawdź, czy mają już jakieś nagrania z monitoringu. Naprawdę musimy się dowiedzieć, jaki jest dalszy los ludzi, którzy uciekli z pożaru. Dokąd oni wszyscy zbiegli? I gdzie znajdują się teraz?

– Robi się, pani sierżant. Tosh, dzięki za cenne informacje. A kiedy na naszym Kremlu wpadniesz na inspektora Mellorsa, pozdrów go ode mnie, życz mu wesołych świąt i powiedz, że jest skończonym kutasem.

Dżamila spędziła prawie godzinę przed laptopem, przeglądając archiwum Jewish Heritage. W końcu się odezwała:

– Mam. To niewiarygodne, ale chyba ją znalazłam.

Jerry siedział z telefonem przy uchu. Czekał na połączenie z posterunkowym Mikiem Brownem, który miał mu udzielić informacji, czy monitoring w pobliżu szkoły Charlesa Babbage’a zarejestrował bezdomnych uciekających z płonącego budynku.

– Rozmawiasz? – zapytała Dżamila.

– Nie. Chyba o mnie zapomniał i poszedł zrobić sobie herbatę.

Kobieta wstała i podeszła do Jerry’ego z notatkami, które sporządziła, przeglądając strony Jewish Heritage.

– Z danych, które znalazłam w archiwum, wynika, że kobieta nazywała się Betina Fredanov. Była rumuńską Żydówką, którą wywieziono do Auschwitz w 1943 roku. Wytatuowano jej numer A-7632. Tosh miał rację. Naziści tatuowali więźniów jedynie w Auschwitz, i to tylko tych, których uważali za zdolnych do pracy, a nie tych prowadzonych od razu do komór gazowych.

– Boże wszechmogący. Aż strach o tym myśleć. Kobieta przetrwała obóz.

– Tak. W pewnym sensie miała po prostu szczęście, jeżeli można to tak nazwać. Po wyzwoleniu Auschwitz przez Sowietów spędziła jakieś trzy miesiące w ośrodku leczniczym dla ocalałych z Holocaustu, około trzydziestu pięciu kilometrów na północ od obozu. Założył go rosyjski lekarz wojskowy, major Michał Kamieniew.

Według Jewish Heritage był on niemal święty. Leczył setki ludzi, którzy przeżyli obóz, z tyfusu i innych chorób, starał się, aby stopniowo dochodzili do zdrowia. Wielu było tak wycieńczonych, że po zjedzeniu czegoś innego niż zupa czy papka po prostu umierali. Kiedy Betina wyzdrowiała i była wystarczająco silna, żeby wrócić do domu, pojechała do rodzinnego miasta, do Braszowa w Rumunii.

– Rozumiem – powiedział Jerry. – A co robiła teraz w Anglii i czy istniała jakaś konkretna przyczyna, dla której upieczono właśnie ją? Czy to, że stała się ofiarą kanibali, ma coś wspólnego z jej pobytem w Auschwitz i przetrwaniem Holocaustu, czy też straciła życie przypadkowo? No i kim byli pozostali upieczeni razem z nią?

– Tego dopiero musimy się dowiedzieć.

– Tosh powiedział, że wszyscy byli w podeszłym wieku, a dla mnie to brzmi tak, jakby stanowili jakąś konkretną grupę. Może byli członkami jakiegoś klubu, stowarzyszenia albo po prostu przyjaciółmi? Musi istnieć jakiś powód, dla którego właśnie oni zostali wybrani przez kanibali. Chyba już to mówiłem, ale kiedy ktoś zamawia posiłek w restauracji, raczej nie żąda steku z osiemdziesięciopięcioletniej krowy, prawda?

– Skontaktuj się z policją rumuńską i poproszę o sprawdzenie, dlaczego Betina przyjechała do Wielkiej Brytanii. Może po prostu emigrowała? Na pewno miała w rodzinnym mieście rodzinę i przyjaciół, którzy będą coś wiedzieć.

W tym momencie w słuchawce rozległ się głos posterunkowego Browna:

– Jerry? Tu Mike. Przepraszam, stary, że tak długo czekałeś. Sprawdzamy te nagrania bardzo uważnie, żeby niczego nie przegapić.

– Z jakim efektem?

– Wszyscy uciekli aleją Willowdene, a potem kolejną, Pinedene, pomiędzy blokami. Następnie wbiegli na teren dużej budowy, tuż obok naszego komisariatu. Główna brama w tamtejszym ogrodzeniu prowadzi na Queen’s Road,

ale tam w ogóle się nie pokazali. A gdyby próbowali się wydostać przez którąś z bocznych bram, uchwyciłyby ich kamery przed komisariatem. Na naszych nagraniach ich nie ma, więc tamtędy także nie opuścili budowy.

– Przeszukaliście ten teren?

– Oczywiście. Dzisiaj niewiele się tam działo, bo budowlańcy czekali na ładunek belgijskich cegieł, które zatrzymano w Dover. Ale rozmawialiśmy z brygadzystą, który urządził nam coś w rodzaju wycieczki z przewodnikiem. Na całej budowie nie ma nawet śladu po bezdomnych. Stary, to mnie naprawdę zaintrygowało. Ci ludzie jakby się rozplynęli w powietrzu, po prostu zniknęli.

– Jesteś pewien, że nie ma tam jakiegoś miejsca, gdzie mogliby się ukryć? Sprawdziliście przenośne toalety?

– Oczywiście. Jest ich na budowie zaledwie pięć, nie dałyby więc rady pomieścić dwudziestu trzech bezdomnych i dwóch psów. Właśnie tylu ich było. Dwadzieścia trzy osoby. I dwa psy.

– To dokąd poszli twoim zdaniem?

– Nie mam pojęcia. Ale wszystkich mamy na zdjęciach, które będziemy pokazywać innym bezdomnym, może ich rozpoznają.

Jerry odłożył słuchawkę.

– No i co? – zapytała Dżamila.

– Zniknęli. Po prostu. Kojarzysz tę budowę obok komisariatu w Peckham? Mike powiedział, że weszli na jej teren, a potem nikt już ich nie widział. – Jerry zamilkł na chwilę. – Wiesz co? Zaczynam całkiem poważnie podejrzewać, że mamy do czynienia z jakimiś strasznymi siłami nadprzyrodzonymi. Z czymś takim jak diabeł twojej cioci, Baloo.

– Jak już, to Balaa. Baloo to niedźwiedź z *Księgi dżungli*.

– Baloo czy Balaa, jak zwał, tak zwał. Ciemną nocą nie chciałbym spotkać żadnego z nich.

Kiedy Jerry wieczorem zszedł na parter, pośpiesznie zapinając na schodach zamek kurtki, przed recepcją zobaczył Lindę. Czekala na niego.

– Długo tutaj jesteś? – Skinął głową w kierunku dyżurnego. – Mogłaś poprosić Johna, żeby do mnie zadzwonił. Zszedłbym do ciebie.

Linda, szczególnie opatulona w jasnoniebieski płaszcz, miała bladą twarz i wyglądała na mocno zdenerwowaną. Była drobna i niewielkiego wzrostu, miała, jak mawiał Jeżozwierz, „metr pięćdziesiąt w kapeluszu”. Długie włosy zazwyczaj wiązała w koński ogon, nakładała też nienaganny makijaż, teraz jednak jej fryzura była zmierzwiona, a tusz do rzęs rozmazany. Było oczywiste, że niedawno płakała.

Jerry objął ją ramieniem i przytulił. Poczul zapach perfum Flowerbomb, które kupił jej na urodziny w zeszłym miesiącu.

– Co się stało, kochanie? Chyba nie chodzi o twojego ojca?

Dziewczyna pokiwała głową i pociągnęła nosem.

– Odszedł w porze lunchu. Wczoraj wszyscy mieliśmy nadzieję, że jego stan się poprawia, ale w nocy nastąpił kryzys. Przez cały czas była przy nim moja siostra, June. Nie odzyskał już przytomności.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– Przecież wiem, że prowadzisz poważną sprawę. Nie chciałam ci przeszkadzać.

– Powinnaś jednak dać znać. W moim życiu nie ma nic ważniejszego od ciebie.

Jerry powiedział Lindzie, że razem z Dżamilą ścigają sprawców okrutnego morderstwa, lecz nie wspomniał jej ani o dziwnym kulcie, ani o kanibalizmie. Nie chciał jej straszyc, a poza tym te informacje wciąż były objęte tajemnicą. Nawet przed dziennikarzami zatajono szczegóły znaleziska w fabryce dywanów Royal. Nie powiedziano im również, że pożar w szkole Charlesa Babbage’a prawdopodobnie wybuchł, gdy próbowano tam zamordować i upiec kobietę.

– Już dobrze. Chodźmy do mnie. Wypijesz coś mocniejszego i weźmiesz prysznic. Chyba że chcesz wrócić do siebie.

– Nie, nie. Wolę zostać z tobą. Szczególnie dzisiaj w nocy.

– Chodźmy więc. Chyba już nie pada, prawda?

– Nie. Wcześniej lało, ale już po deszczu.

Zatrzymali się na schodach przed komisariatem. Jerry wyciągnął z kieszeni paczkę srebrnych sterlingów i oboje zapalili. Wydmuchując dym, ruszyli ramię w ramię w kierunku głównego skrzyżowania przy Amen Corner.

Mniej więcej przed trzema miesiącami Jerry przeprowadził się do mieszkania na piętrze domu przy Crowborough Road, mniej niż pięć minut spacerem z komisariatu. Kosztowało go miesięcznie pięćdziesiąt funtów mniej niż poprzednie lokum, a jego jedyna wada polegała na tym, że właścicielka, Nora, która mieszkała na parterze, była niemal kompletnie głucha. Z tego powodu radia i telewizora słuchała w takich decybelach, że drżały szyby jego akwarium. Spać chodziła jednak już około ósmej wieczorem.

– Kto się zajmie przygotowaniami do pogrzebu? – zapytał Jerry.

– June wszystko organizuje. Umawia też spotkanie w celu odczytania testamentu. No i przegląda dokumenty, które zostały po ojcu. Jest sekretarką w kancelarii prawnej, więc pójdzie jej to sprawniej niż mnie.

– Racja. Ty prowadzisz sklep dla ubogich.

– No właśnie. I codziennie mam do czynienia z rzeczami zmarłych ludzi. Nie chcę więc zajmować się tym, co zostało po tacie.

Zatrzymali się na rogu, czekając na zmianę świateł. W pewnej chwili Jerry zauważył brodatego mężczyznę, który siedział skulony na progu agencji nieruchomości po drugiej stronie ulicy. Na głowie miał czarną czapkę, odkryty był kocem i dodatkowo czarną nieprzemakalną matą. Obok niego leżał brązowo-biały terier rasy jack russell.

Mężczyzna także go dostrzegł, a wtedy zerwał się na nogi, tak że mata spadła z niego na mokry trotuar. Zrobił kilka kroków, zwrócony w kierunku Jerry’ego i Lindy, po czym nagle się zatrzymał. Rozłożył ramiona i uniósł głowę. Sprawiał wrażenie, jakby z upodobaniem wdychał powietrze przesycone spalinami z rur wydechowych przejeżdżających samochodów. Jego pies także wstał i otrząsnął się z wody.

Światła dla pieszych zmieniły się na zielone i Jerry z Lindą przeszli na stronę Amen Corner. Kiedy dotarli prawie do Southcroft Road, gdzie powinni skręcić w prawo, w Crowborough Road, Jerry się obejrzał i zobaczył, że mężczyzna rzucił koc i matę pod drzwi agencji nieruchomości i razem z psem także skierował się ku Amen Corner.

Czyżby ich śledził? Jerry’ego kusilo, żeby poczekać, aż się z nimi zrówna, i zadać mu kilka pytań. Ale Linda ciągnęła go za rękę, a poza tym uznał, że ma dość stresów na dzisiaj i niekoniecznie ma ochotę stawać twarzą w twarz z jakimś brodatym włóczęgą.

Na rogu Crowborough Road obejrzał się jeszcze raz. Mężczyzna z terierem stał prawie nieruchomo na rogu Southcroft Road. Może wcale ich nie śledził? Jerry wciąż jednak miał w pamięci, jak tamten się poderwał, kiedy tylko ich

dostrzegł.

Rzucili niedopałki do rynsztoka. Jerry otworzył drzwi budynku numer 15 i oboje weszli do środka. Nora nie pozwalała palić w domu, ponieważ jej mąż był nałogowym palaczem i zmarł na raka płuc. W holu jak zwykle było gorąco jak w tropikach, a kapelusze, swetry i płaszcze gospodyni zwisały ze stojącego wieszaka jak liście z drzewa palmowego. Drzwi jej salonu były niedomknięte, a telewizor ryczał tak, że można było ogłuchnąć.

– Wszystko w porządku, Noro? – krzyknął Jerry, zaglądając do środka.

– Ach, to ty! Tak, dzięki. Słuchaj, chciałam cię uprzedzić, że do popołudniowej herbaty zjem wędzonego śledzia, więc jeśli z parteru będzie czuć rybą, to się nie przejmuj. Jeżeli zapach będzie zbyt intensywny, rozpylę kwiatowy odświeżacz powietrza.

– Dobrze, kochana.

Wszedł z Lindą po schodach do swojego mieszkania, które składało się z dużego salonu, aneksu kuchennego, sypialni i łazienki. Ściany w salonie wyłożone były różową tapetą, a wisiały na nich kopie krajobrazów Constable'a i obrazu Jacka Vettriana, przedstawiającego dwoje ludzi tańczących na plaży. Służący i służąca trzymali nad ich głowami parasole. Jerry z całego serca nienawidził tych malunków, głównie dlatego, że uwielbiała je Nancy, jego była żona.

Linda zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie jednego z foteli, a na wierzchu położyła szal. Jerry nalał im po dużej porcji szkockiej.

– Za twojego tatę – powiedział, unosząc szklanekę. – Przynajmniej już nie cierpi.

– Nigdy tego nie okazywał – odparła Linda, siadając po turecku na kanapie. Ubrana była w czarny golf, na szyi miała złoty medalion z głową wilka, który dostała od Jerry'ego na urodziny. – Był bardzo cichym, spokojnym człowiekiem. Nigdy dużo nie mówił. I nie narzekał. Czasami widywałam, jak wpatruje się przez okno w ogród. Miał wtedy bardzo smutną minę i zastanawiałam się, o czym myśli. Nigdy go o to nie zapytałam, a teraz jest już za późno. – Upiła łyk whisky, po czym ściągnęła usta, żeby się nie rozplakać, ale nie była w stanie powstrzymać łez toczących się po jej policzkach.

Jerry wyciągnął z pudełka chusteczkę, usiadł obok dziewczyny i otarł jej twarz.

– Nie będę ci mówił, że czas leczy rany, bo wcale tak nie jest. Nigdy nie będzie lepiej. Moja mama zmarła w wieku sześćdziesięciu czterech lat, a mnie to boli wciąż tak samo jak w dniu, kiedy odeszła. Z tym bólem po prostu trzeba się nauczyć żyć.

Linda spróbowała się uśmiechnąć.

– To jedna z wielu rzeczy, które w tobie kocham, Jer – powiedziała. – Nieważne, jak źle się czuję, zawsze potrafisz chociaż trochę pogorszyć mi nastrój.

Z dołu docierał do nich stłumiony głos telewizora, Jerry włączył więc CD z relaksacyjną muzyką klasyczną. Po dniu pracy pełnym krwi i hałasu nieodmiennie lubił położyć się w domu na kanapie i słuchać Adagio g-moll Albiniiego i innych kojących utworów.

– Chcesz coś zjeść? – zapytał Lindę.

– Nie, dziękuję. Nie dałabym rady niczego przełknąć. Ale ty się nie krępuj, jeśli masz ochotę.

– Później coś przekąszę. Chyba poczekam, aż Nora skończy ze swoimi śledziami.

Właśnie zamierzał dolać sobie szkockiej, kiedy usłyszał potężny łomot, jakby na parterze ktoś się zderzył z drzwiami frontowymi. Zaraz potem rozległy się głośne trzaski i krzyk oraz piskliwe wrzaski Nory.

– Co jest, do diabła? – zdziwił się.

Otworzył drzwi i zbiegł na półpiętro. Drzwi frontowe zostały wyrwane z zawiasów i leżały w holu na podłodze, a dookoła wałało się rozbite szkło. W progu stali dwaj mężczyźni, jeden w brązowym, wełnianym płaszczu z kapturem, a drugi w czarnej, puchowej kurtce. Mieli twarze zasłonięte szalami, tak że widoczne były tylko ich oczy.

– Jestem policjantem! – krzyknął Jerry. – Wynoście się stąd! Już wezwałem wsparcie!

Znów usłyszał wrzask Nory, ruszył więc biegiem z półpiętra. Zanim jednak dotarł na dół, mężczyzna w czarnej kurtce wskoczył na trzeci stopień schodów i szarpnął go za rękę. Wykorzystał jego energię kinetyczną, żeby go ściągnąć, po czym pchnął go na słupek poręczy, przycisnął do niego i podciął mu nogi. Warcząc jak wściekły pies, tak gwałtownie rzucił go na wyważone drzwi, że głowa Jerry'ego zatrzymała się dopiero na listwie przypodłogowej. Mężczyzna w brązowym płaszczu złapał go za ramiona i wywłókł na ścieżkę w przydomowym ogródku. Kilkakrotnie kopnął go w zębra, a potem jeszcze dwa razy z całej siły w twarz i zepchnął go ze ścieżki. Kopnął go w plecy i wreszcie warknął na niego dziko, jakby chciał mu w ten sposób nakazać, żeby się nie ruszał.

Jerry, obolały i bez tchu, leżał na mokrej ziemi. Ostatni kopniak trafił go w to samo miejsce, w które otrzymał cios prętem z rusztowania, tak że przez jego ciało jakby przebiegł prąd elektryczny, powodując nieopisany ból w każdym nerwie. Kiedy uniósł opuchnięte powieki, zobaczył, że uśmiecha się do niego plastikowy krasnal ogrodowy. Dotknął nosa i ucieszył się, że chociaż boli, przynajmniej nie jest złamany.

Z jękiem spróbował odwrócić się na plecy. Kiedy uniósł się na łokciu, ujrzał, jak z domu wychodzi mężczyzna w czarnej kurtce. Był zgarbiony, a spod pachy sterczały mu czyjeś nogi. Gdy się zbliżył, Jerry zauważył za nim mężczyznę w brązowym płaszczu, a pomiędzy dwoma łotrami bezwładną Lindę.

– Stójcie! – zawołał, chociaż zębra bolały go tak, że z trudem oddychał. – Stójcie, dranie! Zostawcie ją!

Mężczyźni nie zwrócili na niego uwagi, minęli go i wynieśli Lindę na ulicę. Dziewczyna milczała, jej ramiona luźno zwisały, co dowodziło, że napastnicy albo pozbawili ją przytomności, albo zrobili jeszcze coś gorszego.

Jerry zdołał podnieść się na kolana, a potem chwycić dłońmi parapet, dzięki czemu stanął na nogach. Zaraz jednak ugięły się pod nim i znowu klęczał, a wtedy z domu wyszedł trzeci mężczyzna – brodac, który śledził ich od Amen Corner. Przy jego nodze szedł terier.

– Oddaj mi ją – zacharczał Jerry. – Nie wiem, o co wam chodzi, ale oskarżę was o napaść i pobicie! Pójdziecie za kraty na wiele lat!

Tamten warknął na niego, zrobił krok w jego stronę i z całej siły kopnął go w brzuch. Jerry zgiął się wpół i dotknął czołem terakotowych płytek, którymi wyłożona była ścieżka w ogrodzie. Brodac znów zawarczał, powoli się oddalając. Pies nie odstępował go na krok.

Zaciskając zęby z bólu, Jerry zdołał w końcu wstać. Powlókł się za bramę i popatrzył w lewo i prawo Crowborough Road, jednak po napastnikach i Lindzie nie było nawet śladu.

Pokuśtykał do domu. W holu niemal przewrócił się o rozbite drzwi. Te do salonu Nory były szeroko otwarte, a telewizor wciąż włączony. Nadawano *Michael McIntyre's The Wheel*, a publiczność w studiu co chwilę zanosila się śmiechem.

– Nora? – zawołał. – Nora, nic ci nie jest?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, wszedł do pokoju. Najpierw zobaczył pionowe smugi krwi na żółtych kafelkach pieca. Rozejrzał się i dostrzegł krwawe plamy na kwiecistej tapecie nad kanapą. Kilka okrągłych plamek pstrzyło także sufit.

Znalazł kobietę za drzwiami. Leżała na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Jej szara spódnica była uniesiona i widać było różowy pasek do pończoch. Głowę miała tak rozbita, że twarz była płaska i nie do rozpoznania, a mózg wylewał się przez pęknięcia w czaszce, które powstały po potężnym ciosie. Jego strzępy widniały także w splątanych, rzadkich włosach.

Jerry wpatrywał się w nią przez kilka sekund, oddychając bardzo powoli. Starał się utrzymać bułkę z szynką, którą zjadł na lunch, tam, gdzie było jej miejsce – na dnie żołądka. Wreszcie się odwrócił i wspiął po schodach do siebie tak szybko, jak tylko był w stanie, żeby znaleźć telefon.

Seka obudziły wrzaski, warczenie i trzaskanie drzwiami docierające z dołu. Usiadł i nasłuchiwał. Miał dziwne wrażenie oderwania od rzeczywistości, jakby unosił się co najmniej dwa metry nad podłogą. Kiedy się najadł, Apo poczęstował go kubkiem niebiańskiej rosy i chłopiec niemal natychmiast stracił przytomność. Mógł tylko przypuszczać, że ktoś z członków plemienia wniósł go po schodach na piętro i ułożył w śpiworze. Za oknami zapadał zmrok, a w kącie pokoju paliło się pięć lampek nocnych tworzących pentagram.

Wygramolił się ze śpiwora i podszedł do drzwi. Chciał się przekonać, co jest przyczyną hałasów. Ruszył korytarzem w kierunku schodów, nim jednak do nich dotarł, zobaczył na półpiętrze Laurel Oko. Zmierzwiłone, brązowe warkocze dziewczyna upięła na głowie w wysoką piramidę.

– Och! Już się obudziłeś!

– Obudziły mnie wrzaski. Co się dzieje?

– Nic się nie martw, ale nie schodź. Niektórzy mężczyźni walczą pomiędzy sobą.

– O co? Powinienem im powiedzieć, żeby przestali. Jestem teraz Sowber Sekiem. Powinni robić, co im każe.

– Wiem, że jesteś Sowber Sekiem, Hedda także to wie, podobnie jak reszta naszych. Ale przybyli do nas ludzie z innego plemienia, a oni jeszcze tego nie wiedzą.

– A dlaczego się biją?

– Właściwie nie wiem. Chyba chcą tutaj zostać, a Hedda im nie pozwala. Mamy za mało miejsca, no i jedzenia nie wystarczyłoby dla wszystkich.

– Przecież w budynku jest mnóstwo wolnych pokoi – zauważył Sek. – A Faust posłał dwie dziewczyny, żeby przyniosły warzywa, mleko i chleb! A kiedy zapadnie zmrok, znowu wyjdziemy na zewnątrz i ściągniemy tu jeszcze więcej ofiar, prawda? Jeśli będzie więcej ludzi do wykarmienia, po prostu schwytałyśmy więcej ofiar.

– Tak, ale Hedda nie życzy sobie ich obecności. Chyba nie lubi ich szefa, Mody'ego. Mówi też, że jeżeli do nas dołączą, obcym będzie łatwiej się dowiedzieć, że tutaj mieszkamy.

– Dowiedzą się na pewno, jeżeli oni nadal będą tak hałasować. Idę na dół.

Laurel Oko złapała go za rękaw.

– Nie, Sek. Jesteś tylko chłopcem i mogłaby stać ci się krzywda. A ja mam się tobą opiekować.

Odepchnął jej rękę.

– Nie jestem po prostu chłopcem, jestem Sowber Sekiem. I sam potrafię o siebie zadbać.

Zaczął szybko schodzić, a Laurel Oko niemal deptała mu po piętach. Wrzaski i łomot ustały, wciąż jednak słyszał warczenie, pomrukiwania i kłótnie.

W holu zorientował się, że po jednej stronie stoi w zwartej grupie plemię Heddy, uzbrojone w młotki i kije, a po drugiej przynajmniej dwudziestoosobowa grupa ludzi, których nigdy dotąd nie widział, chociaż wszyscy ubrani byli podobnie, w wełniane płaszcze z kapturami i puchowe kurtki. W powietrzu unosił się odór brudnych ciał, moczu i dymu.

Hedda stała pośrodku. Naprzeciwko niej Sek zobaczył niskiego, łysiego mężczyznę o krzaczastej, siwej brodzie i brzuchu tak wielkim, że był w stanie tylko do połowy zapiąć brązowy płaszcz. Pomiędzy nim a Heddą ktoś leżał na podłodze, z szeroko rozłożonymi rękami. Twarz była zakrwawiona, Sek rozpoznał jednak Apo, człowieka, który niedawno poił go niebiańską rosą. Jego oczy były szeroko otwarte, lecz nie wpatrywały się w konkretny punkt.

Po prawej stronie Heddy dwóch jej ludzi trzymało za ręce wysokiego i chudego jak pajak mężczyznę o oczach osadzonych bardzo blisko siebie i długich, sterczących zębach. Wyrwał się, wierzgał, szarpał się gwałtownie, lecz zaraz podszedł do niego z kuchennym nożem kolejny człowiek ich przywódczyni. Przytknął czubek ostrza do nieprzemakalnej kurtki tamtego, kilkakrotnie mruknął, jakby mu groził, i chudzielec szybko się uspokoił.

Na widok Seka ludzie Heddy się cofnęli, szurając nogami, przepuszczając go do niej. Niektórzy z czcią położyli dłonie na głowach i zaczęli szemrać:

– Mam, mam.

Sek podszedł do Heddy i brzuchacza. Popatrzył na Apo i spostrzegł w boku jego czaszki półokrągłe wgniecenie, jakby uderzył głową w pręt rusztowania. Mężczyzna niewątpliwie nie żył.

– Co się dzieje? – zapytał chłopiec.

– Odbyla się walka, Sowber Seku – odparła Hedda. Wskazała na wysokiego chudziela. – To psie gównno zażądało, żeby Apo napił niebiańską rosą wszystkich jego ludzi, a on odmówił. Wtedy ten tutaj stracił panowanie nad sobą, uderzył Apo i go zabił.

– Niebiańska rosa nie jest waszą wyłączną własnością – zaprotestował grubas z brodą. – Czas najwyższy, żebyście dzieliли ją bardziej sprawiedliwie. Wszyscy moi ludzie bezustannie cierpią, bo położyliście na niej swoje łapska.

– Wydzielamy ją dlatego, że zapasy kiedyś się wyczerpią – warknęła Hedda. – Gdybym pozwoliła wam pić tyle, ile chcecie, skończyłyby się po kilku tygodniach albo dniach, i co wtedy? A poza tym, cholerni krety, zabiliście jedyne spośród nas, kto mógł się dowiedzieć, w jaki sposób zwiększyć jej zasoby.

– Potrzebujemy też miejsca, gdzie moglibyśmy zamieszkać, i czegoś do jedzenia. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy sobie nowego schronienia.

Hedda położyła dłonie na ramionach Seka, lecz nie w taki sposób jak wtedy, kiedy tuliła go niczym własne dziecko, tylko delikatnie i z szacunkiem, jakby dotykała świętego.

– Sowber Seku, to jest Mody, a to jego ludzie. Przybyli bez zapowiedzi i zażądali, żebyśmy przyjęli ich do siebie i się o nich zatroszczyli. Dawniej wszyscy mieszkaliśmy razem, ale Mody’emu nie podobały się nasze zasady, chciał więcej jedzenia i więcej niebiańskiej rosy. W końcu jego grupa postanowiła odejść i osiedlić się w innym miejscu. Nadal dostarczaliśmy im niebiańskiej rosy, ale za każdy kubek mieli nam przekazywać ofiarę. – Popatrzyła na Mody’ego i kontynuowała: – Mody, to Sowber Sek. Pokazał nam, że jest tym, który ma.

– Dlaczego tutaj przyszliście? – zapytał chłopiec. – Co się stało z waszym siedliskiem?

– Spłonęło na popiół – odpowiedział Mody. – Musieliśmy się stamtąd wynieść i teraz nie mamy zupełnie nic. Co nie oznacza, że w pożarze straciliśmy wiele. Nie mamy już jednak modelu, a potrzebowaliśmy ponad roku, żeby go złożyć.

– Modelu? – spytał Sek. – A co to takiego?

– Nieważne – wtrąciła Hedda. – Ten członek plemienia Mody’ego zamordował naszego Apo i tym samym zagroził całej naszej przyszłości. Jak już powiedziałam, zapasy niebiańskiej rosy nie są niewyczerpane, a Mody i gang jego głupich łachmaniarzy ośmielają się narzekać, że nie dajemy im jej tyle, ile chcą.

– Po stresie, jaki kosztował nas ten pożar, koniecznie potrzebujemy niebiańskiej rosy, Heddo. Natychmiast – powiedział Mody. – Popatrz na Sabinę, tę z psami. Trzęsie się jak tamburyn.

– Gdzie są zatem ofiary? – zapytała Hedda. – Znasz cenę za kubek niebiańskiej rosy.

– Przecież nie możemy polować, gdy ucieka z nas życie! W imię pana, Heddo, okaż nam trochę współczucia. Jeżeli nas teraz przyjmiesz i napoisz niebiańską rosą, przysięgam ci, że jutro wyjdziemy na zewnątrz i zdobędziemy dla ciebie wszystko, czego żądasz, a nawet więcej.

– Nie wierzę w żadne przysięgi – odparła. – Nie potrafię zliczyć, ilu ludzi mamilo mnie obietnicami, kiedy byłam młodą dziewczyną. I jak to się dla mnie skończyło? Zgwałcono mnie tyle razy, że nawet nie pamiętam wszystkich gwałcicieli, głodowałam i żyłam na ulicy. Ocalała mnie niebiańska rosa, dlatego nie pozbędę się choćby łyżeczka tego napoju ani beztrzesko, ani za darmo. – Odwróciła się do wysokiego mężczyzny. – Możemy z nim zacząć. Zostanie ukarany za zamordowanie Apo i zarazem będzie naszą ofiarą.

– Co? Przecież to Biro! Jesteśmy razem od ponad dziesięciu lat! Jesteśmy jak bracia! Biro się tylko zdenerwował! I miał powód, bo jego umysł i ciało po prostu domagają się niebiańskiej rosy. Wszyscy jej pragniemy!

– Mody, to mnie w ogóle nie obchodzi. Jeżeli chcesz mnie przekonać, że twoje przysięgi są cokolwiek warte, oddaj nam swojego przyjaciela. Co prawda nie ma na nim wiele mięsa, ale lepiej jest chociaż ssać kość szpikową, niż nie mieć w ustach zupełnie nic.

Biro znowu zaczął się wyrwać, lecz dwaj ludzie Heddy trzymali go mocno.

– Ja nie chciałem! – krzyknął z wściekłością. – Nie zamierzałem zrobić mu krzywdy! Ale kiedy poprosiłem o niebiańską rosę, odpowiedział mi, że bym się pierdolił, i odwrócił się do mnie plecami. To nie ja go uderzyłem! Zadziałało moje pragnienie, moja potrzeba! To była moja potrzeba, Mody, moja potrzeba!

Hedda opuściła głowę tak nisko, że jej twarz całkowicie zginęła w cieniu rond kapeluszy. Wpatrując się w podłogę, powiedziała:

– Nikt nie dostanie niebiańskiej rosy, jeżeli nie przyprowadzi ofiar, Mody. A przynajmniej jednej ofiary. Co o tym sądzisz, Sowber Seku? Czy powinniśmy ukarać tego oto Bira za zamordowanie Apo i zjeść go dzisiaj na kolację, czy też mamy mu wybaczyć i puścić go wolno?

Ze świeczką w ręce Laurel Oko podeszła do chłopca i stanęła obok niego. Blask świecy przydawał jego postaci jeszcze bardziej cherubinkowego wyglądu niż zwykle, miał okrągłą twarz, kręcone, jasne włosy i ubrany był w sweter przynajmniej o dwa rozmiary za duży. Kobieta milczała, a jej oko z zielonego, butelkowego szkła odbijało płomień świecy i jakby mrugało do niego, podpowiadając: Masz teraz władzę, Seku. Może liczysz sobie za ledwie osiem lat, ale decydujesz o życiu i śmierci.

A Sek czuł, jak moc w nim rośnie. Było to najcudowniejsze wrażenie, jakiego kiedykolwiek doświadczył. Miał poczucie, że jest silny i dorosły. W gruncie rzeczy niezwykczony. Był kimś więcej niż chłopcem, który potrafił pokazywać takie magiczne sztuczki, że ludzie chylili przed nim czoło. Czuł się żywym narzędziem boga o głowie kozła – najwyższego kapłana religii dwadzieścia razy starszej od chrześcijaństwa. W pewnym sensie sam był bogiem.

– No i? – zapytała Hedda z twarzą wciąż ukrytą w cieniu. – Oszczędzimy go czy zjemy?

Mody padł na kolana i przycisnął twarz do skraju luźnego swetra Seka.

– Proszę cię... – błagał.

Sek przypomniał sobie film o rzymskich gladiatorach. Nie wiedział, gdzie i kiedy go widział. A może to nie był film, lecz on sam znajdował się na arenie? Pamiętał jednak doskonale, że Cezar skierował wówczas kciuk do dołu, wskazując, że pokonany ma umrzeć.

Podszedł do Bira, popatrzył mu w oczy i uśmiechnął się. Tamten w odpowiedzi nerwowo się wykrzywił. Chłopiec uniósł prawą rękę i opuścił kciuk, jak Cezar.

– Będziesz naszą kolacją – wyszeptał.

Biro został natychmiast rzucony na kolana. Za jego plecami stanął mężczyzna z nożem kuchennym, pochylił się i błyskawicznie poderżnął mu gardło. Zrobił to z taką siłą, że głowa nieszczęśnika poleciała do tyłu, jakby była przy-mocowana na zawiasach. Trysnęła krew i ciężki strumień spadł na Mody'ego, który klęczał obok. Mody uniósł zakrwawione ręce i wydobył z siebie długi, przeraźliwy skowyt desperacji. Zawyli także niemal wszyscy jego ludzie, a młoda kobieta o imieniu Sabina padła na podłogę wstrząsana drgawkami. Dwa psy zaczęły krząć wokół niej, roz-paczliwie popiskując.

Hedda warknęła i uniosła głowę. Sek popatrzył na jej twarz, podobną do oblicza lalki. Dostrzegł, że jej jasne oczy błyszczą zadowoleniem, ale gdyby wiedział cokolwiek o orgazmie, inaczej oceniliby jej reakcję na egzekucję Bira.

Tego wieczoru w kuchni panował ogromny tłok. Ludzie Heddy siedzieli po jednej stronie stołu, a Mody'ego po dru-giej. Otwarto wszystkie sześć pieców, było więc bardzo gorąco. Ale brakowało mięsa. Za posiłek musiały wystarczyć dwie klatki piersiowe podzielone na cztery części oraz cztery nogi i sterta wnętrzności, posiekanych i wymieszanych z marchwią i brukwią. Dziewczyny, które Faust wysłał do Tesco, ukradły pięć bagietek francuskich, które pokrojono na małe kromki, podpieczono na ogniu i cienko posmarowano pastą rybną.

Hedda i Mody siedzieli u szczytu stołu, a Sek między nimi. Tego popołudnia trzy kobiety poszły do Kennington Park, by narwać gałęzi z żywopłotu. Po powrocie splotły je w koronę dla Seka, który wyglądał dzięki niej jak minia-turowy imperator.

Kilkoro członków plemion Heddy i Mody'ego rozmawiało przy stole, lecz w większości spoglądali na siebie nawzajem podejrzliwie i z nienawiścią. Ludzie Mody'ego od zawsze ze znacznie większą pasją niż poddani Heddy bili pokłony panu z głową kozła i jak zwykle przed jedzeniem odśpiewali długą modlitwę dziękczynną; z kolei ci od Heddy nic sobie z tego nie robili i w tym czasie już obgryzali żebra i wypychali sobie palcami do ust ciepłe wnętrzno-ści.

Sam Mody siedział przygarbiony nad miską zupy ziemniaczanej z posiekanym mięsem z ludzkiej stopy. Zupa była doprawiona tymiankiem i mocno pachniała.

– Potrzebujemy przynajmniej sześciu ofiar, żeby wykarmić ten tłum – odezwała się Hedda.  
– Nie musisz mi tego mówić – odparł Mody. – Przysiągłem i dotrzymam przysięgi.  
– Kiedy będziecie prowadzić ofiary, musisz bardzo uważać, żeby nikt was nie zobaczył. To sprawa najwyższej wagi. Popatrz na ludzi, których tutaj mamy. Obcy już znaleźli kryjówkę Hikera w starej fabryce dywanów. Jeżeli odkryją nas tutaj, nastąpi katastrofa.  
– Wtedy będziemy musieli podjąć walkę – oznajmił Sek. – Postaramy się zabić ich jak najwięcej. To zostawią nas w spokoju.

– Naprawdę tak myślisz? – Mody odłożył łyżkę. – Chyba tylko dlatego, że jeszcze niewiele wiesz o życiu, chło-paczk. Obcy nie dbali o nas, żywych czy martwych na ich ulicach, a my nie czyniliśmy im nic złego. Naprawdę wierzysz, że okażą się zbyt słabi, żeby się na nas mścić, kiedy zaczniemy ich gromadnie zabijać?

– Nie powinieneś w ten sposób zwracać się do Sowber Seka – upomniała go Hedda. – On może sprawić, że w jed-nej chwili rozpułniesz się w powietrzu, albo rozkazać, żeby zjedzono cię jutro na śniadanie. A propos jedzenia, masz okazję udowodnić, że naprawdę dotrzymujesz słowa.

Jedna z kobiet odeszła od pieca i zbliżyła się do stołu, niosąc deskę do krojenia. Miała szerokie biodra i czerwoną opaskę przewiazaną na wilgotnym czole. Była cała spocona na węgeln i poprzecinaną szkarłatnymi pasemkami na policzkach, gdzie spod popękanej skóry przeriezało surowe mięso. Pod wpływem wysokiej temperatury oczy niemal wyskoczyły z oczodołów, a usta ułożyły się w ciasne kółeczko, jakby nieszczęśnik chciał z przerażeniem wykrztusić: „Och!”

Hedda odsunęła na boku miskę Mody'ego, a kobieta o szerokich biodrach położyła deskę tuż przed nim. Martwy Biro wpatrywał się prosto w niego.

– Masz – powiedziała. – Oto twój przyjaciel, specjalnie dla ciebie. Wcale nie krwisty, zapewniam cię, lecz ape-tycznie wypieczony! – To powiedziawszy, parsknęła chrapliwym śmiechem, po czym wyciągnęła z kieszeni fartucha nóż i widelec i położyła przed Modym.

Ten przez długi czas wpatrywał się w przypaloną twarz Bira. Sek dostrzegł w jego oczach łzy.  
– No dalej, Mody – zachęcała Hedda. – Zjadłeś tylko trochę zupy. Musisz zachować siły. I dotrzymać przysięgi.  
– Nie mogę. – Mody pokręcił głową. – Znałem go od dawna. Wiele razem przeżyliśmy. Zawsze mi pomagał w złych czasach, a czasy zazwyczaj były okropne. Bez niego nie dałbym sobie rady.  
– Chcesz, żebyśmy cię przyrządzili tak samo? – zapytał Sek.

Mody popatrzył mu prosto w oczy.  
– A więc uważasz się za kogoś, kto jest sowber? – zapytał szyderczym tonem. – Moim zdaniem jesteś pyszałko-watym, zadzierającym nosa gówniarzem. Wcale nie jesteś tym, który ma. Spraw, żebyśmy zniknęła, co? Śmiało! Chce zniknąć! Udowodnij mi tu i teraz, że jesteś sowber, bo w ogóle w to nie wierzę!

Wszyscy przy stole zamilkli. Sek usłyszał, jak kilka osób zasasa powietrze przez zęby. Popatrzył na Heddę, spo-dziewając się, że go wesprze i powie Mody'emu, żeby nie zwracał się do niego z taką pogardą. Ale kobieta tylko wzruszyła ramionami i odezwała się:

– Pokaż mu, co potrafisz, Sowber Seku. Niech najpierw udławi się własnymi słowami, a potem martwym przyja-cielem.



To wstrząsnęło chłopcem. Ogarnął go niemal paniczny strach. Na stole nie było naczyń z polistyrenu, nie mógł więc wykonać swojego numeru ze znikaniem kubka. Poza tym wszyscy ludzie Heddy już to widzieli, a gdyby przypadkiem spartaczył sztukę, natychmiast zdaliby sobie sprawę, że wcale nie jest cudotwórcą. Sam wciąż nie dowiedział, że za pomocą prostego triku wywarł na nich tak wielkie wrażenie.

Znał jeszcze tylko jeden trik. Jego wykonanie sprawiało mu trudności, ponieważ miał bardzo małe dłonie. Kuchnia była jednak kiepsko oświetlona, mimo że na półkach stało przynajmniej trzydzieści świeczek, istniała więc szansa, że nikt tego numeru nie przejrzy, nawet jeżeli nie wykona go całkiem poprawnie.

– Twoja łyżka – powiedział do Mody’ego, starając się brzmieć jak najbardziej wyzywająco. – Potrafisz ją wygiąć gołymi rękami?

– Co? – zdziwił się mężczyzna.

Sek wyciągnął z miski łyżkę i podał mu ją.

– Masz. Zegnij ją.

Mody chwycił łyżkę. Bardzo się starał ją wygiąć, zaciskał zęby, miał jednak do czynienia z nierdzewną stalą o grubym uchwycie. Przez chwilę się wysilał, warcząc i pochrząkując, ale w końcu się poddał i oddał łyżkę Sekowi. Kilku ludzi z jego plemienia roześmiało się nerwowo, ale kiedy uniósł głowę i popatrzył po ich twarzach, natychmiast ucichli.

Sek zacisnął łyżkę w prawej pięści w taki sposób, że wystawała z niej tylko część do nabierania zupy. Udawał, że wszystkie palce zaciska na trzonku, ale w rzeczywistości obejmował go jedynie tym najmniejszym. Następnie położył lewą pięść na prawej, nadal sprawiając wrażenie, że trzyma uchwyt łyżki na całej długości. Nacisnął częścią do nabierania zupy mocno na stół, stopniowo unosząc pięści, przez co stworzył pozór, że zgiął trzonek pod ostrym kątem. Jednocześnie wykrzywił się w grymasie, jakby cała operacja kosztowała go mnóstwo wysiłku. W rzeczywistości ukryty w pięściach uchwyt łyżki był prosty.

Wszyscy zgromadzeni wokół stołu patrzyli na niego z podziwem. Jeszcze przez kilka chwil przytrzymał pięści w tej pozycji, aż w końcu je opuścił z kolejnym grymasem na twarzy. Na koniec obrócił łyżkę i podniósł ją teatralnym gestem, żeby wszyscy mogli zobaczyć, że z powrotem ją wyprostował.

– No i proszę, Mody! – rzuciła Hedda z triumfem. – Potrzebujesz jeszcze jakiegoś dowodu, że on jest sowber?

Mężczyzna siedział wyprostowany. Pozostali padli na kolana i położyli dłonie na głowach. Mody przez chwilę się wahał, a potem także położył dłoń na czubku lśniącej łysiny.

– Naprawdę jesteś tym, który ma – powiedział. – Przepraszam, że ci nie uwierzyłem. Naprawdę bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że zechcesz mi wybaczyć.

Sek wrzucił łyżkę z powrotem do miski.

– Kontynuuj – polecił. – Przyjaciół na ciebie czeka. Zjedz go.

Mody podniósł widelec. Dla uspokojenia wziął kilka głębokich oddechów, po czym wbił zęby widelca w niemal czarny policzek Bira, tuż pod lewym oczodołem. Wydobył kęs chrupiącego mięsa, włożył do ust i zaczął żuć.

– Jak ci smakuje? – zapytała Hedda. – Czujesz w tym posiłku słodycz zemsty?

Mody pokręcił głową. Do jego oczu znów napłynęły łzy. Po chwili spłynęły i zatrzymały się z wesołym iskrzeniem na jego brodzie.

Sek uśmiechnął się i wysoko uniósł ręce, pozwalając wszystkim wrócić na miejsca i kontynuować posiłek.

– Nastał nowy czas! – obwieścił dźwięcznym głosem chłopca z chóru kościelnego. – Czas Sowber Seka. Od tej pory każdy nasz dzień będzie magiczny.

Linda otworzyła oczy i zorientowała się, że leży na boku, na zapiaszczonym, czerwonym dywanie. Głowa bolała ją tak, jakby ktoś przeciął ją na połowę, a kiedy podniosła rękę i ostrożnie dotknęła karku, poczuła opuchliznę i taki ból, że na moment zabrakło jej oddechu.

Usiadła i rozejrzała się, chociaż trudno jej było na czymkolwiek skupić wzrok. Za oknami było ciemno, do pomieszczenia docierało jednak światło lamp ulicznych, dzięki czemu stwierdziła, że przebywa w pustym pokoju o ścianach pomalowanych na szaro. Widoczne były na nich jaśniejsze prostokąty po ramach obrazów, które kiedyś tutaj wisiały. W powietrzu unosił się kurz i zapach dymu papierosowego oraz słaby, nieprzyjemny odór jakby zgniłych kurczaków.

Kiedy poruszyła nogami, zorientowała się, że boczne szwy jej granatowej, aksamitnej sukni zostały rozdarte niemal po same biodra. W tej chwili powróciły do niej wspomnienia. Pamiętała, że ktoś rozwalił drzwi, a Jerry zbiegł na parter, żeby zobaczyć, co się stało. Następnie po schodach wbiegło dwóch zamaskowanych mężczyzn. Wpadli z impetem do mieszkania Jerry'ego i rzucili się na nią jak wściekłe psy. Prawdopodobnie jeden z nich uderzył ją w głowę, tego jednak nie pamiętała. Zaczęła intensywnie mrugać, ale nie była w stanie odzyskać ostrości wzroku.

Zdołała wstać i pokuśtykać do okna. Poniżej znajdował się parking, na którym nie było samochodów, lecz stały dwa kontenery, pełne płyt wiórowych, pokruszonych cegieł i wilgotnych materaców. Rozejrzawszy się po dachach domów otaczających parking, odgadła, że znajduje się na trzecim lub czwartym piętrze jakiegoś budynku. W oknie jednego z najbliższych dostrzegła rodzinę przy kuchennym stole. Zwyczajna, a zarazem odległa scena z kilkorgiem ludzi wspólnie jedzących kolację sprawiła, że nagle poczuła się zupełnie oderwana od rzeczywistości, jakby była księżniczką z baśni braci Grimm uwięzioną w wysokiej wieży. Głowa wciąż jej pulsowała bólem i w pewnej chwili Linda prawie zemdląła. Zdołała się przytrzymać parapetu, zamknęła oczy, po czym wzięła kilka głębokich oddechów, dzięki czemu uniknęła upadku.

Boże, gdzie ja jestem? Uniosła powieki, odwróciła się i przekuśtykała przez pokój. W jednej ze ścian znajdowały się wąskie drzwi, a kiedy je otworzyła, zobaczyła umywalkę i kabinę prysznicową. To musi być hotel, myślała intensywnie. Opuszczony hotel. Ale dlaczego przynieśli mnie właśnie tutaj? Czego ode mnie chcą? I gdzie teraz są?

Obok głównych drzwi mieściła się wbudowana w ścianę garderoba z pustymi wieszakami i pogniecioną torbą na pranie na podłodze. Na kłamce wisiał podłużny kartonik z napisem „Nie przeszkadzać”. Bardzo ostrożnie je otworzyła i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz pograżony był w ciemności, a z niższych pięter docierały wrzaski, gwizdy i odgłosy, które przywodziły na myśl warczenie zdenerwowanych psów.

Zrobiła krok, ale w tym momencie ostry warkot, który rozległ się tuż za nią, sprawił, że aż podskoczyła. Z ciemności wyłonił się mężczyzna w czarnej koszulce, bez słowa chwycił ją za rękę i gwałtownie pociągnął korytarzem.

– Odczep się ode mnie! – wrzasnęła. – Zostaw mnie! Czego chcesz?

Mężczyzna nie zważał na jej protesty. Łysy, przysadzisty, o wytatuowanych ramionach, był dla niej po prostu zbyt silny. Zaciągnął ją aż do klatki schodowej, a potem bez wahania w dół. Niemilosiernie objęła kostki o kolejne stopnie, ponieważ w mroku nie mogła dostrzec schodów, ale mężczyzna przez cały czas trzymał się jedną ręką poręczy, dzięki czemu za każdym razem, kiedy traciła grunt pod nogami, stawiał ją do pionu.

Szarpał ją tak przez dwa piętra, a potem wciągnął w kolejny korytarz. Na jego końcu wpełznął Lindę do dużego pomieszczenia oświetlonego mnóstwem świec. Zgromadziło się tutaj przynajmniej czterdzieścioro kobiet i mężczyzn. Wszyscy ubrani w grube płaszcze i kurtki, wiele osób miało na głowach kaptury. Kilkoro leżało i spało, większość jednak siedziała po turecku. Palili papierosy i powarkiwali do siebie nawzajem. W powietrzu unosił się wszechogarniający smród brudnych ciał.

Na ścianie po prawej stronie Linda zobaczyła rysunek przedstawiający dziwną postać – nagiego mężczyznę z głową kozła. Poniżej siedziały trzy osoby: mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna ze złamanym nosem, kobieta wystrojona w dwa kapelusze o szerokich rondach, nałożone jeden na drugi, oraz chłopiec o kędzierzawych włosach, ubrany w workowaty, zielony sweter. Wyglądał najwyżej na dziewięcioletka, ale także palił papierosa.

Ponieważ wszyscy pozostali zasiadali w kręgu nabożnie zwróceniu twarzami w stronę trójki pod ścianą, Linda uznała, że właśnie oni są tutaj najważniejszymi osobami. Przysadzisty mężczyzna zaciągnął ją przed nich, po czym zwoleń uścisk na jej ramieniu.

– Kim jesteście? – zapytała. Gardło miała tak ściśnięte, że z trudem przełykała ślinę, starała się jednak, żeby w jej głosie brzmiała złość, a nie strach. – Dlaczego mnie tu ściągnęliście? Słuchajcie, mój chłopak jest policjantem. Dopadnie was, zanim się zorientujecie, co jest grane, i pożałujecie.

Kobieta w dwóch kapeluszach zmierzyła ją wzrokiem od góry do dołu i z głębi gardła dobyła warkot. Powarkiwanie było niejednorodne i w uszach Lindy zabrzmiało tak, jakby tamta coś mówiła. Nie potrafiła jednak jej zrozumieć. Mężczyzna ze złamanym nosem najwyraźniej wiedział, o co jej chodzi. Wstał i skinął na kogoś w sterzącym kapturze, o wyglądzie Araba, siedzącego wygodnie pod przeciwległą ścianą.

Ten podniósł się i utorował sobie w tłumie drogę w ich kierunku. Gdy dotarł do Lindy, kolejny młodzieniec i młoda kobieta w chuście na głowie wstali, po czym złapali ją za przedramiona.

– Odczepcie się ode mnie! – zażądała. – Powiedziałam, żebyście się odczepili! Puśćcie mnie!

Ale oni jeszcze mocniej zacisnęli dłonie. Kiedy odwróciła głowę, żeby popatrzeć na ich twarze, zobaczyła łagodne, bezbarwne uśmiechy dzieci kwiatów. Ich miny świadczyły, że są naćpani.

Arab uniósł połą brudnej kurtki w kolorze khaki i wyciągnął młotek z pętli przy pasku. Następnie sięgnął do kieszeni i wydobyl garść długich żelaznych gwoździ.

Mężczyzna ze złamanym nosem skinął głową ku ścianie po przeciwległej stronie pokoju, warknął i przesunął palcem wskazującym po szyi. Linda obejrzała się. Zauważyła na ścianie czerwonobrazowe plamy i zacieki, jakby ktoś wychlusnął na nią kilka butelek burgunda. Płyn ściekał strugami aż do podłogi. Ściana była nie tylko brudna, w tynku znajdowało się także mnóstwo dziur po gwoździach.

Mężczyzna i kobieta pociągnęły Lindę do tyłu i przycisnęły jej ramiona do ściany. Podszedł do niej mężczyzna ze złamanym nosem. Arab niemal deptał mu po piętach.

– Kim wy jesteście? – zapytała Linda. – Co zamierzacie ze mną zrobić?

Mężczyzna o złamanym nosie odwrócił się i wskazał postać z głową kozła narysowaną na ścianie, po czym znowu stanął twarzą w twarz z Lindą, obnażając zęby. Nie uśmiechał się, lecz mocno je zaciskał, jakby w ten sposób chciał wszystko wyjaśnić. Arab wyciągnął ku niemu młotek, a on ujął go prawą ręką, po czym uniósł lewą dłoń, czekając na pierwszy gwóźdź.

Kobieta, która przytrzymała lewą rękę Lindy, podniosła ją i przycisnęła jej dłoń płasko do tynku. Mężczyzna ze złamanym nosem wcisnął czubek gwoźdźnia w jej nadgarstek. Linda wydała z siebie bolesne „ach!” i desperacko patrzyła mu w oczy, szukając w nich chociaż cienia współczucia. Ale dostrzegła tylko dziwną iskrę obojętności, jakby jego oczy były lśniącymi chrząszczami.

Uniósł młotek i głęboko wciągnął powietrze. Gdy już miał uderzyć w gwóźdź, chłopiec o kędzierzawych włosach niespodziewanie coś wykrzyknął. W uszach Lindy zabrzmiało to jak warkot szczeniaka.

Mężczyzna się zawahał. Po ruchu jego szczęk Linda rozpoznała, że zgrzytnął zębami. Nastąpiła długa chwila, gdy jedną ręką wciąż przyciskał gwóźdź do jej nadgarstka, a w drugiej trzymał wzniesiony młotek, lecz w końcu powoli wypuścił powietrze przez nozdrza i się cofnął.

Ci, którzy przytrzymywali ręce Lindy, zwolnili uścisk i także się wycofali. Mężczyzna ze złamanym nosem oddał młotek Arabowi i skrzyżował ramiona na piersiach. Na jego twarzy odmalowała się mieszanina rezygnacji i z trudem hamowanej złości.

Chłopiec podszedł do Lindy, nie wypuszczając z ręki wypalonego do połowy papierosa. Uśmiechał się niemal błogo, jak dziecko na jakimś obrazie religijnym. Wyciągnął do niej rękę i dobył z gardła kilka krótkich dźwięków, które przypominały szczęknięcia.

– Nie rozumiem cię – powiedziała. – Proszę... Nie rozumiem, co próbujesz powiedzieć, i nie wiem, dlaczego ci ludzie mnie tutaj ściągnęli. Chcę tylko się stąd wydostać i wrócić do domu.

Ująwszy ją za rękę, chłopiec poprowadził ją do kobiety w dwóch kapeluszach. Sprawiała wrażenie równie zdenerwowanej jak mężczyzna ze złamanym nosem, posłała jednak Lindzie tylko dziwny, pełen irytacji uśmiech.

– Czego ode mnie chcesz? – Linda zapytała chłopca. – Nie możecie po prostu mnie wypuścić?

Chłopiec przycisnął wierzch jej dłoni do swojego policzka i odezwał się z wyraźnym trudem:

– Much... much... mamuch... mamuch...

– Co? – Linda wyrwała dłoni i patrzyła na niego z przerażeniem.

– Much... mamuch...

– Mój Boże – jęknęła. – Nie jestem twoją matką!

Kobieta w dwóch kapeluszach klepnęła dłonią w podłogę i skinęła na Lindę. Bez wątplenia spodziewała się, że dziewczyna usiądzie obok niej. Tuż za nią klęczała dziewczynka o brązowych włosach splecionych w warkocze upięte w wysoki, stożkowaty kok. Jedno oko miała zielone jak denko od butelki. Ona także skinęła na Lindę i zaprosiła ją na podłogę gestem obu rąk, okazując wyraźnie większy entuzjazm niż kobieta w kapeluszach.

Linda odwróciła się. Mężczyzna ze złamanym nosem wpatrywał się w nią z rękami wciąż skrzyżowanymi na piersiach. Już nawet nie próbował udawać, że nie czuje się oszukany. Mężczyzna i kobieta, którzy przed chwilą przycisnęli Lindę do ściany, stali po jego bokach z dziwnymi, kokieteryjnymi minami. Ponieważ wszystko wskazywało na to, że otrzymała szansę wyboru pomiędzy udawaniem, że jest matką powarkującego chłopca, a przybiciem do ściany, Linda zrozumiała, że właściwie nie ma wyboru: musi usiąść i robić to, czego od niej żądają.

Niechętnie ukucnęła obok kobiety w dwóch kapeluszach. Chłopiec usiadł obok niej. Znow ujął jej dłoń i wpatrywał się w Lindę z uwielbieniem.

Mój Boże, jemu naprawdę się wydaje, że jestem jego matką, pomyślała. Ale gdyby nie powstrzymał tych ludzi, co by ze mną zrobili? Przybiliby mnie do ściany, a potem co? To wszystko przypomina jakiś okropny koszmar, w którym nic nie ma sensu. Kim są ci ludzie i dlaczego komunikują się jedynie przez warczenie, charczenie i pomrukiwanie, jak zwierzęta?

Jej mózg funkcjonował już w miarę normalnie, wciąż jednak czuła rozdzierający ból głowy i nie potrafiła zapanować nad niekontrolowanymi drgawkami, częściowo z zimna, częściowo ze strachu. Koniecznie musiała też pójść do toalety, ale nie wiedziała, jak o to poprosić, no i co się stanie, jeżeli to zrobi.

Kobieta w dwóch kapeluszach położyła dłoń na jej ramieniu. Miała czarne rękawiczki z angory, więc Linda odniosła wrażenie, jakby na jej barku usadowił się wielki, włochaty pająk. Kiedy się wzdrygnęła, kobieta popatrzyła na nią bez uśmiechu, a po chwili machnęła ręką na niskiego, zwalistego mężczyznę, który siedział w odległym kącie pokoju, oparty plecami o zasłony. Wydała całą serię warkotów, które zabrzmiały jak polecenia. Mężczyzna pokiwał głową, wstał i zniknął za drzwiami.

Niespodziewanie jedna z kobiet siedzących pośrodku pokoju zaczęła klepać się po udach i śpiewać. Dołączyła do niej reszta; część osób także się poklepywała, a część uderzała pięściami w podłogę i w ściany. Chłopiec zgasił niedopałek na podeszwie buta i dołączył do śpiewu. Miał dziwny, świergoczący falset.

Linda jeszcze nigdy w życiu nie słyszała takiej pieśni. Śpiew tych ludzi był kombinacją murmuranda, prostackiego wrzasku i żalostnego lamentu, a urozmaicały go krótkie, gwałtowne okrzyki. Ich zachowanie wzbudzało w niej ogromny niepokój. Nie rozumiała, dlaczego ten śpiew skłonił ją do odwrócenia głowy i spojrzenia na mężczyznę o głowie kozła na ścianie za jej plecami. Ogarnęła ją niemal pewność, że jeśli oni nadal będą tak zawodzić, ten człowiek ożyje, zjedzie ze ściany i wkroczy pomiędzy nich. Mocno zacisnęła uda, jednak wciąż drżała, a w pewnej chwili ze strachu po prostu się zmoczyła. Chłopiec uściskał jej dłoń i powiedział:

– Much... mamuch! – Jego oczy rozjaśniły się w zachwycie.

Stopniowo śpiew tracił na energii, a uderzenia dłońmi i pięściami były coraz słabsze, wreszcie brzmiały jak szmer wody uderzającej w nabrzeże portowe. Do pokoju wrócił niski mężczyzna. Niósł szklaną butelkę z bursztynowym płynem i żółty, plastikowy kubek zawieszony uchwytem na małym palcu. Podszedł do Lindy i kobiety w dwóch kapeluszach, po czym ukląkł.

– Much... mamuch – powtórzył chłopiec i wykonał gest, jakby pił.

– Co?

Mały znowu wydobył z gardła szczenięcy skowyt i powtórzył gest. Mężczyzna wyciągnął korek z butelki i do połowy napełnił kubek płynem. Podał go chłopcu, a on wyciągnął rękę z kubkiem do Lindy.

Przyjęła go i powąchała płyn.

– Chcesz, żebym to wypila? Co to jest?

– Cah... cahju.

– Nie rozumiem. Co to jest cahju?

Kobieta w dwóch kapeluszach znowu opuściła pajęczą rękawiczkę na ramię Lindy i skinęła w kierunku mężczyzny ze złamanym nosem. Także wykonała gest picia. Jej spojrzenie nie pozostawiało złudzeń: Wypij to albo każę cię przybić do ściany i mało mnie obchodzi, czy jesteś jego matką czy nie.

Linda przytknęła kubek do ust. Przez chwilę się wahała, ale w końcu przechyliła głowę i opróżniła zawartość jedynym haustem. Kobieta, która wcześniej zainicjowała śpiew, teraz wydobyła z siebie wysoki ni to skowyt, ni to trel i zaklaskała. Idąc w jej ślady, wszyscy zgromadzeni zaczęli równocześnie wyć, wrzeszczeć i klaskać.

Linda uśmiechnęła się, po czym przycisnęła wierzch dłoni do ust, jakby je ocierała. Podziwiający ją tłum nie zorientował się, że wcześniej większość płynu zatrzymała w policzkach, nie połykając, i teraz wypłuła w rękaw sukni.

– Much... mamuch! – powiedział chłopiec.

Był tak zadowolony z wszystkiego, co się wydarzyło, że w jego oczach zabłyśły łzy. Wyciągnął ręce i uściskał Lindę, a ona pogłaskała jego tłuste kędzioły, mimo że miała ochotę gwałtownie nim potrząsnąć jak lalką i trząść tak długo, aż opadłaby mu głowa.

Kiedy Dżamila następnego ranka weszła na oddział intensywnej terapii, Edward właśnie kończył śniadanie składające się z dwóch ciasteczek pełnoziarnistych i kubka ciepłego mleka. Doktor Seshadri stał niedaleko jego łóżka i marszcząc czoło, wpatrywał się w dokument przypięty do sztywnej podkładki. Pielęgniarka podwijając rękawy piżamy Edwarda, żeby zmierzyć mu ciśnienie krwi. Chłopiec wciąż był blady i miał sińce pod oczami, ale siedział prosto i wydawał się znacznie mniej rozkojarzony niż poprzedniego dnia.

– Ach, dzień dobry, pani sierżant – powiedział doktor Seshadri. – Z przyjemnością mogę panią poinformować, że nasz mały pacjent robi postępy. Ale wciąż stoją przed nami pytania, na które nie znamy odpowiedzi. Chłopiec nadal wykazuje symptomy wycofania, a to ze względu na odstawienie opiatów, którymi go faszrowano, jednak Suboxone wyraźnie wspomaga już jego organizm.

– Może mówić? – zapytała Dżamila. Uśmiechnęła się do Edwarda i żartobliwie pogroziła mu palcem.

– Obserwujemy pewną poprawę, jednak wciąż nie jest w stanie jasno się wysławiać. Wydaje się wiedzieć, co chce powiedzieć, ale z jakiegoś powodu jego mózg po prostu odmawia formułowania słów.

– A narkotyk? Rozpoznał pan już jego skład?

– Nie do końca. Mam nadzieję, że laboratorium jeszcze dzisiaj, a najpóźniej jutro, przekaże kolejne informacje. Nasi laboranci podjęli ścisłą współpracę ze specjalistami z Lambeth, możemy więc być pewni, że pracują nad tym najbardziej tęgie umysły. Do tej pory przekazano mi, że oprócz morfiny narkotyk prawdopodobnie zawiera substancję przypominającą harminę, która jest, jak zapewne pani wiadomo, bardzo silnym halucynogenem. Pozyskuje się ją na Bliskim Wschodzie z łupin ruty stepowej i innych roślin.

– A więc Edward mógł mieć halucynacje?

– Opiaty z pewnością wpłynęły na jego postrzeganie otoczenia i zdolność rozumienia, kim jest lub gdzie się znajduje. Na przykład rozpoznaje matkę, lecz wciąż zdaje się nie rozumieć ich wzajemnego związku.

– Mogę z nim porozmawiać?

– Oczywiście. Każda próba komunikacji może mu tylko pomóc.

Pielęgniarka zbadała już ciśnienie Edwardowi, Dżamila wzięła więc krzesło i postawiła je przy łóżku. Chłopiec uśmiechnął się i wy dobył z gardła niski pomruk.

– Jak się czujesz, Edwardzie? – zapytała policjantka.

– Erst – wyszeptał i wskazał palcem na swoją klatkę piersiową.

– Erst? Nie rozumiem. Co znaczy „Erst”?

Edward jeszcze raz wskazał na siebie i powtórzył:

– Erst! Erst!

– Przepraszam, wciąż nie rozumiem – wyznała Dżamila. – Posłuchaj, przyniosłam ci duże kartki i kolorowe kredki. Może narysowałbyś, o co ci chodzi?

Lekko uniosła płócienną torbę, którą trzymała w ręce, po czym wyciągnęła z niej blok rysunkowy oraz pudełko kredek. Jerry kupił je w tym samym sklepie WC Smith w Tandem Centre, w którym aresztowano mężczyznę w sukni. Edward mruknął, kiedy rozkładała blok do rysowania na kołdrze na jego kolanach. Po chwili podniosła pokrywę pudełka z kredkami, odsłaniając przed oczami Edwarda ich kolorowe czubki.

– Proszę, weź jedną – zachęciła go. – I narysuj mi Ersta.

Doktor Seshadri stał kilka kroków dalej i obserwował tę scenę z dużym zainteresowaniem. Dżamila zgadywała, że lekarz chce się przekonać, czy Edward wie, do czego służą kredki, i czy rozumie, co ma zrobić.

Edward wyciągnął rękę, ale kiedy jego palce zawisły nad różnokolorowymi kredkami, zawałał się. Opuścił dłoń, dotykał poszczególnych kredek, ale jakby nie wiedział, co z nimi robić.

– No, dalej – łagodnie zachęcała go Dżamila. – Narysuj mi Ersta.

Edward popatrzył na nią i posłał jej dziwnie rozmarzony uśmiech. Następnie już bez wahania wziął ciemnobrązową kredkę, zdjął zabezpieczenie z czubka i zaczął rysować. Dżamila odwróciła się do doktora i uniosła kciuk.

– To niezwykle interesujące – powiedział Seshadri. Stał za oparciem jej krzesła, aby lepiej widzieć, co chłopiec rysuje. – Nawet jeśli pewne funkcje jego mózgu zostały upośledzone, jak na przykład mowa, wydaje się, że inne działają doskonale. Jakikolwiek substancje mu podano, oddziałują bardzo selektywnie. – Uśmiechnął się ponuro. – Prawie żałuję, że nie mogę zaaplikować tego środka kilku moim najbardziej gadatliwym kolegom.

– To jest nas już dwoje – powiedziała Dżamila. – Mój partner powiedziałaby prosto z mostu, że ta substancja „zamyka ludziom japy”.

Obserwowała, jak Edward rysuje chłopca. Kiedy wykonał kontury postaci, złapał za żółtą kredkę i dorysował jej jasne, kręcone włosy, takie jak jego. Następnie wziął czerwoną i namalował na postaci pionowe pasy, takie, jakie zdołał jego piżamę. Miał ją na sobie pod kurtką i džinsami, kiedy przywieziono go do szpitala Świętego Jerzego.

Uniósł kartkę i warknął:

– Erst.

– A więc Erst to ty – domyśliła się Dżamila.

Zanim zdążyła mu zadać pytanie, Edward opuścił kartkę z powrotem na kolana i zaczął rysować kolejnego chłopca. Był niemal identyczny, z jasnymi, kręconymi włosami i w piżamie w czerwone pasy, tylko trochę niższy.

– Sek – warknął, dźgając rysunek palcem. – Ohn.

– To twój brat John? Rozumiem. Ale nazywasz go Sekiem. Ty jesteś Erst, a on Sek.

Pielęgniarka, która zapisywała wyniki pomiarów ciśnienia krwi, podniosła wzrok znad ukośnego stolika.

– To chyba brzmi mniej więcej jak „pierwszy” i „drugi” po niemiecku. *Erst i sek* – zauważyła.

– Zna pani niemiecki? – zapytała Dżamila.

– Jestem Polką, pochodzę ze Szczecina, miasta położonego przy granicy niemieckiej. Przez całe życie słyszałam niemiecką mowę.

– Cóż, ten wątek jest ciekawy. Ale dlaczego Edward miałby nazywać siebie i brata „pierwszym” i „drugim” po niemiecku?

– Takie imiona mogli im nadać ludzie, którzy ich porwali i nafaszerowali narkotykami – powiedział doktor Seshadri. – Na przestrzeni lat leczyłem wielu uzależnionych, którzy całkowicie zapomnieli własne imiona i kojarzyli jedynie przezwiska, pod jakimi byli znani kumpłom. A pewien starszy mężczyzna utrzymywał, że ma na imię Roberta, mimo że nie potrafił wyjaśnić, skąd się wzięło to imię.

– A więc chłopców mieliby porwać Niemcy? Przecież to nie ma sensu.

– Niech pani popatrzy. – Doktor wskazał głową rysunek. – Proszę spojrzeć, co on jeszcze tworzy.

Edward wyjął z pudełka czarną kredkę i starannie kreślił jakąś wysoką postać, przynajmniej trzy razy większą od siebie. Był to nagi mężczyzna z dużym, sterzącym penisem. Zamiast głowy miał łeb kozła.

– Co to jest? – wykrztusił Seshadri, a Dżamila natychmiast rozpoznała postać.

Była niemal identyczna jak wizerunek na ścianie tunelu metra pod fabryką dywanów Royal. Zachowała jednak to spostrzeżenie dla siebie. Edward wciąż rysował, z czubkiem języka lekko wysuniętym spomiędzy zębów, co świadczyło o ogromnej koncentracji. Nie chciała zakłócić jego skupienia.

Kiedy skończył sylwetkę mężczyzny z głową kozła, ciało pomalował na pomarańczowo, a oczy na żółto. Przez chwilę siedział wyprostowany, wyraźnie zadowolony ze swojego dzieła, a następnie położył lewą rękę na głowie, wsunął palce w kosmyki włosów i warknął:

– Ba-Abla.

Dżamila patrzyła na niego w milczeniu. „Ba-Abla” brzmiało bardzo podobnie jak „Balaa”. Ale najprawdopodobniej był to tylko przypadek.

Edward kontynuował. Był całkowicie pochłonięty rysowaniem i już nie zwracał uwagi na Dżamilę: nie prezentował jej kolejnych etapów pracy ani nie szukał jej pochwał. Skończył, umieściwszy na ciele mężczyzny trójkątne tatuaże i sterzące włosy łonowe. Po chwili zaczął rysować kolejną dużą postać – mężczyznę lub kobietę. Ubrana była w rozpięty płaszcz, dzięki czemu Dżamila dostrzegła, że ma na sobie kilka strojów, w tym marynarkę, rozpinany sweter i drugi pod spodem, a pod tym wszystkim jeszcze pomarańczową suknię do kolan. Najdziwniejsze było jednak to, że na głowie miała dwa czarne kapelusze, jakby stetsona i fedorę, założone jeden na drugi.

Przydawszy tej postaci czarne buty, Edward starannie odłożył kredki do pudełka i opadł na poduszki.

– To wszystko? – zapytała Dżamila, odbierając blok rysunkowy.

Chłopiec pokiwał głową z zamkniętymi oczami. Zdawało się, że to zadanie mocno go zmęczyło.

– Możesz mi powiedzieć, kto to jest? Ta osoba w dwóch kapeluszach?

Edward pokręcił głową.

– To jest Erst, to Sek i Ba-Abla. Możesz mi podać imię tej ostatniej postaci?

W tym momencie do sali weszła Elizabeth. Na rękawach jej płaszcza lśniły krople deszczu.

– Co się tutaj dzieje? Chyba nie zamierza pani męczyć mojego syna?

Dżamila wstała i pokazała kobiecie blok rysunkowy.

– Pani Willow, Edward wykonał dla nas kilka szkiców, to wszystko. Wciąż nie może mówić, dlatego mój partner zasugerował, żeby narysował ludzi, którzy ich porwali. W pracy policji to dość powszechna metoda poszukiwania sprawców przestępstw.

Elizabeth popatrzyła na postaci, które narysował Edward.

– Śmieszne są te rysunki. Mam wrażenie, że przedstawiają postaci z pantomimy.

– Niesamowite, przyznaję. Ale należało spróbować.

– Mam tylko nadzieję, że z nadto go nie wymęczyliście. Edward już dość przeszedł. Dlaczego nie szukacie Johna?

– Szukamy, niech mi pani wierzy. Każdy funkcjonariusz dysponuje jego fotografią, przeszukujemy potencjalne miejsca, do których mógł zostać zabrany, a przy okazji sprawdzamy wiele innych.

Elizabeth usiadła na krześle. Zaciśnęła dłoń na ręce Edwarda i wybuchła płaczem.

– Myślałam, że obóz skautów pomoże im uporać się ze śmiercią ojca. Nie wierzę, że stało się coś takiego. Żałuję, że nie zatrzymałam ich w domu.

– Pani Willow, proszę nie robić sobie wyrzutów – powiedziała Dżamila. – To nie pani wina. Stan Edwarda szybko się poprawia. Doktor Seshadri i jego zespół bardzo dobrze się nim opiekują. A policja robi wszystko, żeby odnaleźć Johna. Proszę, niech się pani nie denerwuje. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Edward popatrzył na Dżamilę i posłał jej słabiutki uśmiech. W odpowiedzi posłała mu całusa. Kiedy już szła do windy, dołączył do niej doktor Seshadri.

– Naprawdę wierzy pani w odnalezienie jego brata? – zapytał.

– Jeszcze nie jadłam śniadania, doktorze. A wie pan, co powiedziała Biała Królowa w *Alicji w Krainie Czarów*?

– Przykro mi, pani detektyw, ale nie mam pojęcia. Wychowałem się na opowieściach o joginach i zaczarowanych małpach.

– Biała Królowa powiedziała, że przed śniadaniem potrafi uwierzyć w sześć niewiarygodnych rzeczy. Cóż, ja również.

Wróciwszy na komisariat, Dżamila znalazła Jerry'ego w ich wspólnym biurze. Stał przy otwartym oknie i palił papierosa. Nienawidziła zapachu dymu tytoniowego, wiedziała jednak, jak bardzo Jerry się niepokoi, i zdawała sobie sprawę, przez co przeszedł, dlatego nic nie powiedziała. Na jej widok posterunkowy wyrzucił jednak papierosa na parking i zamknął okno.

– Jakież wiadomości? – zapytała.

Odwrócił się i wtedy zobaczyła pod jego prawym okiem dużego siniaka.

– Na razie nic – odparł. – Jest świadek, który wyglądał przez okno McDonalda. Zeznał, że porywaczy było trzech, dwaj nieśli Lindę. Mężczyzna uznał, że kobieta jest pijana albo chora.

– Nikt więcej ich nie widział?

– W każdym razie nikogo nie znaleźliśmy. Było wpół do szóstej, ludzie śpieszyli się do domów i raczej mało ich interesowali trzej faceci z nieprzytomną kobietą.

Usiadł przed laptopem. Dżamila stanęła za nim i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Jestem trochę sponiewierany, to wszystko. Tyle że cholernie się martwię o Lindę.

– Masz jakieś przypuszczenia, dlaczego ją porwano?

– Nic nie przychodzi mi do głowy. Owszem, Linda jest bardzo ładna, ale po tym mieście chodzi wiele pięknych dziewcząt. Kawalek dalej znajduje się college nauczycielski, więc w okolicy zawsze można zobaczyć parę ślicznotek jak z obrazka. Wygląda na to, że jakiś bezdomny łachudra po prostu popatrzył na Lindę, coś mu odbiło i poszedł za nami.

– Masz już jakieś informacje od medyków sądowych na temat twojej gospodyni?

– Wiadomo tylko tyle, że uderzono ją młotkiem w głowę, a potem zaciągnięto za kostki do pokoju i porzucono na podłodze jak jakąś pieprzoną szmacianą lalkę. Cieszę się, że Tosh stoi na czele zespołu techników, którzy badają miejsce zbrodni. Obiecał mi, że się ze mną skontaktuje, jeśli tylko natrafi na jakieś nowe, istotne ślady.

– Przykro mi z powodu Lindy, Jerry. Będę się modliła o jej bezpieczny powrót do domu.

– Dzięki. Ona ostatnio tak wiele przeszła. Zaledwie wczoraj straciła ojca. Zmarł na zapalenie płuc. To bardzo nią wstrząsnęło.

Dżamila położyła na biurku płócienną torbę.

– Co ty mówiłeś o tych zaginionych osobach? Że wcześniej straciły najbliższych?

– To była tylko luźna refleksja. Prawdopodobnie to tylko przypadek.

– Ale teraz mamy już cztery takie osoby: posterunkowego Bone'a, synów pani Willow i Lindę. Wszyscy ostatnio stracili kogoś bliskiego.

– Sam już nie wiem. Może to coś znaczy, a może nie. Jak ci poszło z Edwardem? Narysował coś istotnego?

Dżamila wyciągnęła z torby blok rysunkowy i otworzyła na stronie, na której Edward narysował siebie, swojego brata, mężczyznę z głową kozła i postać w dwóch kapeluszach na głowie.

– Ten wyższy chłopiec to on. Nazywa siebie Erstem, a brata Sekiem. Na oddziale była akurat pielęgniarka z Polski, która stwierdziła, że *erst* i *sek* po niemiecku znaczy „pierwszy” i „drugi”.

– Po niemiecku? O co tu chodzi? Przecież chyba wyszliśmy z Unii Europejskiej?

– Nie pytaj mnie, Jerry.

Narysował także tego diabła czy ktokolwiek to jest. Jezu...

– Nazwał go „Ba-Abla”, a kiedy skończył rysunek, położył sobie rękę na głowie, jakby chciał go uczić.

– „Ba-Abla”? Trochę to przypomina słowo „Balaa”, prawda?

– Też tak pomyślałam. Ale nie chciałabym wyciągać pochopnych wniosków. Jeżeli ludzie, którzy porwali chłopaka, są Niemcami, to dlaczego czczą pakistańskiego demona? Albo jakąś jego przepoczwarzoną wersję...

– Mnie nie pytaj, pani sierżant. W tej chwili myślę tylko o Lindzie. Jeżeli te łotry tkną ją choćby palcem, to gdy wpadną w moje ręce... pożąają, że w tym kraju zniesiono karę śmierci.

Do pokoju wszedł Jeżozwierz, pogryzając ciepłego krokiet z mięsem. Miał na sobie granatową kurtkę North Face z kapturem.

– Hej, wyglądasz dzisiaj bardzo elegancko – odezwała się Dżamila.

– Mam cholerną nadzieję. Ten przydziewek kosztował mnie dziewięćdziesiąt osiem funtów. Jakież wieści o Lindzie, Jer?

– Nie. Ci ludzie... sprawiają wrażenie, jakby potrafili po prostu zniknąć. W jednej chwili ktoś ich widzi, jak wloką Lindę, a w następnej już nigdzie ich nie ma. Są jak jacyś cholerni magicy.

Jeżozwierz zdjął kurtkę, ugryzł krokietą i podszedł do biurka Dżamili. Popatrzył na rysunek Edwarda i zapytał:

– A to co takiego?

Dżamila mu wyjaśniła. Pokiwał głową, przez chwilę żuł i wreszcie rzucił pytanie:

– A co ona ma z tym wspólnego?

– Kto?

– Baggy Nell. Ta tłuścioszka w dwóch kapeluszach na głowie.

– Baggy Nell? Tak się nazywa? Znasz ją?

– Czy ją znam? Można tak powiedzieć. Wpadałem na nią niemal codziennie, kiedy pracowałem na komisariacie w Kennington. Zawsze się kręciła w okolicach Tybetańskiego Ogrodu Pokoju na terenie Imperialnego Muzeum Wojny. Sypiała gdzie popadnie i była wyjątkowo nieprzyjemna. Coś jak Fagin z *Olivera Twista*. Zarządzała gangiem bezdomnych dzieciaków, które wysyłała do sklepów, żeby kradły.

– Żartujesz – powiedział Jerry. Wstał i uważnie popatrzył na rysunek. – A więc może to ona organizuje te wszystkie uprowadzenia?

– Wcale bym się nie zdziwił, stary. Mówię ci, swego czasu całkiem mocno rozrabiała. I cuchnęła, jakby pracowała w wędzarni śledzi. O ile wiem, dawno temu była żoną trenera koni wyścigowych i całkiem dobrze się jej powodziło. Ale kiedy facet zginął w katastrofie helikoptera pod Aintree, Baggy się załamała, no i skończyła na ulicy. – Jeżozwierz wziął do ręki rysunek i pokręcił głową. – Baggy Nell jak żywa. Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś zobaczę tę starą wariatkę.

– Chyba warto by pojechać do Kennington i popytać bezdomnych, czy wiedzą, co się z nią teraz dzieje – zasugerował Jerry. – Wybierzesz się ze mną, Jeżozwierz? Znasz teren.

– Jasne. Wykonam tylko parę telefonów i będę gotowy do drogi.

– Ja zostanę na miejscu – powiedziała Dżamila. – Muszę porozmawiać z policją rumuńską o Betinie Fredanov. Poza tym poszukam bardziej szczegółowych informacji na temat tego demona, diabła czy cokolwiek to jest, Ba-Abla. Jego związek z Balaą wydaje mi się bardzo silny. Wizualnie jest bardzo do niego podobny, podobnie się nazywa, a teraz dysponujemy bardzo mocnymi dowodami, że chłopcy pani Willow zostali porwani przez tę samą grupę wyznawców czy jak ich tam zwać, którzy czczą Balaę.

– Bardzo bym chciał, żeby to nie ci ludzie okazali się porywaczami Lindy – mruknął Jerry. – Ale... Poza tym, że właśnie straciła ojca, myślę o sposobie zadania śmierci mojej gospodyni. Jej głowę rozbito w taki sam sposób jak naszemu biednemu Malikowi.

Dżamila delikatnie poklepała go po ręce.

– Odnajdziesz ją, Jerry. Nie martw się.

Jerry skrzywił się, wzruszył ramionami, po czym zdjął kurtkę z wieszaka.

– Czekam na ciebie na zewnątrz, Jeżozwierz. Z nerwów znowu muszę zapalić.



Jerry i Jeżozwierz natrafili na czworo bezdomnych skulonych pod kocami w Tybetańskim Ogrodzie Pokoju, trzech mężczyzn i kobietę. Koczowali tuż przy abstrakcyjnej rzeźbie z kamienia w północnej części ogrodu, reprezentującej żywioł ognia.

Mężczyźni mieli długie, gęste brody, a kobieta najbardziej potargane, rude włosy, jakie Jerry kiedykolwiek widział. Wszyscy palili skręty i przekazywali sobie z rąk do rąk butelkę najtańszej whisky McKendrick's, chociaż pewnie nie miało to dla nich znaczenia, bo raczej za nią nie zapłacili.

Akurat przestało padać, a wiatr rozgonił chmury na niebie, ale chociaż świeciło jaskrawe słońce, temperatura gwałtownie spadła i wiał nieprzyjemny wiatr z północnego wschodu. Prognozy pogody mówiły, że w nocy zrobi się jeszcze zimniej, aż do minus pięciu stopni.

Jerry i Jeżozwierz obeszlą mandałę kalaćakry z brązu pośrodku ogrodu.

– Hej, Bry! – zawołał Jeżozwierz. – Jak leci?

– O kurwa – odezwał się jeden z mężczyzn, ocierając usta i podając butelkę kobiecie. – Bobby, mój ulubiony gli-niarz! Nie widziałem cię od wieków. Gdzie się podziewałeś, stary łotrze? Znowu chcesz mi zaleźć za skórę?

– Pracuję teraz na komisariacie w Tooting – odpowiedział Jeżozwierz. Wskazał na rzeźbę żywiołu ognia. – Widzę, że się ogrzewacie przy prawdziwym ognisku, co?

– Ach, nasz Pan Komediant w najwyższej formie. A tymczasem trochę wyłysiałeś, Bobby! I to dopiero jest śmieszne!

– Jak się ma Martin? Przyjął tę robotę u murarza?

– Martin? Nic z tego, stary. Opuścił ten świat w ostatnie Boże Narodzenie. Nachlał się w cztery dupy i spadł z mostu Lambeth prosto do rzeki. Spadł albo skoczył. Zawsze mawiał, że w szkole był mistrzem pływackim, ale sam rozumiesz. To raczej kiepski pomysł pływać w Tamizie w grubym płaszczu po pięciu dużych kufkach jasnego skola i butelce wódki Smirnoff.

– Tak przy okazji, to mój partner Jerry Pardoe – powiedział Jeżozwierz. Szukamy Baggy Nell. Widzieliście ją ostatnio?

– Baggy Nell? – powtórzył Bry i pokręcił głową. – Nie widziałem jej tak długo jak ciebie. I wcale nie narzekam. Pierdolona krowa.

– Tak, cholerna pierdolona krowa – powtórzył drugi z mężczyzn i wydmuchnął dym ze skręta. – Krzyż jej na drogę. Babsko tak śmierdzi, że z odległości kilometra mogłaby postawić na nogi nieprzytomnego człowieka.

– Ja ją widziałam – wtrąciła się kobieta.

– Naprawdę? – zapytał Jerry. – Kiedy i gdzie?

– Mniej więcej miesiąc temu. A masz może przypadkiem fajkę?

– Tak, jasne. – Jerry wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i pozwolił jej wyjąć trzy sztuki.

Jednego od razu wsunęła do ust, a pozostałe dwa schowała za uszami i przykryła rudymi kędziorami. Jerry zapalił zapalniczkę i po chwili kobieta głęboko zaciągnęła się dymem.

– Widziałam, jak wychodziła z Herculesa. Chyba w środku z kimś się pokłóciła, bo krzyczała przez ramię jak opętana. „Nie wiesz, kim jestem”, wrzeszczała. „Nie wiesz, kim jestem, rozumiesz?” I tak w kółko.

Chociaż słowo „Hercules” wymówiła bardzo niewyraźnie, Jerry od razu odgadł, że chodzi o pub na rogu Hercules Road i Westminster Bridge Road, ledwie minutę jazdy samochodem z Tybetańskiego Ogrodu Pokoju.

– To dziwne, że Baggy Nell w ogóle musiała się anonsować – zauważył Jeżozwierz. – Wszyscy w okolicy doskonale znają Baggy Nell. Założę się, że zna ją nawet arcybiskup Canterbury. Myślę, że siedząc sobie w pałacu Lambeth, łapie jej zapach za każdym razem, kiedy baba przechodzi w pobliżu. Chwyta się wtedy za nos i woła: „O Jezu!”.

– Miesiąc temu. To oznacza, że ona wciąż może przebywać w okolicy – powiedział Jerry. – Masz pojęcie gdzie, kochana? Kawałek dalej jest chyba schronisko dla bezdomnych, prawda?

– Przykro mi, ale nie wiem – odparła kobieta. – I wątpię, żeby przekroczyła próg schroniska. Mam tam kilku znajomych, na pewno by mi o niej powiedzieli.

– Przewodziła całemu gangowi w okolicy – zauważył Jeżozwierz. – Właśnie dlatego tutaj zaczęliśmy nasze poszukiwania. Któryś z jej ludzi wciąż się tu kręci? Ten jąkała, jak on się nazywał... I ten gość bez ręki?

– Och, masz na myśli Pete'a Perpera? Tęgo faceta bez ręki też kojarzę, tylko nie wiem, jak się nazywa.

– Lewus Brogan – odezwał się trzeci mężczyzna. – Nazwaliśmy go Lewus, bo to lewej ręki mu brakuje. Pracował w zieleni miejskiej, obcinał gałęzie drzew i kiedyś zaliczył zbyt bliskie spotkanie z piłą łańcuchową.

– Ale ostatnio żadnego z nich nie widzieliśmy – stwierdził Bry. – W gruncie rzeczy, jak teraz o tym myślę, to nie spotkałem ich od zniknięcia Baggy Nell.

– Może być więc tak, że razem zmienili miejsce pobytu? – zapytał Jerry. – A wy nie macie pojęcia, dokąd się udali?

Czworo bezdomnych zgodnie potaknęło.

– Stary, masz może jeszcze jednego szluga? – zapytał Bry.

Jerry wyciągnął z kieszeni paczkę sterlingów i rzucił na jego koc.

– Dzięki – powiedział Bry. – Jeżeli tylko zobaczymy Baggy Nell lub któregoś z jej błaznów, zadzwonimy do was. Obiecuję.

– Podać ci numer? – zapytał Jeżozwierz.

– Przecież go znam. Dziewięć-dziewięć-dziewięć, nie?

W drodze do samochodu Jerry się odezwał:

– Zajrzyjmy na chwilę do Herculesa. Może właściciel albo któryś z bywalców będzie wiedział, gdzie się ukryła Baggy Nell?

– Całkiem rozsądny plan – przyznał Jeżozwierz. – Może nawet strzelę sobie piwko. Dla dobra służby oczywiście.

Kiedy dotarli do rogu Lambeth Road, zadzwonił telefon Jerry'ego. Odebrał i usłyszał spięty głos Dżamili.

– Gdzie jesteś? Właśnie dzwonił sierżant Gurmani, który uczestniczy w pogrzebie posterunkowego Malika na cmentarzu Lambeth.

– Tak?

– Mniej więcej przed piętnastoma minutami, w środku ceremonii, żałobnicy przy grobie zostali napadnięci przez około dwudziestu obdartusów, którzy chcieli porwać pięć osób.

– Co? W biały dzień? Żartujesz?

– Nie. Dwie osoby zdołały się wyrwać, lecz pozostała trójka nie miała tyle szczęścia. Ale kiedy porywacze chcieli ich wywlec z cmentarza, z przeciwka nadeszli spóźnieni policjanci z Waltham Forest, gdzie Malik miał oficjalny przydział. Napastnicy nie wydostali się więc na zewnątrz, tylko uciekli do kaplicy, zabierając ze sobą porwanych, i tam się zabarykadowali.

– Jaka jest aktualnie sytuacja?

– Wszyscy wciąż są w środku. A telefonuję do ciebie, ponieważ sierżant Gurmani opisał porywaczy jako włóczęgów, najprawdopodobniej bezdomnych.

– Myślisz więc...?

– Nie wiem. Trudno powiedzieć coś na pewno. Na razie ruszam na cmentarz. Kiedy będziesz mógł do mnie dołączyć?

– Pewnie za jakieś dwadzieścia minut, może nawet wcześniej. Razem z Jeżozwierzem jesteśmy w Kennington, niedaleko dawnego komisariatu.

– Spotkajmy się więc na cmentarzu. Tylko jedźcie ostrożnie.

Odsuwając na chwilę telefon od ucha, Jerry zorientował się, że Jeżozwierz patrzy na niego jak pies, który już wie, że nie ma szansy na spacer ze swoim panem.

– Pilna sprawa, co? Żegnaj, piwko. A już mi ciekła ślinka, cholera.

Podbiegli do samochodu, wskoczyli do środka i z piskiem opon ruszyli Kennington Road. Jeżozwierz prowadził, co pozwoliło Jerry'emu utrzymywać stały kontakt z Dżamilą. Z prędkością dziesięćdziesięciu kilometrów na godzinę lawirowali pomiędzy powolnymi autami, nic więc dziwnego, że ścigały ich przekleństwa i trąbienie klaksonów.

– Może jednak wystawimy koguta na dach? – zasugerował Jerry. – I włączymy syrenę?

Jeżozwierz pokręcił głową.

– Nie ma mowy. Kierowcy są cholernie mało rozgarnięci. Usłyszysz taki syrenę za plecami, zobaczy naszego koguta we wstecznym lusterku i co zrobi? Po prostu wciśnie hamulec i stanie tuż przed tobą. Lepiej trochę pokluczyć między nimi i wyprzedzać znieca.

Do cmentarza Lambeth mieli dwanaście kilometrów, które pokonali w siedem minut. Przed bramą na Blackshaw Road parkował już długi rząd policyjnych furgonetek i radiowozów. Jeżozwierz zatrzymał samochód jako ostatni w rzędzie i zaciągnął hamulec ręczny.

– Wiesz co? Jesteś wariatem – powiedział Jerry, kiedy szli do bramy. – Któregoś dnia cię aresztują za taką jazdę.

– Przecież dowiozłem cię na miejsce, nie? Mam nadzieję, że się nie sfajdałeś.

Małą gotycką kaplicę otaczało około trzydziestu policjantów, w tym oddział antyterrorystów w czarnych mundurach polowych, uzbrojonych w karabiny Heckler & Koch, i trzech detektywów z Zespołu ds. Najpoważniejszych Przepstępstw. Rozejrzawszy się, Jerry zobaczył także kilkoro dobrze mu znanych reporterów z prasy i telewizji oraz kamerzystów ze sprzętem, zatrzymano ich jednak w bezpiecznej odległości za główną bramą.

Dżamila stała pod bezlistnym drzewem. Rozmawiała z inspektorem Saundersem i sierżantem Bristowem oraz z wysokim Pakistańczykiem w czarnym garniturze. Jerry odgadł, że to właśnie sierżant Gurmani.

– Zdaje się, że mamy pat – powiedział Jerry, przeciąwszy trawnik i dołączywszy do nich.

– Na razie gramy na czas. Ale zaraz coś wymyślimy, Pardoe – odparł Saunders. – Zaraz coś wymyślimy.

– Kamran powiedział, że jedną z zakładniczek jest Nairiti Malik – poinformowała Dżamila.

– Cholera jasna. Wiemy już, kim są porywacze i czego chcą?

– Jestem pewna, że należą do tej samej sekty co facet, który zjadł własne gałki oczne, i porywacze Edwarda i Johna Willowów. Jeden z naszych ludzi próbował kontaktować się z nimi przez drzwi kaplicy. Słyszał ich, oni też

go słyszeli, ale reagowali tylko warczeniem i szczekaniem. Powiedział, że czuł się, jakby próbował nawiązać rozmowę ze zwierzętami.

– Zdaje się, że oni nie posiadają broni palnej – zauważył Jerry. – Nie możemy po prostu wyłamać drzwi?

– Nie ryzykowałbym – powiedział szybko Bristow. – Według Kamrana część napastników była uzbrojona w garoty, które zadziergnęli na sztykach zakładników. Skłaniałbym się ku rozwiązaniu, które proponuje inspektor Saunders: postępować ostrożnie, grać na czas i szukać okazji do rozwiązania sytuacji. Widzisz te drzwi? Są z grubego, twardego dębu. Kiedy zaczniemy w nie walić, porywacze nas usłyszą i będą mieli wystarczająco dużo czasu, żeby udusić zakładników, zanim dostaniemy się do środka. Na tyłach kaplicy znajdują się również mniejsze drzwi, ale także solidne, z dębiny.

– Jaki plan?

– Wezwałem już ekipę pomocy drogowej z Tooting. Powinni w każdej chwili tutaj dojechać. Założą łańcuchy na klamki, szarną wyciągarką i błyskawicznie wyrwą drzwi z zawiasów.

– Bardzo kreatywny pomysł, szefie.

– Cóż, gdybyśmy chcieli ściągać specjalistyczny zespół policyjny z Charlton, pewnie nie dotarliby tutaj i w pół godziny, a nie wiemy, ile mamy czasu.

– Ma pan rację. Jeżeli ta zgraja jest chociaż w połowie tak dzika jak popaprańcy którzy rozerwali na strzępy biednego Malika, a mnie walnęli młotkiem w tunelu, albo jak facet, który pożarł własne oczy... Cholera, tutaj może się stać właściwie wszystko.

Wciąż rozmawiali, kiedy przed bramą zatrzymał się jaskrawożółty samochód pomocy drogowej z czerwonym napisem na drzwiach. Po chwili dwaj policjanci skierowali go przez trawnik, a kolejni poprowadzili w taki sposób, że stanął tyłem do kaplicy, w odległości zaledwie dwóch metrów od drzwi. Z kabiny wyskoczył kierowca, zdjął z paki dwa ciężkie łańcuchy i podał któremuś z policjantów.

– Chciałabym się z nimi skontaktować, zanim zaczniemy – powiedziała Dżamila. – Może jednak się poddadzą? Muszą sobie zdawać sprawę, że są otoczeni.

Saunders się skrzywił.

– Nie jestem pewien – powiedział i popatrzył na Gurmaniego. – Co o tym sądzisz? W jakim stanie emocjonalnym się znajdowali, kiedy was zaatakowali? Wrzeszczeli, krzyczeli czy raczej robili to na zimno?

– Nie wydawali żadnych odgłosów – odparł sierżant. – W dwanaścioro staliśmy wokół grobu i obserwowaliśmy, jak ciało Babara kierowane jest w stronę Mekki, kiedy ruszyli na nas przez trawnik, w zupełnej ciszy. Błyskawicznie zarzucili paski i garoty na szyje pięciorga żałobników, w tym dwóch naszych, i pewnie zgamęliby więcej osób, gdybyśmy nie zaczęli się bronić. Nasi ludzie zdołali się uwolnić i odegnąć napastników, a pozostali robili, co w ich mocy, żeby pomóc tej trójce nieszczęśników, których dorwali. Ale było ich zbyt dużo, a niektórzy mieli młotki, noże i coś, co wyglądało jak ołowiane rurki.

– Sprawiali wrażenie spokojnych? – zapytała Dżamila.

– Tak, owszem. I w pewnym sensie z tego powodu jeszcze bardziej przerażali. Może się mylę, ale wydawało mi się, że są pod wpływem ketaminy, metamfetaminy albo czegoś podobnego. Pamiętam, jak kiedyś musieliśmy rozgonić jakieś zgromadzenie w Streatham. Trzydzieścioro dzieciaków zajęło pusty budynek biurowy, wszyscy zachowywali się tak samo. Nie okazywali absolutnie żadnych emocji. Jakby lunatykowali.

– Spróbuj do nich dotrzeć – powiedziała Dżamila. – Jerry, pójdziesz ze mną?

Poszedł za nią pod drzwi kaplicy. Policjanci przyczepili już łańcuchy do klamek i przemocowali je do wyciągarki. Silnik samochodu był włączony, Dżamila podeszła więc do kabiny i poprosiła kierowcę, żeby go wyłączył. Chciała dobrze usłyszeć odpowiedź, jaka ewentualnie padnie zza drzwi.

Nagle na cmentarzu zapanowała zupełna cisza. Słońce powoli zmierzało w stronę horyzontu i znajdowało się już za gałęziami drzew otaczających rozległy teren, robiło się więc coraz ciemniej. Dżamila załomotała w deski i zawołała:

– Hej, wy tam w środku! Słyszycie mnie? – Nie doczekała się reakcji, walnęła więc jeszcze raz. – Jestem funkcjonariuszem policji! Proszę, żebyście podeszli do drzwi i powiedzieli, dlaczego pojmałście tych ludzi i czego chcecie. Jesteśmy gotowi z wami rozmawiać! – Znowu odpowiedziała jej cisza. Dżamila popatrzyła na Jerry'ego i wzruszyła ramionami. – Możliwe, że porywacze są wyznawcami pakistańskiego diabła. Może więc znają pasztuński?

– Nie zaszukodzi się przekonać, pani sierżant.

Znowu załomotała w drzwi, tym razem mocniej, i odezwała się po pasztuńsku.

Przez kilka sekund za drzwiami trwała cisza, lecz w końcu rozległ się krzyk kobiety:

– Ratujcie nas! Wydostańcie nas stąd! Błagam! Oni chcą nas...

Nagle umilkła, a za drzwiami rozległ się gwałtowny warkot. Przypominał raczej odgłosy wydawane przez rozszcieszzonego lwa rzucającego się na ofiarę niż głos ludzki.

– Przestańcie! – krzyknęła Dżamila i pięściami uderzyła w deski. – Zostawcie ją w spokoju albo Ba-Abla was ukarze!

Rozległy się kolejne ryki, odgłosy rozbijania mebli i jęki łańcuchonych ludzi. Kilkakrotnie ktoś walnął w drzwi od środka, jakby ludzie rzucali się na nie, próbując je sforsować.

Dżamila zawołała do kierowcy wozu pomocy drogowej:

– Ruszaj! Ruszaj! Ruszaj natychmiast!

Kierowca włączył silnik i samochód szarpnął. Łańcuchy zadzwoniły i się napięły. Z kaplicy docierały jeszcze bardziej histeryczne warkoty i wrzaski, a w pewnej chwili pękła szyba w małym oknie przy drzwiach.

– Naprzód! – zawołała Dżamila.

Furgonetka skoczyła do przodu, a z rury wydechowej wydobyła się chmura czarnego dymu. Drzwi kaplicy z prężnym trzaskiem wypadły z zawiasów i upadły na wybetonowaną ścieżkę. Kierowca jechał, ciągnąc je za wozem, a jednocześnie włączył tylne reflektory. W tym momencie Dżamila i Jerry zobaczyli w kaplicy średniowieczne wyobrażenie piekła.

Napastnicy zaczęli z niej wychodzić chwiejnym krokiem niczym zombie, z rękami wyciągniętymi przed siebie. Było ich około dwudziestu, zgodnie z szacunkami Gurmaniego. Potykali się i wpadali jeden na drugiego, a kilku nie zauważyło stopni prowadzących do kaplicy i padło na kolana.

Wszyscy byli oślepieni. Niektórym krew spływała z oczodołów, jakby ktoś dźgnął ich sztyletem prosto w oczy. Inny gałki zwisły na włóknach nerwowych aż do policzków. Mieli także inne rany: krzyżujące się nacięcia na dłoniach, ponacinane gardła i pionowe cięcia na karkach oraz uszy zwisające na skrawkach skóry, jakby ktoś próbował je oderwać. Wszyscy byli umazani krwią, a przynajmniej trzech z nich pogryzło sobie ramiona w identyczny sposób, jak zrobił to złodziej farb olejnych, i podobnie jak pogryziona była ręka posterunkowego Bone'a.

– Na ziemię! – zarządził dowódca uzbrojonego oddziału, powoli się do nich zbliżając, z karabinem gotowym do strzału. – Wszyscy! Twarzami do ziemi! I nie ruszać się!

Tamci go zignorowali i wlekli się przez trawnik.

– Na ziemię! – wrzasnął znowu policjant, a w jego głosie zabrzmiała niemal histeria.

– To bez sensu! – krzyknęła do niego Dżamila. – Przecież oni nie widzą i nie rozumieją, co do nich mówisz!

– Paralizatory! – zmienił zdanie dowódca.

Odpiął od pasa własny sprzęt i strzelił do pierwszego z porywaczy, który natychmiast padł na trawę w drgawkach, jak w ataku epilepsji. W ślady dowódcy poszli kolejni policjanci i szybko unieszkodliwili pozostałych. Dwóch trzeba było potraktować paralizatorem dwukrotnie, a jednego nawet trzy razy, lecz po kilku sekundach już wszyscy leżeli na ziemi. Funkcjonariusze odwrócili ich na brzuchy i skuli im kajdankami ręce na plecach. Wkrótce zalegali jak morświny na plaży, niektórzy postępując i powarkując, większość jednak przyjmowała swój los w milczeniu.

Do Dżamili i Jerry'ego podszedł inspektor Saunders.

– Dzwoniłem na pogotowie. Zabiorą wszystkich do szpitala Świętego Jerzego, to niedaleko. Raczej nie da się ich teraz przesłuchać. Nic sensownego nam nie powiedzą. Może nawet nigdy.

– A gdzie Nairiti Malik i dwaj pozostali zakładnicy? – zapytała Dżamila, ze zmarszczonym czołem spoglądając na leżących. – Nie zauważyłam ich w kaplicy i nie widzę na zewnątrz.

– Na pewno są w środku – stwierdził Jerry.

To powiedziawszy, przestąpił portyk i po schodach wszedł do przedsionka. Dżamila miała rację. Po zakładnikach nie było nawet śladu. Dostrzegł za to krzyż i tablicę informacyjną z przypiętymi do niej kartkami splamionymi krwią. W środku pachniało jak zwykle w kościele, w powietrzu unosiła się jednak także zupełnie inna woń, którą pozostawili po sobie napastnicy. Odór mentolu i brudnych ciał.

– Nairiti? Jesteś tutaj? – krzyknął Jerry.

Dżamila postępowiała tuż za nim w asyście sierżanta Gurmaniego i dwóch uzbrojonych policjantów.

Jerry pchnął ciężkie wahadłowe drzwi do głównej kaplicy, która pogrążona była w mroku. Jeden z policjantów natychmiast włączył silną latarkę i snopem światła omiatał ławki oraz nawę aż do ołtarza. Właśnie wtedy Jerry dostrzegł trzy ciemne postaci wiszące na bocznej ścianie.

– Na miłość boską, zdejmijmy je! – krzyknął.

Przebrnął przez trzy rzędy ławek i złapał za biodra jedną z kobiet. Podniósł ją tak wysoko, jak tylko mógł, stękając z wysiłku, a kiedy potrząsnął ciałem, garota, która opasywała jej szyję, spadła z gwoździa i kobieta ciężko osunęła się w jego ramiona.

Inny policjant chwycił podnózek i stanąwszy na nim, zdołał odciąć garotę z szyi mężczyzny w garniturze i po chwili, miękko opuściwszy go po ścianie, ułożył na posadzce. Tymczasem sierżant Gurmani chwycił wpół drugą kobietę i podtrzymywał ją, dopóki policjant nie wszedł na podnózek i także nie zerwał opasującej jej szyję garoty.

Jerry ostrożnie ułożył kobietę na najbliższej ławce. Jej ramię luźno opadło. Policjant podał mu szwajcarski szczytyk i chociaż rzemień garoty głęboko wbił się w szyję, zdołał wsunąć pod niego palce i go przeciąć.

Pochylił się nad kobietą i nasłuchiwał. Nie usłyszał oddechu, ale kiedy przyłożył palce do arterii szyjnej, wydało mu się, że wyczuwa słaby puls.

Dżamila stała przy nim.

– Nie żyje? – zapytała.

– Chyba wciąż ma szansę. Przeprowadzisz resuscytację?

Jerry wyprostował się, a Dżamila uklękła obok ławki, ściągnęła z kobiety burkę i zaczęła uciskać jej klatkę piersiową. Po trzydziestu uciskach głęboko odetchnęła prosto w jej usta.

Jerry popatrzył na sierżanta Gurmaniego i drugiego policjanta. Żaden z nich nie próbował ratować mężczyzny ani drugiej kobiety. Zakładnicy leżeli na posadzce twarzą w twarz, wpatrując się w siebie nawzajem niewidzącymi oczami.

Gurmani pokręcił głową.

– Już odeszli. Tej biedaczce garota niemal odcięła głowę.

Niespodziewanie w kaplicy zapaliły się wszystkie światła. Do środka wkroczyli inspektor Saunders w towarzystwie sierżanta Bristowa i dowódcy oddziału.

Kobieta na ławce cicho jęknęła raz i drugi, po czym nagle otworzyła oczy. Jerry przyjrzał się jej twarzy i rozpoznał Nairiti Malik. Miała sine usta, a oczy przekrwione, lecz żyła.

Inspektor przeszedł między ławkami i zobaczył Nairiti oraz dwa ciała na posadzce. Milczał przez kilka sekund. Wreszcie odezwał się do Gurmaniego:

– Zakładam, że zna pan zmarłych – powiedział ponurym głosem.

– Tak, sir. Dżentelmen to wieloletni przyjaciel mojej rodziny, Faisal Wazir, a młoda dama była kuzynką Malika i nazywała się Babra Kasi.

– Ile ma lat? To znaczy, ile miała lat?

– Dwadzieścia dwa. Kilka dni temu obchodziła urodziny.

– Dwadzieścia dwa... tragedia. – Saunders westchnął. – Wiem, co o mnie mówicie za moimi plecami. Że nie mam poczucia humoru. Wiesz dlaczego? Właśnie dlatego.

Jerry wyszedł z kaplicy i stanął za drzwiami. Popatrzył na zmaltretowanych, oślepionych mężczyzn w kajdankach na trawniku. Twarze i ręce mieli czerwone od krwi. W tle wyły syreny nadjeżdżających ambulansów.

W środku tego chaosu był w stanie myśleć jedynie o Lindzie i modlić się, żeby jej porywacze nie okazali się członkami tej samej zbrodniczej sekty.

Była dwudziesta pierwsza czterdzieści pięć, kiedy Dżamila, Jerry i Jeżozwierz wrócili wreszcie na komisariat w Tooting.

Gdy ostatni ambulans wyjechał z cmentarza, pojechali do szpitala Świętego Jerzego. Dopilnowali, żeby napastnicy znaleźli się pod całodobową strażą, a następnie odbyli spotkanie z personelem medycznym, który miał się zająć obrażeniami, jakie sami sobie zadali. Ostrzegli zarówno lekarzy, jak i pielęgniarki, że pacjenci są potencjalnie niebezpieczni, a jedynymi dźwiękami, jakie wydają, są niezrozumiałe warkoty.

Następnie Jerry zatelefonował do Tosha i poprosił go, by przysłał techników, którzy sfotografują pojmanych oraz pobiorą od nich odciski palców i próbki do badań DNA. Po ustabilizowaniu ich stanu każdego miał zbadać psychiatra policyjny, po czym podjąć decyzję o ewentualnym umieszczeniu w Broadmoor, w Rampton albo w jakimś innym szpitalu dla pacjentów z zaburzeniami psychicznymi, którzy zagrażają otoczeniu.

Inspektor Saunders zauważył cierpko, że warkoty i poszczekiwanie właściwie kwalifikują ich do ulokowania w schronisku dla psów.

Wszedłszy do biura, Jerry niedbale rzucił skórzaną kurtkę i ciężko opadł na krzesło.

– Marzę o drinku. I mógłbym zabić za papierosa. Wszystkie szlugi oddałem dzisiaj bezdomnym. – Westchnął.

– Nobby z recepcji kopci jak komin – powiedział Jeżozwierz. – Na pewno cię poczęstuje.

– Nie, stary, dawno powinienem rzucić. Właściwie to już nie palę, ale znowu zacząłem. Linda wmówiła mi, że papierosy uspokajają i dzięki nim nie będę się denerwował, rozmawiając z Nancy. Boże, mam nadzieję, że Lindzie nie stało się nic złego.

Dżamila stuknęła w klawisze laptopa.

– Mam nowe wiadomości – powiedziała.

– O Lindzie?

– Niestety nie. Ale jest mail od policji z Braszowa. Piszą, że dotarli do krewnych Betiny Fredanov i że jedna z jej kuzynek wyjaśniła, dlaczego kobieta znalazła się w Anglii. Przyleciała na pogrzeb Michała Kamieniewa, tego rosyjskiego majora, który pod koniec wojny zaopiekował się nią i innymi wyzwolonymi z obozu koncentracyjnego.

– On tu mieszkał?

– Według Rumunów Kamieniew zamieszkał w naszym kraju w połowie lat pięćdziesiątych. Nie wyjaśnili dlaczego. Kuzynka Betiny powiedziała im, że na pogrzebie miała się ona spotkać z innymi osobami, które przetrwały obóz, i wspólnie oddać cześć jego pamięci.

– Jak liczna miała to być grupa? A może znane są nazwiska tych ludzi?

– Takich informacji mi nie przekazano, ale jeszcze dopytam. Wiadomo jednak, że wszyscy pochodzą z Europy Wschodniej, z takich krajów, jak Rumunia, Polska i Czechy. Pewnie dlatego w Anglii nie zgłoszono ich zaginięcia.

– Dysponujemy nazwiskiem tego rosyjskiego majora – zauważył Jeżozwierz. – Z aktu zgonu dowiemy się, gdzie mieszkał i gdzie odbył się pogrzeb. A potem na pewno ktoś nam powie, ilu ludzi uczestniczyło w ceremonii i gdzie zagraniczni żałobnicy się zatrzymali. Zaraz się tym zajmę.

– Żałobnicy. – Jerry westchnął. – Znowu mamy do czynienia z cholernymi żałobnikami. To mi coraz mniej wygląda na przypadek.

– Mam jeszcze jedną wiadomość – odezwała się Dżamila, tym razem w jej głosie słychać było nieskrywane zaniepokojenie. – Te czaszki i kości na podłodze w szkole w Peckham... zdaje się, że wcale nie rozrzuciono ich przypadkowo. Kobieta z zespołu techników wysłała mi diagram, jaki ułożyła z wykonanych fotografii. Podejdźcie i sami zobaczcie.

Jerry podszedł do jej biurka i popatrzył na ekran laptopa. Ujrzał na nim narysowane koło z sześcioma szprychami. Pomędzy nimi widniały skomplikowane wzory składające się z kwadratów, trójkątów i linii równoległych.

– Popatrzcie! – Dżamila uniosła ręce. – Ja cała drżę!

– Dlaczego? Co oznacza ten rysunek?

– Ta figura jest podobna do mandali kalaćakry, tyle że jest od niej znacznie starsza i ma zupełnie inne znaczenie.

– A co to jest ta cała kala-coś tam?

– Kalaćakra to koło czasu. Żyją w nim pewni bogowie. Jednak to konkretne koło jest niemal identyczne jak to, które wisiało w domu mojej ciotki nad obrazem Balai. To koło jest drogą przez świat cieni, w którym każdy z nas żył przed urodzeniem i do którego trafimy po śmierci. I zarazem ta droga prowadzi do naszego świata samego Balaę.

Jerry przez dłuższą chwilę ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w koło. Wreszcie się odezwał:

– Chyba wiesz, co to znaczy? Nawet jeśli Balaę jest tylko wytworem wyobraźni?

– Oczywiście. Oznacza to, że dzicy lokatorzy, którzy zabilili i upiekli Betinę Fredanov oraz jej przyjaciół w fabryce dywanów, należą do tej samej sekty co bezdomni zamieszkujący szkołę Charlesa Babbage'a w Peckham. Obie te grupy składają się z wyznawców Balai.

– Są jeszcze ci furiazi z cmentarza – zauważył Jerry. – Powydłubywali sobie oczy, pogryźli ręce i warczeli jak ten tłusty lotr, którego zamknęliśmy za zaszytowanie sprzedawcy w WH Smith. W porządku, może to przypadek, że farby olejne, które zamierzał ukraść, wypuściła ta sama firma, której produkty wykorzystano do namalowania Balai. Nikt mi jednak nie wmówi, że we wszystkich przypadkach nie mamy do czynienia z jedną i tą samą zgrają dziwaków.

Dżamila wyciągnęła ze sterty dokumentów blok rysunkowy ze szkicem Edwarda Willowa.

– I oczywiście tutaj to także Balaa. Gdziekolwiek trzymano Edwarda i jego brata, widział on wizerunek Balai.

– Oraz Baggy Nell w całej śmierzącej okazałości – wtrącił Jeżozwierz.

Dżamila wyprostowała się na krześle.

– Od samego początku starałam się w tej sprawie nie wyciągać pochopnych wniosków, ponieważ dysponujemy zbyt małą liczbą twardych dowodów. Podsumujmy jednak naszą dotychczasową wiedzę. Z całą pewnością mamy do czynienia z wyznawcami Balai. Porywają niewinnych ludzi, zabijają ich i pożerają. Właśnie tego Balaa wymaga od swoich akolitów. A jeśli Edward i tamten przestępca mają ze sobą coś wspólnego, to fakt, że obaj byli nafaszerowani narkotykami, których naszym laborantom wciąż nie udało się rozpracować.

– Wiele wskazuje na to, że sekta ma znacznie więcej wyznawców, niż się początkowo wydawało. Okupowali dwa duże obiekty: fabrykę dywanów Royal i szkołę Charlesa Babbage’a. Dokąd się jednak udali, kiedy zostali zmuszeni do ich opuszczenia? Muszą dysponować w mieście przynajmniej jeszcze jednym takim punktem. A może mają ich więcej?

– Jedno wiemy na pewno: korzystają z nieużywanych tuneli metra, żeby nie zwracając na siebie uwagi, poruszać się w tej części Londynu. Przeszukiwaliśmy już je, ale na razie bez konkretnego rezultatu.

– Nie używa się ich od ponad stu lat, prawda? – powiedział Jerry. – Część została zalana, a część po prostu się pozapadała, bo nigdy nie wzmocniano stropów.

– Zgoda – przyznała Dżamila. – Mogą jednak istnieć podziemne przejścia, które wydają się nie do przebycia. Powinniśmy bardzo uważnie obejrzeć mapę, o której mówił nasz technik, Simon. I to jak najszybciej. Skontaktuj się z nim i powiedz, że sprawa jest bardzo pilna.

Jeżozwierz stłumił ziewanie.

– Jest jeszcze jedna pilna rzecz. Muszę się trochę zdrzemnąć. Jestem na nogach od piątej.

– Wszyscy potrzebujemy snu – zgodziła się Dżamila. – Ty też, Jerry. Wiem, jak się martwisz o Lindę, ale jutro nie dasz rady pracować, jeżeli chociaż na kilka godzin nie przyłożysz głowy do poduszki.

– Weź parę tabletek Nytolu – poradził mu Jeżozwierz. – Naprawdę działają. Za każdym razem, kiedy zasypiam po Nytolu, śni mi się, że wygrałem mnóstwo pieniędzy na loterii.

– Ale chyba na razie niczego nie wygrałeś?

– Co za pytanie... Myślisz, że gdybym wygrał, to wciąż bym tu był? Siedziałbym sobie na plaży na Malediwach, stary, i popijał pornstar martini.

Było już za późno, żeby kupić gdzieś tabletki nasenne, ale po powrocie do mieszkania Jerry nalał sobie dużą porcję szkockiej. Drzwi frontowe robotnicy ponownie umieścili na zawiasach, a wybite okno zastąpili sklejką, jednak wejście do pokoju Nory było zaplombowane i dodatkowo zabezpieczone żółtą taśmą policyjną.

Jerry stanął na środku salonu i popijając whisky, popatrzył na swoje odbicie w lustrze nad zamkniętym kominem. Pomyślał, że wygląda na człowieka steranego życiem i zmęczonego. Niebieski, wełniany płaszcz Lindy wciąż był przewieszony przez oparcie fotela, tak jak go zostawiła. Wziął go do ręki, podniósł do nosa kołnierz i głęboko wciągnął powietrze. Pachniał perfumami Flowerbomb, które podarował Lindzie, no i samą Lindą.

Zabrał szklaneczkę z whisky do łazienki i postawił na półce obok kubka ze szczoteczką do zębów. Następnie rozebrał się, wyrzucił ubranie za drzwi i wszedł pod prysznic. Kiedy odkręcił kran, głośno krzyknął. Woda była lodowato zimna, bo przecież Nory nie było i nie miał kto włączyć bojlera. Umył się w dzikim pośpiechu i drżąc, wyskoczył spod strumienia wody. Chwycił ręcznik. Ten z kolei był wilgotny, ponieważ kaloryfer, na którym wisiał, także był zimny.

Wytarłszy się niemal do sucha, Jerry wciągnął szary dres obiecujący więcej ciepła niż piżama. Ze szklaneczką usiadł w fotelu i włączył telewizor. Na ekranie pojawiła się spikerka Sky News i niemal w tej samej chwili zadzwonił jego telefon.

– Jerry? Cześć, stary. Mówi Tosh. Przepraszam, że dzwonię tak późno, ale nie udało mi się połączyć z sierżantem Patel, a pomyślałem sobie, że będziesz chciał to usłyszeć jak najszybciej. Przy okazji, masz jakieś wieści o Lindzie?

– Do tej pory nic. Próbuję się modlić, żeby nie stała się jej żadna krzywda.

– Jestem z tobą, stary. Tymczasem sfotografowaliśmy tych dziwaków, którzy się oślepiłi, zebraliśmy od nich odciśki palców i próbki do badań DNA.

– Tylko mi nie mów, że mamy do czynienia z Marsjanami.

– Aż tak to nie... Ale mam niemal równie ekscytujące informacje. Porównaliśmy ich z nagraniami zarejestrowanymi przez kamery monitoringu i przedstawiającymi dzikich lokatorów, którzy uciekli w Peckham z płonącej szkoły. Aż jedenastu osobników z całą pewnością przebywało zarówno w Peckham, jak i na cmentarzu. Inni pewnie też byli w szkole, ale później dźgali się w twarze, no i wydłubali sobie oczy, dlatego jest nam trudno bezbłędnie ich rozpoznać. To wymaga pracy. Ale ta jedenastka... Nie mam żadnych wątpliwości.

– Cóż, wcale mnie to nie dziwi. Sierżant Patel, Jeżozwierz i ja rozmawialiśmy o nich dzisiaj wieczorem. Wszystkie dowody, jakie do tej pory zebraliśmy, wskazują, że ci ludzie należą do tej samej sekty albo przynajmniej do jakichś odłamów tego samego wyznania. Wszyscy czczą demona o imieniu Balaa, a ten życzy sobie, żeby jego wyznawcy porywali ludzi, zabijali ich i zjadali. Sierżant Patel wie o nich znacznie więcej niż ja. Wygląda jednak na to, że mamy do czynienia z całkiem sporą zgrają kanibali. To wystarczy, żeby człowiek natychmiast został weganim.

– Mam jeszcze jedną informację, Jerry – powiedział Tosh. – Lekarze pobrali od całej dwudziestki krew i mocz. Pierwsze wyniki laboratoryjne wskazują, że zostali odurzeni tym samym opiatem, jaki znaleźliśmy u Edwarda Willowa. Jego próbki także badaliśmy przy Lambeth Road. Wiemy, że ta substancja wpływa na ośrodek mowy i na pewne funkcje poznawcze. Wyizolowaliśmy u nich również składnik podobny do burundangi.

– Do burundangi, mówisz? Oczywiście! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Do diabła, co to jest burundanga, człowieku?

– Na pewno słyszałeś o skopolaminie.

– O skopolaminie? Oczywiście. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy pojawiła się w dwóch sprawach, które prowadziliśmy. Zamienia człowieka niemal w zombie. Włamywacz albo gwałcieciel wysypuje odrobinę skopolaminy na przykład do napoju i człowiek jest gotów wykonywać wszystkie jego polecenia. Jest silniejsza i skuteczniejsza od pigułek gwałtu, w których skład wchodzi głównie flunitrazepan, ponieważ kiedy przestaje działać, ludzie w ogóle nie pamiętają, co robili pod jej wpływem. Pewna kobieta ze Streatham oddała całą swoją biżuterię jakiemuś facetowi, który przy okazji wyczyścił także jej konto bankowe, a ona nic z tego nie zapamiętała.

– Właśnie. Burundangę pozyskuje się z południowoamerykańskiej rośliny o nazwie brugmansja, zawierającej duże ilości skopolaminy. Bywa nazywana Oddech Diabła.

– Teraz to chyba ja mam oddech diabła po dwudziestu szlugach i po dużej porcji biriani.

– Bardzo prawdopodobne. Ale nazwa wzięła się stąd, że po zażyciu tego specyfiku człowiek posłusznie wykonuje polecenia demona. Albo przestępca. Burundanga upośledza także wydzielanie acetylochony w mózgu, neuroprzekaznika koniecznego, abyś potrafił cokolwiek zapamiętać. Czy agresorzy z cementarza przyjęli narkotyk dobrowolnie, czy pod przymusem, środek, pod którego wpływem znalazła się cała ta zgraja, zawiera coś, co działa na ludzi tak samo jak burundanga.

– A w jaki sposób są leczeni? – zapytał Jerry. – Wiem, że chłopak pani Willow otrzymuje Suboxone i wszystko wskazuje na to, że stopniowo dochodzi do siebie.

– Jestem przekonany, że oni dostają to samo – odpowiedział Tosh. – Będziemy musieli jednak poczekać, żeby się przekonać, czy nie mają trwałych zmian w mózgu. Wystarczy dziesięć miligramów Oddechu Diabła, żeby wprowadzić człowieka w stan śpiączki i go zabić.

– Tosh, dzięki za te informacje. Chyba zrobiliśmy duży krok w stronę rozwiązania zagadki. A teraz naprawdę muszę się trochę przespać. Padam z nóg.

– Zanim się rozłączysz, stary, powiem ci coś jeszcze. Trzech tych dziwolągów przebywało razem w jednym pokoju szpitalnym, a kiedy ich fotografowaliśmy i pobieraliśmy od nich odciski palców, nie przestawali na siebie warczeć. Moja asystentka, Nolwazi, która pochodzi z Afryki, zasugerowała, że to wcale nie jest bezrozumne warczenie, lecz język, w jakim się porozumiewają. Przypominał jej język xhosa z rodziny bantu. Posługuje się nim prawie sześć milionów Afrykanów z ludu Xhosa.

– Musimy więc znaleźć kogoś, kto zna ten język, a dowiemy się, co oni między sobą mówią?

– Właśnie tak pomyślałem. I wyobraź sobie, że akurat znam pewnego profesora językoznawstwa, który wykłada w Szkole Studiów Orientalnych i Afrykańskich w Bloomsbury. Moja córka Sally uczęszcza tam na trzyletni kurs chińskiego... tylko mnie nie pytaj dlaczego. Mogę załatwić, że profesor jutro rano przyjedzie do Świętego Jerzego, posłucha tych warkotów i spróbuje wyłowić z nich jakiś sens.

– Doskonale. Jeżeli dzięki temu się dowiemy, gdzie oni się ukrywają, zrobimy naprawdę duży postęp.

– Rano do ciebie zadzwonię – powiedział Tosh. – A teraz rzeczywiście idź spać. Rozumiem, że się martwisz o Lindę, ale wiesz, co się mówi...

– Jasne. Życie jest gówniane, a potem się umiera. Rzuca ci na mordę piach i zeżrą cię robaki. Bądźmy wdzięczni naturze, że dzieje się to w takiej kolejności.



Poranek wstał mglisty i szary, więc kiedy Jerry szedł na komisariat, odnosił wrażenie, że ulicą poruszają się zastępy duchów.

Zanim zasnął, wysłał do Dżamili SMS z informacją o swojej rozmowie z Toshem. Nie otrzymał odpowiedzi, założył więc, że wyłączyła telefon i już spała.

Przypuszczał, że obawy o Lindę nie pozwolą mu zasnąć, lecz zaledwie kilka minut po tym, jak zgasił lampkę nocną, zapadł w głęboki sen. Nic mu się nie śniło. Spał do za piętnaście siódma, a kiedy się obudził, leżał jeszcze przez chwilę na plecach, gapiąc się w sufit z szeroko rozłożonymi ramionami, z wrażeniem, że przez całą noc pływał w ogromnym, mrocznym jeziorze.

Tosh zatelefonował do niego krótko po dziewiątej i powiedział, że profesor językoznawstwa na jego prośbę przyjedzie do szpitala Świętego Jerzego o wpół do pierwszej.

– Nazywa się Walmsley. Polubisz ją.

– Och! To profesor jest kobietą?

– Daj spokój, Jerry. Wiesz równie dobrze jak ja, że kobiety są dziesięć razy bystrzejsze od mężczyzn.

Wszedłszy do biura, Jerry zobaczył, że Dżamila dopiero je śniadanie – płaski chleb bakarkhani, obficie posmarowany twarogiem ze śmietanką.

– Właśnie po raz kolejny przeczytałam twój SMS – powiedziała z pełnymi ustami. – Przepraszam, że nie odpowiedziałam ci w nocy. Byłam wykończona.

– Oboje padaliśmy z nóg, pani sierżant. A jeśli chodzi o dzień dzisiejszy, jestem optymistą. Jeżeli ta profesorka od językoznawstwa powie nam, o czym ci odmieńcy warczą między sobą, prawdopodobnie znajdziemy ich norę i ich z niej wykurzymy.

– Wiesz co? Często się zastanawiam, jak to możliwe, że tak dobrze nam się współpracuje. W końcu czasami nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz. Tak jak tych warczących bezdomnych.

– Szczerze mówiąc, mam to samo z tobą. Jakieś nowe informacje z Rumunii?

– Nie. Ale Jeżozwierz był już wcześniej i powiedział mi, że wie, gdzie złożono prochy rosyjskiego majora: na cmentarzu Honor Oak w East Dulwich, a ceremonię sprawował wikary z rzymskokatolickiej parafii Świętego Tomasa Morusa. Jeżozwierz pojedzie tam jutro rano, żeby porozmawiać z duchownym, i może pozna nazwiska żałobników oraz miejsce ich pobytu w Anglii.

Jerry usiadł i zdjął wieczko z kubka gorącej kawy, którą kupił po drodze.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Dżamila.

Wbił spojrzenie w cappuccino, jakby się spodziewał, że z pianki wyłoni się czyjaś twarz.

– Nie za bardzo. Dopiero teraz zrozumiałem, jak reagują ludzie, gdy zaginie im ktoś bliski. Jedna rzecz to wiedzieć, co się stało, nawet jeżeli zaginiony rzucił się pod pociąg. Ale kiedy bliska osoba znika i przez długi czas nie wiesz, czy żyje, czy nie...

Dżamila wstała i podeszła do Jerry'ego. Położyła mu dłonie na ramionach i po prostu trwała przy nim przez chwilę w milczeniu. Dotknął jej dłoni i odezwał się:

– Dzięki. Staram się być optymistą, ale to niełatwe.

Dżamila chciała coś odpowiedzieć, lecz przeszkodziło jej pukanie do drzwi, które natychmiast się otworzyły. W progu stanął Simon z zespołu techników. Pod pachą trzymał dwie tuby.

– Nie przeszkadzam? Zapytałem o was w recepcji i posłano mnie od razu na górę.

– Nie przeszkadzasz, wejdź – odpowiedziała Dżamila. – Mam nadzieję, że przyniosłeś nam to, czego potrzebujemy?

Simon wyciągnął przed siebie tuby.

– Tak, mapę! Mój przyjaciel Nick Goggins wreszcie ją znalazł, ale nigdy nie zgadniecie gdzie! W szklarni pod doniczkami! Służyła za podkładkę! Jest trochę zabrudzona, dlatego ją przyniosłem osobiście, choć początkowo chciałem zeskanować. Doszedłem do wniosku, że skany nie będą wystarczająco czytelne.

– Podejdź tutaj – zaprosił go Jerry. Podeszedł do biurka Jeżozwierza i zgarnął z blatu notatniki, kubki po kawie oraz sterty opakowań po krokietach.

Simon ostrożnie wysunął mapę z tuby i rozłożył na biurku. Była wyblakła, papier pożółkły, a miejsca zgięć niemal przetarte. Wyraźnie za to były na niej odcisnięte brązowe koła po doniczkach, a tam, gdzie kapłała woda, widniały ciemne plamy. Dało się jednak na niej wyróżnić tunele metra, które rozciągały się pod Lambeth, Kennington i Camberwell niczym pajęczna sieć.

Mapa była zatytułowana: *Kolej Miejska Centralnego i Południowego Londynu (KMCPL). Propozycje rozbudowy. Maj 1890.*

Simon wyglądził ją dłonią tak delikatnie, jakby miał do czynienia z jednym ze zwojów znad Morza Martwego.

– Kiedy ją sporządzono, KMCPL liczyła ledwie sześć stacji i niecałe sześć kilometrów torów od City do Stocwell w tunelu pod Tamizą. Ale rozbudowywała się bardzo szybko. Nie stroniono też od eksperymentów. To w metrze londyńskim po raz pierwszy użyto pociągów napędzanych energią elektryczną i bardzo szybko wybudowano aż dwadzieścia dwie stacje, od Camden Town na północy po Morden na południu.

– Teraz jest ich znacznie więcej – zauważył Jerry.

– Właśnie, i w tym tkwi sedno sprawy. Pewnych tuneli nigdy nie ukończono. Po prostu zabrakło pieniędzy. Pociągi były przepełnione. Pasażerowie nazywali je „psychiatrykami”, ponieważ siedzenia miały wysokie oparcia, a przedziały pasażerskie były bardzo małe, w końcu wagony poruszały się w wąskich tunelach. Ale za to ceny przejazdów były niskie, jako że ludzie w tamtych czasach nie mogli sobie pozwolić na wiele. Z kolei drażnienie tuneli kosztowało fortunę.

Popatrzenie, na przezroczystej nakładce narysowałem ukończone tunele oraz te, których budowę rozpoczęto, a których nigdy nie oddano do użytku. Zrobiłem to na tle współczesnej mapy Londynu, bo tam, gdzie w 1890 roku były pola i nieużytki, dzisiaj stoją budynki. Budowa tuneli pod otwartymi przestrzeniami zawsze była tańsza, a KMCPL nie dysponowała środkami na rekompensaty dla właścicieli domów, które mogłyby się zapaść w trakcie prac pod ziemią.

Simon potrząsnął drugą tubą i wyciągnął z niej zwój cienkiego plastiku, na którym wydrukowana była białoczarna mapa Londynu. Zaznaczył na niej tunele metra: na zielono te funkcjonujące, a na czerwono te, których obecnie nie używano. Położył nakładkę na papierowej mapie i wtedy Dżamila z Jerryem natychmiast się zorientowali, że przynajmniej kilkunastu tuneli nigdy nie ukończono albo nie oddano do użytku.

– Sam nie miałem pojęcia o istnieniu co najmniej połowy z nich – powiedział Simon. – A szczerę się tym, że jestem domorosłym ekspertem z zakresu kolei i kolejnictwa.

– To niewiarygodne – mruknął Jerry. – Pod Lambeth, Kennington i Walworth... jakby króliki wydrążyły tam labirynt. Kanalarze z Watership Down, patrzcie i się uczcie.

– Musimy pilnie przekazać kopię tego schematu sierżantowi Bryanowi i pozostałym zespołom, które poszukują posterunkowego Bone’a. Mają ogromne trudności z namierzeniem kolejnych tuneli, mimo że dysponują psami – powiedziała Dżamila. – Bryan informował nas, że psy wykazują w tych tunelach ogromną nerwowość, z niewiadomego powodu.

Zerknęła z ukosa na Jerry’ego. Oprócz Bone’a mogła też wspomnieć o poszukiwaniu Lindy, jednak wciąż nie dysponowali twardymi dowodami, że ludzie, którzy ją porwali, należą do sekty wyznawców Balai.

– Popatrz, dokąd prowadzi ten tunel. – Jerry wskazał na mapę. – Odgałęzia się od Linii Północnej niecały kilometr na południe od stacji Tooting Broadway, pod Blackshaw Road. Tuż za cmentarzem Lambeth. Mogę się założyć, że tamci dziwacy dostali się na niego właśnie tędy.

– Pewnie masz rację – zgodziła się Dżamila. – Musimy się jednak dowiedzieć, skąd wyruszyli na ten cmentarz. Spójrz na mapę... Mogą się gnieździć gdziekolwiek w promieniu piętnastu kilometrów.

– Cóż, jeśli profesorka językoznawstwa na coś się przyda, już niedługo będziemy mogli ich o to zapytać. Ewentualnie wycisnąć z nich informacje, jeżeli nie będą chcieli mówić po dobroci.

Tosh czekał na nich w holu szpitala Świętego Jerzego razem ze swoją asystentką Nolwazi i profesor Walmsley.

Nolwazi okazała się wysoką, szczupłą Nigeryjką, lecz jedynie ozdobione paciorkami warkoczyki stanowiły jakieś odniesienie do jej egzotyckiego pochodzenia. Ubrana w elegancką, szarą marynarkę i biały golf wyglądała bardziej na dyrektorkę szkoły albo inspektora podatkowego niż na policyjnego technika.

Popatrzywszy na panią profesor, Jerry ocenił, że ma najwyżej półtora metra wzrostu. Ciemne włosy upięła w wysoki kok, a w twarzy zwracały uwagę wysokie kości policzkowe i szafirowoniebieskie oczy. Nosila gruby, puchowy płaszcz z Zary. Jerry pomyślał, że jest atrakcyjna jak gwiazda filmowa, ale nawet się nie uśmiechnęła, kiedy do niej podszedł. Popatrzyła na niego tak, jakby chciała powiedzieć za pomocą tego krótkiego spojrzenia, że zasadniczo jej czas dla idiotów jest bardzo ograniczony.

Dżamila wyciągnęła do niej rękę.

– Dziękujemy za przybycie i gotowość do współpracy, pani profesor. Spodziewam się, że pan Brinkley wyjaśnił już, jak ogromne znaczenie ma dla nas komunikacja z tymi ludźmi i możliwość wydobycia od nich odpowiedzi na pewne pytania.

– Każdy język można zrozumieć – odparła ostro profesor Walmsley. Miała lekki akcent z Ulsteru. – Wiemy, jak porozumiewają się zwierzęta. W pewnym sensie mówić potrafią nawet drzewa.

– Drzewa? – Jerry się zdziwił. – A co mają do powiedzenia?

Profesor Walmsley popatrzyła na niego, jakby był najmniej rozzaginionym studentem w grupie.

– Przypuśćmy, że w lesie wybuchnie pożar. Drzewa przesyłają wibracje za pośrednictwem gruntu, wyrażając strach. A kiedy się je ścina, płaczą.

– Jasne. Następnym razem, kiedy pójde do parku, będę musiał posłuchać.

Profesor go zignorowała.

– Pani Nolwazi zaprezentowała mi z grubsza, jakie dźwięki wydają ci ludzie. Twierdzi, że ich sposób porozumiewania się przypomina jej jakieś języki afrykańskie. Cóż, zobaczymy. Pierwszym krokiem będzie zidentyfikowanie pewnych stałych cech ich mowy.

– Doktor Seshadri już czeka – powiedział Tosh. – Wybrał osobnika, z którym pracuje się najłatwiej.

Przy drzwiach windy stał umundurowany policjant, a kiedy wjechali na piętro, zobaczyli jeszcze więcej funkcjonariuszy siedzących w korytarzu na plastikowych krzesłach, po jednym przy drzwiach każdej sali. Wszystkie były otwarte i mijając je, Jerry widział okaleczonych mężczyzn leżących na łózkach w szpitalnych piżamach. Mieli zabandażowane oczy i byli podłączeni do kroplówek. Funkcjonariusze, którzy ich pilnowali, kiwnęli głowami w stronę Dżamili i Jerry'ego, a któryś rzucił „wszystko w porządku”.

Dotarli do pomieszczenia na końcu korytarza, gdzie czekał na nich doktor Seshadri. W środku leżał mężczyzna ze szczeciniastą, siwą brodą i z dużym brzuchem. Spod kołdry wystawały jego bosa stopy o czarnych paznokciach, tak długich, że na końcach się zwiły. Tak jak w przypadku innych, jemu także zakryto oczy grubą warstwą jałowych opatrunków.

– Jego stan fizyczny jest bardzo zły – powiedział doktor. – Ma początki marskości wątroby i policystyczną chorobę nerek, a także poważną egzemę. Jestem niemal pewien, że przez kilka ostatnich lat był bezdomny. Dobrze jednak reaguje na Suboxone, znacznie lepiej niż większość jego kompanów. Kilku wciąż jest w stanie śpiączki.

Profesor Walmsley podeszła do łóżka.

– Mówił już coś? Albo próbował mówić?

– Warczy co jakiś czas, jeżeli o to pani chodzi, i wydobywa z gardła jakieś pochrząkiwania. Nie widzimy w tym żadnego sensu.

– W tej chwili śpi? Nie rusza się.

Seshadri obszedł łóżko, stanął po drugiej stronie i dotknął ręki mężczyzny. Ten natychmiast cofnął dłoń i warknął.

– Już nie śpi.

Profesor Walmsley popatrzyła na Dżamilę i Jerry'ego.

– Może się myślę, ale chyba już wiem, na czym polega problem.

Wyjęła z kieszeni cyfrowy dyktafon i rozpięła płaszcz. Jerry postąpił krok i pomógł jej zdjąć okrycie. Pod płaszczem nosiła obcisłą, sięgającą kolan suknię z fioletowej wełny. Z jej szyi zwiślał na łańcuchu duży złoty medalion.

Zbliżyła się do łóżka i odezwała do mężczyzny:

– Słyszysz mnie? Jesteś już bezpieczny. Zaopiekujemy się tobą.

Mężczyzna wydobył z głębi gardła groźny warkot. Profesor podsunęła mu do ust dyktafon i przechyliła głowę, żeby lepiej słyszeć.

– Jak masz na imię? – zapytała. – Postaraj się powiedzieć, jak brzmi twoje imię.

Mężczyzna wahał się przez długą chwilę, oblizywał usta i kilka razy przełknął ślinę. Wreszcie wykrztusił:

– Moh.

– Moe? Tak masz na imię?

Pokręcił głową.

– Moh-dee.

– Moe Dee?

Teraz pokiwał głową.

– Gdzie do tej pory mieszkałeś, Moe Dee? Możesz mi to powiedzieć?

Mężczyzna znowu się zawahał, jeszcze raz przełknął ślinę, a kiedy w końcu zareagował, z jego gardła dobył się jedynie długi, niewyraźny warkot.

– Przykro mi, Moe Dee, ale nie zrozumiałam. Możesz powtórzyć?

Wziął kilka głębokich oddechów i zaczął mówić coś jakby „keh-keh”, jednak żadnego artykułowanego dźwięku już z siebie nie wydobył i znowu zaczął warczeć.

– On wie, o co go pytam, co do tego nie mam wątpliwości – powiedziała profesor Walmsley. – Rozumie więc angielski. Ale zażyty przez niego opiat rzeczywiście upośledził funkcję mowy. Nie jest w stanie mówić, chociaż wie, co chciałby powiedzieć, i bardzo się stara.

– Identycznie było z Edwardem Willowem – zauważyła Dżamila.

– Jeśli zaś chodzi o to warczenie, jestem pewna, że Nolwazi ma rację i to jest jakiś język. Wyraźnie usłyszałam trzy powtarzające się dźwięki, które mogą być spółgłoskami podobnymi do tych z języka ludu Khoisan. Myślę, że odbieramy je jako warkot, ponieważ ten człowiek mówi w swoim języku niezwykle powoli. – Wysoko uniosła dyktafon. – Postaram się skłonić go do dalszych warkotów, a potem będę je odtwarzała w różnym tempie. Nie sądzę, by mówił po angielsku, ale może zdołam zidentyfikować jakiś znany język. A nawet jeśli mi się to nie uda, najprawdopodobniej w końcu jakoś się porozumiemy, ponieważ on bardzo się stara. – Popatrzyła na mężczyznę, który przedstawił się jako Moe Dee, i spytała: – Gdzie spałeś dwie noce temu? Na dworze czy w jakimś schronisku?

Moe Dee wydobył z gardła długi strumień charkotów. Niektóre były wysokie, niemal piskliwe, a inne bardzo niskie, wyartykułowane na słabym wydechu.

– Dobrze – mruknęła profesor Walmsley. – A dlaczego poszedłeś na cmentarz i porwałeś tych ludzi? Znałeś ich? Dokąd zamierzałeś ich zabrać?

Moe Dee zaczął mówić coś jakby „heh... heh”, jednak kilka razy musiał przerwać, żeby nabrać tchu i przełknąć ślinę. Wreszcie wybuchnął:

– Dah!

– Przepraszam – powiedziała profesor Walmsley – ale nadal nie rozumiem, co chcesz powiedzieć.

Moe Dee zacisnął pięści i z frustracji zaczął bić nimi w łóżko.

– Heh-dah! Heh-dah! – zawołał niemal histerycznie.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Moe Dee z rozpaczą pokręcił głową i warknął. Zanim profesor zdołała zadać mu kolejne pytanie, z korytarza dobiegły odgłosy, jakby ktoś demolował szpital, potem rozległ się długi wrzask, który odbił się echem od ścian, a wreszcie trzask rozbijanych mebli i brzęk szkła.

– Do diabła, co tam się wyrabia? – zawołał Jerry. – Wojna wybuchła czy co?

Wyskoczył na korytarz, a Dżamila za nim. Wszyscy policjanci już poderwali się z krzesel.

– Co się dzieje? – zawołała Dżamila.

– Nie wiem, pani sierżant. Zaraz ktoś zejdzie i się zorientujemy.

Znowu rozległ się wrzask, a potem tupot, jakby ktoś szybko biegł po schodach. Policjanci, którzy ruszyli w tę stronę, nie przebyli nawet połowy korytarza, gdy z klatki schodowej wybiegło ośmiu mężczyzn w kurtkach z kapturami i natychmiast skierowało się ku nim z wyraźnym wrogiemi zamiarami. Dziko warczeli, wymachując młotkami, kluczami francuskimi i długimi rurkami.

– Jezu – jęknął Jerry.

Chciał wybiec napastnikom naprzeciw, ale Dżamila mocno chwyciła go za ramię.

– Nie – rzuciła.

Policjanci mieli pałki, jednak nie mieli szansy wydobyć ich zza pasków, gdyż napastnicy działali błyskawicznie. W parę sekund przewrócili funkcjonariuszy na podłogę, po czym zaczęli kopać ich po głowach i skakać po klatkach piersiowych. Na szyby, posadzkę i ściany trysnęła krew.

– Do środka, natychmiast! – zarządziła Dżamila. – Zamknijmy drzwi na klucz i zabarykadujmy się!

Doktor Seshadri także zdążył wyjść z sali, ale Dżamila wciągnęła go z powrotem. Doktor wpadł na Tosha, a ten z kolei zderzył się z profesorem Walmsley. Dżamila w sali od razu wyciągnęła telefon i wezwała wsparcie.

Zanim Jerry ponownie znalazł się w pomieszczeniu, zauważył, że z klatki schodowej wybiega jeszcze więcej zakapturzonych intruzów. Dwaj zdołali wpaść do pierwszej sali i natychmiast wywlekli na korytarz mężczyznę, który tam leżał. Warczał głośno i Jerry odniósł wrażenie, że chce się od nich uwolnić.

– Jerry! – zawołała Dżamila.

Pośpiesznie zamknął drzwi sali i przekręcił klucz w zamku. Z nocnego stolika przy łóżku Moe Dee zrzucił telefon i butelkę wody, po czym razem z Toshem przeniósł mebel do drzwi. Ustawili go w taki sposób, że klamka mocno oparła się o blat.

Z korytarza dobiegały warkoty, odgłosy bijatyki i demolki. Warcząc zaczął także Moe Dee.

– Zamknij jadaczkę, słyszysz? – syknął do niego Jerry. – Oni nie mogą się dowiedzieć, że tutaj jesteś.

Mężczyzna warknął jeszcze głośniejszym głosem, jakby wzywał pobratymców na pomoc. Próbował nawet usiąść, ale Jerry pchnął go z powrotem na łóżko. Zdjął krawat i obwiązał nim głowę Moe Dee w taki sposób, że węzeł znalazł się pomiędzy jego zębami, przez co mężczyzna nie mógł już wydobywać żadnego odgłosu poza pełnym złości charkotem.

– Masz, czego chciałeś. Piękny krawat z Tooting United Cricket Club. To powinno cię uciszyć. Nie będę po nim płakał, bo te patałachy nie wygrały ani jednego meczu w sezonie.

Ktoś zaczął gwałtownie szarpać klamką, a po chwili drzwi zadrżały pod potężnym uderzeniem, jakby ktoś naparł na nie ramieniem. Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległ się kolejny łomot, a po nim następne, jakby napastnicy z furią kopali w drzwi.

Moe Dee znowu próbował usiąść. Jęczał przy tym i charczał, ale Jerry wcisnął mu głowę w poduszkę.

– Nie ruszaj się i morda w kubeł, zrozumiałeś? Nie zmuszaj mnie, żebym na tobie usiadł. Jesteś, kurwa, zbyt tłusty i oblesny.

Po chwili kopanie i łomotanie ustało, a warczenie i tupot zaczęły się oddalać. Dżamila, Jerry, Tosh, Nolwazi, profesor Walmsley i doktor Seshadri spoglądali po sobie w milczeniu. W oddali rozległy się syreny policyjne, z każdą chwilą głośniejsze.

Minęły dwie lub trzy minuty, zanim Dżamila się odezwała:

– Chyba można już bezpiecznie wyrzeć, nie sądzicie?

Jerry miał jej odpowiedzieć, kiedy ktoś nacisnął klamkę i zapukał do drzwi.

– Mój Boże – jęknęła profesor Walmsley i zacisnęła dłoń na medalionie.

– Policja! – rozległo się z korytarza. – Czy nikt tam nie potrzebuje pomocy?

Jerry odsunął stolik nocny i otworzył drzwi. W progu stało trzech uzbrojonych policjantów wyposażonych do walki w agresywnym tłumem.

– Nic nam nie jest – powiedziała Dżamila. – Ale ci biedacy z korytarza...

– Wynosimy się stąd – zarządził jeden z funkcjonariuszy. – Na razie zamykamy całe skrzydło.

– Jeden z was powinien tutaj zostać i pilnować tego faceta. – Dżamila ruchem głowy wskazała Moe Dee.

– Tak, oczywiście. Wygląda na to, że jest jedynym z całej zgrai, który został w szpitalu.

– Co?

– Wytaszczyli stąd wszystkich. Zdaje się, że dziewiętnastu.

Wyszli za policjantami na korytarz. Lekarze i pielęgniarki przybiegli już z oddziału ratunkowego i pochylali się nad zakrwawionymi ciałami funkcjonariuszy, których zaatakowali napastnicy w kapturach. Pielęgniarka prowadziła już resuscytację jednego z nich, jednak ponure miny reszty personelu świadczyły, że pozostali policjanci nie żyją.

Drzwi wszystkich sal były szeroko otwarte i Dżamila z Jerryem mogli szybko zajrzeć do każdej z nich. Łóżka były puste, a stojaki z kroplówkami leżały pod ścianami.

Kiedy zbiegli do holu, zobaczyli roztrzaskane szklane drzwi wejściowe, a na dywanie szkło. Chrzęściło pod ich butami. Dwoma recepcjonistkami zajmowały się pielęgniarki. Jednej, ciężej rannej owinęły już głowę bandażem.

Na parkingu spotkali inspektora Saundersa, który rozmawiał z szefem oddziału policji. Minę miał jeszcze bardziej ponurą niż zwykle.

– Ach, nasz energiczny duet – powiedział na ich widok. – Mam nadzieję, że nic wam nie jest. Muszę przyznać, że się o was martwiłem. Brinkley, z tobą też w porządku? A tej pani chyba nie znam...

– To profesor Walmsley, ekspertka z zakresu językoznawstwa. Przyjechała tutaj na naszą prośbę. Mieliśmy nadzieję, że zrozumie, o czym rozmawiają ci dziwacy, kiedy tak warczą jeden do drugiego.

Profesor wyciągnęła z kieszeni dyktafon.

– Zdążyłam nagrać kilka minut tego warkotu. To mi powinno wystarczyć do przetłumaczenia. Jeśli nie dam rady, zawsze mogę wrócić i zadać Moe Dee trochę więcej pytań.

Jerry klepnął się w pierś i powiedział:

– Cholera, zostawiłem krawat, którym go zakneblowałem.

– To idź po niego – poradził mu inspektor Saunders. – Powinniśmy być wdzięczni losowi, że został nam przynajmniej jeden z tych łotrów. Reszta jakby się rozplynęła w powietrzu.

– Rozplynęła się? – zapytała Dżamila. – Jak mamy to rozumieć?

– Przynajmniej kilku świadków widziało, jak porywacze i ich ofiary wbiegają w Blackshaw Road i gnają w kierunku cementarza, ale potem już nikt ich nie widział. Po prostu zniknęli. Dookoła szpitala jest mnóstwo kamer monitoringu, zakładam więc, że twoi ludzie sprawdzą nagrania. Mam rację, Brinkley?

Jerry popatrzył na Dżamilę.

– Stawiam tysiąc do jednego, że wbiegli do jakiegoś zapomnianego tunelu metra. Oni znikają właśnie w taki sposób. Musimy jak najszybciej ściągnąć grupę poszukiwawczą i w końcu znaleźć te wszystkie stare, nieużywane korytarze.

W tym momencie na parking wjechała furgonetka Sky TV, za nią samochód należący do znanego Jerry'emu dziennikarza BBC.

– Aha... – Saunders westchnął. – Mamy więc i pismaków. Co mam im powiedzieć, żeby nie wyjść na ostatniego kretyna?

Kiedy z furgonetki wyskoczył dziennikarz Sky News, ze szpitala wybiegł doktor Seshadri. W pośpiechu skierował się do policjantów.

– Proszę państwa! – zawołał. – Mam bardzo złą wiadomość! Zabrali także Edwarda Willowa!

Laurel Oko potrząsnęła ramieniem Sowber Seka i powiedziała:

– Obudź się! Prowadzą z powrotem ludzi Mody’ego!

Chociaż nie minęła jeszcze trzecia po południu, Sek zdążył wypić kubek niebiańskiej rosy i głęboko spał. Teraz otworzył oczy, ziewnął i usiadł. Linda stała przy oknie, wpatrując się w gęstą mgłę, która utrzymywała się już od dłuższego czasu.

– Much-much – warknął i zerwał się na nogi. Przemierzył cały pokój, po czym objął Lindę ramionami w talii, popatrzył jej w twarz i uśmiechnął się. Znowu zawarczał, lecz Linda nie miała pojęcia, co chce przez to wyrazić. – Cieszę się, że tu przyszedłś i mnie znalazłaś. Teraz wszyscy możemy być jednym plemieniem: ty, ja, Laurel Oko i Hedda.

Linda próbowała odpowiedzieć uśmiechem. Zmierzyła mu włosy, mimo że miała ogromną ochotę odepchnąć go jak najdalej. Chłopiec okropnie śmierdział, miał szklisty, rozkojarzony wzrok. Widziała, jak krepły mężczyzna nalewał mu kolejną porcję bursztynowego płynu. Była już pewna, że to jakiś narkotyk.

– Ściągnęliśmy Mody’ego i jego ludzi – warknął do niej.

Pokiwała głową, starając się wyrzucić na chłopcu wrazenie, że wie, co on mówi.

– Mieli zdobyć dla nas mnóstwo ofiar i zapłacić w ten sposób za niebiańską rosę, ale wszystko schrzanili i zostali schwytani przez obcych. Wydłubali sobie oczy, jak powinni, lecz tamci zaciągnęli ich do budynku, w którym przywracają zdrowie. Ale im już nie pomogą. Ściągnęliśmy wszystkich tutaj i teraz nam zapłacą.

Linda znowu skinęła głową. Sek wciąż wpatrywał się w jej twarz, jakby spodziewał się z jej strony odpowiedzi albo chociaż pytania, co będzie dalej, ona jednak wciąż milczała.

Chłopiec odsunął się, chwycił ją za rękę i pociągnął do drzwi.

– Chodź. Popatrzmy, jak nasi przybijają ich do ściany, tak samo jak chcieli zrobić z tobą. Dzisiaj wieczorem będziemy ucztować!

Poprowadził Lindę korytarzem, następnie schodami w dół i po chwili weszli do oświetlonego świecami pomieszczenia, w którym na jednej ze ścian namalowany był wizerunek mężczyzny z głową kozła. Panowały tu ścisk i hałas, a wszyscy zgromadzeni zdawali się powarkiwać równocześnie. Pod dłuższą ścianą ludzie Mody’ego siedzieli ze skrzyżowanymi nogami, ubrani w niebieskie piżamy szpitalne. Część była poplamiona krwią. Większość spośród dziesięciu mężczyzn wciąż miała zabandażowane oczy, lecz trzech już zgubiło opatrunki. Ich oczodoły były wilgotne, puste, głębokie. W rogu po lewej stronie, tuż przy ścianie podziurawionej gwoździami, klęczał Edward. Był zdezorientowany i wystraszony.

Kiedy tylko Sek wszedł do pomieszczenia, Edward zerwał się na nogi i gwałtownie zamachał rękami.

– John! – zawołał. – To ja! John! Ech-duh... – Ruszył niepewnym krokiem w jego stronę, mijając ślepych nieszczęśników, ale zanim do niego dotarł, dwaj zakapturzeni ludzie Heddy przepchnęli się przez tłum, złapali go pod ramiona i przycisnęli plecami do ściany. – John! – krzyknął Edward. – John! To ja, John! Eh... Eh... Edward!

Sek popatrzył na niego i zmarszczył czoło, lecz szybko odwrócił wzrok. Było jasne, że go nie poznaje. Edward zaczął się wykręcać i wyrywać mężczyznom, płakał, jednak oprawcy przyciskali go do ściany, nie dając mu żadnej szansy na uwolnienie się.

– John! – łkał chłopiec. – To ja!

Jerry zdążył opowiedzieć Lindzie o Edwardzie i Johnie, zresztą sama domyśliła się, że chłopcy są braćmi; mieli podobne rysy i jasne, kręcone włosy. Popatrzyła na Seka błagalnie, bała się jednak odezwać, ponieważ wiedziała, że dzieciak jej nie zrozumie, a poza tym od razu zda sobie sprawę, że ona bynajmniej nie znajduje się pod wpływem bursztynowego płynu, jak się tutaj powszechnie spodziewano. Bała się też zakapturzonych mężczyzn w pomieszczeniu, no i przerażała ją myśl, że jeśli zdenerwuje Seka, ten zmieni zdanie i każe ją przybić do ściany, i nie będzie już miało znaczenia, czy uważa ją za matkę, czy nie.

Sek w żaden sposób nie odpowiedział, ponieważ w tej chwili do pomieszczenia wkroczyli Hedda i Faust. Wszyscy natychmiast zareagowali powitalnym rechotem, tupaniem i klaskaniem. Hedda po królewsku skinęła dłonią i pokiwała głową, po czym podeszła do oślepionych mężczyzn i stanęła przed nimi z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Widzicie, jak się kończy rozżłoszczenie pana – warknęła. – Musieliście powrócić do cienia, w którym kryliście się przed urodzeniem, jak przerażone zwierzęta. Uczyniliście to. Oślepiście się i wróciliście do cienia. Teraz z kolei musicie oddać swoje ciała na ofiarę, zastąpić tych, których mieliście tu sprowadzić i którymi mieliście nas nakarmić.

Chodziła wzdłuż rzędu okaleczonych mężczyzn, od czasu do czasu pochylając się, żeby uważniej popatrzeć na któregoś z nich. Kilka razy z pogardą podrapała któregoś w policzek albo w czubek nosa połamanymi paznokciami.

Kiedy wreszcie się wyprostowała, na jej twarzy malowała się złość.

– Gdzie... Mody? – zapytała.

Z tłumu wystąpił młody człowiek z nastroszonymi włosami.

– Mody’ego tam nie było – odpowiedział.

– Jak to go nie było? To niemożliwe! Jeżeli się oślepił, to gdzie mogli go zabrać?

– Jeśli tam był, Heddo, to nie potrafiliśmy go znaleźć.

– Ale Mody jest ich przywódcą! To on mi się przeciwstawił! Nie obchodzi mnie ta zgraja patalachów! Nadają się tylko na posiłek i do niczego więcej! Chcę Mody’ego! Chcę go widzieć martwego i upieczonego, chcę go nadziać na rożen i pożreć jego członek!

Tak się wściekła, że zupełnie nad sobą nie panując, biegła wzdłuż rzędu mężczyzn, bijąc ich po twarzach, popychając i kopiąc.

– Możemy tam wrócić i jeszcze raz go poszukać – warknęła nerwowo młodzieniec. – Chociaż to nie będzie łatwe. Obcy będą teraz bardzo czujni. Poza tym na pewno zabrali go już do innego budynku przywracania zdrowia i w tym samym miejscu go nie znajdziemy.

Hedda zacisnęła pięści, po czym wydobyła z siebie gwałtowny wrzask złości i frustracji. Popatrzyła na Seka.

– Powiedz, Sowber Seku, gdzie on jest? Dokąd zabrali Mody’ego? Posiadłeś wiedzę tajemną, więc musisz to wiedzieć!

Sek zadrżał. Zerknął na Edwarda, który stał żałośnie z policzkami mokrymi od łez. Powoli do niego docierało, że skądś go zna, nie potrafił jednak sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach i gdzie wcześniej go widział.

– Eee... Nie jestem pewien – odpowiedział Heddzie.

– Co to znaczy, że nie jesteś pewien? Sprawiasz, że znikają przedmioty, prawda? Wyginasz łyżki i przywracasz im kształt jedynie siłą umysłu! Więc znalezienie Mody’ego nie może być dla ciebie trudne. Mody jest duży, to nie igła!

– Potrafię go znaleźć, Heddo. Ale obcy będą celowo ukrywać, więc to może trochę potrwać. Będę musiał użyć skomplikowanego zaklęcia poszukiwawczego. Wypowiedzieć mnóstwo specjalnych słów i narysować mapę.

Hedda stopniowo się uspokajała, ale nozdrza miała wciąż rozszerzone, a kapelusze zsunęły się jej na tył głowy, tak że niemal spadły, odsłaniając tłuste włosy w kolorze stali.

– Doskonale. – Poklepała chłopca po ramieniu. – Nie miałam zamiaru cię obrazić, Sowber Seku. Przepraszam. Nie chcę, żebyś użył swojej magii przeciwko mnie. Ale powiedz mi, jak długo potrąją twoje magiczne poszukiwania. Chcę wszystkich tych ludzi razem upiec i wydać huczną ucztę, by błagać pana o przebaczenie. Potrzebuję całej tej zgrai, łącznie z Modym. On jest ich przywódcą. Ojcem ich plemienia. Poświęcenie tych żałosnych kreatur bez Mody’ego nie będzie miało znaczenia. Pan uzna, że z niego drwimy.

– Nie jestem pewien, ile czasu mi to zajmie – odparł Sek. – Postaram się wypowiedzieć magiczne słowa i narysować specjalną mapę tak szybko, jak tylko zdołam.

– Znajdziesz Mody’ego przed szóstym zachodem słońca?

Sek znowu popatrzył na Edwarda, ale starszy brat wpatrywał się z rezygnacją w podłogę i nie pochwycił jego spojrzenia. Mimo to Sek miał dziwne wrażenie, że ten chłopiec będzie mógł mu w jakiś sposób pomóc. Nie współczuł mu. Skoro Ba-Abla zażądał, żeby go porąbano, upieczono i zjedzono tak samo jak pozostałych mężczyzn siedzących na podłodze, to co z tego? Sek nie miał z tym nic wspólnego. W gruncie rzeczy spodziewał się, że chłopiec będzie smakował znacznie lepiej od mężczyzn z owłosionymi nogami, haluksami i bandażami na wylupionych oczach.

Dotknął dłoni Lindy.

– Hedda chce, żebyśmy znalazł Mody’ego. Mówi, że dopóki go nie przyprowadzimy z powrotem, nie możemy zaisić do uczty ani wyrazić skruchy wobec pana.

Linda patrzyła na niego obojętnie. Nie zrozumiała absolutnie niczego. Chłopak po prostu warczał i skomlał, patrząc na nią intensywnie, jak piesek domagający się spaceru. Próbowwała jednak przybierać różne miny – od serdecznego uśmiechu po pełną zrozumienia troskę – z nadzieją, że któraś okaże się właściwą odpowiedzią na ekspresję chłopca.

– Wróćmy na górę – zasugerował Sek. Posłał Heddzie uspokajające spojrzenie, które miało znaczyć, że wszystko jest pod kontrolą, po czym znowu popatrzył na Lindę i powiedział głośno: – Pomożesz mi wypowiedzieć zaklęcie poszukiwawcze, a potem narysujecie mapę.

Linda się nie ruszyła, bo nie rozumiała wydawanych przez niego odgłosów. Sek pociągnął ją za rękę, ale zanim zdołał wyprowadzić ją z pokoju, odezwała się Hedda:

– Poczekaj, kobieto! – zawołała, zrobiła kilka kroków i stanęła przed dziewczyną. Szal na ramionach ułożyła w taki sposób, że przypominał łańcuch sędziego. – Sek wierzy, że jesteś jego matką – rzuciła wyzywająco. – Wiem, że nie możesz być jego prawdziwą matką, ale to Sowber Sek i jeżeli ma ochotę, może wybrać na swoją matkę dowolną kobietę na tym świecie. Powiedz mi jednak, jak się nazywasz i skąd pochodzisz. Moi ludzie, którzy cię tutaj sprowadzili, powiedzieli, że jesteś w żałobie i tylko dlatego zwrócili na ciebie uwagę. Kogo oplakujesz?

Warkot, prychanie i cmokanie Heddy nie znaczyły dla Lindy absolutnie nic. Mogła jedynie na nią patrzeć.

– Rozumiesz, o co cię zapytałam? – powiedziała Hedda stanowczo.

Podeszła do Lindy tak blisko, że sztynne rondo kapeluszy dotknęły czoła dziewczyny, a na jej twarz pryskały kropelki śliny. Linda cofnęła się o krok, ale Hedda postąpiła krok do przodu, jak w tangu. Linda odwróciła głowę i zobaczyła, że mężczyzna z głową kozła wpatruje się w nią żółtymi oczami. Znalazła się w pułapce między agresywną megierą a diabłem na ścianie.

Hedda znowu warknęła:

– Nie rozumiesz mnie, prawda? Wciąż jesteś jedną z obcych! – Przez chwilę stała nieruchomo, wyraźnie spięta, lecz wkrótce się rozluźniła i delikatnie, z szacunkiem położyła dłoń na ramieniu Seka. – Sowber Seku, z jakiegoś powodu twoja matka nie jest jeszcze jedną z nas. Mimo że otrzymała i wypila niebiańską rosę, prawda? Byłam przy tym, sama widziałam. Wygląda na to, że niebiańska rosa na nią nie podziałała. Musimy zatem poczęstować ją kolejnym kubkiem. Nie możesz mieć matki, która nie rozumie ani słowa z tego, co do niej mówisz! Przecież nie pomoże ci w znalezieniu Mody’ego, jeżeli nawet się nie dowie, że go szukasz.

– Szczerze mówiąc, Heddo – odparł chłopiec – nie wiedziałem o tym. Myślałem, że jest po prostu nieśmiała i tylko dlatego się do mnie nie odzywa. Ale, owszem, podajmy jej więcej niebiańskiej rosy. Kiedy wypije, będziemy mogli wspólnie rozpocząć poszukiwania i razem wygłosić zaklęcie poszukiwawcze.

Hedda się rozejrzała.

– Stammer! – zawołała ochryplym głosem. Z tłumu natychmiast wyłonił się krępy mężczyzna i pomachał ręką. – Podaj jej więcej niebiańskiej rosy! Szybko! Idź i przynieś ją tutaj.

Mężczyzna machnął ręką i torując sobie drogę łokciami, przepchnął się przez tłum w stronę drzwi. Linda mogła tylko zgadywać, dokąd on idzie i dlaczego Hedda stoi przed nią i Sekiem, blokując im drogę. Wydawało się jej, że Hedda po prostu odgadła, że ona nie rozumiała ani słowa.

Kobieta odwróciła się twarzą do zebranych, zaklaskała dłońmi w rękawiczkach i zawołała:

– Na co czekacie! Faust! Zacznijmy przybijanie tych nieudaczników do ścian. Pan dowie się przynajmniej, że rozczęliśmy poważne przygotowania, aby wydać ucztę na jego cześć!

Kiedy tylko wypowiedziała te słowa, dziewiętnastu okaleczonych mężczyzn wydało zbiorowy jęk, a część spróbowała stanąć na nogach. Przez chwilę się potykali i wspierali jeden na drugim, by zachować równowagę. Ludzie Heddy szybko pchnęli ich z powrotem na dywan, a Faust pojawił się z młotkiem.

Linda mogła tylko patrzeć z przerażeniem, jak pierwszy nieszczęśnik jest podrywany z podłogi, jak gwałtownie zdzierają z niego piżamę. Nagiego zawleczono pod ścianę ze śladami po gwoździach, a jego ramiona siłą szeroko rozłożono. Wiedziała, że sama była niedawno bardzo bliska takiego losu. Uratowały ją tylko rojenia Seka, że jest jego matką. Zdawała sobie sprawę, że chłopiec w każdej chwili może zmienić zdanie.

Mężczyzna wrzeszczał jak opętany, kiedy Faust przybijał jego lewą i prawą dłoń, a następnie łokcie i kolana.

Wyciągnął rękę po więcej gwoździ, krzyknął: „Następny!”, a kiedy podnoszono kolejną ofiarę i zrywano z niej piżamę, towarzysze jęczyli jak przerażone dzieci. Jeden z nich krzyknął chrapliwie:

– Heddo, może nie należymy do twojego plemienia, ale jesteście moimi braćmi! Jak możesz nam to robić? Powinnaś się nami opiekować, a nie nas zabijać! Pan ukarze cię za to!

– Och, naprawdę tak myślisz? – odwarknęła. – Jeżeli pan komuś wymierzy karę, to właśnie wam za waszą kompromitującą nieporadność! To wy mieliście się nami zaopiekować! To wy mieliście przyprowadzić tyle ofiar, żebyśmy wszyscy się najedli, abyśmy w godny sposób oddali cześć panu!

Mężczyzna padł na kolana i wyciągnąwszy ramię w stronę Heddy, potrząsnął pięścią.

– Pan kocha swój lud! Kocha wszystkich swoich ludzi bez wyjątku! Wściekłyby się, gdyby wiedział, co zamierzasz z nami zrobić! Przecież odpokutowaliśmy już nasze niepowodzenie. Wróciliśmy do cienia! Czy to nie wystarczy?

– Znam cię – powiedziała Hedda. – Ty jesteś Craggen, prawda? Craggen, ulubiony wazeliniarz i kłakier Mody’ego. Byłeś kiedyś katolickim księdzem, ale wyrzucili cię z twojego Kościoła, bo zabawiałeś się z chłopcami z chóru kościelnego! To dlatego skończyłeś na ulicy jako bezdomny, prawda? Posłuchaj mnie, Craggen, moje plemię postępuje według zasad mojej religii, a nie twojej. I to ja przemawiam w imieniu pana, a jeżeli twój bóg kiedykolwiek przemówił, brzmiało to jedynie jak pisk dręczonej myszy.

Craggen z trudem wstał.

– Tak, Heddo, pan oczekuje posłuszeństwa. Ale nie oczekuje, że będziesz nadużywała jego imienia, żeby zaspokoić własną zachłanność. Nie oczekuje, że będziesz łamała jego nakazy dlatego, że uwielbiasz ludzkie mięso. Na początku, kiedy zaczęłaś pić niebiańską rosę, było zupełnie inaczej, prawda? Nie obwiniaj pana za to, że tak upodobałaś sobie jedzenie ludzi. To tak, jakbyś winiła papieża za to, że uwielbiasz bogactwo.

Hedda pogardliwie machnęła końcówkami szala, przez co przez chwilę wyglądała jak łabędź lądujący na wodzie. Wskazała Craggena palcem i warknęła:

– Przybijcie go do ściany! Faust, słyszysz? Przybij go!

Craggenem zajęli się trzej ludzie, którzy natychmiast zerwali z niego piżamę. Upokorzony mężczyzna padł na podłogę, złożony dłońmi do modlitwy jak męczennik, jednak nie krzyczał już, nie wydobywał z gardła żadnego dźwięku. Zawleczono go do ściany tuż przy drzwiach.

Linda odwróciła głowę, kiedy Faust przybijał mu dłonie, łokcie i kolana, w końcu jednak zerknęła i wtedy zobaczyła, że Faust przebija gwoździem także jego jądro. Hedda powitała tę dodatkową torturę rytmicznym, skrzekliwym śmiechem.

Wreszcie wrócił Stammer, niosąc plastikowy kubek i butelkę z bursztynowym płynem. Hedda skinęła na niego i powiedziała do Lindy:

– Proszę, napij się. Kiedy wypijesz, zrozumiesz, co do ciebie mówimy, i będziesz także potrafiła mówić do nas. Staniesz się pełnoprawnym członkiem naszego plemienia.



Linda popatrzyła na Seka, a on po prostu się uśmiechnął, pokiwał głową i cicho chrząknął. Ton odgłosu zabrzmiał jak zachęta.

Stammer napełnił kubek do połowy niebiańską rosą i podsunął go Lindzie pod nos. Dziewczyna zawahała się, jednak w każdej sekundzie jej niepewności ludzie Heddy tupali i głośno krzyczeli. To ją upewniło, że nie ma wyboru. Ujęła kubek w obie dłonie, starając się, żeby nie drżały. Wpatrywała się w nią Hedda, wpatrywał się Sek, a Stammer ocierał nos wierzchem dłoni.

Wypiła niebiańską rosę jednym haustem. W pierwszej chwili miała przyjemny smak lukrecji i dopiero kiedy Linda zobaczyła dno kubka, poczuła na języku także posmak metalu i kwasu.

– Teraz musisz się trochę przespać, żeby niebiańska rosa mogła przeniknąć do twojego umysłu i zamienić cię w jedną z nas – powiedziała Hedda. Do Lindy wciąż docierał tylko beładny warkot. – Sek, zaprowadź ją do waszego pokoju. Laurel Oko, idź z nimi i dopilnuj, żeby zasnęła. Im szybciej zaczniesz nas rozumieć, tym szybciej będzie mogła pomagać Sekowi w odnalezieniu Mody’ego.

Rozejrzała się. Ścianę przy drzwiach w całości zajmowało już ośmiu ludzi Mody’ego, przybitych do niej z szerego rozłożonymi ramionami. Kolejnego nieszczęśnika Faust przybijał do przyległej ściany

– Faust! Zabraknie ci ścian dla nich wszystkich! – zawołała Hedda.

Mężczyzna wbił ostatni gwóźdź w kolano młodego człowieka o czarnej skórze.

– Nic się nie martw! – odrzyknął do niej. Wyprostował się i machnął młotkiem jak dyrygent batutą. – Jest jeszcze mnóstwo miejsca na podłodze!

Linda usłyszała dochodzący nie wiadomo skąd dziwny śpiew. Odniosła wrażenie, że zaczyna się oddalać od zakapturzonych, cuchnących ludzi, tłoczących się w pomieszczeniu, że to wcale nie są realne postaci, lecz tylko cienie z jej snu. Ale poza uderzeniami młotka i bezustannymi wrzaskami docierał do niej także stały szmer, na który składały się chrapliwy warkot zebranych i szelest nylonowych kurtek, kiedy ciasno stłoczeni ocierali się jeden o drugiego.

Zakołysała się i zamknęła oczy. Laurel Oko ujęła ją pod ramię i powiedziała do Seka:

– Chodź, musimy zabrać twoją Much-much na górę. Poczuj się lepiej, kiedy się trochę prześpi.

Linda zrobiła niepewny krok.

– Jerry – wyszeptwała.

– Co? – zapytał chłopiec. – Co znaczy „Jerry”?

Obudził ją piskliwy śpiew. Ktoś śpiewał pieśń niepodobną do żadnej innej, jej tony wznosiły się i opadały jak szum wiatru w dolinie. Zdołała zrozumieć kilka słów, gdy przez chwilę leżała z otwartymi oczami, obserwując, jak światło świecy wesoło skacze na suficie. Starła się zebrać słowa i zrozumieć, o co chodzi pieśniarce.

– Odszedłeś... do cienia... odszedłeś... nawet się nie odwróciłeś...

Linda usiadła. To śpiewała Laurel Oko. Siedziała na podłodze naprzeciwko Seka, który opierał się plecami o ścianę, marszczył nos i palił papierosa.

– Zniknąłeś... w cieniu... w ciemności... którą drogę wybrałeś?

Kiedy kobieta zobaczyła, że Linda nie śpi, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Aha! Witamy z powrotem! Musiały ci się śnić koszmary, tak głośno krzyczałaś!

– Krzyczałam? Naprawdę? Gdzie ja jestem?

– W sypialni, razem ze mną i ze swoim cudownym, magicznym synem Sowber Sekiem.

Linda zamrugała i popatrzyła na niego. Jego jasne, kręcone włosy lepiły się od brudu, a z obu nozdrzy wydobywał mu się dym papierosowy.

– Jesteś moim synem? – zapytała. – Nawet nie wiedziałam, że mam syna. Nie wiedziałam, że mam jakieś dzieci.

Sek wstał, podszedł do Lindy i padł na materac obok niej. Uśmiechnął się, przycisnął policzek do jej ramienia i powiedział:

– Mamusi... Mówisz to tylko dla żartu.

– On wierzy, że jesteś jego matką – odezwała się Laurel Oko. – Jest Sowber Sekiem, a kim my jesteśmy, żeby mu się przeciwstawiać?

– Sowber Sekiem? – powtórzyła Linda. Domyślała się, że „Sowber” znaczy „magiczny”, a Sek znaczy „drugi”. – Ale on jest przecież taki młody!

– Nie trzeba być dorosłym, żeby czynić cuda, prawda? Sama widziałam noworodki, które zabijały dorosłych mężczyzn zaraz po opuszczeniu macicy.

Linda ostrożnie, lecz stanowczo uwolniła się od chłopca, po czym wstała. Podeszła do stołu, ponieważ stała na nim płonąca świeca, a płomień ją zafascynował. Po chwili wyciągnęła rękę i spróbowała złapać ogienek, ale natychmiast ją cofnęła.

– Aach! – syknęła z bólu.

– Gorące – odpowiedziała jej Laurel Oko. Ona także wstała i stanęła obok niej. – Przepraszam, to moja wina. Powinam cię ostrzec. Są rzeczy, których nie pamiętasz z czasów, zanim wypijałaś niebiańską rosę. Chociażby ta świeczka.

– A więc tak to nazywacie? „Świeczka?” Widziałam już kiedyś coś takiego?

Laurel Oko pogłaskała Lindę po policzku.

– Pewnych rzeczy nie zapomniałaś, a o innych dowiesz się znacznie więcej, niż wiedziałaś wcześniej. Większość stopniowo do ciebie powróci albo będziesz je poznawać na nowo. Potrzebujemy świeczek, bo niezależnie od tego, czy na zewnątrz jest ciemno czy jasno, musimy zakrywać frontowe okna, żeby nas nie wykryli obcy.

Linda pokiwała głową. Wiedziała, że słowo „obcy” oznacza tu także „słabi”, lecz nie miała pojęcia, dlaczego należało się ich bać.

Pochyliła się, aby popatrzeć na świecę, a wtedy jej oświetlona twarz odbiła się w lustrze leżącym na stole. Mocno zacisnęła dłoń na ramieniu towarzyszki.

– Kto to jest? – wyszeptła. – Przez tę dziurę patrzy na mnie jakaś kobieta.

Laurel Oko postukała palcem w lustro.

– To ty. A to nazywamy lustrzanym odbiciem. Przy lustrze można odnieść wrażenie, że palą się dwie świeczki, choć tak naprawdę świeczka jest tylko jedna. Mogłoby też ci się wydawać, że istniejesz w dwóch postaciach, podobnie jak ja, ale naprawdę każda z nas jest tylko jedna. I popatrz dobrze na to odbicie, w lustrze jest także drugi Sek!

Linda przez długi czas wpatrywała się w lustrzany obraz.

– To naprawdę ja?

– Tak.

– Ale w oczach mam świeczki.

– Tak. Twoje oczy także są lustrzanymi odbiciami.

– Już prawie dziewiąta pora ciemności – zaszczebotał wesoło Sek. – Powinniśmy zejść i sprawdzić, czy wszyscy zostali przybici do ścian. Zaraz pora posiłku. Dzisiejszej nocy raczej dużo nie zjemy. Wszystko przez Mody’ego.

– Masz rację – przyznała Laurel Oko. – Jesteś gotowa, Much-much?

– Masz zamiar tak mnie nazywać?

– Jesteś matką Seka. Wyobrażasz sobie, że moglibyśmy zwracać się do ciebie inaczej?

Linda intensywnie myślała. Była pewna, że posiada własne imię, potrafiła to sobie wyobrazić. Jednak owo imię, którego nie potrafiła wypowiedzieć, krążyło jej po głowie jak zapomniana melodia, a kiedy naprawdę pojawiała się w niej melodia, była to pieśń, którą przed chwilą śpiewała Laurel Oko.

– Odszedłeś... do cienia... odszedłeś... nawet się nie odwróciłeś.

– Chce mi się pić – powiedziała, idąc korytarzem za Sekiem i kobietą w kierunku klatki schodowej. – Tutaj wszędzie jest pełno kurzu, a ja chyba spałam z otwartymi ustami i kurz wniknął mi do gardła.

Usłyszeli, jak dwa piętra wyżej całe plemię krzyczy i śpiewa.

– Nie martw się – uspokoiła ją Laurel Oko. – Kobiety wyszły dziś po południu i przyniosły chleb, mleko, warzywa i napoje. Będziemy mogli zjeść niewiele mięsa z ofiar, ale mnóstwo wszystkiego innego.

W pomieszczeniu z panem namalowanym na ścianie hałas był ogłuszający. Członkowie plemienia tańczyli, trzymając w rękach butelki z winem i ginem, a niektórzy byli już tak pijani, że przewracali się ze śmiechem na podłogę. Jedna z kobiet opierała się w kącie o ścianę, z jej ust ciekły żółte wymiociny prosto na bose stopy przybitego tam mężczyzny.

Linda została pchnięta na sam środek pokoju; naliczyła, że do ścian przybito jedenastu ludzi Mody’ego, w równym rzędzie, z szeroko rozłożonymi ramionami. Pozostała ósemka została przybita do podłogi pod oknem; krążyła wokół nich Hedda z do połowy opróżnioną butelką wódki w jednej ręce i cygarem w drugiej. Od czasu do czasu robiła wymach nogą w zniszczonym bucie i kopała nieszczęśników w żebra albo głowy.

– Sowber Seku! – zawołała. – Chodź, zobacz tych nieudaczników! O, jest i Much-much! Obudziłaś się! Rozumiesz, co mówię, kobieto?

Hedda wypiała tyle wódki, że zataczała się i bełkotała, lecz Linda teraz doskonale ją rozumiała. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że spotkała ją już wcześniej, zanim zasnęła, ale wówczas nie pojmowała jeszcze, jak imponującą jest osobą, jak władczą i dostojną, tak wystrójona w dwa kapelusze o szerokich rondach, z obszernym szalem narzuconym na ramiona, ubrana w kilka warstw płaszczów, kurtek i swetrów. W końcu była głosem pana, słyszała szept Ba-Abła w nieprzeniknionym cieniu, potrafiła przekazać swojemu plemienu wszystkie jego rady i rozkazy.

– Widzisz tych zafajdanych nieudaczników? – powtórzyła Hedda, upiła duży łyk wódki prosto z butelki, a potem spróbowała się zaciągnąć cygarem, ale to chwilę wcześniej zgasło.

Linda podeszła do niej i popatrzyła na nagich mężczyzn przybitych do podłogi wyłożonej dywanem. Z ich twarzy zerwano już bandaże, zamiast oczu ziały w nich głębokie, ciemne dziury. Zerknęła na ich zwiotczałe penisy, które niespodziewanie ją podnieciły, przede wszystkim dlatego, że mogła wpatrywać się w nie tak długo, jak tylko miała ochotę, a ich właściciele w ogóle nie zdawali sobie z tego sprawy.

– Much-much! Much-much! – zakrzyknął Sek i przywołał ją ruchem ręki.

Stał w kącie i podrygiwał z wyraźną ekscytacją. U jego stóp, przybity do podłogi, leżał Edward. Był nieprzytomny, miał sine usta i bardzo słaby oddech.

Linda, kiedy go zobaczyła, poczuła lekkie zawirowanie w głowie. Z jakiegoś powodu miała ochotę wyrwać gwoździe z jego dłoni i stóp, podnieść go i wynieść w ramionach jak najdalej stąd. Jednak niemal natychmiast ta ochota w niej zgasła, ucichła jak gwizd odjeżdżającej lokomotywy. Zorientowała się, jak ogromnie zadowolony jest Sek. Uściskała go i umiosła z podłogi.

– On będzie mój, cały mój! – powiedział chłopiec, kiedy go odstawiła z powrotem. – Jutro, gdy już znajdziemy Mody’ego, będzie moim obiadem! Z przyjemnością zjem jego chrupiące uszy!

W umyśle Lindy wciąż kotłowały się niezliczone, nieskładne myśli i wizje, lecz nagle przypomniała sobie coś ważnego. Wśród śpiewów i wrzasków pochyliła się nad chłopcem i powiedziała:

– Tak, musimy najpierw znaleźć Mody’ego, Sek. Jeżeli tego nie zrobimy, oni zjedzą nas oboje!

Tej nocy Jerry nie mógł zasnąć. Był wykończony, ale tylko leżał w skotłowanej pościeli, nie mając nawet sił, żeby wstać i zaparzyć sobie herbatę. Bezustannie myślał o Lindzie i wyobrażał ją sobie, jak ze śmiechem biegnie przez Tooting Bec Common albo jak siedzi na sofie przy kominku z kolanami podciągniętymi pod brodę i z czubkiem języka wysuniętym z ust maluje sobie paznokcie u stóp, a ogień z kominka lśni w jej oczach jak płomyki świec.

Słyszał samochody przejeżdżające Crowborough Road i widział światła ich reflektorów przesuwające się po suficie. Z wielkim bólem rozmyślał również o Norze i o tym, jak okrutną śmierć jej zadano. Jak to się mogło stać, że starsza wdowa, która zawsze wiodła spokojne życie, absolutnie nikomu nie wadząc, a wcześniej opiekowała się niepełnosprawnym mężem i wychowała trójkę dzieci, której zainteresowania ograniczały się do szydełkowania, oglądania telewizji i cotygodniowych wyjść na bingo, odeszła z tego świata tak nagle, z całej siły pchnięta na ścianę i okrutnie pobita we własnym domu?

Zastanawiał się, czy Linda także nie żyje i czy została zabita tak samo brutalnie. Wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że porwał ją ten sam gang bezdomnych, którzy uprowadzili posterunkowego Bone'a, zamordowali posterunkowego Malika i podpálili tę nieszczęsną kobietę w szkole Charlesa Babbage'a w Peckham, a także wzięli zakładników na cmentarzu Lambeth. Jeżeli to rzeczywiście oni ją porwali, Jerry musiał się liczyć z tym, że szansa odnalezienia Lindy żywej jest naprawdę bardzo nikłą.

Nie był facetem, który łatwo się wzrusza. Po raz ostatni musiał ocierać łzy, kiedy pięć lat wcześniej jego ojciec umarł na raka prostaty w szpitalu Royal Marsden. Ale teraz, leżąc tak, myśląc o Lindzie i wyobrażając sobie, co mogło się z nią stać, poczuł, jak zimna łza wypływa mu z oka i wsiąka w poduszkę.

Nie mógł nawet modlić się do Boga, żeby ją ocalił. W ciągu pięciu lat pracy na stanowisku detektywa widział za dużo przemocy i okrucieństwa, aby wciąż w Niego wierzyć. Co to za Bóg, który pozwala milionom swoich wyznawców umierać w pandemiach, a ukochanemu synowi postradać życie na krzyżu?

Udało mu się zasnąć na godzinę, kiedy już zaczynało świtać. Gdy się obudził, usłyszał ciężkie krople deszczu bijące w ziemię za oknem. Wskoczył z łóżka i poszedł do wnęki kuchennej, żeby nalać wody do czajnika. Nagle przypomniał sobie, że zapomniał nakarmić złotą rybkę ryukin. Nadał jej imię Quasimodo, ponieważ ryukiny mają wypukłe grzbiety.

– To wina Boga, prawda, Quaz? – zapytał, sypiąc karmę na powierzchni wody i patrząc, jak ryukin podpływa. – Stworzył człowieka i diabła, ale siły między nimi ustanowił nierówne.

Był to jego ulubiony cytat z *Dzwonnika z Notre Dame*. W gruncie rzeczy jedyny, jaki pamiętał ze szkoły. Inny, który zapamiętał, pochodził z telewizyjnego serialu *The Sweeney* z lat siedemdziesiątych: „Jeżeli zamierzasz się hajtnąć, niech to będzie albo dziewiątka, albo trójka. Kobieta-fantazja albo zupełnie do kitu”.

Miał właśnie nalać sobie herbaty do kubka, kiedy zadzwonił telefon. Dżamila. Wydawała się równie zmęczona jak on.

– Jerry? Dzwoniła profesor Walmsley. Tosh ją do mnie przełączył.

– Cholernie wcześniej, co? Która godzina?

– Wpół do ósmej. Pani profesor powiedziała mi, że nie spała całą noc, słuchając nagrań Moe Dee.

– Ja też nie mogę powiedzieć, że spałem dzisiejszej nocy. Doszła do jakichś wniosków?

– Chyba tak. Wielokrotnie przesłuchiwała nagrania w różnym tempie i w pewnej chwili spadła na nią jasność damasceńska.

– Tak? A co to takiego? Nagła menopauza?

– Moment olśnienia, Jerry. Coś takiego przytrafiło się Pawłowi w drodze do Damaszku.

– Przepraszam, ale przecież mnie znasz. Nie mam wielkiego pojęcia o Biblii. A co w związku z tą jasnością?

– Kiedy odtwarzała nagranie bardzo powoli, usłyszała wyraźnie elementy dwóch języków. Ci bezdomni zdają się posługiwać własnym dialektem powstałym z połączenia dwóch języków, ale według pani profesor nie jest on podobny ani do cockneya, ani do shelty, czyli języka irlandzkich podróżników. I nie został bynajmniej samorzutnie rozwinięty przez samych bezdomnych na przestrzeni lat, jak to się działo chociażby w przypadku tych dwóch, które wymieniałam.

– Tylko mi nie mów, że istnieje jakaś szkoła wieczorowa, gdzie uczą porozumiewania się poprzez warczenie.

– Nie. Profesor Walmsley jest niemal pewna, że na ich sposób wysławiania się decydujący wpływ ma opiat, który zażywają. Zarówno Tosh, jak i doktor Seshadri zgadzają się, że działa on na ośrodek mowy, a pani profesor jest też przekonana, że mamy tu do czynienia z jakąś chemiczną wersją tłumacza Google. Przyznaje, że potrzebuje więcej nagrań, żeby ugruntować swoją teorię, wydaje się jednak jej pewna.

– A więc to całe prychanie i warczenie ma jakiś sens?

– Tak, jeżeli zażyjesz konkretny narkotyk albo będziesz tego słuchał w tempie zwolnionym o dwie trzecie.

– A te dwa języki... czy profesor jest w stanie je rozpoznać?

– Powiedziała, że obecnie może podjąć próbę określenia tylko głównego języka. Ale oczywiście będzie to teza bardzo bliska prawdy, ponieważ profesor Walmsley jest ekspertką w dziedzinie językoznawstwa ewolucyjnego. Uważa, że korzenie tej mowy sięgają niemal epoki kamienia łupanego, środkowego paleolitu, czyli około czterdziestu tysięcy lat temu, a nawet czasów jeszcze dawniejszych, a język, który rozpoznała, nazywa się praindoeuropejskim. Najbardziej zaskoczyło ją jednak to, że wyłowiła z warkotu Moe Dee także kilka zdań i słów we współczesnym niemieckim. I wcale nie chodzi tutaj o takie proste słowa, jak „Erst” czy „Sek”.

– A więc ci dranie są Niemcami, tak jak przypuszczaliśmy. Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego rozmawiają jak jaskiniowcy i dlaczego czczą jakiegoś pakistańskiego bożka, prawda?

– Posłuchaj, profesor Walmsley chce uzyskać więcej nagrań tego całego Moe Dee, żeby stworzyć podstawowy słownik jego języka. Jeżeli to się jej uda, będziemy mogli go przekonać, żeby powiedział nam, gdzie się ukrywają bezdomni. Na przykład ta kobieta w dwóch kapeluszach, którą narysował Edward Willow.

– Baggy Nell? Prawie się cieszę, że tej nocy spałem źle i krótko. Pewnie śniłaby mi się w koszmarach. – Jerry na chwilę umilkł. – Mam nadzieję, że Bóg nie dopuści, żeby chłopcu stała się krzywda.

– Podobno jesteś niewierzący.

– Bo jestem. Ale do kogo mam się modlić o życie tego dzieciaka? Do Ronalda McDonalda?

– W każdym razie – ciągnęła Dżamila – uzgodniłam, że o jedenastej trzydzieści spotkamy się z profesorem Walmsley w szpitalu Świętego Jerzego. Inspektor Saunders załatwił przeniesienie Moe Dee na oddział okulistyczny w skrzydle Lanesborough i stałą uzbrojoną straż.

– Dobrze. Tam się spotkamy. Zostało ci jeszcze trochę pasztecików kheema? Jeśli tak, weź ze sobą kilka. Jestem pewien, że do lunchu zgłodnieję jak pies.

Jerry odłożył telefon. Stał przez chwilę bez ruchu, obserwując, jak ryukin skubie pokarm. Starał się zachowywać normalnie, jakby nad wszystkim panował, jak przystało policjantowi. Ale czuł się bezradny jak pasażer rollercoastera, błyskawicznie unoszony wysoko i opuszczany nisko, wirujący wokół własnej osi, a przy tym nieprzyięty pasami i z wielkim trudem trzymający się w fotelu, żeby nie wypaść z niego głową w dół.

Wziął do ręki płaszcz Lindy, który wciąż znajdował się tam, gdzie go zostawiła, przewieszony przez oparcie fotela. Zanurzył w nim nos, żeby poczuć zapach dziewczyny.

– Lindo – wyszeptał.

Ale na jego szepot zareagował jedynie gołąb, który wylądował na metalowym parapecie okna i drapał w niego pazurkami. Po chwili zaczął wydobywać ze swego ptasiego gardła rytmiczne godowe gruchanie.

Doktor Seshadri spotkał się z Dżamilą, Jerry'ym i profesorem Walmsley w skrzydle Lanesborough i zaprowadził ich na drugie piętro do pokoju Moe Dee.

– Wciąż jest w kiepskim stanie – powiedział w windzie. – Ale i tak jego organizm uwalnia się spod działania opiatu stosunkowo szybko, znacznie szybciej niż organizm nieszczęsnego Edwarda Willowa. Prawdopodobnie zawdzięcza to większej masie ciała. Przy okazji, macie jakieś informacje o chłopcu i o innych pacjentach, którzy zostali porwani?

Jerry pokręcił głową.

– Niestety, nie wiemy zupełnie nic. Mamy jednak nadzieję, że ten rodzynek udzieli nam jakichś wskazówek.

Kiedy weszli do pokoju, Moe Dee siedział w łóżku i sprawiał wrażenie znacznie zdrowszego niż poprzedniego dnia. Został umyty, przyszyżono mu brodę, a na oczach miał świeże bandaże. Na talerzu na nocnym stoliku leżała niedojedzona kanapka i pusta terebka po chipsach.

Kiedy usiedli na krzesłach wokół łóżka, mężczyzna kilkakrotnie obrócił głowę i wreszcie wymamrotał:

– O co chodzi?

Profesor Walmsley popatrzyła na Dżamilę i Jerry'ego, unosząc brwi, jakby chciała zauważyć: „No i co? On już mówi po angielsku!”.

– Moe Dee, nazywam się Walmsley – powiedziała kobieta, włączyny dyktafon. – Rozpoznajesz mój głos? Rozmawiałam z tobą wczoraj. Chcę znowu porozmawiać.

Moe Dee wydobył z siebie długi, skomplikowany warkot. Zdawał się jednak rozumieć, że do profesora Walmsley nie dotrze jego znaczenie, ponieważ zaraz się skoncentrował i zdołał powiedzieć:

– Much... moja... much... moi... ludzi...

– Twoi ludzie? O to ci chodzi?

– Much... moje plemię.

– Twoje plemię, doskonale. Zrozumiałam. Chcesz wiedzieć, co się stało z twoim plemieniem?

Moe Dee pokiwał głową.

– Hed-dah. Hed-dah wzięła... muh... ludzi... aach.

– Hedda? Czy to imię kobiety?

Moe Dee uniósł lewą rękę i położył na czubku łysej głowy, a następnie nakrył ją prawą dłonią.

– Zakrywasz głowę. – Profesor Walmsley zmarszczyła czoło z zastanowieniem. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tuh... tuh... dwa! – zawołał Moe Dee. Szybko odetchnął i wyrzucił z siebie: – Kape!

– Przepraszam, nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Kape! Dwa kape! Hedda... dwa kape!

– On ma na myśli kapelusze! – Dżamila klasnęła dłońmi. – Dwa kapelusze! Mówi o kobiecie w dwóch kapeluszach, którą narysował Edward!

– Baggy Nell – dodał Jerry. – To ona porwała jego współników. Pieprzona Baggy Nell. Gdzie ona się ukryła, stary? Rozumiesz mnie? Baggy Nell albo Hedda czy jak tam każde siebie nazywać... gdzie ona się ukrywa? Mów, nawet nie próbuj udawać, że nie wiesz, gdzie ona teraz jest!

Moe Dee wydawał się coraz bardziej wytrącony z równowagi, zaczął machać rękami, jakby chciał odegnać od siebie rój much.

– Uspokój się – powiedziała do niego profesor Walmsley i chwyciła go za rękę. – Moe Dee, uspokój się! – Popatrzyła na Jerry'ego i dodała: – Bardzo proszę, niech pan zanadto na niego nie naciska, detektywie. Niedawno przeżył ogromny stres. Nie zabił się, ale się oślepił. Jeżeli nie będziemy postępować bardzo ostrożnie, krok po kroku, nie zrobimy postępów. – Podała Moe Dee szklankę z wodą. Mężczyzna wypił i po kilku minutach wyraźnie się uspokoił. – Już dobrze – powiedziała. – Mówiłeś, że Hedda zabrała ci plemię. Jesteś zadowolony, że przysłała tu ludzi, żeby wyciągnęli stąd twoich? Jesteś zły, że nie zabrali także ciebie? Wczoraj coś do nich krzyczałeś, prawda?

Moe Dee pokręcił głową, wciąż był jednak zbyt rozemocjonowany, żeby odpowiedzieć jej po angielsku, dlatego znów wydał z siebie całą serię warkotów i pochrząkiwań. Profesor Walmsley trzymała dyktafon przed jego twarzą, żeby później odsłuchać jego warkot w zwolnionym tempie, ale nawet Jerry potrafił pojąć istotę tego, co Moe Dee chciał teraz przekazać. Nie było trzeba geniusza, żeby dostrzec jego złość, strach i żądzę zemsty. Kiedy wczoraj krzyczał do ludzi Heddy, prawdopodobnie chciał, żeby sobie poszli, żeby zostawili w spokoju jego plemię i jego samego, aby wszyscy mogli wyleczyć się z ran, które sami sobie zadali. Poświęcili wzrok, więc czego jeszcze od nich żądano?

Po kilku minutach Moe Dee opadł na poduszki, a profesor Walmsley zaczęła odtwarzać nagranie. W zwolnionym tempie brzmiało ono w uszach Jerry'ego równie niewyraźnie jak wtedy, gdy mężczyzna mówił szybko – słyszał jedynie długie, rozwlekłe warczenie i od czasu do czasu krótkie szczeknięcia. Dla profesor Walmsley najwyraźniej miało jednak sens, ponieważ wsłuchując się w dźwięki wydobywające się z gardła Moe Dee, robiła pośpiesznie notatki.

– Hoh – rzucił Moe Dee, kiedy trochę odpoczął. – Hoh-dell.

Profesor Walmsley popatrzyła na niego z uniesionym długopisem.

– Powtórz to, Moe Dee. Ale powoli.

– Hoh-dell. Keh-nung-dun. Hoh-dell.

– Uważam, że próbuje powiedzieć „hotel” – stwierdziła profesor. – Opisowywał miejsce, w którym wędrowcy zatrzymują się na noc, ale oczywiście w języku praindoeuropejskim nie istniało słowo „hotel”.

– A co znaczy „keh-nung-dun”?

– Moim zdaniem chodzi o Kennington – powiedziała Dżamila. – On chce nam coś powiedzieć o hotelu w Kennington. Zapewne właśnie tam ukrywa się Hedda ze swoim plemieniem. To nawet ma sens, bo chodzi o jakieś miejsce mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Lambeth, gdzie znaleźliśmy szczątki osób ocalałych z Holocaustu, a Peckham, gdzie spaliła się szkoła. A hotel na pewno może pomieścić sporą grupę ludzi.

Jerry pstryknął palcami.

– Wiem! Chodzi o dawny Hotel Książęcy! Zanim go sprzedano, funkcjonował jeszcze przez jakiś czas w sieci Solace! Stamtąd mogą pochodzić te ręczniki, które znaleźliśmy!

– Jest pan pewien? – zapytał doktor Seshadri. – Myślałem, że Hotel Książęcy zburzono kilka lat temu.

– Budynek od dawna jest w opłakanym stanie, to trzeba przyznać. Ale wydaje mi się, że wciąż nie zrównano go z ziemią.

– Wielokrotnie przejeżdżałem obok tamtego miejsca. Kiedy na głównej drodze są korki, skracam sobie tamtędy trasę do szpitala Świętego Tomasza. Tam nie ma nic, poza wysokim murem pokrytym kolorowym graffiti. Jeżeli za nim znajduje się jakiś budynek, to z ulicy go nie widać. Ale chyba czytałem już gdzieś o jego wyburzeniu. Podobno ma tam powstać nowe osiedle mieszkaniowe.

Jerry popatrzył na Moe Dee.

– Ten hotel, o którym chcesz nam powiedzieć... Chodzi ci o Książęcy?

Moe Dee pokiwał głową i kilkakrotnie warknął.

– Może więc jeszcze go nie zburzono, a przynajmniej nie w całości? Szybko to sprawdzimy. Cholera jasna, wczoraj byłem z Jeżozwierzem w Imperialnym Muzeum Wojny, to po drugiej stronie ulicy. Szkoda, że tam nie zajrzeliśmy.

Profesor Walmsley odezwała się do Moe Dee:

– O ile dobrze cię rozumiem, chcesz nam powiedzieć, że jeżeli pójdziemy do Hotelu Książęcego w Kennington, zdołamy uratować twoich ludzi. Zgadza się? – zapytała.

Moe Dee energicznie pokręcił głową i energicznie szarpnął rękaw jej sukni.

– Nie, nie, nie! – zawołał żałośnie, a jego usta wygięły się w dół, gdy wydał rozpaczliwy skowyt bólu. – Nie... Idzicie... idzicie... a Hedda... Hedda... – Zabrakło mu słów, wyciągnął więc wskazujący palec prawej ręki i przeciągnął nim jak nożem po swoim jabłku Adama.

– Uważa, że jeżeli spróbujemy ocalić jego ludzi, Hedda poderznie im gardła – stwierdziła profesor Walmsley.

Moe Dee znowu szarpnął ją za rękaw. Wykonał z kolei gest, jakby rozpruwał sobie brzuch, a potem ułożył dłonie w taki sposób, jakby chciał zatrzymać wypływające z niego wnętrzności.

– Cholera jasna. – Jerry westchnął.

Moe Dee jeszcze raz szarpnął rękaw pani profesor i zaczął warczeć. Tym razem warkot był bardzo szybki, a zarazem łagodny i jakby śmiertelnie poważny. Profesor wszystko nagrywała, a kiedy skończył, odtworzyła jego wypowiedź w zwolnionym tempie.

– Co on mówi? – zapytała Dżamila. – Dla mnie to brzmi jak ostrzeżenie.

– Ma pani rację – odparła profesor Walmsley. – Nie zrozumiałam wszystkiego, ale w istocie chodzi o to, że jeśli spróbujemy się włamać do hotelu, Hedda natychmiast rozkaże zabić wszystkich, którzy się tam znajdują, także własnych ludzi. Zażąda tego ich bóg. Kiedy ludzie Heddy nie sprawdzają się jako dostarczyciele żywności, kiedy nie uda im się polowanie, ten bóg oczekuje też, że każdy z nich wydłubie sobie oczy. Moe Dee nazywa to „powrotem do ciecia”.

Ich zadaniem jest bowiem wychodzenie na łowy każdego dnia po zmroku i dostarczanie ofiar, żywych ludzi, dla zaspokojenia własnego głodu i oddania czci bogu. Moe Dee nazywa te ofiary w specyficzny sposób. Określa je niemieckim słowem *ein Opfer*, co znaczy właśnie „ofiara”.

– Aha, a więc on i jego ludzie spartaczyli robotę na cmentarzu Lambeth – zauważył Jerry. – Dlatego wszyscy się oślepiłi. Ale o co chodzi z groźbą zamordowania tej całej zgrai?

– Tę część akurat doskonale rozumiem. Jeśli Hedda uzna, że są otoczeni przez przeważające siły i nie ma już nadziei na pokonanie wroga ani na ucieczkę, bez wahania zarządzi masową zbrodnię. – Profesor Walmsley popatrzyła na Moe Dee. – Ilu ludzi kryje się według ciebie w tym hotelu? – Wyciągnęła palce obu rąk, aby to zilustrować.

W odpowiedzi mężczyzna siedmiokrotnie uniośł szeroko otwarte dłonie, a potem jeszcze raz tylko jedną dłoń.

– Siedemdziesiąt pięć osób – powiedziała Dżamila. – Znacznie mniej niż w Jonestown, gdzie doszło do masowego samobójstwa, ale i tak grozi nam masakra. Jeżeli ci ludzie naprawdę przebywają w hotelu, musimy operację zajęcia budynku zaplanować i przeprowadzić z największą ostrożnością.

Moe Dee uniośł rękę na znak, że ją zrozumiał i w pełni się z nią zgadza.

Jerry stanął przy łóżku.

– Kiedy wciąż miałeś oczy, stary, nie zauważyłeś przypadkiem w tym hotelu młodej kobiety o brązowych włosach, ubranej w niebieską, jedwabną suknię?

Moe Dee warknął i pokręcił głową, a profesor Walmsley wyjaśniła:

– On nie ma pewności. Tam jest mnóstwo ludzi, panuje wielki tłok. Nazywa to *gedranger*. Niemieckie słowo na określenie tłumu albo młyna to *Gedränge*.

Jerry sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął szal Lindy. Przysunął go do twarzy Moe Dee i powiedział:

– Powąchaj. Czy w tym hotelu przebywa kobieta, która pachnie jak ten szal?

Mężczyzna złapał go za rękę i przyciągnął bliżej szal do nosa. Kilkakrotnie głęboko odetchnął, przez chwilę zatrzymał powietrze w płucach, wreszcie pokiwał głową i odezwał się:

– Tak... tak.

Perfumy Flowerbomb pachniały słodko, w ich zapachu unosiła się wyraźna nuta dojrzałej bergamoty, a że były bardzo drogie, używało ich niewiele kobiet.

– Czyli to jednak oni porwali Lindę – powiedział Jerry. Nie potrafił zapanować nad drżeniem głosu. – Wcale się nie dziwię, jeżeli się okaże, że są odpowiedzialni za wszystkie inne zaginięcia zgłoszone w tym roku. Zachciało im się cholernych ofiar z ludzi, Jezu Chryste!

– Jerry, skoro już wiemy, gdzie ona jest, zrobimy wszystko, żebyś ją odzyskał – zapewniła Dżamila.

– Jeśli jeszcze żyje. Jeśli ci dranie już jej nie zabilo i nie zżarło.

– Tak, Jerry, jeśli Linda żyje.

Jerry mocno uderzył Moe Dee pięścią w piersi.

– Cholerne łotry! Wy nieludzkie łotry. Co właściwie zrobiliście ze swoimi oczami? Zjedliście je? Szkoda. Chętnie sam bym wam je wydłubał, każdemu po kolei.

Moe Dee złożył ręce jak do modlitwy. Jakby błagał Jerry’ego o wybaczenie.

– Nnnie... ja... – zaczął mówić z wielkim wysiłkiem.

– Ach, nie ty? To kto jak nie ty, cholerna łajzo?

Moe Dee obrócił głowę w stronę, gdzie według niego powinna się znajdować profesor Walmsley, ona jednak już wstała i odeszła od łóżka.

– Nnnie... ja... – powtórzył. – Niebo... rosa! – Uniośł ręce do ust, jakby pił z kubka. – Powtórzył to dwukrotnie, a potem klepnął się w czoło.

– Niebo Rosa? – powtórzył Jerry. – A kto to taki ten Niebo Rosa?

Moe Dee gwałtownie pokręcił głową i znowu przyłożył do ust dłoń.

– Według mnie chce nam powiedzieć, że „niebo rosa” to jakiś napój – odezwał się doktor Seshadri. – Zapewne tak właśnie brzmi nazwa opiatu, który zażywał. A klepie się w czoło, ponieważ chce nam pokazać, że wypicie tego napoju ma wpływ na myślenie.

Moe Dee pokiwał głową.

– Aha, miałem rację – kontynuował doktor. – Nigdy nie słyszałem o opiacie, który by się tak nazywał. Nie jest to żadna ze znanych mi nazw własnych ani jakaś marka. Nie brzmi też jak nazwa na przykład ulicy.

Profesor Walmsley wróciła do łóżka Moe Dee.

– Powiedz to jeszcze raz. Powiedz „niebo rosa”, ale powoli.

– Niebbia... sa – powtórzył Moe Dee.

– Jeszcze raz – zachęciła go profesor i przechyliła głowę, żeby lepiej słyszeć. – I jeszcze raz. – W końcu wygłosiła swoją opinię: – On wcale nie mówi „niebo rosa”, w każdym razie nie chodzi o poranną rosę na trawie. Moim zdaniem to słowa mają korzenie w języku urdu, jak zresztą wiele innych słów, których używa. Prawdopodobnie pochodzą z języka praindoeuropejskiego, o którym już wspominałam. On chce nam uświadomić, że to jakiś niedobry napój wpłynął na funkcjonowanie jego mózgu.

– No ale co dalej? – zapytał Jerry. – Czy to ma jakieś znaczenie?

– Zasadnicze – odparła profesor Walmsley. – Myślę, że Moe Dee stara się wypowiedzieć słowa „czarna magia” w języku urdu. *Kala jadu* brzmi jak *calla dew*, czyli mniej więcej niebiańska rosa.



Dżamila i Jerry działali bardzo szybko. Wskoczyli do jego toyoty i tak prędko, jak tylko mogli, popędzili do Kennington, naruszając wszelkie przepisy ruchu drogowego. Jerry prowadził, a Dżamila połączyła się z inspektorem Saundersem i opowiedziała mu wszystko, co zdołali uzyskać od Moe Dee.

– Na ile wiarygodny jest ten cały Moe Dee? – zapytał Saunders. – Czy przypadkiem nie wpuszcza was w ślepy zaułek? A jeśli ten hotel już nie istnieje?

– Wtedy po prostu zmarnujemy godzinę i kilka litrów paliwa, sir. Mam jednak silne przeczucie, że on mówi prawdę. Ta cała Hedda strasznie go rozzłościła i naszym zdaniem Moe Dee zrobi wszystko, żeby się na niej zemścić.

– No dobrze. Przekazujcie mi na bieżąco wszystkie informacje. Jeżeli ten facet ma rację i Hedda rzeczywiście jest gotowa zabić wszystkich swoich wyznawców, sprawa jest cholernie skomplikowana i nie możemy popełnić żadnego błędu. W zeszłym tygodniu mieliśmy już wystarczająco złą prasę z powodu tego wariata z Walworth, który się zastrzelił, kiedy przyszliśmy go aresztować. Jeżeli coś schrzanicie, wyobrażacie sobie te nagłówki w „Sun”? Nawet nie chcę o tym myśleć!

– Jak Smiley przyjął nasze rewelacje? – zapytał Jerry, skręcając w Black Prince Road.

– Na wesoło jak zwykle. Popatrz na to wysokie metalowe ogrodzenie, chyba jesteście na miejscu.

Jerry skręcił w długą, wąską boczną uliczkę. Po lewej stronie stał rząd wiktoriańskich domów z czerwonej cegły. Naprzeciwko wzdłuż całej ulicy ciągnął się stalowy parkan pokryty mnóstwem graffiti, różnymi banałami, rysunkami i dziwnymi sentencjami. Prawie dokładnie w jego połowie ktoś narysował wielką czaszkę szczerzącą zęby i podpisał ją: „Tutaj mieszka Śmierć”.

Zatrzymali samochód i podeszli do parkanu. Miał co najmniej trzy metry wysokości, nie byli więc w stanie z niego zajrzeć. W ogrodzeniu nie było żadnych szczelin ani dziur, a od dołu wznaczały je szerokie stalowe listwy, dlatego nawet tuż przy ziemi nie dawało się zajrzeć na drugą stronę.

Dwa panele z całą pewnością się otwierały, umożliwiając wstęp na teren prac rozbiórkowych, ale w tej chwili wisiała na nich kłódka i widniało ostrzeżenie: „Toogood Developments. Osobom nieuprawnionym wstęp surowo wzbroniony”.

Dżamila wróciła do samochodu i włączyła laptop. Zalogowała się i sprawdziła najnowsze zdjęcia satelitarne z Kennington.

– Popatrz, Jerry. Fragmenty terenu zostały uprzątnięte, ale główna część budynku hotelowego nadal stoi. Oczywiście na zdjęciu widać tylko dach, trudno więc powiedzieć, czy ktoś może tam mieszkać.

Maksymalnie powiększyła fotografię i wpatrzyła się w nią bardzo uważnie.

– Zadzwonimy do Toogood Developments. Jeżeli od nich nic nie uzyskamy, to na pewno dzielnicowy będzie wiedział, czy budynek wciąż ma całe ściany i okna i czy ktoś tam pomieszkuje. Możemy też zasięgnąć informacji w Radzie Dzielniczy Lambeth.

Jerry postanowił zaparkować tuż przy ogrodzeniu i wejść na dach wozu. Właśnie otwierał drzwi po stronie kierowcy, kiedy z domu naprzeciwko wyszła starsza kobieta z torbą zakupową na kółkach i ciężko dyszącym labradorem. Podeszedł do niej i pokazał odznakę policyjną.

– Dzień dobry pani, policja.

– Myślałam, że wszystko jest już uregulowane – odezwała się kobieta.

– Słucham, co takiego?

– Wróciłam do tego kiosku i zapłaciłam za słodycze. Wcześniej zapomniałam o tym przez zwykłe roztargnienie.

– Nie, nie o to chodzi, kochana. Jesteśmy tutaj w sprawie starego Hotelu Książęcego. Czy wszystkie okna są już powybijane?

– Ach... Nie, rozebrali dopiero boczną stronę, tę bardzo starą. Ale do nowszej części jeszcze się nie zabrali. I okna tam są wciąż całe. Początkowo ta część miała zostać wyremontowana i zamieniona na biura. Albo mieszkania. Sama nie wiem. Właściwie nikt nie ma co do tego pewności. Właściciele chyba co chwilę zmieniają zdanie. A mogliby się pośpieszyć z robotą. Nienawidzę tego płotu. Nikt nie byłby zadowolony, gdyby dzień w dzień widział z okien salonu wielką czaszkę. Szczególnie ktoś w moim wieku.

Jerry popatrzył na dom.

– Przypuszczam, że przez okno sypialni widzi pani hotel? A przynajmniej to, co z niego zostało?

– Tak, ale tylko dwa najwyższe piętra.

– Kręcą się tam jacyś ludzie? Albo palą się światła?

Starsza kobieta pokręciła głową.

– Moim zdaniem nikt tam nie mieszka. Ale zasłony w oknach są stale zaciągnięte, więc tak do końca nie jestem pewna.

– Widuje pani jakichś ludzi ukradkiem wchodzących albo opuszczających ten teren?

– Nie. Zresztą brama zawsze jest zamknięta. No i wszystko jest otoczone tym wysokim płotem. Wiem, bo moja znajoma mieszka przy Dolby Road i z płotem graniczy jej ogród. Nienawidzi tego żelastwa tak samo jak ja.

– Rozumiem – powiedział Jerry. – Dziękuję, bardzo nam pani pomogła.

Kobieta szarpnęła smycz labradora, a po chwili zastanowienia odezwała się:

– A coś się dzieje w tym Książęcym? Spotykają się tam narkomani?

– Nie dzieje się nic, czym powinna się pani martwić. Ale jeżeli zobaczy pani coś, choćby światło w którychś z okien, bardzo proszę do mnie zadzwonić, dobrze? Proszę, oto mój numer. – Jerry dał kobiecie wizytówkę i wrócił do Dżamili. – Pani powiedziała, że w zachowanej części hotelu nadal są okna. I zasłony w nich.

– Naprawdę? Obiekt jest na tyle duży, że z łatwością pomieści siedemdziesięciu pięciu lokatorów.

– Zamierzałem wejść na dach samochodu i zapuścić żurawia na drugą stronę, ale aż ciarki mnie przechodzą na myśl, że ktoś z budynku mógłby mnie zobaczyć. Mogłem też poprosić tę miłą starszą panią, żeby umożliwiła nam rozejście się z okna jej sypialni, ale to także wydaje się zbyt niebezpieczne.

– Zawsze możemy poprosić o wsparcie z powietrza. Gdyby nad obiektem przeleciał helikopter z kamerą termowizyjną, od razu dowiedzielibyśmy się, czy w środku ktoś przebywa.

– Za duże ryzyko, pani sierżant. Nietrudno sobie wyobrazić, że jak te prymitywy usłyszą warkot nad głowami, dostaną małpiego rozumu. Zastanawiałem się nad użyciem drona, ale drony także można zobaczyć i usłyszeć. Jeżeli Moe Dee nie robi z nas idiotów, każdy nieopatrzny ruch z naszej strony może doprowadzić do rzezi. W środku jest Linda, a ja nie zamierzam ryzykować jej życia.

Dżamila ze zmarszczonym czołem popatrzyła na szczerzącą się czaszkę. Sprawiała wrażenie, jakby z nich drwiła.

– Dobrze, Jerry, wszystko jasne. Masz prawo być nadzwyczajnie ostrożny. Wróćmy na komisariat i ułożmy porządną plan działania. Chciałabym także jeszcze raz popatrzeć na mapę z tunelami metra, którą przyniósł nam Simon. Chcę się też skontaktować z deweloperem, z wydziałem planowania w Radzie Dzielnicy, no i przede wszystkim z tutejszym dzielnicowym. On powinien nam powiedzieć najwięcej.

– Jeżeli mamy szturmem zająć część hotelu, musimy wiedzieć, w jakim jest stanie, i w szczegółach znać plany poszczególnych pięter. Gdzie znajdują się drzwi i klatki schodowe. Jeżeli ten budynek naprawdę zajęli dzicy lokatorzy, nie możemy zostawić im czasu, żeby zdążyli się pozabijać. Ani sekundy.

Na komisariacie Jerry rozłożył starą mapę metra i nałożył na nią plan narysowany na przejrzystym plastiku.

– Patrz – rzuciła Dżamila.

Od razu dostrzegł, że w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku pod Black Prince Road wydrążono tunel łączący Linię Północną z Kennington. Wyglądało na to, że pierwotnym zamiarem firmy, która zawiadywała metrem, było połączenie Kennington z główną linią Vauxhall, mniej więcej dwa kilometry dalej na zachód, lecz w połowie drogi pomysł ten porzucono. Tunel prowadził jednak co najmniej do Hotelu Książęcego, a w gruncie rzeczy przebiegał dokładnie pod jego piwnicami.

– Popatrz na to – dodał Jerry i przesunął palcem po sieci tuneli, zarówno tych wykorzystywanych, jak i tych niedokończonych. Wyzначył niemal prostą linię pomiędzy Hotelem Książęcym a cmentarzem Lambeth. – Miałem rację, prawda? Milion do jednego, że zgrała Moe Dee dotarła na cmentarz pod ziemią. I założę się, że kolejna zgrała, która porwała ich ze Świętego Jerzego, skorzystała z tej samej drogi.

Dżamila obserwowała go, trzymając telefon przy uchu. Próbowwała dzwonić pod różne numery i w końcu zdołała porozmawiać z dzielnicowym w Lambeth oraz z urzędnikiem z wydziału planowania Urzędu Dzielnicowego.

Kiedy w końcu się rozłączyła, powiedziała:

– Kobieta, z którą rozmawiałeś, miała rację. Starszą część Hotelu Książęcego zbudowano w 1856 roku. Była już w bardzo kiepskim stanie i Rada Dzielnicy wydała zgodę na jej wyburzenie. W 1922 roku hotel rozbudowano i ta nowsza, duża część nadal stoi. Rada pozwoliła na remont i zasadnicze przekształcenie budynku. Mają się w nim znaleźć biura i mieszkania.

Ale dwa lata temu deweloper zbankrutował i prace stanęły. Rada wciąż szuka chętnych na dokończenie przebudowy. Według urzędników sprawa jest skomplikowana, ponieważ właścicielem Kennington jako części księstwa Kornwalii jest książę Walii. Właśnie dlatego hotel nazywa się Książęcy.

– Czy dzielnicowy podejrzewa, że mieszkają w nim dzicy lokatorzy?

– Powiedział mi, że nie ma o tym pojęcia, ale trochę kluczył. Moim zdaniem nigdy tam nie zaszedł, żeby osobiście sprawdzić, co się dzieje w obiekcie. Podobnie rozmawia się z wydziałem planowania. Powiedzieli mi, że teren jest zabezpieczony i można tam wejść jedynie pod nadzorem, po wcześniejszym uzgodnieniu terminu.

Jerry popatrzył na mapę tuneli metra.

– A więc hotel zasadniczo stoi nietknięty i jest niemal pewne, że Baggy Nell albo Hedda, czy jak ta baba każe się nazywać, ukrywa się tam z gangiem kanibali. I prawdopodobnie przebywa tam także moja Linda. I biedny mały Edward. Co robić, do diabła?

– Rada wkrótce prześle mi mailem szkice, które Toogood przedstawiło, występując o zgodę na prace remontowe. Kiedy je otrzymamy, usiądziemy razem z inspektorem Saundersem, sierżantem Bristowem oraz szefami zespołu szybkiego reagowania i uzgodnimy, w jaki sposób można się dostać do hotelu, nie narażając nikogo na utratę życia.

– Jezu, tam siedzi siedemdziesięciu pięciu sukinsynów! Będziemy potrzebowali całej armii, żeby unieszkodliwić ich w ciągu dziesięciu sekund. – Wciąż oglądał schemat metra, kiedy usłyszał od progę cichy głos:

– Cześć. Dżamila? Jerry?

Uniosł głowę i zobaczył Nairiti Malik. Na głowie miała purpurową chustę, dostrzegł, że jej szyja owinięta jest grubym, różowym bandażem. Przeszła z synem, na oko siedmioletnim, wyglądał na bardzo onieśmiałego. Podobnie jak matka, miał duże, ciemne oczy.

– Nairiti – powiedziała Dżamila. – Jak się masz? A to jest...

– Kalmesh – weszła jej w słowo kobieta. Miała chrapliwy głos, jakby była przeziębiona. – Powiedział, że chce tutaj przyjść i pomóc wam złapać tych wstrętnych ludzi, którzy zamordowali jego ojca.

– Cóż, Kalmesh, oni rzeczywiście wciąż przebywają na wolności – powiedział Jerry. – Ale już wiemy, kim są i gdzie się ukrywają. Musimy jednak działać bardzo ostrożnie, bo mamy do czynienia z dużą zgrają złoczyńców, a nie chcemy, żeby ktoś zginął tak jak twój tato.

Kalmesh zrobił krok do przodu. W ręce trzymał małą, brązową, wełnianą torbę.

– Wiem, że ci ludzie są bardzo źli. Przyniosłem wam to. Zapewni wam bezpieczeństwo, kiedy będziecie ich łąpać. – Podał torbę Jerry'emu.

Nairiti uśmiechnęła się, pokiwała głową i dodała:

– Otwórzcie. Nie jest to antyk, jak ten, który należał do Chandrana, lecz ma taką samą moc. Mężczyźni, którzy zabili mojego męża, zabrali mu amulet i w ten sposób stracił on wszelkie właściwości. Ale ten na pewno ochroni was przed *huri nazar*, złym okiem. Wystarczy mieć go przy sobie.

Jerry połuźnił sznurek torby i wydobyl z niej naszyjnik z hamsą – srebrną dłonią z małym granatem pomiędzy palcami.

– Dziękuję ci, Kalmesh – powiedział. – Doceniam twój gest. Myślę, że w najbliższym czasie przyda mi się wszelka ochrona. – Zawiesił hamsę na szyi i zaprezentował się Dżamili.

Nairiti się odezwała:

– Przyniosłabym amulet także dla ciebie, Dżamilo, ale kiedy byliście u mnie w domu, dostrzegłam, że nosisz pierścionek, który ma cię chronić przed złym okiem.

Dżamila uniosła rękę, aby pokazać pierścionek z niebieskiego szkła murano.

– Tak. Nie jestem przesadna, ale zdaje mi się, że mnie chroni. Kiedyś pewien mężczyzna zaatakował mnie maczetą, ale gdy uniosłam dłoń z pierścionkiem, facet się przewrócił, rozbił głowę i prawie wykorkował. Może był niezdamny albo miał pecha, jednak jestem skłonna przypuszczać, że uratowała mnie moc Kali.

– Jak sobie radzisz, Nairiti? – zapytał Jerry.

– Każdy dzień to dla mnie niewiadoma. Na razie zamieszkała z nami moja siostra, jest dla nas ogromnym wsparciem. W ubiegłym roku także straciła męża, dlatego dobrze wie, kiedy ze mną rozmawiać, a kiedy po prostu być cicho.

Ledwie Nairiti i Kalmesh wyszli, w progu stanął Jeżozwierz. Miał przekrzywiony krawat i wyglądał na bardzo zmęczonego. Usiadł ciężko przy biurku i wydał policzki.

– Cholerne korki – zaczął narzekać. – Stałem prawie pół godziny na rogu Streatham High Road. A stamtąd jest tylko dziesięć kilometrów do Dulwich. Szybciej byłbym pieszo.

– Widziałeś się z księdzem? – spytała Dżamila.

– Oczywiście. Przez niego mam w głowie kompletny mętlik. Bez przerwy gadał. Potrzebował stu dziewięćdziesięciu słów do wyjaśnienia kwestii tak prostej, że wystarczyłoby jedno zdanie. Nawijał nawet wtedy, gdy już wsiadałem do samochodu i odjeżdżałem. Pewnie nadal gada do siebie.

– Powiedział ci coś użytecznego?

Jeżozwierz położył na biurku dyktafon.

– Wszystko jest tutaj nagrane, pani sierżant. Ale jeśli nie chcesz wysłuchiwać trzygodzinnego gędzenia, mogę podsumować jego informacje.

– Mów. Wysłuchajmy podsumowania.

– Ten Rosjanin, major Kamieniew, zamieszkał w Anglii dlatego, że w latach pięćdziesiątych był jakby podwójnym agentem. Takim Jamesem Bondem. Kiedy jego szefowie w Moskwie zaczęli węszyć wokół niego, zwiął z ojczyzny i przyjechał do nas. Nawet zmienił nazwisko. Nazywał się Rodney Miller.

– Zabawne – przerwał mu Jerry. – Znałem Rodneya Millera w szkole. Głupi kutas. Ale był dobry z matmy.

Jeżozwierz ze zniecierpliwieniem przewrócił oczami.

– Nie przerywaj mi, Jer. Mówię z pamięci i staram się niczego ważnego nie pominąć. Major co niedzielę chodził na mszę do kościoła Świętego Tomasza Morusa, a także uczestniczył w parafialnych akcjach dobroczynnych: pomagał organizować festyny, turnieje wista i tym podobne. Kiedy pojawił się nowy ksiądz, właśnie ten, z którym dzisiaj rozmawiałem, panowie bardzo się zaprzyjaźnili, zapewne po części dlatego, że ksiądz pochodzi z Polski i zna rosyjski. Ale nie pytajcie mnie o jego nazwisko, jest niemal niewymawialne.

– Sprawdźmy później – powiedziała Dżamila. – Kontynuuj.

– Mniej więcej w okolicy ostatnich świąt Bożego Narodzenia Kamieniew dowiedział się, że ma raka, a lekarz ocenił, że zostało mu sześć do siedmiu miesięcy życia. Poszedł więc do księdza i opowiedział mu ze szczegółami, co robił w czasie drugiej wojny światowej. Powiedział, że leczył ludzi, którzy przeżyli obozy koncentracyjne, przywracał ich do zdrowia i po wojnie ze sporą ich grupą utrzymywał kontakty.

Poprosił księdza, żeby po jego śmierci zaprosił ich na pogrzeb. A po nim ksiądz miał odczytać jego wyznanie. Major uważał, że ma obowiązek ujawnić prawdę. Chciał, aby wiedzieli, że absolutnie nie był święty. Leczył ich z zaangażowaniem, ponieważ Rosjanie dowiedzieli się, że naziści wykorzystywali niektórych więźniów Auschwitz jako króliki doświadczalne i testowali na nich jakiś nowy środek chemiczny. Otrzymał zadanie rozpoznania, co to za środek, jakie są jego składniki, a następnie miał podjąć próbę jego wyprodukowania, już na użytek Rosji.

Od początku wiedział o nim tyle, że całkowicie niszczy mózg i jest w stanie cofnąć zegar ewolucji rodzaju ludzkiego. Wystarczyło kilka dawek i człowiek zamieniał się w jaskiniowca. Naziści doszli do wniosku, że jeśli rozpylą środek nad Wielką Brytanią, zmienią Brytyjczyków w posłusznych im prymitywnych osobników.

– Niewiarygodne – powiedziała Dżamila. – To może wyjaśniać, dlaczego Moe Dee i cała reszta posługują się językiem z epoki kamienia łupanego. Opiat, który przyjmowali, mógł być tym wynalezionym przez nazistów, a przynajmniej mieć podobne działanie. Przecież oni nawet używają niemieckich słów!

– To jeszcze nie wszystko, pani sierżant – kontynuował Jeżozwierz. – Ksiądz powiedział ocalałym także o tym, że major nie chciał, aby poznali prawdę, dopóki on sam nie spocznie dwa metry pod ziemią. Chodziło o to, że ten środek chemiczny miał nie tylko zamieniać ludzi w jaskiniowców, ale też z powodu składnika przypominającego LSD sprawiał, że zaczynali oni wierzyć w boga z epoki kamienia łupanego. Bez cienia wątpliwości przyjmowali, że on naprawdę istnieje. Według mnie musieli być podobni do wariatów, którym się zdaje, że widzą Jezusa.

Naziści uważali za istotne, żeby Anglicy wyznawali jakąś religię. Religia miała podtrzymywać wśród nich porządek, nawet gdyby byli bardzo prymitywni. Nie chcieli jednak, żeby wierzyli w chrześcijańskiego boga, bo według chrześcijan każde życie jest święte. Dążyli do tego, żeby ich nowy bóg kazał im likwidować każdego osobnika, który byłby zbyt chory albo zbyt stary, aby pracować, nie pasowałby do reszty albo po prostu zakłócał porządek. Co więcej, ten bóg miał oczekiwać od swoich wyznawców, żeby od czasu do czasu okazywali mu uwielbienie, zabijając i zjadając kogoś spośród siebie.

Osobom, które przetrwały obozy, major nigdy nie powiedział, że co do joty powtórzył eksperymenty nazistów. Sprawił, że robili to, czego wcześniej spodziewali się po nich ci, którzy jako pierwsi prowadzili na nich doświadczenia. Jedli między innymi mięso ludzkie. Szczęście, że nie musieli zabijać, bo ludzkich zwłok mieli wówczas w nadmiarze.

– Cholera jasna. I jak ci ludzie zareagowali na taką informację? Ksiądz coś o tym powiedział?

– Żartujesz? Spędził w ich towarzystwie ledwie pół godziny. Tyle mu wystarczyło na całą opowieść. Ale zrozumiał, że nimi wstrząsnął. Miał wrażenie, że wrzucił pomiędzy nich bombę. Był jednak problem: oni wszyscy byli ogromnie wdzięczni majorowi za uratowanie im życia. Od zakończenia wojny wierzyli, że jest najświętszy spośród świętych. W domach wieszali na ścianach jego fotografie, a w synagogach zawsze dziękowali bogu za to, że zesłał im Kamieniewa, żeby ich ocalił.

– Czy ksiądz ma świadomość, że wkrótce wszyscy zostali zamordowani?

– Nie. Nie ujawniliśmy jeszcze nazwisk zamordowanych ani żadnych szczegółów na temat ich śmierci. Ksiądz powiedział, że po nabożeństwie czekały na nich przed kościołem trzy taksówki. Wsiedli do nich i więcej ich nie widział.

– Może to były wozy Ubera?

– Ksiądz tego nie wiedział. Ale sprawdzę Ubera i inne firmy taksówkarskie w okolicy.

– Tak, zrób to. Musimy się dowiedzieć, dokąd ci ludzie pojechali po spotkaniu z księdzem i jak to się stało, że zostali pojmani i zabici.

– Nadal uważam, że nieszczęście spotkało ich dlatego, że byli żałobnikami – powiedział Jerry. – Może w żałobnikach jest coś takiego, co kanibale wywąchują jakimś szóstym zmysłem. Pamiętam, że kiedy szedłem z zapłakaną Lindą do domu, bezdomny, który spokojnie leżał pod murem, kiedy tylko obok niego przeszliśmy, skoczył na nogi jak pies, który zwietrzył sukę w rui.

Laptop Dżamili wydał sygnał dźwiękowy.

– To powinna być wiadomość ze schematem Hotelu Książęcego – powiedziała. – Teraz musimy naradzić się z inspektorem Saundersem i omówić plan ataku.

– Chodź, Jeżozwierzu – zaprosił kolegę Jerry. – Po drodze opowiemy ci szczegóły.

– Co? Nawet nie wypiję kawy?

– Stary, w ogóle swobodnie nie odetchniesz. Po prostu nie mamy czasu do stracenia.

Kiedy przekazali sierżantowi Bristowowi najnowsze informacje, wszyscy wsiedli w samochód i pojechali na komisariat w Walworth na spotkanie z inspektorem Saundersem. Zgromadziło się już tam trzydziestu policjantów, a po dwudziestu minutach dołączyło pięciu oficerów z grupy szybkiego reagowania. Rozpoczęła się dyskusja, jak zaatakować Hotel Książęcy i zdobyć go przy minimalnych stratach własnych i wśród przebywających tam osób.

– Problem w tym, że wciąż jest zbyt wiele niewiadomych – powiedział Jerry.

– Właśnie – przytaknęła Dżamila. – Z tego, co nam przekazał Moe Dee, wynika, że do piwnic można się przedostać z opuszczonego tunelu metra. Jednak to przejście nie jest uwzględnione w schemacie hotelu, który otrzymałam z wydziału planowania. Nie mamy szansy się dowiedzieć, czy tunel jest wąski czy szeroki, czy dzicy lokatorzy opracowali jakiś system jego zamykania albo czy pełnią całodobowe warty.

– Rzeczywiście – dodał Jerry. – Moglibyśmy posłać tam grupę szybkiego reagowania, ale mogłoby się okazać, że cały oddział utknie w piwnicy i nie zrobi następnego kroku.

– Sytuacja w żaden sposób nie przypomina typowej akcji – powiedział inspektor Saunders. – Nie możemy użyć granatów hukowych ani nawet gazu łzawiącego. Z tego, co wiemy od Moe Dee, wynika, że ludzie w hotelu zaczną się wzajemnie zarzynać, kiedy tylko się zorientują, że nastąpił atak. Osobiście mało mnie obchodzi, ale muszę się liczyć z opinią publiczną, a poza tym w środku znajdują się także dwie niewinne osoby.

– Cieszę się, że pan to zauważył, szefie – odezwał się Jerry. – Tak się składa, że mam pewien pomysł, który może zadziałać. Mógłbym się przebrać za jednego z tych prymitywów i przeniknąć na teren hotelu w nocy, kiedy większość ludzi Heddy będzie spała. Jeżeli naprawdę mają mózgi jaskiniowców, prawdopodobnie się nie zorientują, że nie jestem jednym spośród nich. Kiedy już będę w środku, bez trudu przekażę na zewnątrz informacje, z iloma osobami mamy do czynienia i jak są rozlokowane w budynku. Jeżeli będę uzbrojony, zapewne zdołam uniemożliwić Heddzie wydanie im rozkazu, żeby się pozabijali. I może dam radę wyswobodzić moją Lindę i chłopaków pani Willow, jeśli nadal żyją.

Inspektor Saunders pokiwał głową z aprobatą.

– To nie jest zły plan, Pardoe. Nie jest zły, ale widzę w nim kilka słabych punktów. Wpadniesz w poważne tarapaty, jeżeli się okaże, że w tunelu jest jednak jakaś blokada albo, jak zauważyła sierżant Patel, że przejście jest bezustannie strzeżone. Poza tym, jeżeli dzikusy połączą się, że jesteś obcy, marnie widzę twoje szanse. Zdaje się, że już wcześniej dostałeś od nich po głowie, prawda? No i oczywiście istnieje ryzyko, że zdadzą sobie sprawę, iż jesteś tylko zwiastunem zmasowanego ataku. W takim wypadku mogą zacząć się zabijać, zanim ktokolwiek zdoła im to uniemożliwić.

– Jeżeli ktoś wie, jak niepostrzeżenie dostać się do hotelu, to wyłącznie Moe Dee – zauważyła Dżamila. – Jeśli się zgodzimy, że posterunkowy Pardoe powinien się przebrać za bezdomnego, udamy się do Moe Dee i zapytamy go, co o tym sądzi.

– Już mówiłem, że plan nie jest zły, pomimo dużych braków – przyznał inspektor Saunders. Popatrzył na funkcjonariuszy z oddziału szybkiego reagowania. – A panowie co o nim sądzą?

– Niezbyt mi się podoba pomysł, żeby posterunkowego Pardoe wyposażyć w broń – odparł dowódca. – Widziałem go ostatnio na strzelnicy w Limehouse. Unieszkodliwił cele na tarczach kilku kolegów, natomiast do swojego ani razu nie trafił.

– Od tego czasu się poprawiłem. A poza tym o co się martwisz, stary? Że was pozabijam? Przecież nosicie kamizelki kuloodporne.

Dżamila zatelefonowała na Uniwersytet Londyński do profesor Walmsley. Dowiedziała się jednak, że znowu pojechała ona do Świętego Jerzego, aby nagrać jeszcze więcej wypowiedzi Moe Dee w pradawnym języku.

Kiedy Dżamila i Jerry dotarli do szpitala, Moe Dee siedział w fotelu obok łóżka z głową lekko odchyloną do tyłu, trzymając w ręce kubek z herbatą. Tymczasem pani profesor pisała coś w notesie.

– Powinna nas pani uprzedzić o zamiarze odbycia spotkania z Moe Dee – powiedziała ostro Dżamila.

– Przepraszam, pani sierżant. Doktor Seshadri przyjął mnie z wielką radością. Według niego rozmowy ze mną są dla pacjenta doskonałą terapią. Im Moe Dee więcej i intensywniej będzie się wysławiać, tym szybciej zacznie mówić poprawnie po angielsku. A zanim zapomni słowa z praindoeuropejskiego, chcę nagrać jak najwięcej jego wypowiedzi. Czy zdaje sobie pani sprawę, że ludzie ostatnio rozmawiali w tym języku jakieś dziesięć tysięcy lat przed naszą erą?

Dżamila i Jerry usiedli.

– Usłyszała pani jakieś nowe informacje na temat ludzi przebywających w Hotelu Książęcym? – zapytała policjantka.

– Tyle co nic. Rozmawiamy głównie o jego życiu i o tym, jak to się stało, że wylądował na ulicy. Od kilku lat zna tę kobietę w dwóch kapeluszach, która każe się nazywać Heddą.

– Baggy Nell – wtrącił Jerry.

– Tak, według niego tak ją kiedyś nazywano. Po tym, jak wstrzymano prace rozbiórkowe w Hotelu Książęcym, kobieta wprowadziła się tam ze swoimi znajomymi, a on wkrótce do nich dołączył. Wówczas poczęstowała go po raz pierwszy napojem, który on określa jako „niebo rosa”.

Do hotelu przychodziło coraz więcej ludzi i w końcu mieszkało ich tam już za dużo, dlatego Moe Dee i dwudziestu innych przenieśli się do opuszczonej szkoły w Peckham. Ale byli uzależnieni od napitku, dlatego utrzymywali kontakty z Heddą i płacili jej za każdy łyk.

– A ceną były...?

– Ofiary. Czyli ludzie, których porywali w mieście, po czym składali w ofierze swojemu bogu. Hedda niemal od zawsze była przywódcą jakiegoś gangu, a teraz ustawiła się na pozycji najwyższej kapłanki ich boga, którego imienia głośno się nie wymawia.

– Moe Dee, słyszysz mnie, stary? – odezwał się Jerry.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Taaa... Słyszysz... słyszę cię.

– Widzi pan? – Profesor Walmsley była wyraźnie zadowolona. – Jego angielski jest już znacznie lepszy. Z mojego punktu widzenia trochę szkoda, bo chciałabym usłyszeć jak najwięcej wypowiedzi w języku praindoeuropejskim.

– Chcę się dostać do Książęcego, żeby uratować przyjaciół. Rozumiesz mnie?

– Taaa... taaa... – odparł Moe Dee, a potem warknął.

– Pewien stary tunel metra ma połączenie z piwnicą hotelu. Czy on zawsze jest otwarty? Łatwo się dostać tym tunelem do środka?

Moe Dee zaczął mówić z trudem, w połowie po angielsku, a w połowie w warkocie z epoki kamienia łupanego, profesor Walmsley zaś dość sprawnie tłumaczyła. Wyjaśnił, że dziura w piwnicy hotelowej prowadząca do niewykończonego tunelu metra nie jest zamykana i nikt jej nie strzeże. Plemię Heddy jest przekonane, że nikt nigdy jej nie znajdzie.

– Plemię Heddy wierzy, iż pan zawsze zapewni im schronienie i bezpieczeństwo.

– Czy to ten facet z głową kozła i potężnym naganiaczem?

– Jeśli dobrze rozumiem, on twierdzi, że pan jest wściekły na Heddę i jej plemię za wyprowadzenie jego ludzi ze szpitala. Oni już się oślepiłi, aby okazać żal, że nie zdołali przyprowadzić ofiar. Pan nie oczekuje od nich jednoczesnego poświęcenia wzroku i życia.

– A skąd on wie, że pan jest wściekły? – zapytał Jerry.

Profesor Walmsley odbyła z Moe Dee krótką konwersację składającą się przede wszystkim z warkotów. Wśród tych odgłosów Dżamila i Jerry zdołali wyróżnić takie wyrazy, jak „wezwać go”, „kości” oraz niemieckie słowo, która brzmiała jak *Fleischwerdung*.

Kobieta przez chwilę notowała, po czym odezwała się:

– Nie jestem pewna, ale Moe Dee chyba stwierdził, że potrafi komunikować się z panem, a on czasami nawet do niego przemawia. To dlatego wie, że pan jest teraz zły.

– Naprawdę?

– Niektórzy prorocy utrzymywali, że sam bóg do nich przemawia, Jerry – wtrąciła się Dżamila. – Nie ma w tym nic dziwnego.

– Pan ma głowę kozła, pani sierżant. Moe Dee musiały więc znać język kozła – zauważył Jerry.

– On mówi, że pan pomoże ci niepostrzeżenie wejść do hotelu. Obdarzy cię siłą, dzięki której ocalisz ludzi Moe Dee i zdołasz aresztować Heddę oraz całe jej plemię.

– A niby w jaki sposób miałyby się to odbyć?

– Moe Dee pyta, czy wizerunek pana i kości u jego stóp wciąż się znajdują w tunelu pod fabryką dywanów.

– Tak – odparła Dżamila. – To miejsce zbrodni, na którym wciąż pracujemy. Niczego nie wolno tam ruszać.

– To dobrze. Kości tworzą specjalny wzór i Moe Dee może go wykorzystać, żeby przywołać pana ze świata cienia. A przynajmniej tak twierdzi.

– Koło czasu – powiedziała Dżamila. – Na taki sam wzór natrafiliśmy na podłodze w szkole Charlesa Babbage’a. Jak mandala kalaćakry.

– Nie sądzicie, że facet jednak robi z nas idiotów? – zapytał Jerry.

Dżamila przez chwilę milczała. Wreszcie zwróciła się do Moe Dee:

– Masz na myśli przywołanie z ciemności Balai, prawda?

Mężczyzna aż skulił się w fotelu, jakby ktoś mocno go kopnął. Przechylił kubek z herbatą na udach i podskoczył, bo gorący napój poparzył mu biodro. Odchylił połę piżamy, żeby się ochłodzić.

– Nniee... nnieee... nie wymawiaj... nniee wymawiaj jego imienia!

Jerry wstał i nacisnął guzik przywołujący pielęgniarkę. Czekał, zaciskając dłonie na ramionach Moe Dee, żeby ten nie drżał, ale przez cały czas patrzył na Dżamilę.

– Może jednak powinniśmy mu pozwolić, żeby spróbował przywołać pana? Czemu nie? Pamiętasz Adelizę Friendship? Miała nie istnieć, a istniała.

– Jerry, nie rozmawiamy o jakiejś czarownicy. Adeliza Friendship była zaledwie echem z innego czasu, mimo że dysponowała nadprzyrodzoną siłą. Tu chodzi o boga. O demona. Rozmawiamy o diable, który zniewalał moją ciotkę

przez większość jej dorosłego życia. Rozmawiamy o... – Dżamila ułożyła usta, jakby chciała wypowiedzieć imię „Balaa”, jednak się powstrzymała.

– Jeżeli on naprawdę jest taki potężny, pani sierżant, to może istnieje pewna możliwość, że nam pomoże? Podobno jest zdrowo wkurzony na Hedde i jej ciżbę, prawda? Oczywiście nie wierzę, że nasz Moe Dee potrafi go powołać do życia, ale przecież mnie znasz. Spróbuję wszystkiego, jeżeli tylko dostrzegę cię szansy, że coś dzięki temu uzyskam.

Do sali weszły siostra oddziałowa i pielęgniarka, a za nimi Seshadri.

– Wszystko w porządku? – zapytał doktor. – Co się tutaj dzieje?

– Drobnym wypadkiem. Po prostu rozlała się herbata – powiedział Jerry. – A tymczasem zechcą państwo ubrać Moe Dee w coś, w czym mógłby wyjść na ulicę? Zamierzamy go stąd zabrać na pewien czas. Prawdopodobnie pomoże nam w śledztwie.

– Chciecie go wyprowadzić ze szpitala? Nie mogę na to się zgodzić. Jego stan jeszcze na to nie pozwala.

– To sprawa najwyższej wagi, doktorze – odezwała się Dżamila. – Naprawdę będziemy się nim dobrze opiekować. Ja osobiście oraz inni funkcjonariusze będziemy go chronić i odstawimy go z powrotem jak najszybciej. Mamy nadzieję, że Moe Dee pomoże nam odszukać swoich przyjaciół i sprowadzić ich tu na dalsze leczenie.

– Nie wiem, w jaki sposób może wam pomóc ślepiec. – Wciąż wątpił doktor Seshadri.

– Do tego, co ma dla nas zrobić, doktorze, wcale nie potrzeba ślepiów – zapewnił go Jerry.

– Cóż, rozumiem, że nie mam już nic do powiedzenia?

– Szczerze mówiąc, dobrze pan to ujął, doktorze. Prosimy pana o współpracę, bo po prostu jesteśmy bardzo grzeczni.

Dżamila i Jerry wrócili na komisariat w Walworth, zabierając ze sobą Moe Dee i profesor Walmsley. Pielęgniarki znalazły dla niego gruby, czarny golf i obszerne, znoszone dżinsy, a także wełniany płaszcz, który przy odrobinie wysiłku udało mu się dopiąć na brzuchu.

Odbyli kolejne spotkanie z inspektorem Saundersem i funkcjonariuszami przydzielonymi do sprawy. Postanowiono, że Jerry wejdzie do hotelu o pierwszej w nocy, kiedy – jak zakładali – większość ludzi Heddy będzie spała. Policjanci z bronią mieli czekać w tunelu metra na sygnał od Jerry'ego, że mogą przystąpić do szturm, a po nich mieli dołączyć do akcji pozostali funkcjonariusze uzbrojeni w paralizatory, pałki i rozpylacze gazu pieprzowego.

Dżamila miała zostać z Moe Dee i profesor Walmsley oraz trzema policjantami w tunelu wychodzącym na piwnicę fabryki dywanów Royale. Tam, za pomocą wzoru ułożonego z kości, miała pomóc Moe Dee w odprawieniu obrzędu, który rzekomo wyprowadzi Balaę z cienia do świata realnego. Bardzo wątpiała, czy mężczyzna to uczyni, ale widziała, jaki wpływ Balaa miał na jej ciotkę, a jako funkcjonariusz policji nauczyła się, jak niebezpieczne może być kwestionowanie ludzkich wierzeń. Skoro Moe Dee uważał, że zdoła ożywić Balaę, należało bezwzględnie mu pomóc. Dżamila sądziła, że uda mu się przywołać jakieś moce nadprzyrodzone, nawet jeśli nie będzie wśród nich Balai.

Do pokoju konferencyjnego weszła młoda policjantka. Z nieskrywanym wstrętem trzymała w ręce brudną, brązową puchową kurtkę.

– Posterunkowy Pardoe? – zapytała. – To dla ciebie. Wyraźnie mi powiedziano, że ta rzecz ma śmierdzieć. Cuchnie wystarczająco?

– Och, tak – odparł Jerry. – Gdzie ją znalazłaś? Na dnio przenośnego sracza?

Zdjął marynarkę i włożył kurtkę, a następnie podniósł kaptur i do połowy zasłonił nim twarz.

– Jak wyglądam? – zapytał najbliższych stojących policjantów.

– Zdecydowanie lepiej, Pardoe – odparł sierżant Bristow. – Dlaczego wcześniej nie nosiłeś czegoś takiego?

Kilkakrotnie omówili cały plan. Chociaż Moe Dee nie mógł obejrzeć schematu hotelu, był w stanie opisać położenie głównego pomieszczenia, w którym przybijano ofiary do ścian, wiedział, gdzie znajdują się kuchnie i które pokoje są zamieszkałe. Gdyby coś poszło źle i dzikusy zaczęłyby zabijać się nawzajem, natychmiast do akcji mieli przystąpić policjanci, unieszkodliwić ich paralizatorami i zaprowadzić do oddzielnych pokoi.

– Chodzi o to, żeby zminimalizować liczbę ofiar – powiedział Saunders. – Jednak jeśli przyszłoby wam wybierać pomiędzy waszym a ich zdrowiem, spodziewam się, że nie będziecie się wahać. Wyszkolenie funkcjonariusza trwa ponad trzy miesiące i kosztuje dwanaście tysięcy dziewięćset funtów. Bezdomnych życie na ulicy nic nie kosztuje, natomiast cholernie droga jest opieka nad nimi. Nie ma więc porównania.

O północy wyruszyli do fabryki dywanów. Samochody policyjne zaparkowały na całym Mountford Place. W budynku było ciemno i ponuro, a każdy krok zwielokrotniało echo. Kiedy tak szli w stronę drzwi do piwnicy, Jerry odnosił wrażenie, że wciąż czuje w powietrzu woń pieczonych ciał, starał się jednak przekonać samego siebie, że zapach tak naprawdę już dawno się ulotnił i to tylko jego wyobraźnia.

Przebiegli piwnicę, mijając rulony cuchnących dywanów, i wkrótce znaleźli się w tunelu metra. Większość policjantów przeszła obok wizerunku Balai i wszyscy wkrótce zniknęli w ciemności. Trzech zostało: dwaj trzymali między sobą Moe Dee, a trzeci rozstawił lampy ledowe, aby mocnym światłem oświetliły leżące na ziemi kości.

Jerry podszedł do Dżamili, która wpatrywała się w żółte oczy Balai.

– Dasz sobie radę, pani sierżant? – zapytał.

– Oczywiście. Naprawdę wątpię, że nasz przyjaciel ożyje.

– Ale sama mówiłaś, że może się tutaj zdarzyć coś niezwykłego, nawet jeżeli ten... – Miał właśnie powiedzieć „Balaa”, ale zdał sobie sprawę, że Moe Dee znajduje się tuż za nim. – ...jeżeli nasz kumpel nie będzie miał z tym nic wspólnego.

Dżamila delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Proszę cię, Jerry, bądź ostrożny. Ci ludzie są niebezpieczni. Wiem, jak pragniesz ocalić Lindę, błagam jednak, nie podejmuj zbędnego ryzyka.

– Przecież mnie znasz, pani sierżant. Nie na darmo mówią na mnie „Pan Ostrożny”. – Popatrzył na zegarek. – Muszę już iść. Przejdziemy tunelem głównej linii, bo pociągi już nie kursują i trakcja jest odłączona, ale potrzebujemy przynajmniej dwudziestu minut, żeby tam dotrzeć.

– Jerry... – odezwała się Dżamila, a jej oczy zaśniły w jaskrawym blasku lamp ledowych.

– Słucham? – Był pewien, że teraz poprosi go, żeby ją pocałował.

Ale ona pstryknęła palcami i powiedziała:

– Ta kurtka... strasznie śmierdzi.

– Och... Cóż, przynajmniej nie będzie wątpliwości, że naprawdę jestem bezdomny. Muszę być autentyczny, nie? Do zobaczenia.

– Trzymaj się, Jerry. Musi ci się udać.



Kiedy Jerry pobiegł za resztą policjantów, Dżamila odwróciła się do Moe Dee.

– No i jak? My jesteśmy gotowi. Posterunkowy Pardoe zmierza już do Hotelu Książęcego. Na miejscu powinien być mniej więcej za pół godziny.

Moe Dee warknął. Profesor Walmsley popatrzyła na rysunek Balai z nieukrywanym niepokojem.

– Powiedział, że teraz powinniśmy uklęknąć wokół tych kości.

Wszyscy uklękli, nawet funkcjonariusze, którzy pilnowali Moe Dee. Dżamila zerknęła na nich, po czym wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: Nie martwcie się, nic złego się nie wydarzy, przynajmniej tak sądzę. Robimy to tylko po to, żeby zyskać pewność, że niczego nie zaniedbaliśmy.

Moe Dee zaczął klaskać w jakimś skomplikowanym rytmie, bardzo cicho, ledwie słyszalnie. Kołysał się na boki i jakby śpiewał piskliwym warkotem, niemal falsetem.

– Wzywa boga, żeby się przebudził i wyszedł z ciemności – szeptem tłumaczyła profesor Walmsley. – Nazywa go „władcą cienia”. Prosi, żeby wyszedł z ciemności, w której ludzie żyją, zanim na krótko trafią na ziemię, i dokąd wracają, kiedy ten czas dobiegnie końca.

Moe Dee przez dłuższy czas śpiewał warkliwie. Minęły pewnie raptem trzy lub cztery minuty, Dżamili jednak wydawało się, że trwa to bez końca, bo klęczała na ostrym żwirze.

– Jezu – odezwał się jeden z policjantów. – Brzmi jak moja kotka w rui.

Moe Dee wydobył z gardła przeszywający wrzask, który sprawił, że wszyscy podskoczyli, i zaklaskał nad głową.

– Wielwan! – zawołał, a w uszach Dżamili zabrzmiało to jak „wielki pan”. – Powstań, Wielwan! Wielwan! – Zamilkł, lecz wciąż klaskał.

Dżamile bolały już nie tylko kolana, zaczęła odczuwać także ucisk w piersiach i pierwsze objawy klaustrofobii, mimo że tunel był jasno oświetlony. Była bliska odwołania tego groteskowego przedstawienia. Nic nie wskazywało na to, że Balaa objawi się w świecie rzeczywistym ani że zadziałają tu jakieś inne siły nadprzyrodzone. Moe Dee albo z jakiegoś powodu grał na czas, albo po prostu był niespełna rozumu.

Zacząła stopniowo dochodzić do wniosku, że prawdopodobnie jest równie szalona jak on, skoro klęczy w opuszczonym tunelu metra, obok porozrzucanych ludzkich kości, i oczekuje, że z cienia wyłoni się jakiś demon z epoki kamienia łupanego.

Moe Dee wciąż klaskał i zaczął warczeć z głębi gardła. Można było odnieść wrażenie, że naśladuje dźwięki motorówki.

– Dosyc – powiedziała Dżamila. – To najwyraźniej nie działa. Uważam, że na tym powinniśmy skończyć. Jak pani sądzi, pani profesor?

Walmsley nie odezwała się, tylko popatrzyła na nią pustym wzrokiem.

– Pani profesor? Proszę powiedzieć Moe Dee, żeby skończył. Niech mu pani powie, że jego bóg się nie ukazał, dlatego zabieramy go z powrotem do szpitala.

Ale Walmsley nadal się w nią wpatrywała. Dżamila skierowała wzrok na trzech policjantów. Okazało się, że oni także patrzą na nią w podobny sposób. Spróbowała wstać, ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa i nagle poczuła, że jest całkowicie sparaliżowana. Kiedy otworzyła usta, żeby spytać profesor Walmsley i policjantów, czy czują się tak samo, zorientowała się, że jej usta są jakby martwe i nie jest w stanie wypowiedzieć słowa.

Moe Dee zaczął machać nad głową rękami, jakby zachęcał jakiś niezidentyfikowany tłum do agresji. Z każdą chwilą machał coraz szybciej i prawdopodobnie pod wpływem tego ruchu lampy do tej pory rzęsiście oświetlające tunel zaczęły przygasać. Wkrótce widoczne były już tylko jako pomarańczowe punkciki, aż wreszcie zupełnie zgasły i korytarz pogrążył się w absolutnej ciemności.

Dżamile ogarnął strach, jakiego nigdy dotąd nie zaznała. Kiedy była dziewczyną w Pakistanie, często spotykała się z groźbami, jako policjantka wielokrotnie znajdowała się w niebezpiecznych sytuacjach, ale za każdym razem miała możliwość reakcji i choćby ucieczki. Teraz, w atramentowo czarnym tunelu metra, po prostu nie była w stanie się ruszyć. Gdyby pojawiło się zagrożenie fizyczne, nie mogłaby ani uciekać, ani walczyć.

Nagle Moe Dee przestał śpiewać, warczeć i klaskać. Jedynym słyszalnym dźwiękiem stał się świst słabego poddmuchu powietrza przepływającego przez tunel. Była sobotnia noc, o tej porze nie jeździły już pociągi, a ponieważ znajdowali się głęboko pod ziemią, nie mogli słyszeć ruchu ulicznego. Podobnie jak ona, profesor Walmsley i trzej policjanci nie byli w stanie wydobyć z gardła żadnych słów.

Minęło kilka minut. Dżamila zamknęła oczy i próbowała się uspokoić, mimo że miała problemy z oddychaniem. W pewnej chwili usłyszała odgłos, jakby ktoś ciągnął po żwirze ciężki koc, a potem dotarł do jej uszu stukot jakby kości. W miarę jak dźwięki się zbliżały, słyszała coraz wyraźniej, jak ktoś nabiera powietrza i wypuszcza je z płuc, a towarzyszył temu jakby szum starych skórzanych miechów.

Otworzyła oczy. Tunel wciąż był pogrążony w ciemności, lecz na wysokości trzech metrów dostrzegła żółte oczy. Miały wąskie źrenice, jak u kozła.

Wciąż nie mogła się ruszyć. Ani krzyżeć. Mogła tylko obserwować, jak oczy zbliżają się do niej i w pewnym momencie nieruchomieją w ciemności tuż nad jej głową.

Usłyszała chrzęst butów na żwirze, na chwilę straciła żółte oczy z pola widzenia i zdała sobie sprawę, że ktoś wstał, prawdopodobnie Moe Dee. Następnie ktoś oddalił się tunelem, ciągnąc za sobą koc.

Minęło przynajmniej dziesięć minut. Wreszcie zaczęła odzyskiwać czucie w kolanach, ożyły jej nogi, ręce i w końcu usta, lampy ledowe się włączyły i znowu zrobiło się jasno.

Dżamila popatrzyła na profesor Walmsley i trzech policjantów. Wszyscy sprawiali wrażenie równie wstrząśniętych jak ona. Moe Dee nie było.

– Tylko mi nie mówcie, że on to naprawde, kurwa, zrobił – odezwał się jeden z funkcjonariuszy.

– Jeśli nie, to mi powiedz, skąd te żółte oczy. – Dżamila starała się zapanować nad drżeniem głosu. – Przecież wszyscy musieliście je widzieć i słyszeć, że ktoś się stąd oddala.

Popatrzyła na wizerunek Balai. Bożek wciąż znajdował się na swoim miejscu, spoglądając na nich ze ściany. Z całą pewnością to nie rysunek ożył. A jednak coś wyłoniło się z cienia, coś, co oddychało, wydawało odgłosy, jakby ciągnęło za sobą ciężki koc, i miało lśniące oczy podobne do tych Balai.

Dżamila wstała i włączyła krótkofalówkę, chciała opowiedzieć Jerry’emu, co się stało. Chciała go też ostrzec, że Moe Dee i stwór o żółtych oczach zmiatają w jego kierunku. A może nie chodziło im o niego? Może chcieli tylko uciec, przebyć labirynt tuneli metra i na dobre zniknąć? Mimo wszystko należało powiadomić Jerry’ego.

Krótkofalówka zatrzeszczała, ale nie złapała sygnału. Policjanci spróbowali operować swoimi urządzeniami, ale to również nie przyniosło skutku.

– No dobrze – powiedziała Dżamila. – Któryś z was musi wyjść i poinformować inspektora Saundersa, że Moe Dee zdolał wywołać jakiegoś ducha i razem z nim dokądś poszedł. Moe Dee jest ślepy, ale duch z pewnością go prowadzi.

– Smiley uzna, że wszyscy powariowaliśmy – zauważył jeden z policjantów.

– Mało mnie obchodzi, co pomyśli inspektor. Widziałeś żółte oczy i możesz mu o nich opowiedzieć.

– A co ty zamierzasz? – zapytał Dżamilę drugi policjant.

– Ja i dwóch z was ruszymy śladami Moe Dee. Pani profesor na razie dziękujemy, skontaktujemy się później. Proszę nikomu nie mówić, co pani tutaj widziała. Dosłownie nikomu: ani rodzinie, ani współpracownikom, ani tym bardziej dziennikarzom.

– Ale jeśli naprawdę mamy do czynienia z Balaą, tropienie go może być bardzo ryzykowne.

– Owszem, jeżeli to on. Zapewne przede mną najbardziej niebezpieczne zadanie w całej mojej karierze policyjnej. Ale wyszkolono mnie w taki sposób, że nad zagrożeniem zastanawiam się dopiero wtedy, kiedy ono minie.

Dżamila i policjanci biegli tunelem, aż natrafili na stertę gruzu i piachu, w której Jerry znalazł rękę posterunkowego Bone’a. Wspięli się na nią, po czym przecisnęli do głównego tunelu Linii Północnej.

Poświecili latarkami w prawo i lewo wzdłuż lśniących torów, jednak nigdzie nie dostrzegli nawet śladu Moe Dee.

– Jeżeli ruszył na południe, na pewno nie będzie zagrożeniem dla posterunkowego Pardoe i reszty zespołu – powiedziała Dżamila. – Jeśli jednak skierował się na północ, trzeba ich ostrzec. Idziemy na północ.

Pobiegli po torach, przeskakując podkłady i ceramiczne wsporniki szyn. Po dziesięciu minutach dotarli do skrzyżowania z opuszczonym tunelem, który prowadził do Hotelu Książęcego. Całej trójce brakowało już tchu. Dżamila przez chwilę się zastanawiała, czy nie wykrzyzczeć po prostu w kierunku hotelu ostrzeżenia dla Jerry’ego, ale doszła do wniosku, że w ten sposób ostrzegłaby także Moe Dee.

Ruszyli dalej, lecz przebiegli zaledwie dwieście metrów, gdy Dżamila uświadomiła sobie, że traci czucie w nogach, a w jej klatce piersiowej pojawił się taki ciężar, jakby nagle zapadła na zapalenie płuc. Jeden z policjantów za jej plecami zaczął kaszleć, a drugi wycharczał:

– Chryste, nie mogę oddychać.

Chociaż nie było tu torów ani podkładów utrudniających poruszanie się, wszyscy jak na zawołanie zwołnili, a po chwili stanęli i padli na kolana. Dżamila chciała powiedzieć towarzyszom, żeby zaświecili latarkami jak najdalej do przodu, ale jej usta i język były już sparaliżowane, podobnie jak wcześniej w trakcie obrzędu. Mogła jedynie na kolanach walczyć o oddech.

Przed nimi panowała absolutna ciemność. Nie sposób było dostrzec latarek poprzedzającego ich oddziału, nic nie wskazywało na obecność funkcjonariuszy, którzy mieli wspierać Jerry’ego, choć grupa wysłana do podziemi była naprawde liczna. Tunel przez cały czas był niemal zupełnie prosty, dlatego niczym niezakłócona ciemność i cisza stanowiły dla Dżamili wielką zagadkę.

Głowa jej pulsowała i z obawy, że za chwilę upadnie, przyłgnęła ramieniem do ściany. Odniosła wrażenie, że przez ułamek sekundy z głębi tunelu wpatrywały się w nią błyszczące, żółte oczy kozła, ale natychmiast zniknęły w mroku.

Jerry, zwróciła się do niego w myślach. Jerry, proszę, nie pozwól, żeby to cię dopadło. Cokolwiek to jest.

Zaledwie piętnaście minut wcześniej Jerry dotarł do dziury w ścianie tunelu prowadzącej do piwnic Hotelu Książęcego.

Zarówno on, jak i trzydziestu uzbrojonych policjantów za jego plecami milczeli, tylko ich buty szurały na nierównym gruncie, a czarne kamizelki kuloodporne szeleściły przy każdym ruchu. Oświetlali teren trzema słabymi latarkami, kierując światło w stronę gruntu, żeby niespodziewany strażnik, który jednak dyżuruwałby na posterunku w piwnicy, nie mógł go wypatrzeć.

Jerry wsunął do rękawa latarkę wielkości krótkiego ołówka. Oprócz niej i krótkofalówki w prawej kieszeni kurtki miał pistolet Sig-Sauer P238, małą broń automatyczną, ważącą niewiele ponad czterysta gramów, z sześcioma nabojami kalibru .38.

W lewej kieszeni zaś umieścił trzy puszki carlsberg special brew, miały mu dodać autentyczności jako bezdomnemu.

Uniósł kciuk, sygnalizując dowódcy oddziału swoją gotowość, po czym przeszedł nad niewielkim rumowiskiem do hotelowej piwnicy. Pierwsze pomieszczenie było małe, liczyło nie więcej niż dwa metry kwadratowe, a naprzeciwko otworu w ścianie były drzwi, dlatego Jerry szybko zrozumiał, że znajduje się w szafie. Przyłożył ucho do drzwi, nie usłyszał jednak z drugiej strony żadnych głosów ani szelestów, więc ostrożnie je otworzył. Znalazł się w głównym pomieszczeniu piwnicznym. Szybko omiótł je światłem latarki i zorientował się, że naprzeciwko są schody prowadzące z pewnością prosto do budynku. Pod ścianami walały się najróżniejsze śmieci i sprzęty – łóżkowe stare stelaże, aluminiowe kegi po piwie, rower z jednym kołem, złamana wysoka lampa oraz biurko, zapewne z recepcji, z dziurą od frontu, jakby ktoś wściekle w nie kopnął.

Po lewej stronie znajdowało się wgłębienie o łukowatym sklepieniu, z którego zwisały pajęczyny. Kiedy Jerry oświetlił to miejsce, zobaczył wielki żelazny bojler, zardzewiały i pokryty kurzem. Ściana naprzeciwko częściowo się zawaliła i ziała za nią czarna pustka.

Ruszał w kierunku schodów, kiedy usłyszał, że drzwi u góry się otwierają. Rozległy się głosy i ktoś zaczął schodzić do piwnicy. Chociaż Jerry wyglądał jak bezdomny, mógł się obawiać, że zostanie zapytany, co robi tutaj sam, a może nawet przybysz z góry uniesie mu kaptur, żeby przyjrzeć się jego twarzy, i zda sobie sprawę, że ma do czynienia z obcym. Na palcach podszedł więc do zniszczonego biurka i przykucnął za nim. Przez dziurę widział większość piwnicy.

Po schodach zeszli mężczyzna i kobieta. On niósł lampę parafinową, więc pomieszczenie szybko rozjaśniło migoczące światło. Był w średnim wieku, miał siwe włosy, ubrany był w dziurawy, zielony sweter i luźne džinsy. Kobieta była brunetką w postrzępionym płaszczu w szkocką kratę narzuconym na ramiona. W ręce trzymała zielony, plastikowy koszyk na zakupy, prawdopodobnie ukradziony z supermarketu.

Mężczyzna objął ją ramieniem w talii, prowadząc w kierunku łukowego sklepienia. Ściągnął z niej płaszcz i Jerry zobaczył, że kobieta ma pod spodem niebieską jedwabną suknię. Suknia była rozerwana aż do bioder, tak że przez moment widział obnażone udo kobiety.

Odwróciła się, żeby coś powiedzieć do mężczyzny, i wtedy Jerry zobaczył, że to Linda.

Miał ochotę zerwać się na równe nogi i krzyknąć do niej, ale się powstrzymał. Pomyślał, że Linda prawdopodobnie zadaje się z tym facetem tylko po to, żeby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Gdyby on teraz zdradził swoją obecność, tamten natychmiast ostrzegłby zgraję przebywającą na górze i cały misterny plan ległby w gruzach.

Usłyszał, jak mężczyzna warczy do kobiety. W odpowiedzi Linda uniosła koszyk i również warknęła.

Po plecach Jerry'ego przebiegł dreszcz przerażenia. Na miłość boską, Linda warczy tak samo jak ten facet! A więc i ona zażyła ten opiat, tę „niebo rosę”, czy jak to nazywał Moe Dee. Nie udawała. Podano jej narkotyki. Cholera! W tej sytuacji wydotanie jej stąd może się okazać dziesięć razy trudniejsze, niż się spodziewał.

Jerry pozostał na swoim miejscu za biurkiem. Linda i mężczyzna przeszli pod łukowatym sklepieniem do rozwalonej ściany. Lampa oświetliła prostokątny otwór, za którym Jerry dostrzegł zardzewiały filar, byle jak oblepiony bulwami żółtej pianki izolacyjnej, tak, jak hydraulicy zabezpieczają rury z gorącą wodą.

Mężczyzna znowu warknął do Lindy, po czym oboje weszli do otworu. Zaczął zdzierać izolację z filara i z jego wnętrza wyciągał długie, szklane fiołki z bursztynowym płynem. Ostrożnie układał je w koszyku Lindy. Jerry doliczył się dwudziestu buteleczek. Wtedy mężczyzna warknął jeszcze raz, Linda odpowiedziała mu w podobny sposób i razem wrócili do pomieszczenia z bojlerem. Dziewczyna niespiesznie narzuciła płaszcz na ramiona.

Jerry spróbował przyjrzeć się Lindzie, kiedy przechodziła tuż przed nim. Patrzyła prosto przed siebie, jedną ręką trzymała koszyk, a drugą kołnierzył płaszcz, żeby nie zsunął się z jej ramion. Nigdy, przenigdy nie widział jej w takim stanie. Jej twarz nie wyrażała absolutnie żadnych emocji. Linda zazwyczaj się śmiała albo płakała, albo się uśmiechała, albo marszczyła czoło z zainteresowaniem. Teraz zaś, zmierzając w stronę schodów, nawet nie mrugała. Jej wzrok był pusty, na niczym nieskoncentrowany.

Odczekał, aż wejdą po schodach i zamkną za sobą drzwi. Dopiero wtedy włączył krótkofalówkę i poinformował dowódcę oddziału, że spędził w piwnicy kilka minut więcej, niż planowano, a teraz już zmierza do budynku.

– Rozumiem, Dziki, bez odbioru – odpowiedział oficer.

Jerry przypomniał sobie, że w pierwszej chwili pseudonim, który przyjął na tę akcję, wydawał mu się zabawny, teraz jednak żałował, że nie nazwał się trochę poważniej.

Zanim zaczął wchodzić po schodach, podszedł do wnęki i latarką oświetlił żarzewiały filar. Nie potrafił odgadnąć, co to takiego. Lekko przechylony, sięgał od posadzki po sufit. Mógłby przywodzić na myśl krzywą wieżę w Pizie, gdyby ta była ze skorodowanego metalu. Na ziemi leżał kawałek blachy. Prawdopodobnie zatykała dziurę w filarze.

Przeszedł przez zawałoną ścianę i uważnie przyjrzał się filarowi. Żałował, że nie dysponuje mocniejszą latarką, dostrzegł jednak, że filar jest całkowicie wypełniony żółtą izolacją. Kiedy wsunął do środka dłoń, wyczuł, że zabezpiecza ona niezliczone szklane fiolki. Całe jej warstwy zostały już wyrwane, a zatem zabrano stąd mnóstwo fiolek, Jerry orientował się jednak, że wciąż są ich tam setki, jeżeli nie tysiące.

Cofnął się i poświecił latarką do góry. Sufit zbudowany był częściowo z cegieł, a częściowo z gliny, i w tej chwili Jerry odgadł, czym jest tajemniczy filar. Na górze miał cztery stateczniki, nieco wbite w glinę, ale wciąż widoczne. Była to bomba lotnicza. Wielka, zdaniem Jerry'ego jej masa mogła zbliżyć się do dwóch ton, może nawet dwóch i pół. Zapewne zrzucono ją na Londyn w czasie drugiej wojny światowej. Przebiła mury budynku i wpadła aż do piwnicy, jednak – jak w przypadku wielu niewybuchów – uderzenie wyrzuciło w powietrze gejer gruzu, szczątków i błota, które częściowo ją pochłonęły.

Ale ta bomba chyba wcale nie miała wybuchnąć. Jerry popatrzył na stateczniki i powoli pokręcił głową. To śledztwo od początku obfitowało w dziwaczne kwestie, teraz jednak wszystkie elementy zaczęły mu się układać w logiczną całość. Zmarły sowiecki major ujawnił, że naziści eksperymentowali na więźniach obozów koncentracyjnych, chcąc wytworzyć narkotyk redukujący iloraz inteligencji do poziomu jaskiniowców. A on właśnie znalazł fiolki z tym specyfikiem. Wszystko wskazywało na to, że naziści osiągnęli sukces, wyprodukowali narkotyk i zrzucili go na Londyn w czasie któregoś z nalotów.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób zamierzali go rozprowadzać wśród ludzi, ale na pewno mieli jakiś plan. Może się spodziewali, że bombę rozbiorą saperzy, jakoś przyjmą płynny narkotyk, a potem zaczną się dzielić z innymi?

W każdym razie było prawdopodobne, że Baggy Nell czy Hedda, albo jakkolwiek się zwała ta kobieta, natknęła się na bombę, kiedy obejmowała hotel w posiadanie, wypłała tę „niebo rosę”, a następnie podała ją wszystkim bezdomnym przyjaciom. Siedemdziesiąt pięć lat po wojnie kontynuowała dzieło nazistów i osiągnęła to, co im się nie udało – stworzyła plemię podludzi-kanibali.

Jerry znów włączył krótkofalówkę, chcąc przekazać inspektorowi Saundersowi informacje o znalezisku, ale z głośnika usłyszał tylko szum i trzaski. Jeszcze kilkakrotnie wyłączał i włączał urządzenie, ale nie był w stanie nawiązać łączności. Może sygnał blokowały grube mury. Mógł się tylko modlić, żeby kontakt okazał się możliwy, kiedy wejdzie na górę, żeby dołączyć do dzikich lokatorów hotelu.

Wszedł po schodach, otworzył drzwi i znalazł się w holu wyłożonym zniszczonym, niebieskim dywanem. Usłyszał śpiewy, śmiech i oklaski docierające zza niedomkniętych drzwi po przeciwnej stronie. Naciągnawszy mocniej kaptur i przygarbiwszy się, podszedł do drzwi i szybko zajrzał do kolejnego pomieszczenia. Była to duża kuchnia, mimo późnej pory zatłoczona, dlatego szybko się wycofał, żeby nikt go nie zauważył.

Nie musiał się jednak o to martwić, ponieważ wszyscy zajęci byli piciem, powarkiowaniem oraz odrywaniem pieczystego od kości z dużej sterty leżącej na stole pośrodku pomieszczenia. Odczekał kilka sekund i znów zajrzał. Kuchnia wyglądała jak z obrazu przedstawiającego starożytne bachanalia. Oświetlało ją mnóstwo świeczek. Drzwi sześciu węglowych pieców były szeroko otwarte. W każdym żarzyły się brykiety węgla drzewnego, a na płytach zalegały sterty ludzkich rąk, nóg i żeber. I głośno skwierczały. Na jednym z pieców Jerry dostrzegł nawet trzy głowy: włosy były spalone, a czarne twarze szczyrzyły zęby, jakby właśnie odbywała się tu najbardziej rozkoszna zabawa, w jakiej można uczestniczyć.

Panowało to straszne gorąco. Taki żar, że większość ludzi pozdejmowała kurtki i swetry i rzuciła je na posadzkę. Kilku mężczyzn rozebrało się do pasa; tak samo postąpiły nawet dwie kobiety. Ich skóra była przeraźliwie biała i szorstka, a tłuszcz ściekał im z ust i spływał po torsach gęstymi strumieniami.

U szczytu stołu Jerry dostrzegł Baggy Nell albo Heddę, tradycyjnie w dwóch kapeluszach. Była ubrana w ciężki płaszcz, a na ramionach miała gruby szal. Po jej lewej stronie siedział John, ubrany w piżamę w czerwone pasy, a miejsce po jego drugiej stronie zajmowała jednoosobowa dziewczyna ubrana jedynie w brudną kamizelkę. Po drugim boku Heddy siedział siwowłosy mężczyzna, którego Jerry widział już w piwnicy. Teraz dostrzegł, że kiedyś złamano mu nos, który teraz miał kształt litery „S”. Po jego prawej ręce Jerry zobaczył Lindę. Zdążyła już zrzucić płaszcz w szkocką kratę. Łokcie oparła na stole i z zamkniętymi oczami obgryzała ludzki obojczyk, a minę miała taką, jakby właśnie jadła najsmaczniejszy posiłek w życiu.

Jerry orientował się, że nigdzie nie ma Edwarda.

Śpiewy i warkoty były niemal ogłuszające, a w pewnym momencie John niespodziewanie wszedł na krzesło, pomachał nad głową niedokładnie ogryzionym ludzkim żebrzem, zaintonował wysokim, drżącym głosem jakąś melodię i wtedy wszyscy przerwali śpiew, żeby go posłuchać. Jerry nie rozumiał z jego wrzasku ani słowa, ale kiedy

chłopiec skończył i usiadł, całe towarzystwo eksplodowało gromkim aplauzem i radosnym bębnieniem pięściami w stół, przez co na podłogę stoczyła się pieczona brukiew.

Jerry wciąż obserwował całą scenę, gdy niespodziewanie jakiś tłusty brodaczn pchnął go do kuchni i jednocześnie warknął, co policjant odebrał jako przeprosiny. Uniósł rękę i zawarczał w podobny sposób.

Uznał, że nadszedł czas na obejrzenie reszty hotelu. W kuchni doliczył się około czterdziestu członków plemienia Heddy. Teraz musiał się rozeznac, ilu ich przebywa na piętrach, czy śpią albo czy są czymś zajęci. Znowu spróbował uruchomić krótkofalówkę, lecz w głośniku ponownie usłyszał tylko szum. Wyglądało na to, że kiedy już dowie się, ilu bezdomnych znajduje się w hotelu i jak są rozlokowani, będzie musiał zejść z powrotem do tunelu i osobiście przekazać tę informację oddziałowi policjantów.

Zaczął liczyć stopnie prowadzące z recepcji na pierwsze piętro. Na półpiętrze minęła go para opasłych dzikusów w kurtkach z kapturami. Wymieniali warkoty i po drodze warknęli też coś do niego. Znowu odpowiedział w podobny sposób, mając nadzieję, że nie wycharczał w języku z epoki kamienia łupanego niczego, co mogłoby go zdradzić. Na szczęście tamci nie zareagowali, a na klatce schodowej było tak ciemno, że nie mieli szansy rozpoznać w nim osoby z zupełnie innego świata.

Kiedy dotarł na piętro, do jego uszu dobiegły jęki, a potem desperacki trwożliwy skowyt przypominający zawalenie dręczonego kota. Gdy ruszył korytarzem, odgłosy zaczęły się nasilać. Po chwili za otwartymi drzwiami zobaczył duży, słabo oświetlony pokój. Po obu stronach korytarza znajdowało się znacznie więcej pomieszczeń i drzwi większości były zamknięte, trzy pokoje były jednak otwarte jak szeroko, a w środku Jerry dostrzegł bezdomnych na materacach i złożonych kocach. Wszyscy spali. Spróbował ich policzyć, ale było zbyt ciemno i szybko porzucił ten pomysł.

Inaczej niż w skwarnej kuchni na pierwszym piętrze panowało przenikliwe zimno, a zamiast zapachu pieczonego mięsa unosił się tutaj kwaśny odór ludzkiego potu, moczu i zjełczanego tytoniu. Jerry pomyślał, że przecież jaskiniowcy nie palili papierosów, a tymczasem jeden bóg mógł wiedzieć, ile paczek dziennie wypalali tutaj bezdomni.

Zawodzenie i jęki nie ustawały, a kiedy Jerry dotarł do dużego pokoju na końcu korytarza, stanął w drzwiach jak wryty. Przez długą chwilę nie był w stanie uwierzyć własnym oczom.

Pomieszczenie oświetlały cztery słabe nocne lampki ustawione na podłodze u stóp widniejącego na ścianie rysunku demona z głową kozła i żółtymi oczami. Do pozostałych trzech ścian i do podłogi byli przybijani nadzy mężczyźni z rękami rozłożonymi jak na krzyżu. Niektórzy byli boleśnie wychudzeni, inni mieli wydatne brzuchy, niemal każdy miał poważne rany na ciele. Jerry doliczył się ich około dwudziestu, z tym że ciała pięciu zostały już zdekomponowane i wypatroszone – brakowało im głów, żeber, a przede wszystkim narządów wewnętrznych. Pozostały z nich tylko ramiona, kręgosłupy, miednice i krwawe strzępy mięsa.

Mężczyźni, którzy czekali na swój los, mieli puste oczodoły. W kilku Jerry rozpoznał ludzi Moe Dee porwanych ze szpitala Świętego Jerzego.

Powoli przeszedł na środek pokoju. Zorientował się, że ponad połowa mężczyzn jest martwa albo nieprzytomna, głowy bezwładnie im zwisały, a po nogach i ścianach, do których byli przybici, spływały fekalia. Ponieważ żaden z nich nie miał oczu, nie zorientowali się, że ktoś wszedł do pokoju. Wciąż jęczeli i zawodzili. Nawet jeżeli wyczuli obecność Jerry'ego, prawdopodobnie zakładali, że mają do czynienia z członkiem plemienia Heddy, a to tylko potęgowało ich desperację. Bez wątpienia każdy się bał, że właśnie nadchodzi jego kolej, aby zostać tuszą w rzeźni.

Jerry znowu spróbował uruchomić krótkofalówkę, ale w głośniku panowała już cisza. Zobaczył, że na podłodze obok lampek leżą narzędzia – dwie piły, łom i młotek z pazurem, a także zakrwawione skalpele. Przyszło mu do głowy, że powinien obejść cały pokój i powyciągać gwoździe z rąk, łokci i kolan nieszczęśników, szybko jednak zdał sobie sprawę, że straciłby na to dużo czasu, a w każdej chwili mógł tu wejść jakiś człowiek Heddy i go nakryć. Poza tym oderwani od ścian mogliby bezwładnie opaść na podłogę, co prawdopodobnie pogorszyłoby ich stan. Należało do nich sprowadzić doświadczonych ratowników medycznych, i to szybko.

Podszedł do ściany pod oknami, żeby zobaczyć, czy żyje któryś z mężczyzn przybitych do podłogi. Ten fragment pokoju częściowo znajdował się w cieniu, i dopiero kiedy zbliżył się do ciał, wśród nieszczęśników rozpoznał Edwarda, ułożonego równolegle do ściany.

– Cholera, Edward – jęknął cicho i ukląkł obok chłopca, żeby sprawdzić, czy żyje.

Skóra dziecka była zimna, a twarz biała, ale kiedy Jerry przycisnął palce do jego szyi, wyczuł puls. Wstał i poszedł po młotek. Mógłby od razu przeprowadzić resuscytację, ale najlepszym rozwiązaniem wydało mu się jak najszybsze zabranie stąd chłopca.

Najdelikatniej jak potrafił wyciągnął gwoździe, którymi Edwarda przybito do podłogi, kiedy jednak przycisnął pazur młotka do lewego kolana, zorientował się, że jest zmiążdżone. Gdy wydobył ostatni gwoździe, odrzucił młotek i podniósł chłopca. Zrzucił go sobie na ramiona w taki sposób, aby ręce zwisały luźno wzdłuż jego pleców. Trwało nieustannie zawodzenie i jęki, a mężczyzna, który leżał obok Edwarda, prawdopodobnie w tej chwili wydał ostatnie tchnienie.

– Teraz pójdziemy po twojego brata i moją Lindę, a potem wyniesiemy się z tego piekła – wyszeptał Jerry na wdechu.

Pobiegl korytarzem, ignorując otwarte drzwi i bezdomnych, którzy spali w pokojach. Kiedy zobaczył na własne oczy, co zrobiło plemię Heddy z ludźmi Moe Dee, jego pomysł na opanowanie hotelu całkowicie się zmienił. Pieprzył instrukcje Smileya o „minimalizowaniu strat”. Ci ludzie byli prymitywami, sadystami, zbrodniczymi mania-

kami, i nie miało znaczenia, że ich mózgi zostały wyżarte przez jakiś niemal osiemdziesięcioletni nazistowski narkotyk.

Zniósł Edwarda po schodach do recepcji i delikatnie położył na dywanie tuż przy drzwiach prowadzących do piwnicy. Chłopiec drgnął i coś wyszeptał, ale nie otworzył oczu. Należało go rozgrzać, potrzebował natychmiastowej opieki medycznej.

Śmiech i śpiewy w kuchni były znacznie głośniejsze niż wcześniej. Jerry sięgnął do kieszeni, odbezpieczył pistolet i wszedł do środka. Głowę trzymał opuszczoną i udawał, że się zatacza, jakby był pijany. Chociaż oprócz Heddy był jedyną osobą w kuchni ubraną w grubą kurtkę, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ludzie byli zbyt pochłonięci jedzeniem i śpiewaniem dziwacznych, ponurych pieśni. Zobaczył, jak jakiś mężczyzna pakuje sobie do ust oślizłe skrawki surowego mózgu, a później wypluwa je przez palce, bo próbował jednocześnie jeść i śpiewać.

Jerry minął otwarte piecy i obszedł stół. Dotarł do Lindy i położył dłoń na jej ramieniu, a ona odwróciła się i popatrzyła mu prosto w twarz.

– Lindo – powiedział cicho, prosto do jej ucha, żeby go usłyszała. – Wynosimy się stąd.

Dziewczyna patrzyła na niego pustym wzrokiem. Zorientował się, że go nie poznaje i nawet nie rozumie, co do niej mówi.

– Rusz się, idziemy stąd – powtórzył, energicznym ruchem wsunął dłonie pod jej pachy i podniósł ją z krzesła.

Linda stała zdezorientowana, wciąż nie zdając sobie sprawy, z kim ma do czynienia. Jej krzesło przewróciło się na posadzkę. Hedda, John i mężczyzna z nosem w kształcie litery „S” odwrócili głowy w ich kierunku. Kobieta warknęła – jej warkot zabrzmiał w uszach Jerry’ego jak pytanie: „co się dzieje”. Nawet ona nie uświadomiła sobie od razu, że Jerry nie jest członkiem jej plemienia, chociaż musiała już zobaczyć, że jest gładko ogolony.

John też się odezwał szczenięcym warkotem. Zabrzmiało to jak „much-much”. Pchnąwszy Lindę w stronę drzwi, Jerry jednocześnie za plecami Heddy szarpnął rękaw piżamy Johna.

– Dalej, synku, ty też pójdziesz ze mną. Dość już tych prymitywów dotrze, że wcale nie jest jednym z nich.

Chłopiec spróbował wyszarpnąć ramię, ale wcześniej Jerry ściągnął go z krzesła. Znowu mocno pchnął Lindę i krzyknął:

– Idź! Słyszysz? Wynosimy się stąd natychmiast!

Mężczyzna ze złamanym nosem gwałtownie i wściekle warknął, po czym wstał. Wszyscy nagle przestali śpiewać i z bezgranicznym zdumieniem przypatrywali się przepychance u szczytu stołu. Jerry popchnął Lindę, a ona niepewnym krokiem, mijając otwarte drzwi pieców, ruszyła do drzwi. Wykonując stanowcze ruchy, policjant liczył na ociążałość umysłową osobników o mózgach jak z epoki kamienia łupanego oraz na ich bezwzględne posłuszeństwo wobec osób zdecydowanych i tłumiących w zarodku wszelki sprzeciw. Zakładał, że jeśli będzie krzyczał dostatecznie głośno, wyprowadzi Lindę i Johna z kuchni, zanim do prymitywów dotrze, że wcale nie jest jednym z nich.

Jednak tamten mężczyzna był niewątpliwie bystrzejszy od pozostałych. Ze stołu zarzuconego ludzkimi kośćmi podniósł długi nóż kuchenny. Znowu warknął, głośniejsze i bardziej chrapliwie niż za pierwszym razem, i ruszył na Jerry’ego z uniesionym ostrzem.

Policjant zatrzymał się, ale nie puścił ręki Johna. Chłopiec próbował go kopnąć w kostkę, ale Jerry uspokoił go mocnym kuksańcem w bok.

Mężczyzna groźnie mrucał, wymachując nożem. Ustawiał się do ataku w taki sposób, jakby jednym ciosem chciał rozpruć przeciwnikowi brzuch. Jerry poczuł przypływ adrenaliny, a jednocześnie przypomniła mu się scena z *Indiany Jonesa*, w której Arab chciał zaatakować Indy’ego maczetą, a ten po prostu go zastrzelił.

Wyciągnął z kieszeni pistolet, wycelował w pierś mężczyzny i dwukrotnie strzelił. Dwie eksplozje zadzwoniły mu w uszach, a mężczyzna popatrzył na niego z najwyższym zdumieniem. Przez trzy uderzenia serca Jerry bał się, że strzały nie wywarły na napastniku żadnego wrażenia, lecz w końcu nóż wyślizgnął się spomiędzy jego palców, a on sam zachwiał się, oparł ręką o stół, a potem jak długi runął na plecy, w ostatnim odruchu zgarniając z blatu ogryzione ludzkie kości i spalone warzywa.

– Stammer! – krzyknęła Hedda i z krzesła natychmiast zerwał się krępy, łysy brodac.

Wskoczył na stół i ruszył w kierunku Jerry’ego, strącając po drodze szczątki i kapustę. Jerry mocno potrząsnął Johnem, żeby chłopiec przestał się szarpać, a następnie strzelił do łysego, także dwukrotnie. Trafił w pierś i kroczce. Mężczyzna gwałtownie się pochylił, dosięgając głową niemal swoich stóp, a potem spadł ze stołu prosto na kolana dwóch kobiet z obnażonymi piersiami, które jeszcze przed chwilą wesoło ucztowały.

John zaczął się rzucać i drapać Jerry’ego, chcąc się od niego uwolnić, a on wsunął pistolet z powrotem do kieszeni i dwukrotnie spoliczkował chłopca otwartą dłonią. Następnie się odwrócił i znowu szarpnął Lindę, która stała za nim kompletnie zdezorientowana. Nie wiedziała, kim on jest ani dlaczego stara się ją stąd wyprowadzić.

John się rozpląkał, a Hedda wrzasnęła i ruszyła w stronę Jerry’ego. Na jej twarzy malowała się okropna wściekłość. Jerry ponownie wyciągnął pistolet, wycelował w nią i krzyknął:

– Nie ruszaj się! Słyszysz? Stój! Nie chcę do ciebie strzelać, ale zrobię to, jeżeli nie dasz mi wyboru!

Hedda go zignorowała. Zbliżyła się do niego, brutalnie roztrzając współplemieńców, którzy zagradzali jej drogę. Szerokie rondo jej kapeluszy powiewały niczym skrzydła drapieżnego ptaka.

Jerry nacisnął spust, ale usłyszał tylko ciche trzask. Nacisnął jeszcze raz i zrozumiał, że broń się zacięła. Hedda była już przy piecach, chwyciła szufłę i wsunęła ją w otwarte drzwi paleniska. Wyciągnęła na niej rozżarzone brykiety i trzymając ją przed sobą, znowu ruszyła do Jerry’ego. Nad węglem drzewnym drżało gorące powietrze aż do

wysokości jej twarzy, tak że zniekształcało ją w oczach Jerry'ego. Przez moment miał wrażenie, że oblicze kobiety się topi.

Była coraz bliżej. Jerry cofał się krok po kroku, ale w końcu zderzył się z Lindą, która przystanęła w drzwiach, nie mając pojęcia, co robić.

Hedda groźnie bujała szuflą. W pewnej chwili wyszczała słowa, które Jerry zrozumiał jako ultimatum: „Albo puścisz chłopca, albo rzucę rozżarzony węgiel prosto w twóją twarz”.

– Ani się waż, Baggy Nell! – ostrzegł ją głośno. – Rozumiesz, co mówię? To koniec zabawy w jaskiniowców!

Hedda się nie zatrzymała. Chociaż znajdowała się zbyt daleko, żeby mógł wyszarpnąć jej szuflę z rąk, czuł już wysoką temperaturę. John przestał płakać, wciąż jednak skomlał i pochlipywał. Jerry zrozumiał, że chłopiec jest znacznie bardziej przestraszony niż on sam.

– Cofnij się! – zawołał. – To już nie ma sensu! Tylko pogarszasz swoją sytuację! Jak myślisz, ile czasu spędzisz w więzieniu w Bronzefield, jeżeli teraz, na sam koniec, zrobisz coś bardzo głupiego?

Kobieta powoli uniosła szuflę niemal na wysokość jego oczu. Było jasne, że zamierza rozżarzone węgle rzucić mu prosto w twarz.

– Balaa! – syknęła. – Balaa!

Imię demona zainspirowało go do następnego ruchu. Skoro Hedda uważała się za mścicielkę Balai, pana, istniała możliwość, że będzie się bała tego samego, czego boi się Balaa, i to równie mocno jak on. Dlaczego osobnik, który zatłukł posterunkowego Malika na śmierć, zerwał mu z szyi hamse? Nic innego mu nie zabrano, tylko ten naszyjnik.

Jerry sięgnął ręką pod kurtkę i wydobyl srebrną hamse z pomarańczowym granatem. Wyciągnął naszyjnik ku Heddzie i powiedział:

– Cofnij się, słyszysz? Balaa nie może mnie tknąć, a jeżeli jesteś jego zdirą, także nie masz na to szansy! Cofnij się, Baggy Nell! Słyszysz?

Doskonale wiedział, że głos mu drży i że charczy, jakby przechodził ciężką gripę. Nie miał pojęcia, czy hamsa naprawdę może go uchronić przed takim złym duchem jak Balaa. Ale przy innych sprawach, kiedy pracował z Dżamilą, był świadkiem tak skutecznych interwencji sił nadprzyrodzonych, że w tej chwili był w stanie uwierzyć w moc hamsy. Pamiętał, że wierzyła w nią także Nairiti, i to z takim przekonaniem, że osobiście mu ją podarowała.

Reakcja Heddy zaszokowała Jerry'ego. Kiedy tylko uniosł hamse na tyle wysoko, że kobieta ją zobaczyła, wydała z siebie upiorny skowyt przypominający wiatr hulający w kominie. Na chwiejnych nogach cofnęła się kilka kroków i nagle wyrzuciła w górę ręce, tak że brykiety z szuflki padły na jej własną twarz i płaszcz. Węgle ledwie się żarzyły, ale to wystarczyło, żeby skóra na jej twarzy zaczęła skwierczeć i żeby płaszcz oraz szal zajęły się ogniem.

Zaczęła się kręcić wokół własnej osi. Płonęła i skowyczała. Wciąż trzymała w ręku szuflę, obijając nią o piec. Współplemieńcy wpatrywali się w nią ze skrajnym przerażeniem, odsuwali się od niej jak najdalej, wpadali na siebie i niemal przewracali się na posadzkę. Żadnemu nie przyszło do głowy, żeby zarzucić na nią jakiś koc i zduścić płomień. Kilkoro wpatrywało się w Jerry'ego rozszerzonymi oczami. Ich spojrzenia podpowiadały mu, że boją się go bardziej niż Heddy.

– Hed-dah! – jęknął John, ale kobieta już padła na podłogę pod samymi piecami, twarzą w dół.

Jej płaszcz się palił, a nogi w ciężkich butach kopały w nierównym rytmie, jakby śniła jakiś koszmar związany z biegiem.

– Wyośmy się stąd! – krzyknął Jerry. – Lindo! Nie stój jak wryta! Chodź ze mną!

Dziewczyna jakby go zrozumiała, bo wyszła na korytarz. John jęknął „much-much?” i poszedł za nią, już nie wierząc i nie próbował się opierać. W recepcji zobaczył leżącego na podłodze Edwarda, nagiego, z wciąż zamkniętymi oczami, z dłońmi, łokciami i kolanami podziurawionymi gwoździami. Popatrzył na Jerry'ego, jakby nagle zorientował się, że zna tego chłopca, ale nie potrafił go skojarzyć.

Ruszyli w kierunku drzwi prowadzących do piwnicy, gdy niespodziewany podmuch zgasił wszystkie świece w kuchni. Zgasły też nieliczne światła na pierwszym piętrze.

W tej chwili recepcję oświetlał jedynie blask docierający z otwartych palenisk w kuchni. Jeszcze palił się płaszcz Heddy, jednak trawiące go płomień wkrótce również zgasły.

Jerry pchnął Lindę i Johna na stronę drzwi do piwnicy, po czym pochylił się, żeby podnieść Edwarda. Kiedy się wyprostował z chłopcem na ramionach, drzwi piwnicy gwałtownie się otworzyły. Z przenikliwym zgrzytem wyleciały z zawiasów aż pod przeciwną ścianę, gdzie z trzaskiem upadły na podłogę.

W progu stanął Mody, prawie niewidoczny w mroku, szurający nogami, z bandażem na oczach. Na jego ramionach opierały się prowadzące go dłonie o paznokciach jak szpony, a tuż za jego głową z czeluści wynurzyła się para lśniących, żółtych oczu o poziomych źrenicach koźła.

– Hedda! – krzyknął Mody. – Gdzie jesteś, ty dziwko? Przyprowadziłem kogoś, kto chce się z tobą zobaczyć!

Kierowany przez Balaa szybko dotarł na środek holu. Jerry przycisnął Lindę i Johna do ściany i ostrożnie znów ułożył Edwarda na dywanie, opierając go plecami o listwę przypodłogową.

Linda cicho warknęła. Jerry szybko przyłożył dłoń do jej ust i wyszeptał:

– Cii...

John pociągnął nosem, ale się nie odezwał.

Jerry widział w ciemności tylko oczy Balai, krzywy cień jego koźlich rogów i jego dłonie na ramionach Mody'ego. Ciało było niewidoczne, mroczniejsze od cienia, z którego Mody go wydobył. Słyszał jednak jego oddech – mocny i chrapliwy, przerywany mokrym mlaskaniem, jakby Balaa oblizywał sobie wargi.

– Hedda! – powtórzył Mody. Mówił już po angielsku, chociaż jego głos był szorstki. – Hedda, gdzie moi ludzie? Co z nimi zrobiłaś? Przyprowadziłem pana! Chce się z tobą zobaczyć! Jest rozgniewany, Heddo! Moi ludzie należą też do niego! To on, a nie ty, decyduje o ich losie!

Jerry usłyszał z kuchni cichy, obłąkany warkot. Mody też musiał go usłyszeć, bo skierował się tam, z ciemną postacią Balai tuż za nim. Kiedy obaj weszli do pomieszczenia, rozległy się desperackie krzyki mężczyzn i zawodzenie kobiet.

Miał ochotę podnieść Edwarda i uciec do piwnicy. Balaa stał w drzwiach kuchennych i bezustannie obracał koźłą głową. Nie próbował zgadywać, co zrobiłby demon, gdyby go teraz zauważył, i nie chciał się o tym przekonać. Jak na jeden dzień miał już dosyć okrucieństwa.

– Gdzie moi ludzie? – powtórzył Mody. – Pożeracie ich? Gdzie oni są? Gdzie Hedda? Co?... Co... co to jest?

Rozległ się głuchy odgłos, jakby ktoś przewrócił stół, zebrani w kuchni znowu zaczęli wrzeszczeć, jednak po chwili krzyki gwałtownie ucichły i przestały stamtąd docierać jakiejkolwiek dźwięki. Po minucie czy dwóch Mody znów stanął w drzwiach, a Balaa zajął miejsce za jego plecami. Ruszyli ku klatce schodowej, ale kiedy Mody wszedł na pierwszy stopień, nagle się zatrzymali. Balaa zaczął węszyć jak pies myśliwski i omiałał wzrokiem cały hol, jakby chciał sprawdzić, czy w ciemności nikt się nie ukrywa.

Linda wstrzymała oddech, ale John cicho pisnął. Jerry milczał, zorientował się jednak, że Balaa już patrzy prosto w ich stronę. Mody musiał czekać z nogą na pierwszym stopniu schodów, bo demon zaciskała dłonie na jego ramionach i mocno go trzymał. Poza tym z pewnością wyczuwał, że jego pan właśnie skoncentrował uwagę na kimś lub na czymś, co kryje się w cieniu.

– Kto tam? – zapytał mężczyzna. – Jest tam kto?

Jerry nie odpowiedział, tylko powoli ujął naszyjnik z hamsą. Uniósł go wysoko i obrócił nieznacznie w kierunku drzwi kuchennych, żeby Balaa mógł zobaczyć w ciemności blask srebrnych palców.

Zapanowała długa, wręcz bolesna cisza. Żółte oczy Balai nie mrugały, chociaż ich poziome źrenice zwężyły się do wąziutkich czarnych szperek.

Jezu... Hamsa zadziałała na Baggy Nell. Niech zadziała także na ciebie... Nie wiem, czym ty, do diabła, jesteś, ale skoro spodziewasz się, że ludzie będą wydłubywać sobie oczy, gdy okażesz im swoje niezadowolenie, i zjadają siebie nawzajem, żeby pokazać, jak cię uwielbiają, uwierz mi, nie chcę tego wiedzieć.

Mody zszedł z pierwszego stopnia, zresztą nie miał wyboru, bo Balaa pociągnął go do tyłu. Boże, on tutaj idzie! pomyślał Jerry i powoli ugiął nogi, żeby w chwili zagrożenia podnieść Edwarda i podjąć próbę ucieczki do piwnicy. Okazało się jednak, że kolana ma sztywne i praktycznie nie może ich zgiąć. Odnosił też wrażenie, że zablokowały mu się łokcie. Z trudem utrzymywał hamsę nad głową.

Spróbował ostrzec Lindę i Johna, żeby się nie ruszali i zachowywali absolutną ciszę, jednak usta także miał odrętwiałe.

Balaa wydawał się czujny. Przechylał rogatą głowę, jakby nie mógł się zdecydować, czy zbliżyć się do ludzi i zaatakować, czy zostawić ich w spokoju. Być może wyczuwał, że Jerry wcale nie jest jednym z jego wyznawców i nie należy do plemienia Heddy albo Mody'ego, ale trudno to było ocenić.

– Kto tu jest? – powtórzył Mody. – Gdzie moi ludzie? Co z nimi zrobiliście?

Postąpił krok w ich kierunku, a w tej samej chwili Jerry usłyszał głośnie jęki i zawodzenie z pomieszczeń na pierwszym piętrze. Balaa natychmiast się odwrócił i wydobył z gardła głęboki pomruk, po czym z głośnym świstem wypuścił powietrze. Mody ruszył niezgrabnie po schodach, na czworakach, jak podekscytowany pies, a Balaa podążył za nim, ciemniejszy od najmroczniejszego cienia. Kiedy stanęli na piętrze, pochłonęła ich absolutna ciemność.

Gdy Mody i Balaa poszli korytarzem, Jerry nagle poczuł mrowienie w kolanach i łokciach. Znowu mógł je zginać, mógł także poruszać ustami.

– Dalej, chodźmy – powiedział i zarzucił sobie Edwarda na ramiona.

Zrobił krok w kierunku schodów do piwnicy, ale w tej chwili Linda warknęła i gwałtownie go wyprzedziła. Trzymając Edwarda, stracił równowagę i prawie się przewrócił. John z kolei zaszczekał na niego i pociągnął go za



nogawkę.

– Do ciężkiej cholery, co wy wyprawiacie? – wrzasnął na nich. – Musimy się stąd wydostać! Nie widzieliście tego pierdolonego wielkiego cienia? To demon albo diabeł czy jak tam chcecie go nazywać, nieważne! To Balaa i on nas pozabija, jeżeli nas dorwie, a prawdopodobnie też nas, kurwa, pożre!

Mimo ciemności zobaczył, że Linda i John zasłonili uszy rękami. Balaa! Właśnie wypowiedział imię pana, popełnił świętokradstwo!

W tym momencie usłyszał przeraźliwy krzyk, głośniejszy od wszelkich dźwięków, jakie kiedykolwiek dotarły do jego uszu, jeśli nie brać pod uwagę bliskiego uderzenia pioruna. Odgadł, z czym ma do czynienia. Balaa właśnie dotarł do pokoju, w którym na ścianie namalowano jego wizerunek, i odkrył plemię Mody'ego: mężczyzn poprzybijanych do ścian i podłogi. Usłyszał także wrzask Mody'ego, ale był to raczej krzyk przeogromnej rozpacz niż skrajnej furii.

Potem usłyszał krzyki, następnie trzaśnięcie drzwi i odgłosy stąpania w korytarzu. To bezdomni w pokojach Hotelu Książęcego się obudzili i rzucili do ucieczki. Jednak zanim któryś z nich dotarł do schodów, cały hotel gwałtownie zadrżał w posadach, jakby nagle znalazł się w epicentrum trzęsienia ziemi.

– Musimy stąd zwiewać! – krzyknął Jerry i wolną lewą ręką szarpnął Lindę za ramię, chcąc ją nakierować na drzwi do piwnicy.

Hotel zadrżał ponownie i tym razem można było odnieść wrażenie, że na górnych piętrach, gdzie szalał Balaa, wybuchła bomba o ogromnej mocy. Sufit w kuchni się zawalił, prawdopodobnie grzebiąc wszystkich, którzy się tam znajdowali, a na dodatek z pieców gwałtownie strzeliły pomarańczowe iskry. Runęła klatka schodowa i nagle do holu wpadła wielka kupa gruzu. Rozległy się trzaski i zgrzyty, które zaatakowały szczękę Jerry'ego takim rezonansem, jakby właśnie wrywano mu ząb mądrości. Jednocześnie nastąpił huk jakby pioruna i cała podłoga przesunęła się i gwałtownie spadła na parter.

Balaa znowu krzyknął, zdawało się, że samym głosem ciska piorunami, a Jerry chyba rozumiał jego wrzaski.

– To jest moja zemsta! To kara! Jestem władcą cienia i nikomu nie wolno używać mojej mocy dla zaspokojenia własnej chciwości i żądzy władzy! Żadnemu mężczyźnie ani żadnej kobiecie, nieważne, w którym stuleciu się narodzili!

Wyprowadziłem was z cienia w dniu narodzin! Dałem wam światło i życie! A teraz mogę was wszystkich odesłać z powrotem w mrok, gdzie wasze miejsce! Jesteście ludźmi cienia!

Rozległ się złowieszczy odgłos pęknięcia i na suficie nad głową Jerry'ego zarysowała się szpara, z każdą chwilą coraz szersza. Z góry spadł żyrandol. Rozbił się na tysiące szklanych okruchów, które rozbłyły iskierkami w ciemności.

Linda wciąż stała nieruchomo przed Jerrym, z rękami wysoko uniesionymi, jakby chciała tutaj pozostać i oddać życie. John wydawał się znacznie mniej pewny siebie, wymachiwał prawą ręką, bawił się palcami i cicho poszczekiwał.

– Co robisz, do diabła? Chodźmy!

John popatrzył na niego i wrzasnął:

– Sowber Sek! Sowber Sek!

Rozległ się kolejny głośny trzask. Z sufitu trójkątny kawałek tynku spadł na biurko w recepcji. Musiał ważyć przynajmniej kilkadziesiąt kilogramów.

Jerry spróbował ramieniem pchnąć Lindę do piwnicy, ale wciąż mu się opierała. Patrzyła na niego szalonym wzrokiem.

– Idziemy! – krzyknął Jerry niemal histerycznie. – To nie jest żadna jebana Trzecia Rzesza! Wcale nie musimy umrzeć tutaj razem z Führerem!

Usłyszał, jak zapadają się drugie i trzecie piętro z hukiem przypominającym zejście lawiny. Było już jasne, że w ciągu kilku minut z Hotelu Książęcego zostaną tylko szczątki: beton, drewno, cegły i ludzkie zwłoki.

Unióś! Edwarda, gotów nawet cisnąć go na schody do piwnicy. Następnie zamierzał zająć się Lindą i Johnem, po prostu zmusić ich, żeby zeszli po schodach. Jednak zanim rzucił Edwarda, zobaczył światła latarek migoczące w dole.

– Jerry! Jerry, to ty?

Dżamila przeskakiwała po kilka stopni naraz, chcąc jak najszybciej się przy nim znaleźć. Trzymała mocną latarkę. Tuż za nią biegł szef oddziału policji, a za nim pozostali członkowie uzbrojonej grupy.

– Hej! – zawołała Dżamila, gdy z góry spadały kolejne kawały sufitu, a światło jej latarki zniknęło w białej chmurze pyłu. – Co tu się dzieje?

– Dzieje się to, że musimy stąd jak najszybciej uciekać! Zabierz Lindę, dobrze? Wciąż nie funkcjonuje normalnie, ale nie zwracaj na to uwagi. A ty, kolego – zwrócił się do dowódcy oddziału – zajmij się tym młodzieńcem. On też ma trochę nie po kolei w głowie.

Dżamila chwyciła Lindę pod ramię i powiedziała:

– Chodź, kochanie.

Może dlatego, że była kobietą, Linda pokiwała głową i posłusznie zaczęła schodzić do piwnicy. Kiedy John zobaczył, że „much-much” jest zupełnie spokojna, pozwolił policjantowi, aby go sprowadził w dół jak grzecznego chłopca.

Schodząc z Edwardem przerzuconym przez ramiona, Jerry usłyszał za plecami kolejny stentorowy ryk. I nie był to już krzyk wściekłości, ale triumfu.

Dżamila odwróciła się do niego.

– Czy to był on? Demon? – zapytała.

– Nic się nie martw, pani sierżant. Prawdopodobnie już nigdy o nim nie usłyszymy. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dzisiaj trafi do krainy cienia. Właśnie tam jest jego miejsce.

Kiedy wszyscy spotkali się o poranku, z nieba były pioruny, niemal tak głośne jak pełne wściekłości wrzaski Balai. Wyskoczyli z samochodu na szpitalny parking w ulewnym deszczu. Przez prowizoryczne drzwi ze sklejkę weszli prosto do sali konferencyjnej.

Zgodzili się, że najlepszym miejscem spotkania będzie szpital Świętego Jerzego. Odpowiadało to zarówno policjantom, technikom, jak i lekarzom, poza tym leżał tutaj Edward i można było sprawdzić, jak postępuje jego leczenie.

– Cóż, panie i panowie, wiemy już, jak rozpoczął się ten kult – powiedział inspektor Saunders. Stał przy oknie i patrzył na swoje odbicie w szybie, po której spływały strugi wody. – Bomba leżała tam od trzynastego września 1943 roku, a gdyby Baggy Nell nie zaczęła się szwendać po piwnicach Hotelu Książęcego, spoczywałaby tam do teraz i spora grupa ludzi uniknęłaby zjedzenia.

Od zespołu saperów otrzymałem informację, że to największa bomba, jaką kiedykolwiek wyprodukowali Niemcy. Waży dwa tysiące pięćset kilogramów i otrzymała imię Max. Przypomnę, że ich Szatan był mniejszy.

Odezwał się Tosh:

– W zasadzie rozpracowaliśmy już formułę tego opiatu. Nawiązałem kontakt z niemieckimi technikami kryminalistycznymi z Wiesbaden z Abteilung KT Kriminalistisches Institut... uff, udało mi się to powiedzieć i was przy tym nie opluć. Niemcy starają się odnaleźć dokumentację dotyczącą nazistowskiego programu wojny chemicznej z okresu drugiej wojny światowej.

Wiele wskazuje, że ten projekt był pomysłem samego Goebbelsa, który określił go mianem programu PG. PG to skrót od niemieckiego *primitiver Gehorsam*, co należy tłumaczyć jako prymitywne posłuszeństwo. Chemicy, którzy nad nim pracowali, nazwali go *kala jadu*, czyli „czarna magia” w języku urdu, ponieważ środek, który opracowali, zawierał między innymi somę, psychodelik używany przez ludy obecnego Pakistanu do wywoływania wizji bogów i demonów. A wśród bezdomnych przyjęła się inna nazwa: „niebiańska rosa”.

– Ale to, z czym się spotkaliśmy, chodzi mi o postać z żółtymi oczami i głową kozła, wcale nie było „psychodeliczna wizja” – powiedziała Dżamila. – Psychodeliczny nie był też efekt, jaki na nas wywierała. Kiedy przechodziła w pobliżu, po prostu nas paraliżowało. Nie byliśmy w stanie ruszyć nawet jednym mięśniem! Nie mogliśmy mówić! A co sprawiło, że zapadł się cały Hotel Książęcy? Przecież nie mogła do tego doprowadzić psychodeliczna wizja.

– Wciąż nad tym pracujemy – zapewnił ją Tosh i zerknął niepewnie na inspektora Saundersa. – Sami wiecie, że kultura praindoeuropejska przybyła do Niemiec z Indii i z Bliskiego Wschodu. Bogowie i demony, których czcili mieszkańcy jaskiń w Jurze Szwabskiej, byli mniej więcej tacy sami jak bogowie i demony czczone w Indiach albo w Jambudvipie, jak nazywano Indie w dawnych czasach. Ten wizerunek Balai... niemal identyczne można znaleźć w Niemczech w jaskiniach z epoki neolitu.

– Ten aspekt naszego śledztwa pozostaje na razie poufny, pani sierżant – odezwał się inspektor Saunders. – Dopóki nie zyskamy całkowitej pewności, z czym mieliśmy do czynienia, nie będziemy też przekazywali żadnych informacji dziennikarzom, poza tym, że Hotel Książęcy został przypadkowo zniszczony i że prawdopodobnie były ofiary w ludziach.

– Co takiego? Czyli według naszej dzisiejszej wiedzy to po prostu rozszluszczony demon sprawił, że budynek się zawalił, grzebiąc żywcem około pięćdziesięciu osób?

– Właśnie – powiedział Saunders. – Wyobrażasz sobie, jak by taka historia wyglądała na pierwszej stronie „Daily Telegraph”? Po kilku śledztwach, jakie przeprowadziłaś z posterunkowym Pardoe, chyba już zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie ujawniamy szczegółów, w świetle których moglibyśmy zostać uznani za dziwaków albo szaleńców. – Inspektor umilkł, czekając na reakcję Dżamili, ona jednak tylko wzruszyła ramionami i usiadła. Nie odrywając od niej wzroku, powiedział po chwili: – Proszę, doktorze Seshadri. Teraz pana kolej.

Doktor wstał.

– Nasze szpitalne laboratorium rozpoznało już narkotyk, który oddziałuje na obszar mózgu kontrolujący mowę. Ale chociaż ten komponent głównie degraduje język ludzki do poziomu z epoki kamienia łupanego i w gruncie rzeczy przypomina porozumiewanie się zwierząt, można w nim wyodrębnić również pewne słowa niemieckie. Zakładamy, że twórcom narkotyku chodziło po prostu o to, żeby naziści byli w stanie po inwazji na Wielką Brytanię swobodnie wydawać instrukcje miejscowym niewolnikom.

– Jak teraz wiemy, synowie pani Willow otrzymali imiona „Erst” i „Sek” – odezwała się profesor Walmsley. – John zdołał mi powiedzieć, że zaprezentował porywaczom magiczne sztuczki, które wywarły na nich takie wrażenie, że zaczęli go traktować niemal jak boga i nazwali go „Sowber Sekiem”. Brzmiały niemal identycznie niemieckie słowo *Zauber* oznacza właśnie magię.

Dysponuję godzinami nagrań języka z epoki kamienia łupanego, który rozszyfrowuję – kontynuowała Walmsley. – A posterunkowy Pardoe poinformował mnie, że mnóstwo niebiańskiej rosy wciąż znajduje się w bombie, zakładam więc, że zyskamy możliwość przeprowadzenia kontrolowanych eksperymentów, na wolontariuszach oczywiście.

– Testujemy ją na razie na chomikach, chcąc się upewnić, że jest bezpieczna dla ludzi – powiedział Tosh. – Substancja przeleżała w piwnicy od bitwy o Anglię, może więc być przeterminowana i działać także w sposób niepożądany przez jej wynalazców.

– Powiedziałeś mi przez telefon, Tosh, że dowiedziałeś się więcej o kwestii ludzi w żałobie – zabrał głos Jerry. – Sierżant Patel i ja już w początkowej fazie śledztwa zauważyliśmy, że członkowie tego kultu polują na ludzi, którzy ostatnio stracili bliskich. Lindzie zmarł ojciec i od razu wyczuł to jakiś obwieś, obok którego przechodziła na ulicy. Poza tym ci ludzie, którzy rzewnymi łzami oplakiwali Rosjanina, chociaż, to trzeba wyraźnie powiedzieć, on na ich żal wcale nie zasłużył.

– Pan Brinkley i ja długo dyskutowaliśmy na ten temat – odezwał się doktor Seshadri. – Nie sposób zaprzeczyć, właściwie to powszechna wiedza, że utrata bliskich wywiera na tych, którzy ich oplakują, dramatyczny efekt psychologiczny. Pojawia się depresja, ale mniej znany jest fakt, że ma to także konsekwencje fizyczne. Najlepiej rozpoznane są wszelkiego rodzaju zapalenia czy stany podgorączkowe, na tyle poważne, że wielu żałobników zażywa takie lekarstwa, jak na przykład kolchicyna, żeby móc w miarę normalnie funkcjonować.

Tosh pokiwał głową.

– Zmiany w organizmie objawiają się także w ten sposób, że poprawia się smak mięsa takich ludzi. Powiem wprost: mięso smutnych ludzi jest o wiele smaczniejsze od mięsa ludzi szczęśliwych. To dlatego wyznawcy Balai tak intensywnie rozglądali się za żałobnikami. Nie wiem, czy zdawali sobie sprawę, że akurat grupa ocalonych z Holokaustu, była w czasie wojny wykorzystywana w charakterze królików doświadczalnych przy produkcji niebiańskiej rosy. To mógł być tylko przypadek. Moim zdaniem po prostu kręcili się w pobliżu miejsc, w których gromadzili się nieszczęśliwi ludzie, jak cmentarze i kościoły, ponieważ szukali najbardziej smakowitych kąsków.

– Ależ to chore – powiedziała Dżamila, a profesor Walmsley pokiwała głową, dając znak, że całkowicie się z nią zgadza.

– Przycro mi, ale w końcu to życie jest chore – odezwał się inspektor Saunders. – Właśnie dlatego się tutaj zebraliśmy, żeby posprzątać nieczystości. Musimy też zdawać sobie sprawę, że czasami nie należy uświadamiać opinii publicznej, jak głęboka jest choroba. Absolutnie nie zależy nam na rekrutowaniu naśladowców tego, co najgorsze, prawda? Nie chcemy, żeby w południowym Londynie pojawiło się następne plemię kanibali polujących na gości pogrzebowych, żeby przyrządzać z nich smakowite posiłki.

Głos zabrał sierżant Bristow, który wyglądał na bardzo zmęczonego:

– Szefie, przeszukaliśmy większość opuszczonych tuneli metra i przystąpiliśmy do ich zamykania. Dostęp do systemu kolei podziemnej znajdował się za rzędem garaży po przeciwnej stronie ulicy, przy której leży cmentarz Lambeth. Na kolejny natrafiliśmy tuż za kościołem Świętego Anzelma w Stables Way. Zdaję sobie sprawę, że nie zlokalizowaliśmy jeszcz wszystkie, dysponujemy jednak dokładną, choć starą mapą, dlatego nie powinno już zająć nam to dużo czasu.

Po zakończeniu spotkania Jerry i Dżamila poszli odwiedzić Edwarda. Wciąż był bardzo blady, a ręce miał zabandażowane po zabiegu chirurgicznym przeprowadzonym w celu połączenia ścięgien, zdołał się jednak do nich uśmiechnąć i nieśmiało zasalutować. Jego matka siedziała przy łóżku i także posłała im słaby uśmiech. Już przed kilkoma dniami podziękowała policjantom za wyprowadzenie Edwarda i Johna z Hotelu Książęcego, zanim obiekt się zawalił.

Kiedy jechali z powrotem do Tooting, z wycieraczkami zbierającymi w szalonym tempie wodę z przedniej szyby, Dżamila zapytała:

– A co u Lindy?

– Na pewien czas pojechała do mamy. To wszystko ogromnie nią wstrząsnęło.

W samochodzie zapanowała długa cisza. Znowu przerwała ją Dżamila:

– Dzisiaj po południu wracam do Redbridge. Musimy się pożegnać. Przynajmniej na jakiś czas.

– Tak. Chyba tak. Wiesz, że komisariat w Tooting zostanie wkrótce zlikwidowany? A ja nie mam pojęcia, dokąd mnie przeniosą. Może do Wimbledonu, a może do Walworth? Kto wie?

– Przy odrobinie szczęścia może już nigdy nie będziemy potrzebni. To znaczy jako zespół.

– A ja wciąż myślę o tym, co się stało z Balą. Po prostu zniknęła? Mam nadzieję, że nie zalega pod stertą gruzu razem z tymi bezdomnymi.

– Raczej nie, Jerry. Moe Dee przywołał go z cienia. Sądzę, że tam wrócił, do ciemności, gdzie pewnego dnia znajdziemy się wszyscy.

Jerry wjechał na parking przy komisariacie i wyłączył silnik. Deszcz wciąż bił ciężkimi kroplami w dach samochodu.

Popatrzył na Dżamilę i przyszło mu do głowy, że prawie się w niej zakochał. Wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła jego ramienia, jakby czytała mu w myślach. Ale on miał przecież Lindę, którą powinien się teraz opiekować, a poza tym nie był pewien, czy Dżamila kiedykolwiek odwzajemniłaby jego uczucie.

– Dłaczego życie jest tak cholernie skomplikowane? – zapytał.

– Nie wiem, Jerry – odparła. – Chyba nie da się tego wyjaśnić.

Kiedy przyszedł do pokoju, w którym dotąd wspólnie pracowali, Jeżozwierz siedział przy komputerze i grał w *Grand Theft Auto*.

– Stary, powiem ci prosto z mostu: masz strasznie poważną minę – odezwał się. – Rozchmurz się. Na biurku czeka na ciebie upominek.

Jerry powiesił kurtkę na wieszaku i podszedł do swojego biurka. Na klawiaturze komputera leżały dwa kapelusze o szerokich rondach, jeden na drugim, pokryte szarym pyłem.

Edward na tyle wydobrał, że po trzech dniach wrócił do domu. Pierwszego wieczoru Elizabeth przyrządziła mu lasagne, jego ulubioną potrawę, a na deser podała lody czekoladowe. Wciąż był trochę przygaszony, a zanim poszedł do łóżka, przez prawie pięć minut wpatrywał się w oprawioną w ramki fotografię ojca. Elizabeth nie przeszkadzała mu, chociaż John wołał z łazienki, żeby umył zęby.

Kiedy chłopcy położyli się do łóżek, matka przysłała do ich sypialni, powiedziała „dobranoc” i zgasiła światło.

Edward leżał w ciemności, wpatrując się w sufit.

– Śpisz już? – wyszeptał John.

– Gdybym spał, tobym ci nie odpowiedział.

– Kiedy byłem Sekiem, naprawdę nie wiedziałem, że to jesteś ty.

– Wiem. Ja też cię nie rozpoznawałem, kiedy byłem Erstem.

John usiadł na łóżku i powiedział:

– Byłem Sowber Sekiem. Tak mnie nazywali.

– Sowber Sek? Co to właściwie znaczy?

– Pokazałem im sztuki magiczne, więc uznali, że jestem magikiem.

– Przecież ty tylko udajesz, że zginasz łyżki albo że znikają kubki. To nie jest magia.

– Ale teraz już potrafię czarować.

Edward odwrócił się i kilkakrotnie uderzył pięścią w poduszkę, żeby wygodniej się ułożyć.

– Śpij. Nie masz pojęcia o czarach.

– Mam. Mody mnie nauczył.

– Och, śpij już.

John zaczął klaskać bardzo cicho i obracać się z boku na bok, tak że skrzypiały sprężyny w łóżku. Z głębi gardła wydobył pomruk, z każdą chwilą coraz głośniejszy.

– Zamknij się, John – powiedział Edward. – Jestem zmęczony.

– Tylko popatrz – odpowiedział jego brat. – Mówisz, że nie znam się na czarach! Patrz! – Wskoczył z łóżka i podbiegł do okna, potykając się na klockach Lego porozrzucanych na podłodze. Odsunął kwiecistą zasłonę i odezwał się: – Patrz! Tam! Teraz mi wierzysz?

Z zewnątrz, z ciemności, do sypialni chłopców zaglądało dwoje żółtych oczu kozła.

## Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Dedykacja

\*\*\*

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Shadow People*

Copyright © Graham Masterton, 2022  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish translation and edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2022

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Agnieszka Horzowska

Projekt i opracowanie graficzne serii: Izabella Marcinowska

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce: Captblack76/Shutterstock

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Ludzie cienia*, wyd. I, Poznań 2022)

ISBN 978-83-8188-912-4

**Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.**  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**